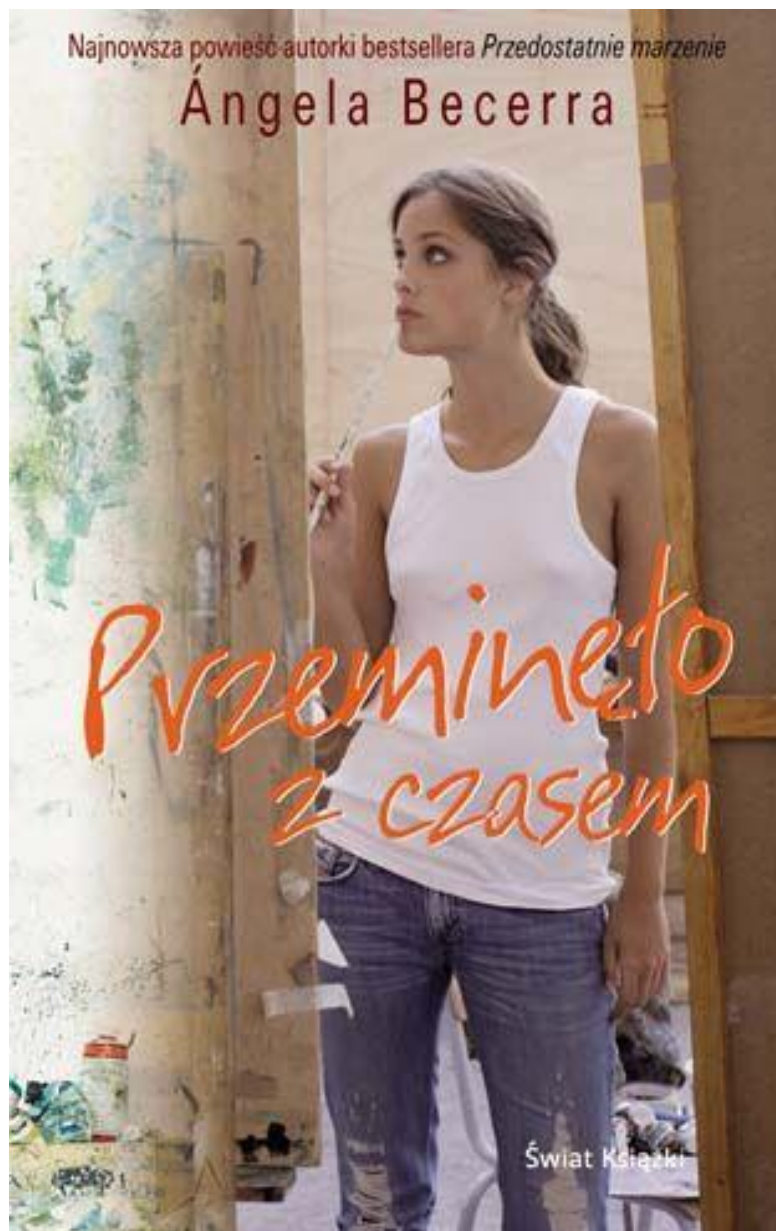




Angela Becerra
Przeminęło
z czasem

Tytuł oryginału
LO QUE LE FALTA AL TIEMPO



*Dla Angeli i Marii, moich córek...
moich skrzydeł*

TLR

Kiedy patrzysz w otchłań, otchłań zaczyna patrzeć w ciebie.

Friedrich Nietzsche

Dopóki nie otworzyła szafy, myślała, że śmierć jest odrażająca. Przez piętnaście lat miała ochotę dotknąć zmarłej, ale matka powiedziała, że nie wolno tego robić.

W końcu nadszedł ten dzień. Matki już nie było i nie mogła jej niczego za-
bronić, a ona czuła się bardziej samotna niż zwykle. Czy będzie lodowata, tak jak
sobie wyobrażała?

Czy wrażenie życia, emanujące z ciała tej młodej dziewczyny, skurczonego
przez usypiony czas, podaruje jej coś więcej niż tylko milczącą obecność?

Pociągnęła za dźwignię i z ciemności wyłoniła się wielka kryształowa
skrzynia. Delikatnie starła z pokrywy warstwę zastarzałego kurzu i w głębi zo-
baczyła twarz Świętej: długie, rzucające cień rzęsy i zamknięte powieki, które w
dzieciństwie tyle razy pragnęła otworzyć. Dlaczego nigdy się nie obudziła, choć ją
wołała?

Snop światła padał z góry na Świętą, zaznaczając jak pędzlem światłocienie
na jej lekko zaróżowionym, łagodnym obliczu, gdzieś poznaczonym bli-
znami po uderzeniach kamieniami. Tak, pomimo ran, jakich doznała od ludzi
przepełnionych nienawiścią, i setek lat spędzonych w czterech kryształowych
ścianach nadal była piękna: prawdziwa Śpiąca Królewna.

Teraz, kiedy na nią patrzyła, czuła, że ten widok³ nappełnia ją ciepłem. Czyżby
zmarli wypełniali pustkę bardziej niż żywi?

Gdzie zostało uwięzione serce tej kruchej dziewczyny?
Biała gołębica bez skrzydeł. Czy ciągle jeszcze było zastygłe w pozbawionych

nadziei marzeniach?

Wilgotnymi, drżącymi od przeczuć dłońmi otworzyła zardzewiały zamek. Podniosła pokrywę i kiedy już zamierzała pogłaskać Świętą po policzku, jej uwagę przykuł medalion spoczywający na nieruchomej piersi dziewczyny. Czyżby to był szkaplerz? Widniał na nim jakiś dziwny symbol; splecione ze sobą litery łacińskie, jakby rodzaj hieroglifów, tworzyły zamknięty krąg. Zaintrygowana, wzięła ostrożnie medalion do ręki, tak aby nie naruszyć zetknięch szat zmarłej i nie obudzić jej z wiecznego snu. Rozejrzała się czujnie wokoło, jakby w obawie, że ktoś ją na tym przyłapie. Nie było nikogo; obserwowały ją tylko świecące, żółte, obojętne oczy kotki. Mała kradzież, podarunek, jaki zapragnęła uczynić własnej szyi. Nie znalazła już w sobie tyle odwagi, aby dotknąć zmarłej. Lękała się, że potwierdzi się jej przypuszczenie, iż Święta po śmierci jest równie zimna jak ciała ojca i matki. Co będzie, jeśli pod dotykiem palców rozpadnie się jak skrzydła motyla? Woląла wierzyć, że jest ciepła; ciepła i bliska jak siostra.

Nie była przygotowana na stratę kolejnej ukochanej istoty. Nie, jeszcze nie teraz.

Podniosła dźwignię do góry i sprytny mechanizm opuścił w ciemność skrzętnie ukrywany sekret.

Wyszła na ulicę z neodpartym wrażeniem, że od tej chwili jest strzeżona; medalion zawieszony na jej szyi należał do Świętej, która zdawała się stąpać obok i przy każdym kroku mówić: „Jestem tutaj, przy twoim sercu”.

Przeszła przez rue Saint-Jacques i wybrała tę samą drogę co zawsze. Szła, wpatrując się w fantasmagoryczne kształty gargulców wysoko na fasadzie kościoła Saint-Severin: smoki, orły i lwy, niegdyś czyhające na nią jak drapieżne ptaki, teraz nie robiły na niej wrażenia. Już się ich nie bała. Po otwarciu sarkofagu i spotkaniu twarzą w twarz ze zmarłą większość jej lęków znikła.

Beztroski gwar dochodzący z ogródków kawiarnianych

zarazał radością. Dzielnica miała młodą duszę. Tego czerwcowego poranka, na swoje dwudzieste trzecie urodziny, zrobiła sobie prezent, o którym od dawna marzyła: lekcje u wielkiego malarza, mistrza Cadiza.

Jego obrazy były krzykiem dalekiej, a zarazem onieśmielającej prowokacji, jakby twórca rozkoszował się aktem panowania nad psychiką widzów, wydobywaniem z nich najbardziej ukrytych pragnień, wprawianiem ich swoim dziełem w swoisty stan hipnozy, tak aby nie mogli się od niego uwolnić.

Od lat śledziła drogę twórczą tego artysty. Poznała go na wskroś; charakterystyczne pociągnięcia pędzlem, technikę malarską, barwną osobowość. Wielbiła go z oddaniem debiutantki, chociaż starała się, aby nie było tego po niej widać.

Rozmawiali przez telefon i według niej wszystko poszło zbyt gładko. Czyżby ją nabierał?

W drodze do atelier tego malarskiego geniusza postanowiła, że stanie się dla niego niezbędna. Będzie przykładną uczennicą, zdolną do ofiarowania mistrzowi czegoś, czego brakowało w jego obrazach: stóp. Te niekształtne plamy, które malował, nie pasowały do całości dzieła i tym samym stały się jednym z jego znaków szczególnych, ale jej nie oszuka: sama była malarką i wiedziała, że po prostu nie potrafi ich namalować.

Przejechała przez Paryż metrem i wyszła na bulwar Montparnasse, z ulicznymi kramami i straganami. Do spotkania zostało jeszcze trzydzieści minut; nie chciała przyjść ani sekundy wcześniej i ani sekundy później. Szła więc wolnym krokiem, aż natrafiła na zaznaczoną na planie ulicę.

Przed numerem drugim w pasażu de Dantzig stanęła jak wryta. Widok, jaki rozpościerał się przed jej oczami, nie mógł być prawdziwy. Miejsce przypominało wyspę, opanowaną przez bujną i niekontrolowaną rozszalałą naturę. Wśród pędów wiciokrzewu i bluszczu walały się dziesiątki rzeźb pozbawionych korpusów i głów. Na porzuconym stole spał płowy kocur. Ptaki swobodnie fruwały po tym

zagubionym w czasie rajy. Wiedziała, że atelier Cadiza znajduje się w samym sercu dzielnicy, wyobrażała sobie, że jest wspaniałe, ale nie sądziła, że będzie to pawilon La Ruche, wzniesiony przez Eiffela na Wystawę Światową w 1900 roku dla Indii Brytyjskich. Budynek wyglądał, jakby miał się zaraz zawalić. Po obu stronach drzwi zmęczone upływem czasu kariatydy ze stoickim spokojem podtrzymywały ciężar belkowania nad wejściem. Ledwo wcisnęła guzik dzwonka, ktoś poważnym głosem, przypominającym brzmienie wiolonczeli, zaprosił ją do środka. Zwrócił się do niej po imieniu. Skąd wiedział, że to ona? Czyżby ją obserwował?

Dłonie zwilgotniały jej ze zdenerwowania. Przejrzała się w szybie drzwi i spodobał jej się ten widok.

Powitała ją intensywna woń terpentyny, farb i rozpuszczalników. W pomieszczeniu panowała dusząca atmosfera piekielnego chaosu. Na rozłożonych na podłodze gazetach ze śladami rozlanej farby, wśród kopczyków piasku i worków cementu walały się setki puszek i słoiczków z klejami, spoiwami, rozcieńczalnikami, palety i zdjęcia. Zdawało się, że wszystkie te malarskie utensylia zaraz się na nią rzucają. Nie było skrawka wolnej przestrzeni. Plamy farb akrylowych, olejnych, ślady gumy arabskiej tworzyły księżycowy krajobraz, z kraterami i stromymi, niedostępnymi zboczami. Jak można pracować w takim bałaganie. Mimo wszystko ten półokrągły pawilon stanowił prawdziwe architektoniczne dzieło sztuki. Przez chwilę wyobraziła sobie zebranych w tym wyjątkowym miejscu wszystkich swoich idolów: Chagalla, Kandinsky'ego, Soutine'a, Modiglianiego, Giacomettiego, Caldera, Picassa. Rozmyślenia przerwał odgłos szybkich kroków malarza.

Szedł w jej stronę, otulony malarskim kitlem. Przypominał żywy obraz. Wszystko, od spowijającej jego głowę smugi dymu z papierosa aż po widoczne brązowe plamy farb na ubraniu, składało się na nieuchwytny wizerunek artysty. Stał przed nią i patrzył nieruchomym wzrokiem. W końcu, po długiej chwili

ciszy, która ją onieśmielała, spytał:

- Mazarine, mogę wiedzieć, czego tu szukasz?

- Wiedzy.

- Wiedzy... - powtórzył, zaciągając się łapczywie przyklejonym do ust papierosem. - Jakaś ty naiwna. Nie wiesz, że ty sama jesteś swoim najlepszym mistrzem?

- Artysta malarz również ma prawo pragnąć nauczyć się czegoś więcej. Co w tym złego? Po prostu chcę być dobrą malarką.

- Nie mogę dać ci czegoś, czego w tobie nie ma. Co masz mi do zaoferowania?

- Nie wiem... Proszę mnie wypróbować.

- Musisz wiedzieć. Powiedz... ukrywasz coś pod spodem?

Zastanawiała się, o co mu chodzi. Wzrok Cadiza przenikał ją na wskroś, zdierał z niej ubranie. Odpowiedziała wyzywająco:

- Jasne. Wszyscy coś ukrywamy.

- Spróbuj to uzewnętrznić. Pozwól dostrzec to innym. Obnaż się przed światem, odrzuć fałszywy wstyd i zażenowanie. Pamiętaj, Mazarine: twoje dzieła to lustrzane odbicie ciebie. To właśnie one bezlitośnie ukażą twoje wnętrze.

Zamyśliła się. Przesłuchanie wstrząsnęło nią. Co on sobie wyobraża? Ze jest Panem Bogiem?

- Na początek - ciągnął, nie dopuszczając jej do głosu - nie podoba mi się, że chodzisz w butach po moim atelier. Zdejmij je, poczujesz żywą materię.

Zsunęła sandały ze swoich delikatnych stóp. To prawda. Pod stopami podłoga zmieniła się w gigantyczny suchy obraz, który na dodatek ranił skórę. Ukłucie w palec brutalnie przywróciło ją do rzeczywistości. Musi się dopiero nauczyć chodzić po takiej powierzchni.

Podczas gdy Cadiz szperał wśród porzucanych rzeczy i materiałów malarskich, szukając czegoś, co pragnął jej dać, siedząca na okrągłym podium naga kobieta czekała cierpliwie na polecenia mistrza.

- Trzymaj... - Cadiz wręczył uczennicy zabrudzoną deskę. - Chcę, żebyś coś na tym namalowała.

- Co mam namalować?

-Ja ci tego nie powiem. Nigdy nie będę ci mówił, co masz wyrazić. To powinno wypływać z ciebie.

Spojrzała na modelkę i postanowiła zaledwie naszkicować jej sylwetkę, a skupić się na stopach. Pokaże mu, że ona naprawdę ma coś do przekazania, coś, czego jemu brakuje.

Zręcznie naszkicowała pierwsze linie na desce.

Cadiz nie mógł oderwać wzroku od bosych stóp Mazarine. Kropelka krwi widoczna na palcu podkreślała jeszcze ich biel. Były doskonałe, pięknie zarysowane, niemal o boskich kształtach. Nigdy w życiu nie widział tak delikatnych stóp. Wyglądały jak dwa stylizowane skrzydła. Nagle ożyło w nim jakieś tłumione od lat uczucie. Czyżby stopy jego nowej uczennicy niespodziewanie obudziły go do życia?

2

Czasem tęskniła za podróżami, które odbywała jako niezależna reporterka. Bo taka już była Sara Miller. Mając prawie sześćdziesiąt lat, ciągle wolała anonimowość przechodnia, ciszę przemijania niż światła fleszy i atmosferę wywiadów, w której już od wielu lat żyli oboje z mężem.

Poznała go w maju sześćdziesiątego ósmego roku, wśród gazów łzawiących, pałowania, wrzasków, wznoszonych haseł i rosnącej adrenaliny podczas studenckiej rebelii. Przyleciała z Nowego Jorku do Paryża, oddelegowana przez redaktora naczelnego działu politycznego „The New York Timesa”, który uznał, że doskonale wmiesza się w tłum młodzieży i stworzy wstrząsającą dokumentację

fotograficzną zamieszek ulicznych, trzymających w szachu rząd generała de Gaulle'a.

Zaraz po przyjeździe, pod wpływem płomiennych haseł, przyłączyła się do rewolty, do spontanicznego krzyku intelektualistów. Dała się porwać atmosferze idealistycznej rewolucji, toczonej wśród płomieni, dymu i fruwej w powietrzu kostki brukowej. Bo to była rewolucja na kamienie i słowa - jedyna broń do walki z przemocą, jaką studenci mieli przeciwko brutalnym akcjom policji.

Uwieczniała właśnie na kliszy wściekłe ataki policji, gdy nagle w obiektywie aparatu fotograficznego pojawił się on: wynurzył się z nicości, owiany dymem, spocony, bohaterski i wielki; z ogromnym pragnieniem wolności wypisanym na twarzy i pomalowaną na czerwono kostką brukową w uniesionej w górę pięści, skandujący hasła. Jeden kamień - jedno słowo. I on - jak symbol bohatera obwieszczającego narodziny nowego świata.

Czarne, potargane włosy nadawały mu wygląd Cygana. Bezlitosny obiektyw kamery obnażył jego biedę: kurtka z wyprzedazy, wykończona kołnierzem z jakiejś ubitej nurki. Był piękny, jak dzikie zwierzę. W tamtej chwili Sara zupełnie zapomniała, gdzie jest i po co przyleciała do Paryża. Całkowicie pochłoneło ją uwiecznianie tego chłopaka okiem swojej leiki. Nie widziała pikujących w dół kamieni, nie słyszała krzyków, nie czuła uderzeń policyjnych pałek. Rozwścieczeni żandarmi kopali, bili i upokarzali walczącą młodzież, która broniła się, obzuczając ich wyzwiskami. Pośród tego rozgardiaszu narodziła się miłość i poszybowała ponad wydarzeniami. W chaosie zamieszek ulicznych ich oczy szukały się, gubiły i odnajdywały.

Ona robiła zdjęcia, biegała to tu, to tam, dopasowywała obiektyw, uciekała... i była coraz bliżej. On wznosił okrzyki, bił się, uchylał przed ciosami... i był coraz bliżej. W końcu stanęli naprzeciwko siebie, zziajani, brudni, wyczerpani, ale pełni nadziei, gotowi stoczyć kolejną walkę - walkę o miłość.

Spotkanie oderwało ich od sprawy - pożar zmysłów przytłumił odbiór rze-

czywistości i niemal ich spalił. Aparat fotograficzny stanowił pretekst do dialogu bez słów. Pragnienia większości ulotniły się gdzieś, stały się jednak pożywką dla kiełkującego uczucia.

Ona nic nie mówiła, on także nie zdobył się na najmniejszy wysiłek, aby obronić się przed rozszalałą sesją fotograficzną, rozpętaną przez piękną nieznaną. Hasła Sartre'a, idea *contestation*, sztandary, pięści, okrzyki, slogany... *L'imagination prend le pouvoir*¹. *Il est interdit d'interdire*²... „Bądźcie realistami. Dokonajcie niemożliwego”³. Wszystko się zacierało i rozmywało w obiektywie leiki.

Filmy się skończyły, aparat ucichł, przestały fruwać kamienie, umilkły krzyki i ustały przepychanki. Sara i Cadiz zbliżali się do siebie, patrząc sobie w oczy. Spotkali się ustami i złączeni wspólnym oddechem spoczęli na asfalcie ulicy, wyciągnięci na wielkim twardym łożu jedno obok drugiego, jedno na drugim, jedno wewnątrz drugiego. Paryż oniemiał w pocałunku.

Między ich językami przepływało soczyste ciepło. W wilgotnej i mrocznej przestrzeni, długiej jak tunel bez końca, rozpływała się mieszanka smaków i niewypowiedzianych słów.

Z oddali dobiegały przytłumione głosy: „Trzeba zmienić życie... *putains, putains...* Walczyć o swoje marzenia...”

Tymczasem oni dalej śnili poprzez swoje języki.

- Miłość zawarta jest w pocałunku - powiedział Cadiz. -

Pocałunek nie kłamie. Jeśli nie jest prawdziwy, krzyczy.

- Ciekawe... co ci powie to?

Popatrzyła na niego i zaczęła penetrować językiem wnętrze jego ust.

¹ *Wyobraźnia przejmuję władzę* - tytuł rozmowy Jean-Paula Sartre'a z Danielem Cohn-Benditem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² „Zabrania się zabraniać” - słowa Ernesta Che Guevary.

³ „Bądźcie realistami. Dokonajcie niemożliwego” - hasło rewolty studenckiej w Paryżu w maju 1968 roku.

- Ze twoje usta pełne są mrocznych pytań.
 - Jeśli prawdą jest to, co tak stanowczo twierdzisz, jak odczytasz to?
- Pokazała mu język, a on go ugryzł.
- Dzikus.

Okazało się, że to nie tylko był jej najlepszy reportaż, ale także najważniejszy w dotychczasowym dorobku: nazaczył ją bowiem na zawsze. Zdjęcia poszły w świat, zostały opublikowane i nagrodzone, a Sara już nie wyjechała z Paryża. Zamieniła swoją piękną ciszę samotności, swoje życie w pojedynkę na burzliwą radość dzieloną we dwoje, euforię wspólnego życia. Francuski wyniosła ze szkoły, podstaw hiszpańskiego nauczyła się od swojej meksykańskiej niańki. Zamieszkała w paryskiej mansardzie ubogiego malarza Cadiza, w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej. Porzucali i znowu wracali do tego, czego nie da się wypowiedzieć słowami, jedynie poczuć. W tamtych czasach zobowiązanie artysty nie wiązało się z miłością, lecz z powołaniem. Kochali się przy dźwiękach bluesa i *Je t'aime moi non plus* Serge'a Gainsbourga. Stali się bezbronni, wychudzeni, karmili się pocałunkami i pieszczotami delikatnymi jak płatki róż. Sara urządziła w łazience prowizoryczną ciemnię, w której wywoływała swoje najlepsze w życiu zdjęcia. Wysyłała je pocztą, żeby nie zrezygnować z tego szaleństwa, które tak nieoczekiwanie rzuciło ją w sam środek bohemy zwycięskiego i poetyckiego Paryża, gotowego do walki, pełnego nowo odkrytych marzeń i unoszących się w powietrzu wybryków intelektu. Do miasta zjechała młodzież z całego świata: z szaleńcami kipiącymi od idei, które muszą się spełnić. Paryż przypominał gigantyczną wieżę Babel.

Nie planowali tego, ale w tej pulsującej¹ od wydarzeń scenerii stali się jakby jednym podwójnym istnieniem. Ona, cudowna czarodziejka obiektywu, zaczęła podróżować po całym globie. Swoje najbardziej niesamowite i śmiałe fotografie sprzedawała potem najlepszym magazynom za bajeczne sumy. On, genialny

podżegacz do świętej wojny, pragnął znaleźć się wśród geniuszy neoekspresjonizmu. Jako nieoszlifowany diament zamierzał stworzyć rewolucyjny, przełomowy styl w malarstwie. Sara przeczuwała to od początku i uwieczniała każde dzieło, jakie wyszło spod jego pędzla. Fotografowała je w ciszy i intymności atelier. Powiększała to, co pozostawało jeszcze nieokreślone i wysyłała jako wielką sensację do redaktorów działu kulturalnego „The New York Timesa”.

Tak się zaczęła jego sława.

*

Krytykowany i poniżany przez erudytów i tradycjonalistów, był podziwiany przez liberalną młodzież, dla której bardzo szybko stał się największą ikoną nowoczesności i symbolem seksualnej wolności.

Jego dziełem była tak zwana sztuka dualna - termin wywodzący się z dualizmu kartezjańskiego. Umysł i ciało, dobro i zło, rozsądek i instynkt, ciało i dusza. Awers i rewers istoty ludzkiej. To, co przyzwoite i nieprzyzwoite zawarte w jednym koncepcie. Splecione ze sobą grzech i czystość. Uznany krytyk sztuki, w porywie wizjonerskiego natchnienia, ochrzcił ten nurt mianem dualizmu wyzwianego.

Wielcy tego świata oddawali hołd temu cudownemu twórczemu rozdwojeniu psyche, którego odbiciem była sztuka. Podziwiano nonkonformizm i gwałtowność Cadiza, nieposkromiony język, mroczną wściekłość. I, oczywiście, niedostępność. Nikt, nawet ona, jego żona, nie zdołał wniknąć w głąb duszy malarza, gdzie rodziły się idee.

Sara martwiła się.

Podczas gdy ona cieszyła się rosnącą sławą fotograficznego geniusza, nie nadążała z realizacją zleceń i zamówień na reportaże, bywała na wytwornych

koktajlach, obracała się wśród śmietanki towarzyskiej, jej prace wystawiano na wszystkich najświetniejszych ekspozycjach świata, między innymi w berlińskim Hamburger Bahnhof, Tate Modern w Londynie, nowojorskim muzeum Guggenheima - jednym słowem, gdy cały świat pragnął mieć ją dla siebie, ona dostrzegła w ostatnich pracach męża alarmujące oznaki zmęczenia i apatii.

Symptomy ledwo dostrzegalne, krytycy jeszcze niczego nie zauważyli i nie wytknęli, ale ona już przeczuwała, że pozornie niewyczerpalne źródło natchnienia zaczyna powoli wysychać. Od paru miesięcy był przybity, milczący zamyślony. Z pogłębiającą się paranoją, utrzymującą go na granicy rozpacz, twierdził, że wszyscy tylko czyhają, żeby z niego zakpić. Nie mógł pogodzić się z tym, że już nie potrafi stworzyć nic nowego, a jego obecne dzieła są wtórne i bez polotu.

Wcześniej przeżywali podobne napięcia, gdy wystawa prac Cadiza nie zaspokajała jego niepohamowanej żądzy sukcesu i zostało zranione wrażliwe ego artysty. Tym razem było jednak inaczej. Przechodzili odmienne etapy kariery zawodowej.

Zawsze rozmawiali o przełomowych chwilach. Kryzys wieku lat czterdziestu przetrwali, myśląc o pięćdziesiątce; pięćdziesiątkę przeżyli, myśląc o sześćdziesiątce, ale ten zupełnie wymknął im się spod kontroli. Miał zbyt wiele przyczyn.

Czasami żałowała, że nie ominęło ich życie na świeczniku, w blasku fleszy; wolałyby pozostać osobą anonimową i zestarzeć się w spokoju, bez wystawiania się na krytykę i światła reflektorów. Byli młodzi, a świat chciał ich postarzyć na siłę i powoli mu się to udawało. Między przeszłość a przyszłość wdzierała się depresja.

A jednak, choć sama odniosła sukces, czasami pragnęła powrócić do lat pełnych chwały, kiedy ona i jej mąż pławili się w sławie, otoczeni uwielbieniem i czcią, przeżywali chwile gorączkowego, twórczego podniecenia i nie patrzyli na siebie z zawiścią, lecz z podziwem.

Musiała natychmiast i za wszelką cenę obudzić radość w Cadizie.

3

- Przeklęta dziewczyna! - wycedził przez zęby, patrząc, jak bosonoga Mazarine odchodzi ulicą. Jej malutkie sandały pozostały zapomniane w kącie, być może celowo. - Przeklęta dziewczucha! - powtórzył, trzymając w ręku obraz namalowany przez nią na desce.

Rzucił na podłogę portret, ledwo zaczęty tego popołudnia, i kopnął go ze złością, tak że drewno rozpadło się na kawałki.

Zastygła z przerażenia modelka wpatrywała się w niego oniemiała, niepewna, czy wyjść, czy zostać. Zauważywszy to, rozkazał:

- Wynoś się! I jutro nie przychodź!

Gdy został sam, wyładował wściekłość i frustrację, ciskając o ścianę pędzle, szpatułki, sztalugi, kleje i szmaty. Farba z roztrzaskanych słoiczków spływała po ścianie niczym sur- realistyczne łzy. Łzy wypalonego artysty.

- Jestem martwy! Martwy!

4

Mazarine nie wiedziała, jak poszła jej pierwsza lekcja. Godziny spędzone w atelier upłynęły w ciężkiej ciszy. Mistrz nie odzywał się do niej, nie odpowiedział nawet na słowa pożegnania. Wracała do domu zawiedziona i rozdrażniona. Idol nie spełnił jej oczekiwań. Nie był ani tyle wart, jak sądziła, ani tak atrakcyjny jak na okładkach magazynów. Po wyjściu od niego miała gorzkie poczucie zawodu.

Rozczarowanie to taka śmierć w miniaturze - pomyślała, zatrzymując się przed ciastkarnią na bulwarze Saint-Michel. Postanowiła kupić tartę Saint-Honore i świętować w samotności swoje urodziny.

Przed La Friterie pozdrowiła ją sąsiadka, która nie potrafiła zrozumieć, jak taka młoda dziewczyna może żyć sama w starym Zielonym Domu. Okna w tym dziwnym domostwie były zawsze zamknięte, zarówno we dnie jak i w nocy, nawet podczas sierpniowej kanikuly. Przez pewien czas groziła mu rozbiórka, ale zarząd miasta ugiął się pod naciskiem petycji z podpisami sąsiadów, dla których Zielony Dom stanowił symbol Saint-Severin, i odstąpił od tego projektu. Ta uwięziona między dwoma budynkami

miniaturowa perełka architektoniczna o wąskiej fasadzie, wzniesiona w stylu tudoriańskim, kryła w sobie pewną zagadkę. Mimo że od śmierci matki Mazarine upłynęło wiele lat, wszystkie okna wychodzące na ulicę pozostawały zamknięte, z domu w niewytłumaczalny sposób wydostawał się szczególny zapach i wypełniał całą okolicę.

Zamknawszy za sobą drzwi, przyjrzała się swoim stopom. To wcale nie były zły pomysł pozbyć się butów. Podjęła nieodwołalną decyzję: od tej chwili będzie chodzić boso. Wracając z atelier do domu, stwierdziła, że odczuwanie podłoża gołą stopą jest fascynujące. Zanim dotarła do swojej dzielnicy, przez dwie godziny włączyła się ulicami i parkowymi alejkami. Niektórzy przechodnie uśmiechali się do niej współczująco. Bohatersko zniosła wszelkie niewygody. Drobne skaleczenia szybko się zagoją, stwardniałe podeszwy stóp stworzą naturalną ochronę i będzie mogła odczuwać Paryż inaczej niż dotychczas.

W kuchni powitała ją kotka. Podbiegła do niej i zaczęła się ocierać o jej nogi. Mazarine schowała tartę do lodówki. Uczczenie swoich urodzin odłoży na później. Teraz, kiedy przestała się bać, chciała znowu zobaczyć Świętą, poczuć jej obecność.

Wspięła się wolniutko schodami, wyczuwając pod obolałymi stopami chropowatość drewnianych stopni. Poczowała zapach wywoskowanego mahoni i ten dziwny, znany z dzieciństwa niepokój, kiedy matka kazała jej iść do łóżka, a ona nie pozwalała się oderwać od jedyne go ciepłego miejsca, jakie znała: matczyne go uścisku. Nie miała siostry, o którą tak prosiła rodziców, musiała się więc zadowolić Śpiącą Królowną.

Dlaczego nic do niej nie mówiła, skoro wyglądała jak żywa? Odczuwała brak ojca... ale także matki. Czuła pustkę: pustkę świata, odbijającą się w niej głuchym echem. Gdyby choć raz usłyszała jakieś ciepłe i życzliwe słowo, coś, co by potwierdziło, że naprawdę istnieje.

Milczące usta zamieniają się w czarną dziurę. Studnię bez wody.

- Powiedz coś, Sienna - powiedziała, otwierając szafę. Z ciemności wyłoniła się kryształowa trumna. Spoczywająca w niej dziewczyna była taka piękna i... niema. – Czy masz jeszcze jakieś pragnienia, które powinny się spełnić? Czy ciągle jeszcze żyją w tobie? A może również umarły i pozostały tak jak ty nieopogrzebane? Kto ci to zrobił? Kto? Dlaczego nie złożono cię w grobie? - Cisza. Święta o spokojnym obliczu wydawała się pogrążona w majestatycznym śnie. - Kim ty jesteś?

Niewiadomą. Duszą uwięzioną w kryształowych ścianach. Świeżą różą, która wydała ostatnie tchnienie. Ulotną chwilą zaklętą w czasie

Mazarine przypomniała sobie, że nosi medalion, zdjęty rano z piersi zmarłej. Dotknęła go, wyczuwając pod palcami dziwne wygrawerowane znaki. Co oznaczały te splecione ze sobą linie inicjałów? Czemu Święta nosiła ten talizman?

Gdy otworzyła szafę, z jej wnętrza wydostały się drzemiące tam od wieków pytania, na które nie znała odpowiedzi.

Teraz, kiedy nie bała się Świętej, pojawił się lęk przed czym innym: że nie będzie umiała wyjaśnić sobie tych wątpliwości.

*

Tej nocy odgadła niewiele, wymyśliła bardzo dużo i nie doszła do żadnego wniosku. Ułożywszy się wygodnie na poduszce, poczuła drobną satysfakcję, która na chwilę oddaliła dręczącą ją niepewność; wyobraziła sobie Cadiza patrzącego na stopy, które własnoręcznie namalowała na desce, i w końcu zasnęła z uśmiechem na ustach.

5

Cadiz obudził się spragniony: spragniony czegoś absolutnie nieosiągalnego. Pożądał dualizmu innego rodzaju niż ten, który odzwierciedlały jego obrazy. Chciał być młody i stary zarazem. Mieć wigor dwudziestolatka i mądrość swoich sześćdziesięciu lat. Kontestacyjne porywy pozwoliły mu zgłębić wiele ścieżek; póki nie odkrył światła w zakamarkach ludzkiej duszy: stłumionych, powstrzymywanych instynktów.

Panowanie nad własnym ciałem to tylko złudzenie; swego rodzaju dysharmonia poszukująca równowagi nie daje ukojenia. Nabyty wstyd i odziedziczone zahamowania muszą znaleźć ujście; w człowieku walczą zwierzęce pasje, wypełniają go, przełamują wszelkie opory i zawracają do czystego pierwotnego bytu.

W swoich dziełach nie odcinał się od tego, jak niektórzy ośmielali się twierdzić; wręcz przeciwnie: ukazywał w nich szaleństwo uniesień, przeciwstawienie wyzwolonych sił. Jego obrazy przedstawiały byt w zderzeniu z duchami i pragnieniami. Z jednej strony pełen dziewiczej skromności kunszt, z drugiej - instynkt w najczystszej postaci; pożądanie obnażone przez przypadkowe zadarcie spódnicy do góry.

Młodzińczy nonkonformizm pozwolił pokonać wszelkie przeszkody i doprowadził go na sam szczyt. Obsesyjne dążenie do perfekcjonizmu, które zapew-

niło mu sławę, teraz go unicestwiało. Nie mógł znieść tego, że jest od kogoś gorszy, a zwłaszcza od swojej młodziutkiej uczennicy. Ta nic nieznacząca dziewczynina rozkrwawiła dawno zabliznioną ranę. Spóźniła się dwie godziny, aby dać mu pokaz mistrzostwa? Ile obrazów zniszczył w ciągu ostatnich miesięcy? Pięćdziesiąt? Sto? Nie musiał malować stóp, aby wyrazić swój świat. Co oznaczały te namalowane przez Mazarine? Czemu nagle okazały się ważne? Dlaczego czuł się taki bezbronny?

Zaczął odczuwać tęsknotę - nieomylny znak, że oderwał się od teraźniejszości i musi odnaleźć się w przeszłości, aby do reszty nie zniknąć w dymie własnego stosu pogrzebowego. Coraz częściej mniej odczuwał, a więcej wspominał.

Od dawna okłamywał żonę opowieściami o obrazach rzekomo namalowanych w ciągu ostatnich miesięcy. Stosował rozmaite wybiegi, aby odwieść ją od wizyty w atelier. Tłumaczył, że nie chce ich pokazywać, póki nie zostaną ostatecznie skończone. Pycha nie pozwalała mu zaakceptować własnej niemocy twórczej. Tymczasem Sara odnosiła sukcesy i przeżywała najlepsze chwile w swoim życiu. Kiedyś zazdrość była mu obca, teraz nie był w stanie przełknąć tak wielkiej dawki cudzego geniuszu, zwłaszcza w dziełach żony.

Całe dni spędzał zamknięty w La Ruche. Nikomu się nie pokazywał i nikogo nie wpuszczał do środka, pod pretekstem „nieprzeszkadzania artyście”. Ukojenia szukał w whisky. Pragnął rozpuścić się w nicości, zniknąć w pociągnięciach pędzlem, uwolnić się od wewnętrznej męki, wiodącej powoli i nieuchronnie do zupełnego zniszczenia.

Chaos tkwił w nim samym. Jego sposób porządkowania świata polegał na burzeniu ustalonego porządku. Zawsze dobrze mu wychodziło postępowanie wbrew ustalonym zasadom. Wprowadzając bałagan, bronił się przed światem, ale teraz niewiele to pomagało. Od bałaganu przeszedł do totalnego chaosu egzy-

stencjonalnego. Od dawna kolory straciły odcienie i już nic dla niego nie znaczyły.

Zaniepokojony zbliżył się do okna. Wypuszczane z ust kłęby papierosowego dymu zasnuwały szybę, tworząc na niej prowizoryczne tło, na którym bezustannie kreślił sylwetki ludzi. Żelazna brama świeciła pustką. Wyłożona omszałymi kamieniami dróżka, połyskująca w świetle, wywoływała w nim jeszcze większy niepokój. Minęła czwarta, a Mazarine nie przychodziła. Spojrzał na zegarek. Ponad godzinę spóźnienia. Od trzech tygodni była jedyną osobą, której pozwolił przychodzić do atelier. Nie do końca rozumiał, dlaczego się na to zgadza. W gruncie rzeczy jej obecność jeszcze wyraźniej uświadamiała mu własne ograniczenia twórcze. Sprawiała jednak, że przy niej czuł się bogiem; dziwaczna dwistość, kolejny dualizm wszechwładzy i podłości.

Jak bóg mógł ją rozweselać lub zasmucać. Mazarine go uwielbiała i pokornie czekała na pochwałę lub krytyczne słowo. Ona, tak skandalicznie młoda i tak nieprawdopodobnie utalentowana, była mu zupełnie powolna. Mistrz i uczennica, każde z nich perfekcyjnie odgrywało swoją rolę. o cóż innego mógłby jeszcze prosić?

Ta dziewczyna była jego podporą. Bez niej już by się nie podniósł. Była świadkiem schyłku jego drogi artystycznej i zarazem nadzieją na odrodzenie, mimo iż traktował ją z obojętnością graniczącą z autyzmem.

Nie potrafił zabrać się do malowania, jeśli nie było jej obok niego. Tak jakby otaczająca ją aura niewinności i ukrytej mądrości była dla niego inspiracją. Żywił się jej witalnością, czerpał z niej natchnienie. Gdy była obok, jego zmysły ożywały. Talent widoczny w szkicach Mazarine nasyczał atelier magią i pragnieniami.

- Czemu nie przychodzisz? Gdzie się, d^o diabła, podziewasz?

Śledził ją. Czowała, że ją śledzi, i to od dawna. Tego popołudnia postanowiła pójść inną drogą niż zwykle, aby się przekonać, czy jej obawy są słuszne. Po piętach deptał jej mężczyzna o posturze marynarza, jak na ulicznych graffiti, i zamglonych oczach. Wyszedł za nią z *ristorante* Gallo- Romano, potykając się w drzwiach. Podczas obiadu siedział naprzeciwko niej. Jego dziwny i uporczywy wzrok cały czas spoczywał na jej piersiach, przez co nie była w stanie przełknąć zamówionego spaghetti. Wybiegła więc, pragnąc jak najszybciej stamtąd uciec. Ale ten człowiek nie zamierzał zostawić jej w spokoju, a może po prostu szedł w tym samym kierunku, co ona.

O tej porze rue Saint-Jacques, którą teraz szła, zamieniła się w falujące morze głów studentów zmierzających na Sorbonę. Weszła za nimi do gmachu i wmieściła się w krzykliwy tłum, tłoczący się przed drzwiami auli. Mężczyzna o Zamglonych Oczach został na ulicy. Przez dwadzieścia minut zabijała czas, włócząc się bez celu korytarzami uczelni. W końcu odważyła się opuścić bezpieczny teren uniwersytetu. Rozejrzała się w koło. Obcy zniknął.

Teraz musiała skorzystać z metra, chociaż tego nie znosiła, jeśli nie chciała jeszcze bardziej spóźnić się do atelier Cadiza. Podczas jazdy starała się zapomnieć o tym, co zaszło, i zająć myśli czym innym. Zastanawiała się, jak to jest mieć ojca - szczęście, jakiego niedane jej było zaznać. Mieć dobrego, wyrozumiałego tatę, który by ją chronił i dbał o nią, zaspokajał wszystkie potrzeby. Wyciszał lęki, opowiadając bajki o księżniczce uratowanej przez rycerza. Podczas burzliwej nocy z grzmotami i błyskawicami zamykałby jej oczy pocałunkiem i mówił: „Nie bój się, jestem przy tobie”. Kołysałby ją w silnych ramionach, zaspokajał głód uczuć, zapewniał o swojej miłości - takiej, która wszystko daje i niczego nie oczekuje w zamian. Mazarine nie miała ojca. Nie zachowała zdjęć ani wspomnień o nim. Pamiętała tylko lodowaty chłód jego czoła pod swoimi dziecięcymi ustami,

gdy pocałowała go na pożegnanie. Leżał w trumnie i traciła go na zawsze. Gdzie jest to błogosławione niebo, dokąd odszedł? Dlaczego matka nie powiedziała jej, zanim też umarła, że niebo nie istnieje, a ci, którzy zasnęli na wieki, rozplywają się w nicości?

Powrotu nie ma. Ciało rozkłada się, tak jak rozkładają się liście opadłe z drzew: materia powraca do ziemi. A... dusza ulatująca wraz z ostatnim tchnieniem? Chciała wierzyć, że dusza ojca pozostała nienaruszona, że po długiej wędrówce znowu się z nim spotka. Może w metrze istnieje przystanek Niebo i jeśli na nim wysiądzie, znajdzie drogę, która zawiedzie ją prosto do niego. Przeszywał ją chłód, niezwykajny w samym środku lipca. A gdyby krzyknęła błagalnie, żeby ktoś ją przytulił?

Jedynych czułych gestów doznała od swojego przyjaciela Rene - towarzysza młodzięcych lęków i narzeczonego, o ile to, co ich łączyło, można nazwać narzeczeństwem: codzienne wyprawy do La Guillotine - knajpki muzycznej w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie przepelnieni nostalgią miłośnicy jazzu słuchali, jak jej przyjaciel gra na kontrabasie, dotyk jego dłoni wyciszający paniczny strach. Dlaczego wyjechał do Pragi bez pożegnania? Dowiedziała się o tym przypadkowo, oglądając fotosy rozwieszane na ścianach piwnicy La Guillotine. Był na jednym z nich: uliczny grajek na rynku praskiej starówki. Twarz bez uśmiechu, o pustym, zagubionym spojrzeniu, tym samym, jakie tyle razy u niego widziała. I pewnie takim samym jak jej w tej chwili. Nie przesadzała. Inaczej nie czułaby skurczu w żołądku i dreszczy na całym ciele. Wśród pasażerów nie dostrzegła odrażającego mężczyzny, który ją śledził - tylko młodzi ludzie zasłuchani w muzykę płynącą z iPodów, zaczytane w najnowszych romansach starsze panie, staruszkowie zatopieni we wspomnieniach i biznesmeni kartkujących notesy.

Odprężyła się. Czekał na nią Cadiz.

Czy będzie na nią zły za spóźnienie? Uspokoila się na myśl, jak wielkie po-

stepy zrobiła dzięki naukom mistrza.

Chociaż milczeli podczas długich godzin, codziennie spędzanych razem, była pewna, że dzieje się między nimi coś dobrego. Powoli uczyła się, jak istotna dla artysty jest umiejętność życia z wewnętrznym szaleństwem; Cadiz to potrafił. Wszystko, co wyrażały jego dzieła, to ni mniej, ni więcej tylko ukryte widma, które wywodziły się z pragnień: zbyt wiele pragnął. Wiedziała, że malarz kątem oka śledzi jej postępy i chociaż Mazarine nie zauważyła żadnego specjalnego gestu czy pełnej aprobaty miny, zaczynała wierzyć, że Cadizowi podoba się to, co ona robi. Może nawet zazdrości jej tego, co ona potrafi.

Monotonny, bezbarwny głos zapowiadający kolejną stację przywrócił ją do rzeczywistości. Gdy wysiadła na rue des Morillons, przeszedł ją zimny dreszcz. Na peronie czekał na nią Mężczyzna o Zamglonych Oczach i zajęcej wardze. Na jej widok wydmuchał z ust obłok dymu z fajki i zaczął za nią iść.

Serce waliło jej jak oszalałe. Czego od niej chce ten okropny człowiek? Nie spuszczał z niej swoich upiornych oczu.

Medalion na jej piersi wznosił się i opadał, jakby w rytm przerażenia. Ledwo żywa dotarła do atelier. Raz po raz rozpaczliwie naciskała guzik dzwonka, krzyząc przy tym:

- Cadiz! Caaadiz!

- Już idę - odezwał się prawie natychmiast. - Chwileczkę... Co się dzieje, do diabła?!

Mężczyzna o Zamglonych Oczach zniknął.

swoją pracownię, kłębił się tłum ludzi. Fotografka realizowała ważny reportaż: kolorowe zdjęcia przypadkowych osób, które napotkała tego ranka na ulicy. Zależało jej na tym, żeby po prostu byli sobą: bez upiększeń i sztucznych rekwizytów. Byli wśród nich: uliczny akrobata, mim z Beaubourga, odtwórca barokowej muzyki z Montmartre'u, sztukmistrz, malarz z Pont Neuf, bukinista z nabrzeża Sekwany, półprzytomny narkoman, kłozard z pełnym gratów wózkiem z supermarketu, emerytka z pudełkiem i... Mężczyzna o Zamglonych Oczach. Niecierpliwie czekał na swoją kolej, wydmuchując kłęby dymu ze zdeformowanych ust. Sarę zaintrygowało jego rozbiegane, przerażające spojrzenie. Oczy pokryte bielmem, które zdawały się patrzeć i nie widzieć. Pragnęła uchwycić obiektywem kamery ten enigmatyczny kontrast. Dostrzegła go, włączając się koło kościoła Saint-Severin, i zaproponowała mu udział w sesji. Nie odpowiedział, jednak się zjawił. Asystentka kazała mu wejść do środka; mężczyzna budził w niej wstręt i strach.

Podczas sesji zdjęciowej posłusznie jak potulne dziecko wykonywał wszystkie polecenia, nie chciał tylko zdjąć koszuli. Gdy oznajmiła, że zdjęcia skończone, odebrał pieniądze i wyszedł bez słowa.

- Może jest niemową - zastanawiała się asystentka.
 - Nie sędzę - odpowiedziała Sara.
 - Nie przerażał cię jego wygląd?
 - Myślisz, że siedziałabym tu, gdybym bała się wszystkiego, co chcę uwiecznić?
 - Ciekawe, dlaczego tak się upierał, żeby mieć zapięte guziki koszuli po samą szyję?
- 23
- Wstydział się.
 - Albo coś ukrywał.
 - Masz na myśli bliznę?
 - Może.

- Albo brak mu jednej brodawki piersiowej - rzuciła ze śmiechem asystentka.
- Raczej ukrywa mnóstwo kolczyków i tatuaży.
- Nie sądzę - odparła asystentka. - Chwaliłby się nimi jak najcenniejszymi trofeami. Tacy jak on uwielbiają obnosić się z tym.
- Czy jest ktoś jeszcze?
- Nie. Ten był ostatni.

Zapadający nad pasażem de Dantzig zmierzch zabarwiał na kolor ochry nadgryzione zębem czasu kariatydy strzegące wejścia do atelier. W ostatnich promieniach słońca pawilon Eiffela wyglądał wspaniale. Zatopione w zielsku rzeźby szeptały swoje ostatnie sekrety. Dźwięki lata rozbrzmiewały w uszach nielicznych artystów, którzy stosownie do tradycji nadal mieszkali w pobliżu La Ruche, nadaremnie usiłując wskrzesić atmosferę Paryża lat dwudziestych ubiegłego wieku, kiedy w tych ogrodach gościły sława i świetność. Kiki - modelka i kochanka artystycznej braci - zarażała radością życia i szokowała zuchwałym zachowaniem. Ta najpiękniejsza z pięknych stała się wielką muzą Montparnasse'u: jego królową. Teraz, po prawie stu latach od tamtych czasów, spokój okolicy zakłócało tylko ujadanie niepozornej suczki wabiącej się Kiki.

W La Ruche malarz na próżno próbował uspokoić przerażoną Mazarine. Ogarnięta histerią dziewczyna nie potrafiła zapanować nad drżeniem rąk. Cadizowi trudno było postawić się w położeniu osoby przestraszonej i pokrzywdzonej. Nienawidził słabości. Irytowała go cudza niemoc i bezradność, nie umiał po-

cieszać ani przynosić ulgi w cierpieniu. W takich sytuacjach jak ta dawał popis absurdałnego braku empatii. Czasem słowa prowadzą do nieporozumień; są martwe. Lepiej więc milczeć i udawać głuchoniemego.

Ona pozostała sama ze swoją udręką i on sam z niezrozumieniem jej potrzeb. Dwa monologi bez punktu styycznego. Dlatego wolał w ciszy obcować ze swoimi płótnami. Napięcie i irytacja znikwały, gdy w skupieniu mieszał farby. Obrazy niczego się nie domagały, niczego nie żądały i pozwalały na wszystko.

Nie znajdując sposobu na uspokojenie dziewczyny, poczęstował ją whisky z piersiówki, którą zawsze nosił przy sobie.

- Masz, napij się, dobrze ci zrobi.

Mazarine, choć nigdy nie piła mocnych alkoholi, pociągnęła duży łyk.

- Lepiej?

Dziewczyna spojrzała na niego. W jej pięknych, nieodgadnionych złotych oczach dostrzegł bezmierny smutek.

Zapraęął dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Mieszkasz sama?

- Nie - szepnęła po długiej chwili ciszy.

Zrozumiał, że ona nie chce o tym rozmawiać.

- Zaczynamy?

Skinęła głową.

-Dzisiaj będziemy robili coś innego. Przynies płótno, które zagruntowałaś wczoraj.

Mazarine wróciła z wielkim nieoprawionym płótnem i rozłożyła je na podłodze.

25

- Mam ochotę pomarzyć. Umiesz marzyć?

Dziewczyna, ciągle jeszcze czekając na jakieś słowa otuchy, nie odpowiedziała.

- W porządku, zrobimy to w milczeniu.

Przyjrzał się uczniom. Jej kruchą postać rozświetlała osobliwa aura. Okazywany w poprzednich tygodniach młodzieńczy bunt zniknął, pozostawiając wrażenie fascynującego, bezbronno piękna.

Patrzyła na niego z uwagą. Czy dobrze usłyszała? Mistrz powiedział: zrobimy? On i ona razem? Byłby to pierwszy obraz Cadiza malowany na cztery ręce.

Nie spuszczać wzroku z Mazarine, podszedł do niej i ukląkł. Śledziła jego ruchy jak zahipnotyzowana. Nie miała śmiałości nawet mrugnąć. Powoli podciągnął nogawki jej dżinsów. Szorstki dotyk materiału wywołał w niej słodki dreszcz. Podobało jej się to.

Nikt przed Cadizem nie dotykał stóp Mazarine - najbardziej intymnej części jej ciała; odczułaby to jak profanację.

Cadiz delikatnie głaskał każdy jej palec osobno, pieścił to, co zwykle jest niedostępne. Przypominało to spokojny, uroczysty obrzęd. Potem, przez długie sekundy wlokące się jak wieczność, podciągnął nogawki spodni, odsłaniając jej idealne nogi.

Czuła ręce mistrza wysoko między udami, chociaż tak naprawdę nie dotarły nawet do kolan. Co się z nią dzieje?

Cadiz, ciągle milczący, nabrał odrobinę czarnej farby na pędzel i zaczął nim kreślić na stopach Mazarine linie, udające rzemienie sandałów. Robiąc to, wiedział, że tkwi w tym ocalenie. Pożądanie ukryte za wizją. Serce znowu biło mu jak w młodości. Jego dzieło stanie się wyrazem zmysłowości.

-Mazarine... - Głos Cadiza brzmiał inaczej. – Naucz mnie malować ciebie.

- Nie potrafię.

- Nauczysz się. Połóż dłoń na mojej dłoni.

Mazarine bez namysłu ujęła dłoń artysty, tę, w której trzymał pędzel, spojrzęła na odbicie swoich stóp w lustrze i jednym pociągnięciem pędzla odwzorowała je na płótnie. Cadiz wyczuł w tym goście twórczą pasję. Dziwne - przy płótnie nie przeżywała rozterek.

Spojrzała na niego wyzywająco; tym razem to ona wystąpiła w roli nauczyciela.

-Nieźle - wyszeptał z uśmiechem. - Całkiem nieźle.

A teraz daj mi dokończyć.

Kontury namalowane przez Mazarine wypełnił krwistą czerwienią. Pocił się obficie, kładąc kolejne warstwy farby. Był jak opętany sztuką. To pieścotliwie zdejmował jej nadmiar, to z wściekłością brał w posiadanie dziewczęcą biel, jakby rozprawiał się z nią w świętym pojedynku. Od stóp plama rozciągała się w górę obrazu, jak wielka kropla krwi. Efekt był porażający.

Cadiz wyprostował się, ciężko dysząc. Trans dobiegł końca.

- Wspaniale - stwierdziła Mazarine.

-„Wartość rzeczy nie tkwi w czasie ich trwania, lecz w mocy, z jaką zachodzą”. Wyczytałem to, nie pamiętam gdzie.

Spojrzała na obraz. On to nazywa mocą? A jak określić to, co ona czuje?

- Pozwól mi je umyć - poprosił.

Przyniósł miskę z wodą i starannie zmył farbę ze stóp uczennicy, tak samo delikatnie, jak ją przedtem kładł. Gdy to robił, zrozumiała, że odtąd wszystko się zmieni: stanie się dla kogoś ważna i ten ktoś będzie jej potrzebował. Osuszywszy stopy Mazarine, malarz nie potrafił się powstrzymać, żeby nie zbliżyć do nich ust.

- Dziękuję - szepnął i obsypał je pocałunkami.

W ciemni swojej pracowni fotograficznej Sara Miller rozwieszała świeżo wywołane zdjęcia, które zrobiła rano. Od cudów techniki wołała metodę tradycyjną. Ręczna obróbka miała w sobie jakąś magię, gdy w gumowych rękawiczkach

zanurzała klisze w kuwecie z odczynnikiem i wyjmowała je pęsetą. Do nowinek technicznych uciekała się tylko w ostateczności, jeśli wymagał tego efekt końcowy, i traktowała jak jedno z wielu narzędzi pracy, bynajmniej nie podstawowe. Uważała, że gdyby nieujarzmiona technologia zapanowała nad światem, zniszczyłaby świeżość instynktownych działań artysty.

Pomysł był prosty, choć niepozbawiony ambicji. Za pomocą komputera najnowszej generacji zamierzała poddać fotografie specjalnej obróbce, tak aby zamiast płaskich zdjęć otrzymać postaci trójwymiarowe, jak żywe, którym brakowałoby jedynie funkcji oddychania. Ta wystawa miała swoje polityczne przesłanie: protest, *underground* wyniesiony do *overgroundu*, podziemie wydobyte na powierzchnię, wystawione na widok publiczny. Bezdomny Paryż bram, placów, mostów i zgoła nieturystycznych zakątków, trafi na najwspanialszą arterię miasta: na Champs Elysees. W tłumie eleganckich przechodniów na ekskluzywnej alei miasta pojawią się barwne postacie kloszardów ze sklepowymi wózkami, wypełnionymi puszkami, połamanymi lalkami, makulaturą... Wyższe o metr od przeciętnego człowieka staną się bardziej wymowne. W ten sposób nikt ich nie zignoruje - ekspozycja miała zwrócić uwagę świata na los ludzi zepchniętych na margines.

- Chodź, Saro, coś ci pokażę - zawołała asystentka.

- Co takiego?

- Pamiętasz tego mężczyznę, który zrobił na nas takie wrażenie?

- Tego dziwnego, którego się przestraszyłaś?

- Tak. Zobacz, co odkryłam.

Sara podeszła do komputera i przypatrzyła się uważnie powiększonej na ekranie fotografii.

- O mój Boże!

Okolo pierwszej w nocy Mężczyzna o Zamglonych Oczach dzwonił z budki telefonicznej przy rue Monge.

-Przepraszam, że zakłócam panu spokój o tak późnej porze. Próbowałem się z panem skontaktować przez cały dzień, ale za każdym razem zgłaszała się ta przekłeta automatyczna sekretarka.

-...

- To ważne, inaczej bym się nie naprzykrzał.

- ...

- Tak jak mówiłem wczoraj, nie sądzę, żeby to była kopia. Proszę mi wierzyć, widziałem go z bliska i wygląda na oryginał.

-...

- Obaj wiemy, jak długo go szukaliśmy. Nie mam niezbitego dowodu, jedynie przeczucie.

-...

- Nie, nie. Chyba ją trochę wystraszyłem.

-...

29

- Jak pan sobie życzy.

-...

- Z całym szacunkiem, czy sądzi pan, że ona zdaje sobie sprawę z jego war-

tości? Nosi go tak, jakby to był tani suvenir kupiony na pchlim targu.

-...

- Zgoda. Zostawię ją na razie w spokoju. W zupełnym spokoju, w cudzysłowie, ma się rozumieć.

11

Lubiła patrzeć, jak brzegi Sekwany spowija mrok. Tego wieczoru padał rzęsy deszcz. Po ulewie – strumieniach wody lejących się z nieba - niezwyklej o tej porze roku, pozostały przemieszczające się bezładnie w górze chmury, zagubione tak jak ona w bezkresnej nicości. Pierzchały zabarwione promieniami zachodzącego słońca – ostatnie pociągnięcia pędzlem utrudzonego artysty malującego pojedyncze obłoki, tak samo samotne jak ona. W takie płaczliwie nastrojające zmięchły nie mogła liczyć nawet na swoje własne towarzystwo, ponieważ była nieobecna, oderwana od wszystkiego, nawet od własnego życia.

Odkąd zaczęła chodzić na lekcje do Cadiza, weekendy wlokły się bez końca. Usiłowała zabić czas, pozbyć się tych dni jak kartek z kalendarza, zmiąć jak strony nienapisanej księgi, wrzucać je powoli w nurt rzeki, obserwować, jak odpływają i znikają. Tak, jakby wraz z nimi popełniała samobójstwo - spadając do wody, uwalniała się od własnych rozczarowań.

To prawda, że odkąd Cadiz zaczął poświęcać jej więcej uwagi, odkąd jej dłoń stała się przedłużeniem ręki mistrza, wrażenie sieroctwa trochę się wyciszyło, ale między tym uczuciem a wiarą, że życie to coś cennego, istniała przepaść.

Rzeczywiście, nigdy zbyt wiele nie rozmawiali, ale za to nie spuszczała z siebie wzroku i była pewna, że w zmęczonych oczach mentora było coś więcej niż tylko zwykła ciekawość.

Każdego popołudnia odbywała się między nimi subtelna, niemal rytualna wymiana spojrzeń. Tak jakby on, patrząc na nią, nabierał siły. Nie było w tym nic niewłaściwego, nic erotycznego, mimo to w jego obecności czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Otoczona dyskretną ochroną, wyczuwała obopólny pociąg, zrodzony prawdopodobnie z jej niezaspokojonych potrzeb. Nagle zapragnęła go usłyszeć. Nie chciała z nim rozmawiać, tylko usłyszeć jego zachrypnięty głos. Wyjęła z plecaka komórkę i wybrała numer. Na dźwięk kobiecego głosu rozłączyła się.

Weszła do starej księgarni Shakespeare and Co. i stanęła oko w oko z podobizną Cadiza, zdobiącą okładkę ogromnej książki, ważącej pewnie z piętnaście kilogramów, spoczywającej w solidnej gablocie: *Cadiz. Dualizm wyuzdany. Pożądanie duszy i ciała*. Długo przeglądała album, natykając się co rusz na zdjęcia mistrza z różnych epok, aż zatrzymała się na tym, które podobało jej się najbardziej. Stał spowity spiralną smugą dymu, unoszącego się na wysokości piersi, jakby z głębi duszy. Wpatrywał się w nią pożądliwie przez niebieskawy obłok. Miała ochotę kupić ten ogromny album, ale nie mogła sobie na to pozwolić - kosztował pięć tysięcy euro. Luksus, nawet dla tych, którzy mają dużo pieniędzy.

Korzystając z chwili nieuwagi sprzedawcy, wyjęła z torebki scyzoryk i szybko wycięła stronę z fotografią, błyskawicznie ją zwinęła i nie oglądając się za siebie, uciekła. Ekspedient niczego nie zauważył.

Na rue Galande zatrzymała się przed wystawą sklepu ze starociami, gdzie między greckimi wazami i rzeźbami w stylu art nouveau leżały małe, często wybrakowane przedmioty ze srebra i brązu, z widniejącymi na etykietkach napisami: *Argent de Grece et de Rome antiques: monnaie cassee et a l'effigie de chouette, oiseau d'Athena, deesse de la sdgese..., ancienne monnaie romaine du III siecle av. J.-C... Fleur d'Argent. Birmanie XVIII siecle...* Mazarine przypomniała sobie o medalionie, który choć nie przypominał żadnego z wystawionych przedmiotów, miał jednak z nimi coś wspólnego. Może był równie stary jak one?

Kiedy już miała otworzyć drzwi do domu, usłyszała dzwonek komórki.

Wyświetlił się numer Cadiza.

- *Allo?* - Kobięcy głos miał ledwo słyszalny obcy akcent.

- Kto mówi? - zapytała Mazarine. Przestraszyła się i natychmiast rozłączyła.

Chwilę później telefon znowu zadzwonił.

-Dlaczego się rozłączyłaś? Spodziewałaś się usłyszeć kogoś innego?

Tym razem na dobre wyłączyła komórkę.

12

Nigdy taki nie był. Sara Miller zauważyła, że z jej mężem dzieje się coś dziwnego. W ciągu długiego pożycia małżeńskiego poznała go dość dobrze. Swoim przyjaciółkom mówiła, że wyczuwa jego nastroje i po oczach poznaje, czy coś go dręczy. Uprzedzała problemy, zanim stawały się niemożliwe do rozwiązania. Tym razem było inaczej. Już od dwóch miesięcy się nie kochali; próbowali, ale nic z tego nie wyszło. Orzeczenie lekarskie, które przypadkiem znalazła w kieszeni marynarki Cadiza, stwierdzało chwilową impotencję. Jej przyczyną była zbyt wielka presja, zbyt dużo lęków i przemożna chęć odniesienia sukcesu. Pragnienie osiągnięcia czegoś więcej. Zbyt wielkie oczekiwania wobec życia. Zbyt rozbuchane ego.

On, taki namiętny i zmysłowy, miłośnik kobiet i cielesnych rozkoszy, mężczyzna o tak silnej, wręcz despotycznej osobowości, znajdującej wyraz we wszystkim, co tworzył, chyba bardzo cierpiał. Sara usiłowała porozmawiać z nim o tym, ale on uciekał w milczenie, w whisky, w pracę nad przygotowaniem nowej wystawy. Postanowiła uszanować jego samotność z wyboru, pozwoliła mu się oddalić i pogodziła się z tym, że jest nieobecny duchem.

W weekendy był inny. Wtedy znowu stawał się sobą: wielkim Cadizem.

Zbierali się w gronie najbliższych znajomych w ich wspaniałym apartamencie

przy rue de la Pompe, gdzie Sara wydawała wykwintne kolacje. Zamknięty krąg malarzy, poetów i pisarzy stworzyli z tęsknoty za prawdziwą bohema jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy wszyscy byli tak samo biedni i próbowali się przebić w postęzystycznym Paryżu. Tematy pozostawały niezmiennie, historie się powtarzały, choć za każdym razem z innym zakończeniem. To była prawdziwa rozkosz zgromadzić w jednym miejscu tyle błyskotliwych umysłów naraz. Ludzie ci umieli nie tylko cieszyć się terażniejszością, potrafili także przekroczyć barierę czasu i znaleźć się w samym środku rozbawionego Montmartre'u albo bulwaru Montparnasse w okresie rodzącego się surrealizmu, przenieść się w wyobraźni do katakumb najstarszej sztuki, czy to pisanej, mówionej, granej, śpiewanej, czy to namalowanej.

*

Tej soboty komórka zadzwoniła w chwili, gdy Cadiz poszedł nalać sobie whisky. Sara zazwyczaj nie odbierała telefonów do męża; czyniła to z szacunku dla jego prywatności. Tym razem postąpiła inaczej. Sama nie wiedziała, co ją kierowało.

- Kochanie, ktoś do ciebie dzwonił, ale się nie odezwał - oznajmiła po jego powrocie do salonu.

- Zaraz sprawdzę. - Zajrzał do rejestru ostatnich połączeń. Widniał tam numer Mazarine, którego jednak nie znał. - Nie wiem, kto to mógł być. Pewnie jeszcze zadzwoni.

Ale nie zadzwonił.

33

Właśnie dlatego, powodowana kobiecą intuicją, Sara Miller postanowiła wieczorem połączyć się z nieznanym numerem.

Nie po raz pierwszy zetknęła się z głuchymi telefonami. Kiedy była dzieckiem, ojciec często odbierał anonimowe telefony, niejednokrotnie z pogrózkami,

cieszył się bowiem sławą nieprzekupnego sędziego. Początkowo bała się ich tak samo jak ciemności, ale z biegiem lat przekonała się, że tak postępują tylko ludzie tchórzliwi, niemający odwagi spełnić swoich gróźb. Bezimienne telefony stały się elementem codzienności i pretekstem do żartów.

W pierwszych latach pożycia z Cadizem zdarzało się jej wojować z całym zastępem kobiet: modelek, malarek, poetek, zbuntowanych hipisek przyciąganych urokiem i ekstrawagancją sławnego malarza. Z tych potyczek wychodziła zawsze zwycięsko. Przetrwiała ataki wszelkiego autoramentu na ich otwarty, oparty na zaufaniu związek: ignorowała telefony, ślady szminki, powłóczyście spojrzenia, pocałunki, liściki, bezustanne zaloty i flirty. Alkohol, trawkę i próby uwodzenia, niewieńczone zresztą sukcesem, traktowali lekko, jak jeszcze jedną rozrywkę. Łącząca ich więź wznosiła się ponad ogólnie przyjętymi konwenansami, zdradami, przesadami i powierzchownymi zobowiązaniami. Oboje włączyli się w pełen świeżości nurt paryskiego życia, wyzwolonego, wolnego od stereotypów. Stworzyli i narzucili swoje własne prawa.

Ale to było dawno temu. Oboje byli wtedy młodzi, sławni i triumfujący. Na ich życie nie padł jeszcze żaden cień. Teraz sytuacja się zmieniła, tak przynajmniej myślała Sara.

Życie zawodowe, ta ogromna gwiazda błyszcząca na firmamencie, znajdująca odbicie w jej twórczości, promieniująca własnym światłem, stanowiło niepodważalny sukces. Życie osobiste, chwile nieuchwycone obiektywem aparatu i niezarejestrowane na kliszy, wiązało się z bezgraniczną miłością do Cadiza.

Niewiele ją obchodziło, że sławni aktorzy z samego Hollywoodu zabijali się, aby ich sfotografowała, wyalienowani intelektualiści, wiodący życie samotnika, osobiście zwracali się do niej z prośbą o zrobienie o nich fotoreportażu, bajecznie bogaty szejek arabski oferował krocie za to, żeby raczyła zjawić się w jego

pałacu. To, czego w tym momencie pragnęła, niestety na próżno, to szczęście męża.

Ich drogi życiowe rozeszły się i nie potrafiła nic zrobić, aby to naprawić. Zapamiętani w dzikim, niepohamowanym cwale zaplątali się we własne cugle i pozwolili im wlec się bezwolnie. Zagubili się w wirze triumfu i sławy, rozdzielił ich sukces.

Pozornie, dla świata, wszystko wyglądało wspaniale. Natomiast, jeśli chodzi o nią, sama nie wiedziała, co się z nią dzieje.

- Kiedy pokażesz mi swoje najnowsze prace? – zapytała męża, rozgryzając oliwkę wyłowioną z martini. – Umieram z ciekawości.

Cadiz zbliżył się i pocałował ją w szyję. Dotyk jego ust sprawił, że poczuła gęsią skórę.

- Nie bądź taka niecierpliwa. Wszystko w swoim czasie.

-Zauważyłam, że ostatnio jesteś... sama nie wiem... spokojniejszy? Moglibyśmy wyjść razem dziś wieczorem, tak jak to robiliśmy dawniej. Powalęsać się po naszej starej dzielnicy i udając biednych studentów, wśliznąć się do jakiegoś klubu jazzowego, a potem...

- Nie chcę o tym rozmawiać, Saro.

- To znaczy o czym?

- Sama wiesz...

- Nie zrozumiałeś mnie, skarbie. Chciałam tylko, żebyśmy się trochę rozewali w innej scenerii.

Odsunął się od żony i podszedł do wielkiego okna wychodzącego na avenue Foch. Znikający w mroku Paryż porażał samotnością. Sunące w smutnym kondukcje samochody pozostawiały na mokrym asfalcie złotawe smugi. Pomyślał o Mazarine i jej bosych stopach.

Przyczepiła na ścianie nad łóżkiem wyciętą z albumu fotografię Cadiza, otoczonego dymem i atmosferą zmysłowości. Po raz pierwszy wieszała coś w swojej sypialni i ten widok bardzo jej się spodobał. Szybkimi pociągnięciami pędzla namalowała farbą akrylową dziesiątki stóp, które jakby wychodziły z głowy mistrza i znaczyły czerwonymi i czarnymi śladami ścianę, a nawet sufit; nakładały się na siebie bezładnie, zmierzały dokądś, depcząc wizerunek Cadiza w cudownym surrealistycznym chaosie. To właśnie była sztuka: chwila uchwycona na płótnie. Dusza. Biała ściana, gwałt. Jedna plama, dwie, sto. Przeszłość i przyszłość. Jak najlepsze i najgorsze strony życia. „To, czego nie można namalować, nie istnieje”. Tak powiedział Cadiz w zeszły piątek, gdy malował jej stopy.

Wilgoć farby na skórze, chłodny dotyk pędzla wywoływał delikatne dreszcze, jak pieszczota. Po akcie malowania następował powolny rytuał mycia. Ściekająca, skapująca woda, szukająca ujścia, fałd, po których mogłaby spływać, póki nie utworzy wąskich, błuźnierczych strumyków. Tak, przy Cadizie czuła się jak mała dziewczynka, otoczona jego czułą opieką.

Pomagała mu. Wiedziała, że obrazy powstające w La Ruche przekraczają granice artystyczne widoczne na poprzednich wystawach Cadiza. W ujęciu dualizmu wyuzdanego stopy zostały przedstawione po raz pierwszy, co niewątpliwie stanowiło wyzwanie dla tego rewolucyjnego malarza i otwierało przed nim nowe horyzonty. Dualizm wyuzdany, jako pojęcie jeszcze niesprecyzowane, obejmował również martwą naturę. Ściana skalana plamami farby traciła szarawą czystość smutnego płótna.

Mazarine położyła się na łóżku i rozmyślała o Cadizie. Kołysząc się, próbowała zasnąć przy dźwiękach wymyślonej piosenki: „Nie jestem tym, kim myślę, że jestem. Moje ja śdzieli się na dwoje”. Czy wyczytała to u Freuda?

Usnęła.

Kilka godzin później Mężczyzna o Zamglonych Oczach otworzył wytrychem zamek w drzwiach wejściowych do Zielonego Domu i bezszelestnie wsunął się do środka. Przemykał się po pokojach i centymetr po centymetrze przeszukiwał każdy kąt. Otwierał szuflady, szafki, węszył, rozglądał się, szperał na regałach, przetrząsał książki, teczki z dokumentami, śledzony hipnotyzującym spojrzeniem kotki. Na parterze niczego nie znalazł. Nie był nawet pewien, czy to, czego szuka, znajduje się w tym domu; po prostu chciał wyprzedzić innych, okazać się od nich sprytniejszy, zaskoczyć wielkiego mistrza i pozostałych członków zakonu.

Wspinał się po schodach, gdy usłyszał głos:

- Mademoiselle? Chodź tu, koteczku. Mademoiselle, jesteś niedobra. Ładnie tak zostawiać panią samą?

To Mazarine nawoływała syjamską kotkę.

- Mam wstać?

Cisza. Ani jednego miauknięcia.

- Już dobrze, schodzę.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach szybko schował się za kuchennymi drzwiami i przez szparę zerkał na schodzącą z góry ponętą postać dziewczyny. Przez bawełnianą koszulkę prześwitywała sylwetka o szczupłej talii i delikatnie zarysowanych biodrach. Prześliczna - pomyślał. Wbił wzrok w medalion zwisający między drobnymi, jędrnymi piersiami. Miał ochotę ich dotknąć.

- Moja kochana. - Mazarine wzięła kotkę na rękę, pocałowała ją w pyszczek i weszła po schodach na górę.

cińskiej metalowe rolety, zakrywające wystawy i drzwi sklepików, podciągane leniwie przez sprzedawców, tworzyły jękliwą kakofonię zgrzytów. Polewaczki zmywały ulice i chodniki, wszędzie unosił się zapach parzonej kawy i świeżo upieczonych croissantów. Po nocy pełnej powtarzających się koszmarów Mazarine obudziła się zupełnie wykończona. Śniło jej się, że ktoś na nią patrzy. Czuła odór przypalanej skóry. Jakaś plugawa postać nie pozwalała jej wstać z łóżka. Zdawało jej się, że wpatruje się w nią Mężczyzna o Zamglonych Oczach. Krzyzczała, ale z zaschniętego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Chciała uciec, ale stopy były jakby przyklejone do podłogi. Potem śnił się jej inny koszmar: rozmiękle stopy ciągnęły się rozwlekle jak słynne zegarki Salvadora Dali. Poślizgnęła się i upadła na podłogę, gdzie zaczęła się rozpuszczać i tworzyć wielką plamę. Otworzyła oczy. Pokój zalewało światło, leżała w swoim łóżku przykryta prześcieradłem. Nie było żadnych zjaw o zamglonych oczach ani dziwnego zapachu.

Wzięła prysznic, ubrała się bez pośpiechu i zanim wyszła z domu, zajrzała do pokoju Świętej, przekręciła dwa razy klucz w zamku szafy - taki codzienny rytuał - pociągnęła za dźwignię i z ciemności wyłoniła się Śpiąca Królewna.

- Witaj, Sienna - powiedziała, przecierając krysztalową szybę. - Wiesz co? Chyba się zakochałam. Tak, dobrze słyszysz: z-a-k-o-ch-a-ł-a-m się. Ale nie powiem ci, w kim. To moja tajemnica.

Parę minut później zjechała po starej mahoniowej poręczy schodów, tak jak to robiła w dzieciństwie. W drzwiach wyjściowych zauważyła, że coś dziwnego dzieje się z zamkiem. Klucz nie obracał się tak gładko jak przedtem, zacinał się. Trzeba będzie zmienić zamek i założyć dodatkową sztabę od wewnątrz. Pomyślała o Rene, złotej rączce.

Na ulicy znowu stanęła przed wystawą antykwariatu, na której nadal leżały monety. W głębi, przy stylowym barokowym biurku siedział staruszek. Sprawiał wrażenie, jakby stanowił część wyposażenia sklepu. Rozsypane w dzikim nieła-

dzie srebrne włosy, długa, równo przystrzyżona broda, monokl w oku, na szyi fular, nienagannie skrojona marynarka cały jego wygląd świadczył o tym, że należy do innej epoki. Starzec czyścił z mistycznym oddaniem figurkę wyginającej się wdzięcznie miniaturowej baletnicy. Poczul, że ktoś na niego patrzy, podniósł wzrok i uprzejmym gestem zaprosił Mazarine do środka. Ona jednak nie chciała wejść. Wstał więc i drobnymi kroczkami, przeciskając się między dziełami sztuki i cennymi przedmiotami, dotarł do drzwi.

- Proszę wejść, panienko. Szukasz czegoś szczególnego? Jakiegoś drobiazgu na prezent?

Mazarine pokręciła głową.

- Tak tylko się przyglądałam. Przepraszam, nie chciałam pana odrywać od pracy.

- Czasami dobrze oderwać się od pracy. Ty żyjesz, panienko, a te wszystkie rzeczy - wskazał przedmioty poupychane w sklepie - są martwe.

- Ale bardzo piękne - dodała.

- To cmentarzysko. Wśród tych staroci sam czuję się jak antyk. Nie widzisz, jak staro wyglądam? A tak naprawdę mam dopiero dwadzieścia lat.

Antykwariusz puścił do niej oko i zdołał wywołać uśmiech na jej twarzy.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

- Tak, niedaleko stąd.

-Przychodź, kiedy tylko chcesz. - Staruszek otworzył przed nią drzwi. Pod wpływem ruchu powietrza zwieszające się z górnej framugi różnokolorowe górskie kryształy pożegnały Mazarine muzyką. Zanim je zamknął, przyjrzał się medalionowi na jej szyi. - Prześliczna rzecz - stwierdził. - Dostałaś w spadku? - Mazarine nie odpowiedziała. Staruszek zdawał się nie zauważyć jej milczenia i powtórzył: - Naprawdę wspaniała. Musisz bardzo uważać - dodał, ściszej głoś. Spojrzała na niego pytająco, ale on zakończył rozmowę: - Wróc szybko. Ucieszysz

swoim widokiem moje stare oczy.

„Musisz bardzo uważać... uważać... uważać...”. Echo tych słów towarzyszyło Mazarine w jej wędrówce do liceum plastycznego, gdzie zapisała się na letni kurs akwareli. Szła tą samą drogą co zawsze. Znowu, jak w dzieciństwie, zaczęły ją przerażać gargulce z fasady kościoła i szponiaste drapieżne ptaki. Znowu się bała, że wyszarpią jej serce z piersi.

Czy one także pragnęły ją z czegoś ograbić?

Przypomniała sobie odrażającego mężczyznę, który ją śledził, gdy szła do atelier Cadiza, i przeszedł ją dreszcz.

Uczucie strachu rozproszył aromat marokańskich przypraw, unoszący się w całej tej wielonarodowej dzielnicy, dźwięki arabskiej muzyki, głośny śpiew Greków i Włochów, zapach świeżych ryb dochodzący z japońskich restauracji, miarowe bicie dzwonów Notre Dame i wrażenie zimna od bosych stóp stąpających po starym bruku. Przeszła się wokół swojej dawnej szkoły, Lycee Fenelon, w środku lata opuszczonej, z zamkniętymi na głucho drzwiami i oknami. Zegar nad wejściem jak zwykle wskazywał nieaktualną godzinę.

Właśnie tu poznała Rene, jedyną osobę, która знаła jej wielki sekret. Widział Siennę tylko raz, i w dodatku bardzo dawno temu. Musiał jej przysiąc nad kryształową trumną, że nikomu o tym nie powie. Wyjechał bez pożegnania. Odszedł bez uprzedzenia, nie dał jej czasu, aby mogła pogodzić się ze stratą. Opuścił ją bez słowa jak wszyscy w jej życiu.

Teraz jej tajemnica nie była już taka bezpieczna... A może przeciwnie - jej sekret był tym lepiej strzeżony?

Nie kochała Rene, tego była absolutnie pewna. Jedyny raz, kiedy chciał ją pocałować, stanowczo odrzuciła jego awanse. Odtrąciła go wcale nie dlatego, że się jej nie podobał; jak większość koleżanek uważała, że jest przystojny. Po prostu nie było między nimi chemii. Ich ciała były jak dwie niemieszalne substancje.

Pomimo wielokrotnie ponawianych z jego strony prób mogła ofiarować Rene tylko przyjaźń. Nagle zapragnęła go odnaleźć, aby mieć z kim dzielić swoje rozterki i lęki.

*

Musiała się dowiedzieć czegoś więcej o Świętej i okrywającej jej uszione ciało wielowiekowej mgie tajemnicy.

Na temat pochodzenia Sienny matka nabrała wody w usta, stanowczo zabroniła mówić komukolwiek o jej istnieniu. Niezdrowa cześć i uwielbienie dla zmarłej, ciągłe modlitwy, nieustanne porównania, przez co stała się rywalką małej Mazarine - to wszystko budziło niepokój. Co się kryło za tym milczeniem? Jaką tajemnicę skrywał medalion?

Odkąd go nosiła, jej życie uległo zmianie. W sposób oczywisty wzrosły jej zdolności twórcze, jakby spłynęła na nią łaska boska i wszystko, czego się tknęła, zmieniało się w dzieło sztuki. Nie znajdowała żadnego racjonalnego wyjaśnienia dla tej przemiany. W porównaniu ze szkicami z czasów studiów w akademii jej obecne rysunki były znacznie dojrzsze i kreślone bardziej zdecydowanie. Zaczęła wierzyć, że ten stary medalion to amulet - twórca jej sukcesów... Czyżby to z jego powodu Cadiz jej potrzebował?

15

41

Być może namiętność i miłość rodzą się na widok ukochanej osoby - pomyślał Cadiz, obserwując Mazarine wychodzącą z bramy La Ruche i zmierzającą ścieżką do atelier. Otworzył drzwi i cierpliwie czekał wewnątrz, aż jego uczennica je pchnie.

Przez cały weekend tylko ją sobie wyobrażał. Teraz, kiedy stała przed nim, podziwiał jej wdzięczną postać w milczeniu: słowa przerwałyby tę nadzwyczajną magię.

Ta delikatna i krucha istota nagle stała się dla niego bardzo ważna.

Patrzyli na siebie w milczeniu, jak zaczarowani. Uczennica i mistrz, delikatność i siła, młodość i dojrzałość, niewinność i kunszt, pasja i refleksja, instynkt i doświadczenie, piękno i jego przeciwieństwo.

Wzrok Cadiza przesunął się z wolna po ciele dziewczyny, aż pokonany padł na ziemię. Spod nogawek dżinsów wylaniały się białe, nagie palce stóp. Wpatrywał się w nie zmęczonymi oczami. Oczekiwanie pełne niepewności i obietnica.

Namiętność wyzwoliła się niezależnie od woli Cadiza. Po tylu uwiedłych wiosnach jego serce wypuściło pąki. Wszystko, co się w ostatnich latach wydarzyło w jego życiu i prostą drogą wiodło do nijakiego końca, nagle zniknęło. Po ciąg widmo niespodziewanie zawrócił i mknął teraz nie ku starości, lecz w stronę życia.

Z ciemnego tunelu wyprowadziła go dziewczyna, która mogłaby być jego córką. Pozwolił oślepić się tym światłem. Niczego więcej nie pragnął. Nowa, nieznana rozkosz.

-Mazarine...

Głos mistrza spowodował, że poczuła trzepotanie skrzydełek motyli w brzuchu.

- Zdejmij podkoszulek.

Posłuchała.

- Wzniesiemy się na wyżyny sztuki.

Widok drobnych piersi i kołyszącego się między nimi medalionu rozbudził w Cadizie natchnienie twórcze.

- Jesteś jak bizantyjska madonna - stwierdził.

Muśnięciami pędzla namalował tuż pod jej sutkami dziwny krzyż, z wyraźnie zaznaczonymi dwunastoma punktami w kolorze bordo. Mazarine poczuła, że farba rozkosznie nawilża jej skórę. Z krzyża oderwała się gęsta kropla, spłynęła w dół po brzuchu i zwilżyła jej łono.

Jęknęła.

Wyryte na medalionie symbole zamigotały w świetle słonecznym.

- Czy wiesz, co one oznaczają? - spytał Cadiz.

Nie знаła odpowiedzi. Skupiała się na kropli farby na swoim łonie, drżącej i przenikającej ją na wskroś.

Cadiz zaczął zamalowywać białe płótno, pieszcząc je łapczywie pędzlem, rozpaczliwie biorąc w posiadanie, z całą mocą nowo odzyskanej pasji. Niezaspokojone pragnienie powodowało, że jego ciało i umysł aż wibrowały. Pożądanie, jakie wzbudziła w nim uczennica, kalało płótno i zarazem wznosiło go na wyżyny sztuki.

Co zrobić, aby nie zbliżyć się do niej zanadto i nie zniszczyć magii?

Jeszcze więcej farby, kolorów, pociągnąć pędzlem.

Przechodził od płótna do skóry Mazarine, w porywie szaleństwa wykorzystując całą paletę barw.

Chaos i zagubienie. Skóra i płótno jak jedność. Z piersi Mazarine samowolnie spływały kolejne krople, brukając jej intymność. Zbierały się w strumyczki, ściekały po nogach i wysychały na stopach.

-Mazarine... - Usłyszała przypominający brzmienie wiolonczeli głos mistrza.

Podniosła na niego błyszczące pożądaniem oczy i spojrzała wyzywająco. O co ją jeszcze poprosi?

43

- Zdejmij dzinsy.

To szaleństwo! Nie powinna ciągnąć tej gry. Nie wiedziała, dokąd ją doprowadzi, nie była pewna, co sama czuje. Świat wokół niej zawirował.

Nie poruszyła się.

-Mazarine... - powtórzył Cadiz. - Zdejmij dzinsy... proszę...

Pracownia Sary Miller, z wielkimi fotografiami rozłożonymi na podłodze, przypominała szpital miłosierdzia i kostnicę zarazem. Realizm zdjęć był tak porażający, że musiała je przykryć, żeby nie rozpraszały jej przy pracy.

Otwarcie wystawy zaplanowano na początek października, za dwadzieścia dni, i miała to być pierwsza ekspozycja jej dzieł pod gołym niebem. W atelier panował nieopisany chaos. Specjaliści od najnowszych technik komputerowych pojawiali się i znikali. Inni - a były ich całe zastępy - składali w całość powiększone fragmenty zdjęć tych kontrowersyjnych postaci, uosabiających protest przeciwko spychaniu paryskich biedaków na społeczny margines.

Największe wrażenie, oprócz starej, wyglądającej jak trup kloszardki, robił mężczyzna o pokrytych bielmem oczach i zajęczej wardze, którego bezbarwne i błąkające się spojrzenie zdawało się wpatrywać wszędzie i nigdzie.

Sara zrobiła mu zdjęcie, zanim zapiął koszulę pod szyję.

W powiększeniu wypatrzyła na jego torsie dziwną okrągłą bliznę w kształcie pieczęci, z tajemniczymi znakami, coś jakby stygmat, dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się serce.

Bez chwili wahania wybrała na wystawę właśnie to zdjęcie. Teraz trójwymiarowa postać osobliwego przechodnia wzbudzała strach.

- Co to jest, do diabła? - zapytała, wskazując bliznę.
- Chyba jakiś symbol - odpowiedziała asystentka.
- Oznakowany jak ciele.
- Może sam się oszpecił, bo miał taką fantazję, albo jest to oznaka przyna-

leżności do jakiejś grupy. Czytałam, że tak robią członkowie sekt. Widziałam o nich reportaże na Discovery. Byłabyś zdziwiona, jak wiele osób w dwudziestym pierwszym wieku żyje jakby w innej epoce.

-Ale żeby dać sobie wypalić coś takiego na skórze... - Sara pokręciła głową.

- Zadać sobie ból?

- Człowiek to wielka niewiadoma - rzuciła sentencjonalnie dziewczyna, zajęta retuszowaniem brwi postaci. - Każdy ma jakąś tajemnicę. Gdybym ci powiedziała, że należę do bractwa zagorzałych zwolenników libertynizmu, nocami zbieramy się w podziemiach i wykrzykujemy wolnościowe hasła, uwierzyłybyś? - Spojrzała na szefową pytającym wzrokiem. - Na pewno nie. Żyjemy wśród ludzi i nic o nich nie wiemy. Pozory mylą.

-Tak czy siak, nie chciałabym wpaść na tego faceta w ciemnej ulicy. Zauważyłaś, jaki on ma wzrok?

- Nie bądź złośliwa. Ja dostrzegam w nim czułość.

- O mój Boże, ty się w nim chyba zakochałaś!

Sara roześmiała się.

- Do roboty, moja panno, pamiętaj, że są jeszcze inne zdjęcia do obróbki, a czasu coraz mniej. Zostaw tego biedaka w spokoju.

W tym roku nie byli na wakacjach, ale Cadiza jakby to wcale nie obeszło. Miała wrażenie, że mąż odnalazł w końcu drogę, pochłonęła go twórcza pasja i z tego, co opowiadał, bo jeszcze nikomu nie pozwolił obejrzeć swoich prac, wynikało, że jego obrazy będą szeroko komentowane. Rzadko go teraz widywała, mimo to cieszyła się, że jest szczęśliwy. Po tygodniach oddalenia się od siebie Cadiz wrócił do niej odmłodzony i szalony, jak w czasach, kiedy się poznali. Kłopoty z potencją zniknęły i ten nowy Cadiz stał się jeszcze bardziej prowokujący i zabawny, zawsze gotów w pełni przeżywać rozkosz. Wzajemne pożądanie sprawiło, że oboje się przebudzili.

W pamiętnym maju sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy przez obiektyw aparatu odkryła Cadiza, w sferze seksualnej Sara Miller doznała szoku.

W łóżku oboje pozbywali się wszelkich hamulców. Czasem działo się to bez słów, kiedy indziej rozmawiali o tym.

Intelektualne dysputy, których byli zagorzałymi zwolennikami, doprowadziły do zakwestionowania uznanych autorytetów i wartości, podważenia obowiązujących zasad i norm, przekroczenia wszelkich granic. Pierwotne żądze przekreślały stereotypowe podziały na to, co żeńskie i męskie, dobre i złe, piękne i brzydkie. Żyli w wyimaginowanym świecie i dali się ponieść instynktowi. Zmieniili swoje ciała w świątynie nowych doświadczeń i eksperymentów. Każde doznanie, każdy ruch, krzyk, łza, milczenie podpowiadały nowy styl, czasem fotograficzny, czasem malarski, zawsze jednak twórczy. Idealizując zmysłowość i ciało, obsesyjnie zabiegali o wysublimowaną rozkosz. Cieleśności przeciwstawiali ulotność ducha.

I właśnie to znalazło odzwierciedlenie w ich sztuce.

Przez dłuższy czas rozwijali się jakby równolegle: reprezentowali to samo, stosowali tylko odmienną technikę. W sztuce zderzało się to, co w ich osobowości było skandaliczne, z tym, co moralne.

Ich wzajemne dostrojenie stało się niepodważalnym faktem. Twórczość obojga żywiła się namiętnością i pierwotnymi emocjami. Duchowa więź z bohaterami zdjęć czy modelami obrazów pozwalała uniknąć pomyłek w interpretacji rzeczywistości odtworzonej pędzlem lub uchwyconej okiem kamery. Oboje rozkwitali, kreśląc obrazy postrzegane wzrokiem, przedstawiające jednak świat alternatywny, daleki od banalnej szampowości. Jeśli widz chciał naprawdę coś poczuć, musiał się wgłębić w to, co niewidoczne na obrazie czy fotografii.

Z biegiem lat zaczęli oddzielać miłość od pracy i to zamiast ich zubożyć, koniec końców wzbogaciło. Dlatego kiedyś publicznie podziękowali tym krytykom, którym udało się zasiać ziarno zawiści i rozniecić płomień zazdrości.

Między nimi nie było naśladownictwa, lecz rodzaj artystycznej symbiozy; podejmowali tę intymną grę i porzucali według własnej woli. Nie stanowiło to przeszkody w ich rozwoju twórczym, wręcz przeciwnie - prowadziło do stworzenia dwóch eksperymentalnych światów psychicznych i artystycznych.

Dni upływały pospiesznie - tej jesieni liście zaczęły wcześniej opadać - wśród przygotowań, wylaniających się trudności i przeszkód, nadziei i pragnień.

Tego ranka Sara Miller zerwała się z łóżka i rozsunęła zasłony w oknie. Zamiast chmur, które od tygodnia posepnym całunem zasnuwały niebo, zobaczyła księżyc. Zwlekał ze zniknięciem i panoszył się na tle bezkresnego błękitu. Nic więc nie zagrażało inauguracji ulicznej wystawy.

Ożywiona radością z odzyskanego seksu znowu wskoczyła do łóżka i przytuliła się do męża, ciągle jeszcze pogrążonego we śnie.

-Mazarine... - wyszeptał Cadiz, przyciągając Sarę do siebie.

17

Gdy zapadł zmierzch, na Champs Elysees setki gapiów i ciekawskich tłoczyło się za barierką. Tłum napierał, grożąc wylaniem się na chodnik, po którym między wspaniałymi postaciami stworzonymi przez Sarę przechadzali się zaproszeni VIP-owie. Znane osobistości ze świata artystycznego i okładek modnych czasopism otwarcie i bezczelnie prezentowały swój luksusowy wygląd i ubóstwo duchowe.

47

Ekstrawagancy celebryci głośnymi wybuchami śmiechu ściągali na siebie uwagę niedyskretnych obiektywów. Krytycy, znani z ostrego pióra, snuli rozważania na temat fotografii przedstawiających przypadkowych przechodniów, za-

ciekle poszukując jakiejś wady bądź dysonansu w tym dziele sztuki, próbując wymyślić jakiś zjadliwy komentarz. Wysłannicy wszystkich mediów: radia, prasy i telewizji zawzięcie filmowali, nagrywali i fotografowali. Ekscentryczni marszandzi hojnie szafowali uśmiechami i wdzięczyli się do lodowato wyniosłych milionerów. Wszyscy, absolutnie wszyscy, z napięciem wyczekiwali triumfalnego przybycia autorki wystawy i jej męża.

Ruch uliczny został zatrzymany na dziesięć minut. Głuchy tętent kopyt stukających o asfalt sprawił, że publiczność ucichła. Od strony place de la Concorde zbliżał się orszak majestatycznie stąpających koni arabskich, z rozwianymi na wietrze jedwabistymi grzywami, poprzedzający pomalowaną złotą farbą śmieciarkę, ciągnącą za sobą setki papierowych wstęg z wypisaną na nich połączanymi literami nazwą ekspozycji: *Tożsamość*.

Na reprezentacyjnej alei miasta jeźdźcy na koniach, które przeszły w stępa, ustawili się po obu stronach śmieciarki i uroczysty pochód dotarł przed Grand Palais. Powitał go zbiorowy okrzyk podziwu.

Z tyłu śmieciarki zeskoczyli Sara Miller i jej mąż, oboje ubrani w głęboką czerń. Tłum powitał ich wiwatami.

Gdy artyści pozowali przed kamerami mediów, drogę do kordonów zagrażdających wejście do Grand Palais torowała sobie łokciami bosonoga dziewczyna w długim, ciągnącym się po ziemi czarnym płaszczu.

Cadiz dostrzegł z daleka jej białą, świeżą twarz bez śladu makijażu, niewinną i czystą aż do bólu. Spod czarnego beretu wymykały się krótkie włosy w miodowym kolorze; oczy, jak dwie złote monety, rzucały w mroku nocy blaski, ni to naiwne, ni to złośliwe: można by rzec: królowa idąca na szafot.

*

Zbliżali się, otoczeni tłumem fotografów i reporterów z mikrofonami w rękę,

bezlitośnie rzucających pytania:

- Co pan sądzi o wystawie żony?

Kamera zasłaniała mu widok. Ominął ją i podszedł bliżej. Nie mógł się powstrzymać od wpatrywania się w bosc stopy Mazarine.

- Czy traktuje pan tę wystawę jako protest o charakterze politycznym?

Co, do diabła, ona tu robi?

- Czy to sztuka wywrotowa?

Jest piękna, ale pojawiła się zupełnie nie w porę.

- Czy pańskie milczenie znaczy, że powstrzymuje się pan od wydawania sądów?

Utkwił pytający wzrok w Mazarine. Ganił ją milcząco i nakazywał odejść.

- Czy na swojej kolejnej wystawie też pokaże pan ludzi z marginesu?

Albo niech zostanie, tylko gdzieś z boku... Chce wiedzieć, że jest blisko.

- Czy sądzi pan, że ostatnie zamieszki na przedmieściach mają coś wspólnego z dzisiejszą wystawą?

Sara szepnęła mu coś na ucho, ale on nie słuchał, wszystkimi zmysłami skupiony na Mazarine, jej wzburzonym spojrzeniu i bosych stopach.

- Cadiz, co się z tobą dzieje? - ofuknęła go, tak żeby nie dotarło to do uszu dziennikarzy.

Zdołał się opanować, wziął żonę pod rękę i wyprowadził z tłumu jak najdalej od swojej uczennicy.

- Za duży tłok. Może wejdziemy do środka? Muszę się napić whisky.

Mazarine zmierzyła fotografkę spojrzeniem od stóp do głów. A więc tak wygląda żona Cadiza - ta, którą tak często oglądała na okładkach kolorowych pism i na ilustracjach w książkach, ta, której badawczo się od paru dni przypatrywała, ta, która sypiała z jej malarzem, ta, która od lat była przy nim i dzieliła z nim wszystko... z wyjątkiem szczęścia, które dawała mu Mazarine. Chociaż nie chciała się do tego przyznać, musiała pogodzić się z tym, że Sara Miller, widziana z bli-

ska, sprawia wspaniałe, wręcz imponujące wrażenie osoby tryskającej talentem i siłą.

Spojrzenia kobiet skrzyżowały się na chwilę. Sara Miller obdarzyła nieznaną ciepłym, życzliwym uśmiechem, który ona odwzajemniła, zerkając z ukosa na mistrza, żeby nie zapomnieć, dla kogo tu przyszła.

W końcu sławna para zniknęła w tłumie gości, rozdając powitalne całusy i uśmiechając się do telewizyjnych kamer, Mazarine zaś pozostała na zewnątrz, bezlitośnie odczuwając swoją samotność, zwłaszcza że gapie zaczęli się rozchodzić, zrozumiawszy, że już nic ciekawego się nie wydarzy.

Tymczasem nadciągnęła burza, powietrze zapachniało deszczem i niebo zasnuwane ciężkimi chmurami rozdarły błyskawice. Dziewczyna niewzruszenie tkwiła bez ruchu, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknęli Cadiz i Sara.

Nie odejdzie, dopóki nie zobaczy Cadiza. Niech wie, że tu jest. Pragnęła go zawstydić, dać mu do zrozumienia, że jego uczennica istnieje nie tylko podczas lekcji malarstwa. Chciała, aby to zauważył.

Gwałtowna ulewa zmoczyła ją do suchej nitki. Wełniany płaszcz nasiąkł wodą, ciążył na ramionach, mimo to stała nieporuszona, jak drzewo mocno wrosnięte korzeniami w ziemię.

Z okna salonu w Grand Palais Cadiz patrzył na przemoczoną, ociekającą wodą Mazarine; milczący, nieobecny duchem, sam ze szklanką whisky w dłoni i smutkiem w duszy.

Ich spojrzenia odnalazły się przez wilgotną szybę i rozpoczęły niemą rozmowę:

- Mazarine, maleńka... Co ty tutaj robisz na deszczu?
- Nie zostawiaj mnie samej. Potrzebuję ciebie.
- Nie powinnaś była tu przychodzić.
- Czyż nie jestem dla ciebie natchnieniem?
- To, co przeżywamy, to sen, to marzenie. Nie psuj tego, mieszając w to rze-

czywistość.

- Zimno mi.

- Maleńka... ty cała drżysz. Wracaj do domu.

-Przytul mnie...

- Będę przy tobie o świcie.

- Potrzebuję twoich ramion.

-Jutro będziesz dla mnie pozować. I znowu zobaczę twoje ciało, poczuję trzepoczące jak skrzydła ptaka serce.

- Chociaż mnie dotknij.

- Mogę tylko patrzeć na ciebie.

- Pragnę poczuć dotyk twoich dłoni, delikatny jak muśnięcie pędzla.

- Nie dotknę cię, nie skalam. Jesteś czysta. Dziewicza. Moja.

- Cadiz...

- Moja maleńka. Za późno się pojawiłaś.

- Pocałuj mnie. Tylko jeden raz. Chcę poczuć twój język poszukujący mojego języka, ssący, penetrujący. Pragnę poznać smak twoich ust.

- Za późno! Pożądanie ma kolor purpury. Nie, namaluję cię. Wolę niespełnione pragnienie. Namalowane pożądanie nie znika.

- Twoje ramiona. Chcę, żebyś mnie przytulił.

- Tylko bawimy się w odczuwanie. Daj mi poczuć płótno twojego ciała. Pozwól na siebie patrzeć.

- Dotyk twego ciała. Twoje ciepło... tak mi zimno.

- Nie zepsujmy tej magii.

- Chodź...

51

- Niech sztuka płynie swobodnie.

- Błagam.

- To magia sztuki i nic więcej. Spływa do moich palców wprost z twoich oczu...

- Cadiz...

- Idź do domu, maleńka. Jutro znów będziemy marzyć.

- Chodź...

Cadiz odszedł od okna. Łzy Mazarine mieszały się z kroplami deszczu.

Ogarnęło ją uczucie opuszczenia, sieroctwa i żalu. Doznania te wstrząsnęły nią. Im dłużej płakała, tym bardziej pogłębiała się jej samotność. W czarnym, sięgającym

płyt chodnika wełnianym płaszczu wyglądała jak samotne drzewo. Nagle niebo się rozszalało. Błyskawice przypominały srebrne ostrza. Tworzyły wokół dziewczyny świetlisty krąg chroniący ją od nieszczęścia; wewnątrz zakłętego koła deszcz nie padał. Brzęk szkła wstrząsnął murami Grand Palais, pogrążając go w niepewności. Światła gasły i zapalały się w rytm trzasku piorunów. I stało się tak, że noc otuliła swą lodowatą peleryną miejsce, gdzie beztriosko świętowano otwarcie wystawy, i bezlitośnie zawładnęła pałacowymi salonami. Na zewnątrz rysowała się jedynie widmowa sylwetka Mazarine. Wyniosła i niezwyciężona.

Na drugim końcu ulicy, ukryty za zasłoną deszczu i dymu z fajki, Mężczyzna o Zamglonych Oczach przyglądał się z oddali swojej powiększonej fotografii. Z jednej strony czuł się zaszczycony, że jego ogromna postać góruje nad otoczeniem. Z drugiej jednak - obawiał się, że źle zrobił, wystawiając na widok publiczny najświętszy symbol.

Co powiedzą bracia, gdy zobaczą uwidocznione na zdjęciu to, co powinno pozostać ukryte?

Wydmuchując dym, zbliżał się z wolna do ekspozycji. Stwierdził, że żandarmi uciekli przed ulewą i zostawili dzieło Sary bez dozoru.

Na mokrym asfalcie odbijały się, drżąc z zimna, długie cienie. Rozdeptywał je butami jak rozbawione dziecko.

Przed wielkim pałacem ze szkła coś jak magnes przyciągnęło jego uwagę. Na samym środku ulicy, na wprost wejścia, stała kobieta w czarnym płaszczu i bere-

cie. Wyglądała jak wrośnięta w ziemię, jak jedyne drzewo wśród wykarczowanej puszczy. Poznał ją. To była dziewczyna z medalionem. Bez chwili wahania ruszył w jej stronę.

Od ponad tygodnia Mazarine nie pojawiała się w La Ruche. Cadiz był zrozpaczony. Ostatnio widział ją stojącą nieruchomo w strumieniach deszczu. Bezskutecznie szukał jej po zakończeniu imprezy i wydzwaniał do niej o różnych porach; miała wyłączoną komórkę. Co prawda wiedział, gdzie mieszka, jednak nie zamierzał jej odwiedzić. Nie chciał, żeby dostrzegła ból w jego oczach. Bez wiedzy przywiązał się do niej: polubił jej milczenie, cieszył oczy fakturą młodej skóry, pociągała go zmysłowość tej dziewczyny. Jego życie toczyło się teraz wokół niej; bez niej nie potrafił tworzyć. Mazarine zawładnęła nim bez reszty - jego wena była całkowicie uzależniona od jej obecności. Próbował malować, ale mu nie wychodziło. Ciągle miał zły humor i dręczyły go obsesyjne myśli.

Kryteria, jakie stosował do oceniania własnych dzieł, znikły. Absolutna niemoc twórcza pokazała mu, jak ważna jest dla niego Mazarine. W końcu zrozumiał, że darzy ją ogromnym uczuciem. Tęsknił za nią rozpaczliwie i ganił się za to, że nie wyszedł do niej tamtej deszczowej nocy; stała tam taka samotna i opuszczona. Musiał przyznać, choć przychodziło mu to z trudem, że była mu po prostu potrzebna.

Do rozterek twórczych i niezdecydowania⁵³ co do kierunku, jaki powinien obrać, dołączyły problemy z potencją.

Pewnej nocy, próbując się wyciszyć, przytulił się do żony: chciał się z nią kochać. Sara nie pozostała obojętna i obsypała męża czułymi pieszczotami, lecz

ciało zawiodło.

Bezbrzeżna frustracja wygnała go w samym środku nocy na ulicę.

Uciekając przed samym sobą, złapał taksówkę i kazał się zawieźć na rue Saint-Andre-des-Arts - ulicę, która kiedyś, dawno temu, przygarnęła go. Tam, po krótkiej przechadzce wśród bezimiennego tłumu, stanął przed domem, który ongiś dał mu schronienie.

Przybył do Paryża z Sewilli zimą sześćdziesiątego piątego roku, ze skromną sumką, schowaną w starej skarpecie, uciulaną przez ciotkę Bernardę, która zawsze popierała jego marzenia. Rodzice chcieli zrobić z niego rybaka - taka była tradycja w jego rodzinnym Kadyksie.

Mimo młodego wieku miał już bardzo jasno określone plany: obsesyjnie pragnął osiąść w Dzielnicy Łacińskiej - mekce cyganerii artystycznej tamtych lat. Po paru dniach włóczęgi od kwatery do kwatery poznał grupkę emigrantów z Ameryki Południowej, takich samych marzycieli jak on. Zamieszkał w pokoiku na mansardzie razem z nawiedzoną poetką z Urugwaju, dwoma kolumbijskimi pisarzami oraz Argentyńczykiem - kompletnym wariatem, który udawał człowieka przy zdrowych zmysłach.

Dziurawe buty wyklejał gazetami, aby uchronić stopy od wilgoci, ale to było nieistotne. Mimo że w sensie artystycznym nic jeszcze nie znaczył, czuł się już bogiem. Każdego wieczoru rozkwitał w słodko-gorzkich aromatach piwa i papierosów. Jeśli czasem za bardzo doskwierała mu samotność i potrzebował towarzystwa kobiety, łóżko ogrzewała mu natchniona poetka z Urugwaju. Za jej przyzwoleniem dzielili się nią wszyscy czterej; twierdziła, że każdego z nich kocha tak samo.

Wszystko wtedy miało swoją wartość: zabawne monologi, wspólne śpiewy i udział w ulicznych protestach, nawet głód i niepewność jutra. Nie zniechęcały go

ani chłód w pokoiku bez ogrzewania, ani podarte sofy czy burczenie w pustym żołądku, nawet wilgoć, która zbierała się na suficie i w nocy krople skapywały mu na głowę, powodując niewysłowione katusze. Wszystkie te niedogodności stanowiły część jego życia w tamtym okresie. Takie były początki jego artystycznej drogi.

Był przekonany, że wyrzeczeniami i ciężką pracą osiągnie kolejne szczeble artystycznej doskonałości. Nie interesowały go sprawy ważne dla zwykłych śmiertelników, takie jak pieniądze, pozycja społeczna, rodzina, podróże, narzeczona, religia, przyszłość. Wizualny język był jego biblią, wyrazem wielkiego buntu.

Na niewielkiej powierzchni mansardy dojrzewał duchowo, nabierał poloru wielkiego intelektualisty.

Potem pojawiły się hasła uliczne.

Dołączył do większości zbuntowanych młodych ludzi.

Jego głos współbrzmiał z okrzykami wznoszonymi przez myślącą część francuskiej młodzieży, tak jak on spragnionej wolności i żądnej zmieniania świata.

Rewolucja majowa sześćdziesiątego ósmego roku stanowiła przełom w jego życiu. Był tylko niewielką jej częścią, podzielał jednak marzenia tłumu na ulicy, rozpowszechniał powstańcze idee, wypisując wywrotowe hasła na ścianach.

Jego koncepcje, podobnie jak koncepcje kolegów malarzy, odzwierciedlały graffiti kreślone na murach Sorbony, pomnikach i parkanach. Ta walka całkowicie go pochłonęła.

Jak wszyscy młodzi wierzył, że sztuka - to czułe narzędzie - ukształtuje nowy sposób myślenia, rozkruszą skostniałe struktury. Krzyk stanie się instrumentem artystów.

W kulturze należy wyzbyć się wszelkiej mistyfikacji. Teatr, kino, literatura i sztuka nie mogą zależeć od absurdów systemu kapitalistycznego, wymagającego całkowitego podporządkowania się władzy. Nadszedł czas, aby raz na zawsze

pozbyć się idei leseferyzmu, zmieniającej świat w bezmiar nonsensów. Cadiz przyłączył się do ruchu kontestacyjnego, który podważał wszystko...

Wraz z kontestacją pojawiła się Sara.

Ta wszędobylska Amerykanka z nieodłącznym aparatem fotograficznym i ustach o smaku gumy do żucia zaczarowała go i porwała mu duszę pachnącym pocałunkiem. Jak w magicznej sztuczce zamieniła się w jego muzę i uwielbianą kochankę. Więcej - w jego siostrę i zarazem matkę - w tę, która leczyła jego rany i niepokoje, chroniła przed strapieniami i troskami, dodawała sił w chwilach słabości. Ona odkryła go jako malarza pożądań i pragnień; uczyniła wszechmocnym bogiem palety i pędzla.

Zawdzięczał jej wszystko, choć się do tego nie przyznawał. Być może gdyby jej nie spotkał, podążyłby inną drogą i jego sztuka byłaby zupełnie inna. Zarażała go swoją energią życiową i optymizmem.

Przeżył z nią niemal całe życie. Była świadkiem jego wzlotów i upadków, lęków i niepokojów, drobnych potknięć, a nawet romansów. Wszystko działo się na pełnych ciepła i dobroci oczach Sary.

Razem dokonali wielkiego skoku, wyrwali się z biedy. Stan dobrobytu, w jakim żyli, przyjęli bez zdziwienia, jakby to była najzwyklejsza rzecz. Coś, co było im pisane.

Więści od rodziców otrzymał znacznie później, kiedy zaczął się liczyć na świecie, a jego sława przewyższyła wszystkich współczesnych twórców.

W pełnym krytycznych słów liście zarzucili mu, że nie używa nazwiska Antequera, jakby odcinał się od przeszłości. Tłumaczył, że nie wstydzi się swojego pochodzenia. Cadiz to chwyt reklamowy. Pragnął w ten sposób uczcić miejsce swojego urodzenia i to ogromne ogniste słońce, które we wspomnieniach zdawało się nigdy nie zachodzić i przez całe życie go rozgrzewało.

Przebudził go damski głos i przywrócił do rzeczywistości.

- Masz papierosa?

Wyjął z kieszeni płaszcza paczkę marlboro i wyciągnął jednego papierosa.

Dziewczyna wzięła trzy.

- Mogę?

- Weź wszystkie. - Wręczył jej paczkę.

Nieznajoma przeszła przez ulicę, pokazując triumfalnie grupce pijanej młodzieży swoją zdobycz.

- Co, staruszk, rzuciła cię dla innego? - krzyknął jeden z młodych ludzi, a pozostali zarechotali.

Cadiz pomyślał o Mazarine. Nie zamierzał uganiać się za ulotnymi cieniami ani tęsknić za tym, co bezpowrotnie minęło. Powrót do czasów młodości był niemożliwy. A jednak jej brak bolał.

Śmiechy oddalały się, aż zupełnie ucichły. W mroku nocy przykuł jego uwagę ogromny neonowy napis: Theatre Cocotte. Przy wejściu plakat z nagą kobietą sugerował, że chodzi o erotyczne występy. Przypomnił sobie te wszystkie ciała, które malował przez całe życie: zwiotczałe z czasem ciało Sary, ciało Mazarine budzące go do życia... i swoją impotencję.

Po rozchybotanych schodach zszedł do piwnicy, gdzie powietrze było aż gęste od kurzu ze zwietrzałych zasłon i wysiedzianych kanap. W przyćmionym świetle dwie pachnące perfumami dziewczyny turlały się po perskim dywanie przy akompaniamencie muzyki. Rozkładały nogi i ze słodkim bezwstydem obnażały swoje wdzięki przed ośmioma starcami siedzącymi na widowni.

Ich języki na wzgórku łonowym, unoszące się w powietrzu czarne i jasne potargane włosy, delikatne kobiece palce wdzierające się w wilgotne wnętrza, westchnienia, jęki, obnażone piersi, czarne botki i naszyjnik, będący jedynym okryciem... a Cadiz nic nie czuł. Ani śladu pożądania.

Mazarine... co ty mi zrobiłaś? Czemu moje oczy cieszy tylko twoje ciało?

Wyszedł z sali, gdy jedna z dziewczyn próbowała go uwieść.

Na zewnątrz było lodowato zimno. Przypomnił sobie ostatnią rozmowę z Mazarine, gdy jednym pociągnięciem pędzla namalował na jej brzuchu niebieską strzałkę dotykającą łona. W głębokiej ciszy rozkoszowali się tym, co stało się już rytuałem: obdarzaniem się pieścizotami i odczuwaniem poprzez malowanie. Dzieło powstawało i rosło w rozlicznych odmianach i wariacjach niczym symfonia skomponowana z palety barw.

-Wiesz co, Cadiz? Chciałabym zadać ci pytanie. Czy znasz prawdę o życiu? - powiedziała, powstrzymując westchnienie.

- Nie ma jednej prawdy. Jest wiele prawd i trudno je odnaleźć. Sami je sobie stwarzamy... poprzez spełnianie pragnień. To jest jedyna i ostateczna prawda.

- Nie to chciałam usłyszeć. Powiedz, dlaczego jedni żyją w samotności i opuszczeniu, a inni otoczeni ludźmi?

- Samotność i opuszczenie to stan emocji. Czy czujesz się opuszczona?

- Tak, przez ciebie.

- Nie można opuścić kogoś, kogo się nie ma.

- Ale ja czuję, że należę do ciebie. Moje ciało istnieje tylko dla twoich oczu, kradniesz mi je, kiedy na mnie patrzysz.

- Czujesz się wtedy szczęśliwa?

-Tak.

- W takim razie jesteś współniczką swojej samotności.

- Próbujesz pozbyć się poczucia winy, obwiniając mnie?

- Nie sądz, że coś wygrasz przez to, co przed chwilą powiedziałeś.

- Nie chcę wygrać, skoro przegrywając, mogę patrzeć na ciebie.

Sprokował go naiwny uśmiech Mazarine.

- Uśmiechaj się - powiedział, pozostawiając dwa pociągnięcia pędzlem na płótnie. - A teraz zamknij oczy.

Zbliżał się do niej, aż poczuł jej oddech. Zaledwie centymetr dzielił go od jej

ust, zębów, różowego języka. Już miał ją pocałować, ale w porę się powstrzymał. To było coś więcej niż zwykły pocałunek. Samo pragnienie było silniejszym doznaniem od pocałunku.

- Czy to są jakieś wprawki? - spytała.

- Oceniam odległość.

- Ostrożnie, bo płótno samo przyjdzie do ciebie.

- Ani się waż. Pamiętaj, że to ja jestem twoim mistrzem.

- Odważny jesteś. Gdybyś naprawdę nim był, nauczyłbyś mnie...

- Czego?

-A jak myślisz?

Śmiech uczennicy wtórował jego krokom, odbijającym się echem na pustej ulicy Dzielnicy Łacińskiej. Jego cień rysował się krzywo na chodniku. W głowie Cadiza znowu rozbrzmiał głos Mazarine.

- Zmierzch należy do cieni, wiesz o tym? Na ulicy ciała się wydłużają, padają pokonane, są deptane, giną z zimna... Znikają, pożera je mrok. Czym dla ciebie jest noc?

- Tym, czego nie ma dzień... - Spojrzał na nią. – Twoją nieobecnością.

- Odczuwasz to, jakbym cię porzuciła?

-Nie, bo jestem pewny, że jutro znowu przyjdziesz... Przyjdziesz, prawda?

- Cierpisz, kiedy mnie nie ma?

-Nie chciałbym kojarzyć cię z cierpieniem. Wolę ze szczęściem. Kiedy cię widzę, czuję się szczęśliwy.

- A kiedy mnie nie ma?

- Wtedy wchodzę w swoje drugie życie.⁵⁹

- Jakie życie?

- To prawdziwe.

- To znaczy, że stosujesz dualizm również we własnym życiu. Jaką częścią

dualizmu ja jestem?

- Nie chcę cię klasyfikować. Jesteś dualizmem w najczystszej postaci. Ale nie moim dualizmem. Wszyscy podlegamy dualizmowi. Widzę cię niewinną, a zarazem przewrotną i to mi się podoba.

- Mistrzu dualizmu, co sądzisz o czasie?

- Czas...? - Zastanawiał się przez chwilę. - To coś, czego nam wszystkim najbardziej brakuje. Mnie w tej chwili brakuje czasu, aby do ciebie dotrzeć.

Mazarine spojrzała na niego prowokująco.

- Masz całe popołudnie i wieczór. Przed chwilą przyszedłem.

- Nie o to chodzi, maleńka. W czasie wyprzedzam cię o prawie czterdzieści lat.

- Nie myśl o tym. Jesteśmy tu i teraz...

- Moja maleńka, w tej chwili jesteśmy razem, ale prawdziwa więź między nami nie jest możliwa.

- Bo sam tego chcesz. Chodź tu. - Wyciągnęła do niego rękę. - Podejdź bliżej.

- Nie, tak jest lepiej.

- Dlaczego?

- Pewnego dnia zrozumiesz. Na razie jesteś na to za młoda.

- Powiedziałeś, że pewnego dnia pozwolisz mi zajrzeć tam, gdzie kryją się twoje lęki.

- Ależ kochanie, nigdy ci nie mówiłem, że mam jakieś lęki.

- Nie sądzisz, że to właśnie strach nie pozwala ci się do mnie zbliżyć?

Wszyscy kryjemy w sobie jakieś lęki. Znałam człowieka, który je nawet kolekcjonował.

- Zgoda, przypuśćmy, że je mam. Jeśli dasz mi poznać swoje sekrety, pokażę ci moje lęki.

- Ja nie mam sekretów.

- Kłamczucha.

- A ty? Jesteś pewny, że nie masz lęków?

Cadiz pokiwał głową z uśmiechem.

-Kłamczuch.

Strach. Oczywiście, że się bał. Teraz obawiał się tego, że ona już nigdy nie przyjdzie. Czy to możliwe, że w jego wieku zdarzają się jeszcze takie rzeczy? Przed czym uciekał, wybiegając z domu o tak późnej porze? Czego szukał na wymarłych ulicach?

Zawsze wracał do przeszłości. Przemierzał znajomą scenerię miasta, próbując wyłowić marzenia z jeziora pamięci i posłużyć się nimi w teraźniejszości. Jakies wspomnienie zapomniane na rogu ulicy, coś, co pozostało w tych zaułkach, gdzie tyle przeżył z żoną i co mogłoby ich oboje wskrzesić. Pragnął znowu pożądać Sary z taką intensywnością jak na początku ich związku, zsynchronizować swoje pragnienia z czasem tak, aby pożądanie i wiek biegły zgodnie razem, pogodzić się z tym, co nieuchronne: z przemijaniem. A jednak natrętny wizerunek jego uczennicy nie chciał go opuścić.

Na skrzyżowaniu otoczyła go chmara robaczek świętojańskich, migoczących w ciemności jak gwiazdy na niebie.

Nogi same poniosły go wprost do Zielonego Domu. Już na rue Saint-Julien-le-Pauvre poczuł odurzający zapach lawendy. W nocy rośliny pnące się bujnie po ścianach, wokół drzwi wejściowych i zwisające z muru od strony ulicy tworzyły zieloną rzekę spływającą ku brzegowi Sekwany, jakby w jej wodach chciały zaspokoić pragnienie.

Wśród fioletowych kwiatków rozblęły znieczarnałe elektryzujące zielone oczy.
61

- Idź stąd. Nie lubię ciebie - powiedział.

Kot wpatrywał się w niego nieruchomym wzrokiem.

W środku Mazarine poszukiwała w ciemnościach swojej pupilki; nie mogła zasnąć. Ciągle jeszcze miała gorączkę po zapaleniu płuc i czuła się bardzo osła-

biona.

- Mademoiselle... - wydobyła z gardła wąty głos.

Dowlokła się do okna, gdzie dopadł jęczący atak kaszlu. Otuliwszy się szczelnie kocem, wyjrzała na zewnątrz.

-Mademoiselle... Co robisz? Gdzie jesteś? Niedobra kotka.

Znowu złapał ją kaszel i musiała wrócić do łóżka.

19

-Co z tobą, dziewczyno? - zapytał antykwariusz natknąwszy się na Mazarine.

- Bardzo źle wyglądasz.

- Nic mi nie jest - skłamała.

- Czemu chodzisz boso? Nie stać cię na buty?

- Nie chcę ich nosić.

-Boso w takie zimno to szaleństwo. Masz błyszczące oczy. - Dotknął jej czoła.

- Jest rozpalone. Gdzie są twoi rodzice? Wiedzą, że jesteś chora?

-Za dużo pyt... - Rozkaszła się, straciła oddech i upadła.

Starszy pan natychmiast odwiózł ją do najbliższego szpitala. Diagnoza brzmiała: ostre odoskrzelowe zapalenie płuc.

*

Przez tydzień Arcadius odwiedzał ją dzień w dzień. Mazarine przypominała mu jego jedyną wnuczkę, która zginęła przed niespełna rokiem. Były mniej więcej w tym samym wieku. Dziewczyna z sąsiedztwa sprawiała wrażenie bardzo samotnej.

Przynosił Mazarine czekoladki i przesiadywał w milczeniu przy łóżku, sta-

rając się odgadnąć jej myśli, a przede wszystkim uczucia. Próbował odnaleźć w niej swoją utraconą wnuczkę. Staremu, samotnemu człowiekowi trudno wyobrazić sobie świat młodych. Po tragicznym wypadku zamknął się w cierpieniu i odizolował od otoczenia. Nie miał złudzeń co do tego, że wykreowana przez przeznaczenie rzeczywistość zmieniła go w człowieka pozbawionego wiary, nawykłego

do pewnych zachowań - w kogoś, kogo sam nie szanował.

Gdy lekarz zapytał, czy jest krewnym pacjentki, świadomie skłamał. W przeciwnym razie nie pozwoliłby mu doglądać przybranej wnuczki; w ten sposób pragnął odpokutować śmierć tej prawdziwej. Nie mógł znowu jej zawieść.

Chociaż Mazarine mu tego nie powiedziała, przypuszczał, że w odruchu młodzieńczego buntu zerwała wszelkie kontakty z rodzicami. Może podróżowali albo - jak w przypadku jego wnuczki - po prostu umarli. W każdym razie była samotna i... tajemnicza. Od pierwszego dnia, kiedy pojawiła się u niego w sklepie, wiedział, że coś ukrywa.

Oczy nie kłamią. Odbija się w nich lęk przed nieczułym światem. Można płakać, nie uroniwszy ani jednej łzy, uśmiechać się i mieć w oczach smutek/taki sam zagubiony wzrok miała jego wnuczka tego dnia, kiedy, jak gdyby nigdy nic, zegnała się z nim w antykwariacie. Znaczenie tego spojrzenia pojął później, gdy już nic nie można było zrobić. Pozostało mu jedynie rozpoznać jej ciało, wyciągnięte trzy dni po jej zniknięciu z nurtów Sekwany.

-Dlaczego pan przy mnie siedzi, *monsieur*? - spytała, obudziwszy się, Mazarine.

- Ile razy mam cię prosić, żebyś tak się do mnie nie zwracała? Postarzasz mnie. Mów mi po imieniu.

- Dobrze, Arcadiusie. Dlaczego się mną opiekujesz? Spędzasz ze mną tyle czasu, zaniedbujesz antykwariat.

-Żyję na cmentarzysku. Wątpię, żeby martwe przedmioty za mną tęskniły.

Martwe rzeczy nic nie czują, więc nie cierpią.

- Tak myślisz? Niektórzy wyglądają jak żywi nawet po śmierci. Inni pozostawiają po sobie swoje rozterki, sekrety, to, co przemilczali, kiedy jeszcze mieli głos.

- Jesteś sierotą? - indagował staruszek.

- Moja kotka już pewnie zdechła z głodu - odparła wymijająco.

- Nie martw się, jest u mnie. Trzymam ją u siebie w antykwariacie.

-Jak to?

- Wczoraj wskoczyła na parapet. - Wskazał na pokryte białą sadzią okno w szpitalnym pokoju. - Domyśliłem się, że ten zmarznięty, rozpaczliwie miauczący futrzany kłębek należy do ciebie.

Nagle Mazarine z przerażeniem dotknęła piersi. Nie było go tam. Medalion zniknął!

Antykwariusz uśmiechnął się.

- Spokojnie. Ja go mam. Zdjęli ci go przed prześwietleniem klatki piersiowej. Czy ty wiesz, co nosisz na piersi, dziewczyno?

- Oddaj mi go, proszę.

- Oddam, jeśli mi powiesz, skąd go masz.

- Nie miałaś prawa mi go zabierać.

-Moje dziecko, za coś takiego - pokazał jej medalion i znowu schował - zginęło wielu ludzi. Przechowam go, póki stąd nie wyjdiesz.

-Błagam...

-Będą ci robili kolejne prześwietlenia albo zaśniesz. Ktoś ci go ściągnie i nie będziesz wiedziała, co się z nim stało. U mnie jest bezpieczny. Chyba mi ufasz?

- Nie wiem, co to znaczy ufać komuś. Nikt mnie tego nie nauczył. - Wyciągnęła rękę. - Proszę mi go oddać.

Staruszek zdawał się nie słyszeć.

- Dawno, dawno temu, w dwunastym wieku, z jego powodu zniknęła cała

społeczność. Chcesz wiedzieć więcej?

Mazarine zaskoczyły słowa antykwariusza. Tajemnica otaczająca Siennę, przez tyle wieków spoczywającą w kryształowej trumnie, być może niebawem zostanie wyjaśniona. W końcu niektóre z niewiadomych zaczną znikać. Przytaknęła skwapliwie.

- To byli wspaniali ludzie. Wyznawali najwyższą formę miłości. Stworzyli własną wizję miłości, daleką od wszystkiego, co zwykle i konwencjonalne. Miłość w czystej postaci. Za radykalizm i świeżość myśli zostali skazani na potępienie, po prostu i zwyczajnie, ponieważ występowali przeciwko porządkowi ustalonemu przez Kościół katolicki.

- Jaki to był rodzaj miłości?

- Dla nich słowo grzech czy występek nie istniało. Istniała natomiast dualistyczna wizja świata.

- To znaczy, że... wszystko było dozwolone?

- Nie, to by było zbyt uproszczenie. Raczej dozwolony był każdy sposób wyrażania miłości. Miłości pozbawionej tabu i lęków, a zatem takiej, jaka w tamtych czasach była nie do pomyślenia. Ci ludzie mieli własne o niej wyobrażenie, ale zanim się w nie włączymy, powiem ci tylko tyle, że musieli walczyć przeciwko wszystkim i wszystkiemu, a nawet poświęcić życie. Gdyby przetrwali, dziś miłość znaczyłaby pewnie co innego. Wiele kobiet oskarżonych o czary spłonęło na stosie, inne zostały ukamienowane.

- Ukamienowane? A więc blizny na twarzy Sienny mogły powstać od uderzeń kamieniami - pomyślała.

- Tak - ciągnął antykwariusz - a przedtem zostały zgwałcone przez rycerzy o wątpliwej moralności, którzy traktowali je jak myśliwskie trofeum.

- Ale czym sobie na to zasłu...

Kolejny atak kaszlu nie pozwolił Mazarine dokończyć zdania. Zsiniała na twarzy i nie mogła złapać oddechu. Staruszek zadzwonił po pielęgniarkę i jed-

nocześnie podsunął dziewczynie do ust kubek z wodą.

- Proszę, napij się.

Nadal kaszłała. Z nosa zaczęła jej ciec krew.

Do sali wpadła pielęgniarka.

- Nie wolno zmuszać chorej do mówienia – zbesztła staruszka. - Jest jeszcze bardzo słaba. I to ma być opieka? Proszę stąd natychmiast wyjść.

Mazarine chwyciła antykwariusza za rękę. Widząc to, pielęgniarka zmiękła.

- Dobrze - powiedziała, obmywając twarz dziewczyny. - Niech pan zostanie, pod warunkiem że pozwoli jej pan zasnąć. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Po dłuższej chwili kaszel przeszedł. Słaba i wyczerpana Mazarine z załzawionymi oczyma błagała starca o zwrot medalionu.

- Aleś ty uparta. - Arcadius wyjął z kieszeni marynarki medalion. - Na twoją odpowiedzialność - powiedział, wręczając go jej.

Na drugim piętrze szpitala Val de Grace mężczyzna o dziwnym spojrzeniu i zgaszoną fajką w kąciku zniekształconych ust krążył niespokojnie po korytarzu, czekając, aż staruszek wyjdzie z pokoju Mazarine.

Odkąd zobaczył ją, jak szła boso w ulewny deszcz, Mężczyzna o Zamglonych Oczach stale o niej rozmyślał.

Jedna z podstawowych reguł Arts Amantis głosiła, że kobietom należącym do tego zakonu nie wolno zakrywać stóp. Zwyczaj ten powoli zanikał, jednak mogło się zdarzyć, że gdzieś przetrwał. A zatem, skoro dziewczyna nosiła medalion, prawdopodobnie zdjęła go z szyi Sienny i знаła miejsce wiecznego spoczynku Świętej.

W zapiskach oksytańskich, cudem ocalonych przed spalaniem, przeczytał:

Pod osłoną nocy grupa wiernych przedostała się do lasu, wiedziona pragnieniem odnalezienia zmasakrowanego ciała świętej. Wykorzystali zmęczenie i upojenie morderców, którzy odsypiali swój krwawy uczynek, i uratowali zwłoki przed ostateczną hańbą. delikatna różana pleć Sienny zachowała jeszcze ciepło życia. Ogarnięci bezmierną żalnością, zebrali do pucharu rozlaną krew, biedne poranione ciało otulili śnieżnobiałym całunem i złożyli w niedostępnej grocie. Tam, przy świetle pochodni, szlachetne niewiasty obmyły wodą ze świętego źródła niezliczone rany zmarłej, spowodowane okrutnym, bestialskim ukamienowaniem, namaściły delikatną skórę wonnymi pomadami i pachnącymi olejkami, pobłogosławiły stopy znakiem krzyża. gdy ciało młodej męczennicy odzyskało świetlistą aurę, oblekły je w perłową tunikę, stosownie do jej rangi i pochodzenia przetykaną złotą i purpurową nicią, w długie włosy wplotły gałązki lawendy, uwieńczyły delikatne czoło dziewczyny wiankiem z polnych modrych kwiatów i na zakończenie obrzędu umieściły na jej piersi symbol Arts Amantis: Srebrny medalion z wygrawerowanymi świętymi inicjałami, oznaczającymi Błogosławione dogmaty. Następnie otoczyły ją światłem pochodni i zgodnie ze zwyczajem do świtu tańczyły wokół niej z obnażonymi stopami, ze słowami pieśni trubadurów na ustach, sławiących tę, którą tak bardzo wszyscy kochali...

Być może dziewczyna z deszczu należała do jednego z licznych tajnych odłamów zakonu. Coś tu się jednak nie zgadzało. Wyznawczynie tajemnej wiary nie włożyłaby się po Paryżu z medalionem na szyi, i to tak otwarcie, niemal bezczelnie. Pierwszy punkt niepisanego regulaminu Zakonu nakazywał zachować w tajemnicy istnienie cennego talizmanu, najświętszej relikwii.

Tamtej nocy, kiedy zakradł się do Zielonego Domu, miał sposobność odzy-

skać medalion, ale to nie byłoby w porządku. Zgodnie z otrzymaną instrukcją miał tylko bacznie ją obserwować i powstrzymać się od jakichkolwiek działań, dlatego postępował stosownie do tych zaleceń. Widok kruchej, uśpionej dziewczicy nie tylko go zachwycił, odczuł również emanującą z jej ciała potężną siłę. Położył się obok niej i wpatrywał w nią. O świcie, wymykając się z Zielonego Domu, czuł się jak nowo narodzony, jakby przejął od dziewczyny świeżość jej młodości. Poczuł się wszechmocny.

Kilka dni później znowu próbował włamać się do tego domu, ale nie zdołał złamać potrójnej blokady.

Gdy zobaczył Mazarine samotną, stojącą w deszczu na środku ulicy, uznał, że to przeznaczenie postawiło ją na jego drodze. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Aby sprawdzić, czy jest jedną z nich, podszedł do niej i wypowiedział hasło: *Mon energie, c'est l'amour*. Oczekiwał usłyszeć w odpowiedzi tajemny odzew *Je l'accepte. Je te le donne*. Dziewczyna jednak uciekła przerażona. Omal nie zginęła, przemykając się między samochodami pędzącymi Champs Elysees. Pobiegnął za nią. Krzyczał, żeby się nie bała, zapewniał, że nie chce zrobić jej krzywdy, ale pomykała jak spłoszona gazela i szybko stracił ją z oczu. Nie zamierzał się jednak poddać. Złapał taksówkę, chcąc znaleźć się na rue Galande przed nią. Gdy wysiadał z samochodu przed bramą do Zielonego Domu, w pokoju dziewczyny właśnie zapaliło się światło. Mazarine dotarła do domu przed nim.

Z wydarzeń tamtej nocy wyciągnął dwa wnioski: po pierwsze, dziewczyna wystraszyła się, bo była zamieszana w kradzież ciała Świętej; po drugie, należała jednak do zakonu, tylko zaskoczyło ją niespodziewane spotkanie. Tak czy siak z pewnością go poznała i domyśliła się, czego on szuka. Tym bardziej pragnął się do niej zbliżyć i rozwiązać wszelkie wątpliwości. Bez względu na okoliczności, postępując niezgodnie z poleceniem zwierzchnika, musiał się dowiedzieć, gdzie ukryła ciało.

Następnego dnia, wbrew instrukcjom wielkiego mistrza, postanowił ją śledzić i działać na własną rękę.

Obserwował Zielony Dom i czekał. Rano dziewczyna pojawiła się w drzwiach. Patrzył, jak stoi bosą na chodniku i rozmawia ze starszym panem, który sądząc po gestykulacji, chyba ją ganił. Zanim zrozumiał, co się dzieje, ona nagle zemdlała.

Reszta była już dziecinnie prosta: idąc za starym, trafił do szpitala Val de Grace i do sali, w której leżała dziewczyna.

Chodził tam codziennie, lecz do tej pory nie nadarzyła się sposobność, aby zakraść się do jej pokoju. Pielęgniarki bezustannie krążyły z zastrzykami, inhalatorami, nebulizatorami i maseczkami tlenowymi. Zawsze któraś przy niej czuwała, a on musiał znaleźć się z nią sam na sam. Już od pięciu dni sterczał na czatach i personel szpitalny zaczął zwracać na niego uwagę.

Nareszcie miał okazję do niej wejść. Staruszek pożegnał się, a pielęgniarka z nocnej zmiany podała chorej środek nasenny. Wyobrażał ją sobie śpiącą w ciemnościach szpitalnej sali i poczuł dreszcz podniecenia. Wszedł na palcach do pokoju i nie tracąc czasu, ruszył wprost do jej łóżka. Leżała pogrążona w głębokim śnie, czysta i anielska. Podniósł kołdrę i położył się obok niej. Znowu poczuł jej kobiecą moc, o której tak wiele czytał i której nigdy, oprócz tamtej nocy skradzionego snu, nie dane mu było doświadczyć. Pomimo choroby jej dziewicza energia jeszcze wzrosła. Wpatrywał się w nią, przejmując od niej siłę, choć to mogło ją osłabić. Poprzez szpitalną koszulkę prześwitywał zarys delikatnych piersi dziewczyny i błyszczący między nimi medalion.

Pół godziny później Mężczyzna o Zamglonych Oczach opuścił szpital z grymasem satysfakcji zastygłym na zdeformowanych ustach. W kieszeni płaszcza jego palce pieściły kanciaste kształty metalowego medalionu. Ścisnął go mocno w dłoni i uśmiechnął się triumfująco.

- Mój medalion! - krzyknęła Mazarine, kiedy obudziła się i stwierdziła, że nie ma go na szyi. - Oddaj mi go.

Arcadius pogłaskał ją po głowie.

- Malutka, z przykrością muszę oznajmić, że ja go nie mam. Przecież oddałem ci go wczoraj, nie pamiętasz?

- To nieprawda. Powiedz, że to kłamstwo. Pewnie znowu mi go zabrałeś.

- Nie denerwuj się. Zawołam pielęgniarkę, może ona coś wie.

Arcadius nacisnął dzwonek i po chwili do pokoju weszła pielęgniarka w białym fartuchu.

- Czy z jakiegoś powodu zdjęliście pacjentce medalion z szyi?

- Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie, dopiero zaczęłam zmianę. Spytam kogoś z nocnego dyżuru, chociaż wątpię, żeby ktoś to zrobił. Jak wyglądał medalion?

Mazarine wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz. - Staruszek wziął dłonie Mazarine w swoje ręce. - Na pewno się znajdzie. Pewnie gdzieś go schowali. Jesteś pewna, że miałaś go przy sobie?

- Oczywiście. Zanim zasnęłam, powiesiłam go na szyi.

Pielęgniarka wyszła. Po paru minutach wróciła i poprosiła staruszkę na stronę.

- Możliwe, że pacjentka padła ofiarą złodzieja - powiedziała cicho. - Co prawda nie zdarza się to często, ale od czasu do czasu mamy przypadki kradzieży. Dlatego przed przyjęciem do szpitala prosimy chorych, aby nie trzymali wartościowych przedmiotów w pokojach. - Spojrzała na starca z bezradną miną. - Przykro mi.

- Znalazł się? - spytała niespokojna Mazarine.

Nie musiał nic mówić. Spuszczona głowa i smętne spojrzenie wystarczyły za odpowiedź.

- Uprzedzałem cię, Mazarine. Pamiętasz, co ci mówiłem?

22

Był autentyczny.

Zanim porozumiał się ze współbraćmi, odwiedził potajemnie jubilera, specjalistę od sztuki średniowiecznej, który po szczegółowym zbadaniu medalionu bez wahania potwierdził jego autentyczność. W dawnych czasach przedmiotom wykonanym ze srebra przypisywano szczególne właściwości. Pełniły więc funkcje amuletów chroniących przed demonami, zarazą, śmiercią na polu bitwy i - co najważniejsze - gwarantowały zakochanym odwzajemnienie miłości ubóstwianej istoty. Jeśli do tego wszystkiego dodać jego wartość jako dzieła sztuki, relikwii o znaczeniu historycznym, medalion z charakterystycznymi znakami na obrzeżu mógł osiągnąć na czarnym rynku wręcz niewyobrażalną cenę.

Po wysłuchaniu tej wiadomości Mężczyzna o Zamglonych Oczach stanął przed prawdziwym dylematem. Przez chwilę ogarnęła go pokusa - uczucie, jakiego się nie spodziewał. Najświętszy symbol Arts Amantis należał do niego i mógł zapewnić mu bogactwo. A gdyby tak sprzedać go na aukcji kupcowi oferującemu najlepszą cenę? Zadrżał na samą myśl. Wyobrażał sobie, jak otoczony luksusem wydaje rozkazy, wykonywane bez szemrania. Podrobi medalion i podrzuci dziewczynie falsyfikat. Nikt nigdy nie domyśli się prawdy, nawet ona.

- Musi pan natychmiast zakomunikować to wielkiemu mistrzowi. Zrobi to pan, prawda? - naciskał złotnik.

Słyszając te słowa, Mężczyzna o Zamglonych Oczach oprzytomniał. Jego marzenia spełzły na niczym.

- Skąd pan wie...?

-O zakonie? Jest nas wielu... i wszyscy szukamy tego samego. Gdzie jest ciało?

- Tego jeszcze nie wiem.

- Musimy się zjednoczyć.

- Ilu was jest? - Nie czekając na odpowiedź, Mężczyzna o Zamglonych Oczach zadał kolejne pytanie. - Czy są wśród was kobiety?

- Nie ma ani jednej. Wszystkie wymarły. A u was?

- Też nie ma.

- Bez kobiet Arts Amantis zginie.

- Cóż, jest jedna dziewczyna... ta od medalionu.

- Należy do naszego bractwa?

- Nie udało mi się tego sprawdzić. Rozmawiałem z moim zwierzchnikiem, musimy się jak najszybciej zebrać.

- Wszyscy - dodał złotnik.

- Wszyscy.

Przed wyjściem Mężczyzna o Zamglonych Oczach uniósł rękę w górę.

-Mon energie, c'est 1'amour.

Jubiler wyciągnął w górę swoją.

-Je l'accepte. Je te le donne.

Znowu do niej wrócił. Nie wiedziała, jak to się stało, ale rano medalion pojawił się na jej szyi. Teraz tym bardziej pragnęła się dowiedzieć, jaka tajemnica jest z nim związana.

Powoli wracała do zdrowia i w końcu została wypisana ze szpitala. Tego dnia Arcadius przyszedł z gałązkami lawendy w dłoni, które wręczył jej, mówiąc:

- Zerwałem je przed twoim domem. Lawenda zarosła już chodnik. Cała ulica nią pachnie. Proboszcz z parafii Saint-Julien-le-Pauvre mówi, że wkrótce nikt nie dostanie się do kościoła i przez ciebie straci wiernych.

Dziewczyna podniosła kwiatki do nosa i wciągnęła ich zapach.

- Zobacz, co mam...

Staruszek uniósł ze zdziwienia brwi, gdy Mazarine, usiadłszy na łóżku, pokazała mu medalion.

- Znalazł się?

- Właśnie. Pielęgniarki twierdzą, że to nie ich sprawka.

- Daj mi go. - Arcadius przyjrzał mu się badawczo. – Ty go nie schowałeś, prawda?

- Jak możesz tak mówić?!

-W takim razie nic nie rozumiem. Przecież to nie ma sensu. Najpierw ktoś go kradnie, a potem oddaje. Ten klejnot wart jest fortunę. Musisz mi powiedzieć, skąd go masz. Może wtedy pojmiemy, o co chodzi.

Mazarine patrzyła na medalion, który starzec trzymał w dłoni. Nie mogła zdradzić sekretu.

- Należał do... - przez chwilę zastanawiała się - ...mojej babci. Tak, do babki.

- Kim ona była?

- Nie znałam jej; zostawiła mi ten medalion w spadku.

- W spadku... - powtórzył staruszek. - Skąd pochodziła?

- Nie wiem, Arcadiusie.

73

- Zapytaj więc rodziców albo pozwól mi z nimi porozmawiać.

- Nigdy nie ma ich w domu. Dużo podróżują. -Mazarine, ty coś przede mną ukrywasz. Posłuchaj, dziewczyno, to nie twoja wina, że nie masz nikogo bliskiego. To żaden grzech, to... po prostu splot nieszczęśliwych zdarzeń. Nie ty jedna

żyjesz samotnie, co wcale nie znaczy, że pokutujesz za jakiś grzech. Powiedz, jesteś sierotą?

- Nie. I przestań mnie wreszcie wypytywać!

- Jesteś z nimi w złych stosunkach? Zgadłem?

- Powiedzmy, że... nie potrafimy się porozumieć.

-Tak to zwykle bywa z młodymi ludźmi. Czujesz się niezrozumiana, prawda? Skinęła głową. Było jej przykro, że okłamuje kogoś tak dobrego i miłego jak Arcadius, ale nie miała innego wyjścia.

- Wypytyuję cię - ciągnął antykwariusz - bo chciałbym się dowiedzieć, jaką tajemnicę kryje medalion.

- Arcadiusie, mówiłeś, że to symbol jakiejś sekty. Jakiej?

- Średniowiecznych innowierców.

- Innowierców?

- Tak. Uważani byli za odszczepieńców, bo podważali dogmaty Kościoła katolickiego. Nazywali się Arts Amantis, swoją doktrynę stworzyli w dziesiątym wieku i podobno wywodzili się z bogomiłów.

- Z bogomiłów? - przerwała mu Mazarine.

- Tak. Był to ruch religijny, który powstał na południu Europy, w Bułgarii. Jako odszczepieńcy zostali uznani przez Kościół katolicki za heretyków. Odrzucali bowiem dogmat Trójcy Świętej, podważali boskość Jezusa Chrystusa i nie wierzyli w jego ludzką postać. Okrutnie prześladowani rozprzeczli się po całej Europie Zachodniej. W końcu znaleźli schronienie we Francji, gdzie mogli swobodnie wyznawać swoje dualistyczne poglądy.

Słyszając słowo dualizm, Mazarine pomyślała o Cadizie i jego dualizmie wyuzdanym.

- Mazarine... czy ty mnie słuchasz?

-Tak, przepraszam. To wszystko jest dla mnie takie nowe i niezrozumiałe.

Mówiłeś o ideałach dualistycznych.

- Właśnie. Dualistycznych, ponieważ wierzyli w dwie wielkie siły stwórcze: jedną, odpowiedzialną za stworzenie wszystkiego, co dobre, i drugą - za powstanie wszelkiego zła. Była to religia przeciwstawna do katolickiej, którą być może mogłaby zastąpić, gdyby nie była tak zaciekłe tępiona.

Na południu Francji rozpowszechniali ją katarowie, całkowicie oddani tej doktrynie. Uważali oni Kościół katolicki za instytucję do cna zepsuta; odrzucali święte sakramenty, obrzędy i hierarchię, potępiali rozwiązłość duchownych, zarówno zakonników jak i zakonnic. Dla nich najważniejszy był powrót do nauk i wskazań Jezusa Chrystusa: dobrowolne wyrzeczenie się dóbr materialnych, bezwzględna czystość, braterska miłość i życie w ascezie. Niektórzy z nich żyli w sposób niezgodny z ogólnie przyjętą moralnością, dowodząc, że jedynym piekłem jest uwięzienie duszy w ciele, inni zaś poszukiwali wyjścia, które nie oznaczałoby zupełnego zakazu ani też nie było sprzeczne z moralnością.

- Co łączy wyznawców Arts Amantis z tą doktryną?

- Powiedzmy, że byli oni dysydentami katarów. W większości byli to młodzi twórcy, artyści obdarzeni ogromną siłą uczuciową i duchową, którzy zgadzali się z większością dogmatów katarów, z jednym wyjątkiem: uważali, że pożądanie cielesne nie jest złem skazującym istotę ludzką na potępienie. Nie jest więc grzechem wymagającym odkupienia. Życie w czystości nie oznacza wyrzeczenia się rozkoszy; można zachować czystość poprzez traktowanie ciała jak świątynię, wyzwalającą energię życia.

- Czy to znaczy, że wyznawali wolną miłość?

- Nie w takim rozumieniu jak dzisiaj. Fizyczne doznania wynikające z bliskości dwojga ludzi sprowadzały się do głębokiego przeżycia duchowego, naczynego kultem kobiety i fascynacją kobiecością. Przestrzeganie tej zasady stanowiło uświęcenie życia. Mężczyzna wybierał sobie kobietę, „swoją duchową połówkę”, i całkowicie się jej oddawał. Mógł ją podziwiać, pieścić, ale nie posiadać. Wzbu-

dzione dobrowolną rezygnacją z miłości fizycznej napięcie, prowadzące niemal do ekstazy, znajdowało wyraz we wszystkich dziedzinach sztuki.

-A zatem artysta wybierał sobie mużę... Czy tak, Arcadiusie?

- Coś w tym rodzaju. To przekuwanie pożądania w dzieło sztuki sprawiało, że kobieta została wyniesiona do rangi bóstwa. Jeśli wybranka pochodziła z możnego i szlacheckiego rodu, jej siła i witalność jeszcze bardziej wzrastały.

Mazarine niewiele z tego zrozumiała. Bogomiłowie, heretycy, katarowie, szlachcianki... Historia nigdy nie była jej mocną stroną i opowieści antykwariusza słuchała jak bajki o żelaznym wilku.

-Nie jest to dla ciebie jasne, prawda? Powiedzmy, że wyznawcy Arts Amantis... - zastanawiał się przez chwilę - byli takimi „filozofującymi hipisami”, choć to określenie nie bardzo mi się podoba. Pozostało mi do wyjaśnienia jeszcze kilka spraw, na przykład: na czym polegała wyjątkowość i bogactwo ich sztuki. Pokażę ci starą księgę z dość przystępnym opisem pochodzenia i sposobu życia wyznawców Arts Amantis, ale będziesz musiała uruchomić wyobraźnię, ponieważ przed stosami i prześladowaniami Świętej Inkwizycji niewiele dokumentów zdołano ocalić. Przeprowadzona rekonstrukcja opiera się na przypuszczeniach, legendach i mitach. Powoli wszystko zrozumiesz. Odbędziesz podróż w czasie, tak jak ja to zrobiłem, czytając tę księgę. Duchem znajdziesz się w tamtej epoce. - Poderwał się raptownie. - No dalej, ubieraj się. Przyszedłem, żeby odstawić cię do domu. Nie pamiętasz?

- Obiecay mi, że jeszcze o tym porozmawiamy.

- Gdy wyzdrowiejesz, zaprosisz mnie na kawę i...

Dziewczyna nie dała mu skończyć; uznała za pewnik, że od tej pory będą się spotykali regularnie.

-A co z Mademoiselle? Jestem wyrodną panią, nawet o nią nie spytałam.

Biedna kotka.

-Wcale nie taka biedna, moja droga. Wyglądała na szczęśliwą, strzepiąc pa-

zurami zasłony w moim sklepie.

Rozmowę przerwał im lekarz, który wszedł do Sali w asyście pielęgniarki. Wręczył Arcadiusowi wypis ze szpitala.

- Jeśli chce pani szybko wyzdrowieć - powiedział, zwracając się do Mazarine - proszę przez dwa tygodnie nie wychodzić z domu. I jeszcze jedno: uprzedzam, o ile ktoś inny już tego nie zrobił - tu spojrzał wymownie na staruszkę - że bieganie na bosaka po ulicy przy takiej temperaturze powietrza może się źle skończyć. Niczego nie narzucam, oczywiście, ale ja na pani miejscu nie ryzykowałbym. Po raz pierwszy spotykam się z tak idiotycznym zwyczajem. Pożegnał się i pośpiesznie wyszedł. Pielęgniarka wyjaśniła, jakie formalności należy załatwić przed opuszczeniem kliniki. Gdy zostali sami, Arcadius wyjął z torby solidne buty sportowe.

- Należały do mojej wnuczki. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Mazarine przymierzyła adidasy. Były trochę za duże, ale zgodziła się je założyć, mimo że teraz jej stopy nie znosiły żadnego okrycia, z wyjątkiem farby, którą malował je Cadiz.

Pomyślała o nim. Tak bardzo za nim tęskniła, a jednocześnie była na niego wściekła z powodu jego zachowania tamtej deszczowej nocy. Sama nie wiedziała, które z tych uczuć jest silniejsze: wściekłość czy tęsknota.

Zdawało mu się, że słyszy głos Mazarine⁷⁷. A może to wyobraźnia płatała mu figle? Był niemal pewien, że dziewczyna przywołująca kotkę to ona. Spojrzał w okno, ale nikogo tam nie było.

Tymczasem kotka, która przed chwilą wyskoczyła na niego na samym środku

ulicy, wspięła się po pędach lawendy i zniknęła w niedomkniętym oknie tajemniczego domostwa.

- Mazariiiiine... - zawołał.

Cisza, tylko w oddali ujadanie psa. Spróbował ponownie, tym razem głośniej.

- Mazariiiiiiiiine...

Jej imię odbiło się echem w lodowatej samotności nocy i powróciło na rue Galande, czekając na odpowiedź. Z okna sąsiedniego domu ktoś się wychylił i uciszył Cadiza stanowczym pst!

*

W Zielonym Domu Mazarine, usłyszawszy charakterystyczny, ochryply głos Cadiza, zastanawiała się, w jaki sposób dowiedział się, gdzie ona mieszka. Nagle choroba znikła, przegnana radością, że on jest blisko.

Bicie dzwonów katedry Notre Dame zapowiadało nadejście poranka. Miarowy głos wzbijał się w powietrze i zderzył z pochmurnym, posepnym niebem. A w niej rozbrzmiewały inne dzwony. Mistrz był tak blisko, a ona tak bardzo pragnęła go zobaczyć. Wyrzała przez okno i już miała mu odpowiedzieć, gdy znowu złapał ją atak kaszlu.

- Mazarine, to ty?

Nie mogła wypowiedzieć słowa, bo wprost dusiła się od kaszlu.

- Mój Boże, ty jesteś chora! Czy jest ktoś przy tobie?

Przez chwilę Mazarine nie mogła odpowiedzieć na jego pytanie. Cadiz musiał odczekać, aż kaszel minie, zanim znowu zaczął indagować.

- Jesteś sama?

Skinęła głową.

- Mogę wejść?

Mazarine zawahała się, ale w końcu rzuciła mu klucze. Cadiz przedzierał się przez gąszcz wonnej roślinności do drzwi. Gdy wszedł do sieni, zawołała:

- Wejdz, proszę.

Szybko rozejrzał się po wnętrzu. Chłodny i szary mrok okrywał to miejsce płaszczem opuszczenia. Wielki salon był wyziębiony, a meble i brokatowe staroświeckie zasłony pochodziły jakby z innej epoki. Z sufitu zwieszał się wielki kryształowy żyrandol pokryty grubą warstwą kurzu i zapomnienia. Przebiegł wzrokiem po uśpionych regałach i kredensach, wypełnionych książkami i starą porcelaną, szukając jakiegokolwiek śladu życia rodzinnego. Niczego takiego nie znalazł. Wszystko tchnęło straszliwą samotnością.

Na podeście schodów, jak piękne widmo, czekała na niego Mazarine, bosonoga, w białej koszulce nocnej, udręczona rozdzierającym kaszlem.

- Tak mi przykro - powiedział, wchodząc po schodach. - Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś, że jesteś chora?

Kruchym ciałem uczennicy wstrząsał spazmatyczny kaszel. Mimo to była piękna. Potargane włosy i dziecięcy wygląd tworzyły wokół niej aureę nierzeczywistości. Objął ją. Pachniała rozgrzaną pościelą. Dotyk jej drobnego ciała, zagubionego w niedbałym negliżu, wzbudził w nim sprzeczne uczucia: ojcowskiej troski i pociągu seksualnego.

To pierwsze uczucie przeszkadzało mu. Pragnął usilnie się go pozbyć. Wcale nie chciał traktować jej jak córki. Wolał pożądać. Podniecała go myśl, że zastał ją samotną w tym posepnym domu.

- Tęskniłem za tobą, maleńka.

Mazarine, bardzo jeszcze osłabionej, uścisk Cadiza sprawił przyjemność, nie zamierzała mu jednak ulec. Czowała się bardzo zraniona tym, że zostawił ją samą w tamtą deszczową noc.

79

- Skąd wiedziałeś, że tu mieszkam?

- Bo to jest także moja dzielnica.

- Mieszkasz w pobliżu?

- Już nie, ale kiedyś tak. Saint-Andre-des-Arts to moja ulubiona ulica. Przy-

szedłem tu, aby odnaleźć siebie.

- Odnaleźć siebie?

- Tak. W głębi duszy zagubiony człowiek wie, że jedynym sposobem odnalezienia siebie jest powrót do punktu wyjścia. I wiesz, dokąd wraca? Otóż, paradoksalnie, do miejsca, gdzie mieszkał, kiedy myślał, że jest nikim.

- Poczujesz się zagubiony?

- Im jestem starszy, tym częściej czuję się zagubiony. Czasami dojrzałość nie idzie w parze z mądrością, maleńka.

- Cóż takiego sprawia, że czujesz się zagubiony? - spytała Mazarine, chwytając delikatnymi palcami chropowate dłonie malarza.

Cadiz nie odpowiedział. Przyczyn było tak wiele, że wolał je przemilczeć.

- Jesteś chora - powiedział, odprowadzając ją do sypialni. - Zostanę przy tobie, póki nie zaśniesz.

- W takim razie nie zasnę.

- Jakaś ty piękna! Oczywiście, że zaśniesz. Pamiętaj, że to ja jestem starszy i musisz mnie słuchać.

Mazarine uśmiechnęła się. Już zapomniała o urazie. Kładąc się na łóżku, pozostawiła obok siebie wolne miejsce.

- Chodź do mnie.

Cadiz zdjął płaszcz i przysunął krzesło do łóżka.

- Nie ma mowy. Pozwól mi na siebie patrzeć, kiedy będziesz spała.

- Chodź... - Mazarine wyciągnęła błagalnie rękę.

Ustał. Zmęczenie wzięło górę. Zdjął buty i w milczeniu położył się obok niej. Żar młodego ciała powoli rozgrzewał jego przeniknięte chłodem ulicy członki; wraz z uczuciem zimna zniknęło również znużenie życiem. Czułość, jaką budziła w nim Mazarine, była niezmierną; pożądanie - nieskończone. Obwiał opuszką palca zarys jej twarzy - czystej i niewinnej. Była prowokacją i zarazem spokojem. Pełne blasku świetliste oczy oddawały pieśczęć. Raz po raz rozkwi-

tała jak jaśmin, to znów zamykała się jak uśpiony kwiat. Policzki zarumieniły się. Pożądał jej i w tej niespełnionej namiętności kryło się cierpienie.

Pragnął wtulić się w młode ciało Mazarine. Jej świeżość go zbawi, sprawi, że wszystko będzie jeszcze możliwe, obudzi w nim to, co wydawało się dawno uśpione. Coś mu jednak mówiło, że za zaspokojenie swojej żądz przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę.

Przedtem nigdy mu się to nie zdarzało.

W najbardziej szalonych latach za pożądaniem szło spełnienie. Jeśli podniecała go któraś z pozujących mu modelek, kochał się z nią i bez ceregieli porzucał. Kaprys i spełnienie, głód i nasycenie, pragnienie i zaspokojenie - to elementy tej samej gry. Zawsze dostawał to, czego chciał.

Nagle jego wzrok padł na ścianę. Spoglądał stamtąd on sam, emanujący pewnością siebie, siłą, odwagą i wiarą w przyszłość. Wchodząca w życie dziewczyna ozdobiła swoją sypialnię niedbale powieszoną na ścianie fotografią wyciętą z książki.

Ten inny Cadiz, świeży i pełen życia, patrzył teraz na niego pełen zadufania, otoczony smugą papierosowego dymu.

Gdzie się podział Cadiz z tamtej epoki, przepełniony ideałami, które miały się urzeczywistnić? Wszystko zniweczyła starość.

Marzenia zagubione w prozie życia. Złudzenia odarte z magii i piękna.

Czyż nie marzenia budziły go każdego ranka i podrywały do działania?

Taka wiedza, świadomość tyle razy przekraczanych granic pozwalały mieć nadzieję na odzyskanie - już w innym, młodszym ciele - utraconej mocy, zdawałoby się, niewyczerpanej.

Spalał się w rozpacz, mamił resztkami złudzeń. Żył jakby w półśnie, w nużącym czuwaniu, które do niczego nie wiodło. Czasami myślał, że choć nie jest już sobą, to póki nie gnije jego ciało, on sam ciągle żyje.

Przyszedł tu, aby odnaleźć siebie, zrozumiał jednak, że już go tu nie ma. Stał

się widmem, żyjącym tylko poprzez własne pragnienie, pożądanie, jakie wzbudzała w nim Mazarine.

Żył dzięki niej.

25

Sara Miller była pewna, że nagła ucieczka męża jest spowodowana czymś innym.

Przyzwyczaiła się, że czasami szedł w środku nocy do atelier malować, gnany porywem natchnienia, jednak jego zachowanie w ostatnich dniach kazało myśleć, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Od pamiętnej inauguracji wystawy w Grand Palais miała wrażenie, że Cadiz nie potrafi się odnaleźć, jakby życie nagle straciło dla niego sens. Rozterki i wątpliwości nie pasowały do charakteru urodzonego zwycięzcy. Pił więcej niż zwykle i był bardziej zamknięty w sobie. Niepokój widoczny na jego twarzy zmuszał go do ciągłych rejterad i powrotów, pojawiania się i znikania, czekania na coś, co nie nadchodziło. Coś w nim pękło i zmienił się nie do poznania.

Odkładał gazetę, nie czytając jej, żądał i rozkazywał, służbę traktował despotycznie, nie odpowiadał na pytania żony. Unikał jej towarzystwa, szczególnie wieczorem. Kładł się do łóżka późno, kiedy był pewny, że ona już śpi.

Nie mogła już tego dłużej wytrzymać.

Kto nie ma tajemnic, których nie chce nikomu wyznać? Nie rozpowiada na lewo i prawo o swoich potrzebach i nie ukrywa przeżytych zawodów? Czy ktoś ośmieliłby się spytać odnoszącą sukcesy Sarę Miller, i to w jesieni jej życia, co sądzi o małżeństwie, przyszłości, indagować o to, co czuje, jak również o to, co przeżyła, a co przegapiła?

W ciągu minionych lat zarejestrowała okiem aparatu mnóstwo cudzych cierpień. Zawsze starała się przeświecić duszę widoczną w oczach fotografowanych osób, o nieobecnych, kamiennych twarzach. Jedno wielkie łgarstwo. Większość z nich przegrała swoje życie i nie spełniła marzeń.

Przez te lata usilnie próbowała odsłonić prawdę uniwersalną, którą bezlitośnie obnaża dopiero starość, że ludzka egzystencja to przechodzenie z nicości w nicość. Jesteśmy jak te biedne chomiki uwięzione w klatce: kręcimy się w kółko i nie posuwamy ani o krok do przodu, choć utrudzeni i wyczerpani wierzymy, że przemierzyliśmy tysiące kilometrów życia, a nasz wysiłek się opłacał. Zasługujemy więc- na spokojny sen. Musimy zebrać siły, ponieważ jutro czeka nas nowy dzień. Kolejne złudzenia, nowe cele i wyzwania. Znowu kręcimy się jak w kierunku, w złudnym poczuciu, że zmierzamy dalej i dalej, choć nie zbliżamy się nawet o milimetr do utraconego raju, gdzie wszystko nabrałoby sensu.

Tak. Czowała się znudzona, pusta i wypalona, a na dodatek samotna, niezmiernie samotna i znużona.

Mąż chwilowo cierpiał na impotencję, u niej nasilała się oziębłość. Udawanie weszło jej w krew, robiła to coraz częściej, niemal każdej nocy. Wyschnięte zmysły, suchość pochwy, wysuszona dusza. Od jak dawna?

To nie było klimakterium; miała to już za sobą. Menopauza zabrała jej hormony, obdarowała dusznościami, uderzeniami gorąca, nocnymi potami i palpatacjami serca, ale teraz cierpiała na coś zupełnie innego.

Cadiz znajdował się u kresu swej drogi twórczej, ona już wykonała swój łabędzi śpiew.

Dlaczego, chociaż łączyła ich miłość, zaufanie, nie potrafili pogodzić się ze swoją samotnością i cierpieniem?

Czemu nigdy nie rozmawiali o smudze cienia, która zaczęła ich zasnuwać, o osaczającej ich we dnie i w nocy starości?

Zacznęły im doskwierać niewidoczne wewnętrzne zmarszczki. Każdemu w

inny sposób. Zmarszczki mimiczne powstające od śmiechu potrafili zaakceptować. Gorsze były rysy ukrywane wśród szlamu nieusuniętych nieczy-

TLR

stości, których mogliby się pozbyć, oczywiście, gdyby mieli na to czas.

Właśnie budził się nowy dzień. Widoczne przez okno kontury wyziębionego Paryża, wypluwającego z siebie opary leniwych ziewnięć, dodawały udręki smętnemu pejzażowi rozmyślań Sary.

Cadiz jeszcze nie wrócił.

-*Madame...* dobrze się pani czuje? - Głos służącej przywołał ją do rzeczywistości - Ma pani ochotę na kawę?

- Kochana Juliette, to, czego w tej chwili pragnę, nie znajdę w filiżance z kawą.

Juliette pracowała dla nich przez całe życie. Była dyskretna i ciepła. Sara traktowała ją jak członka rodziny.

- Proszę się nie martwić, *madame*. - Stara kobieta spojrzała jej w oczy z czułością. - Wróci. Oni zawsze wracają.

- Powrót niczego nie rozwiązuje. To znacznie bardziej skomplikowane.

- Czasami trzeba odejść, żeby się odnaleźć. Gubimy się na starość. Nie wiemy, co zrobić z tak grubym pokładem mądrości. Wolelibyśmy znowu być czyści jak niezapisana kartka. W dojrzałym wieku już nic nie jest w stanie nas zaskoczyć, a właśnie w niespodziance kryje się smak życia.

- Jestem już tym wszystkim zmęczona, Juliette. Chciałabym, żeby coś mną wstrząsnęło, pragnę zadrzeć z rozkoszy. .. Czuję się wypalona.

- Wszyscy chcemy być tacy, jacy byliśmy kiedyś, przeżywać i odczuwać z młodzieńczą świeżością. W naszym wieku, *madame*, nawet marzenia nas nie zaskoczą. Zaczynamy się powtarzać.

Rozmowę przerwał zgrzyt klucza obracającego się w zamku. Wrócił Cadiz. Juliette dyskretnie usunęła się do kuchni.

- Czemu wstałaś tak wcześnie? - spytał malarz, podchodząc do Sary Próbował ją pocałować, ale ona się uchyliła.

- Gdzie byłeś?

- Nigdy nie zadawałaś mi takich pytań, Saro.

- Bo nigdy nie byłeś tak bardzo obcy.

- Co się z tobą dzieje?

- Ze mną nic. Powiedz raczej, co dzieje się z tobą, Antequera.

Cadiz podszedł do barku i nalał sobie podwójną whisky. Gdy żona była na niego zła, co zresztą zdarzało się rzadko, zwracała się do niego po nazwisku.

- Pijesz o tej porze?

- Nie spałem.

- Powiedz... co ci jest?

- Sam nie wiem, Saro.

- Chcę znać prawdę.

- Jaką prawdę? Nie ma jednej prawdy. Prawda nie istnieje. Jest tylko to, co pragniesz usłyszeć. Co mam ci powiedzieć, skoro czuję się bardziej zagubiony niż ty?

Sara popatrzyła na niego zdumiona. Cadiz wypił whisky jednym haustem.

- Pragnienie... męczy mnie pragnienie - wyszeptał.

- Jesteś zakochany? O to chodzi? Czy właśnie to chcesz mi powiedzieć?

- Jestem wyczerpany, Saro.

- Odpowiedz na moje pytanie.

Cadiz spojrzał na żonę zmęczonymi oczami. Nie miał śmiałości przyznać się do wszystkiego, więc pozostało mu kłamać.

- Nie, nie jestem zakochany, ani nic w tym rodzaju. Nie jestem ani tu, ani tam... Prawdę mówiąc, czuję się tak, jakby mnie w ogóle nie było. Straciłem poczucie własnej tożsamości. Rozumiesz?

- Skąd wracasz?

Nie odpowiedział. Sara nie zrozumie, że spędził noc w łóżku dwudziesto-trzyletniej dziewczyny i nawet jej nie dotknął. Emanująca z niej energia sprawiła, że znowu poczuł się pełen życia. Odnalazł sens egzystencji, tylko na nią patrząc. Poszedł do sypialni. Sara za nim.

Już miała zadać kolejne pytanie, ale malarz ją powstrzymał.

- Nie, Saro, proszę cię... nie teraz.

Jednym ruchem rozdarła na sobie piżamę, stanęła przed mężem zupełnie naga i podtrzymując przywiedle piersi, spytała prowokująco:

- Już cię nie pociągają, bo są obwisłe? Już nie masz ochoty ich pieścić?

Cadiz spuścił wzrok.

- Ty tchórze! Popatrz na mnie, to ja, twoja żona. Ta sama Sara, co zawsze. Zestarzałam się tak jak ty. A może u siebie tego nie widzisz? Chodź! - Złapała go za rękę i pociągnęła do lustra. - Przyjrzyj się sobie! - W ataku hysterii Sara próbowała zedrzeć z niego ubranie, ale powstrzymał ją. - Spójrz na siebie! Myślisz, że to, co widzisz, to złudzenie? Lustro nie kłamie. Jesteś stary tak samo jak ja. Skóra zwisa nam płatami. Zaczynamy śmierdzieć starością i żadne perfumy tego nie ukryją. Nasze usta już nie smakują miodem, tylko pleśnią, rozumiesz? Spójrz na siebie! Łysiejesz i cały robisz się zwiotczały. Myślisz, że tego nie widzę? Masz teraz krzaczaste brwi, z uszu wyrastają ci włosy... Przypatrz się sobie! Dostrzegasz moje zmarszczki, a swoich nie widzisz?

Cadizowi zrobiło się żal ich obojga. Wyczerpana Sara osunęła się na podłogę i zaczęła płakać. Jej bezbronne, nagie ciało tworzyło na parkiecie białą plamę.

Objął ją.

Ogarnął ich wir splątanych uczuć i popchnął w stronę łóżka. Cadiz szybko ściągnął spodnie, Sara zerwała z niego koszulę. Jego męskość ocknęła się z letargu. Pochylony nad

ciałem żony wybuchnął płaczem. Sara jęczała. Nie wiedzieli, co czują, ale przynajmniej coś czuli. Przebudzone ciała wyginały się, skręcały i tuliły wygłodniałe. Wznosili się coraz wyżej i wyżej, póki nie wpadli w otchłań bez pamięci.

Bez

imion, bez przeszłości. Z zamkniętymi powiekami, żeby siebie nie widzieć i nie doznać rozczarowania. Pikujący lot... upadek i powrót.

Spali przez cały dzień. Bali się otworzyć oczy i zobaczyć bezbarwną rzeczywistość: szary obraz, prześwietlone przez czas zdjęcie. Bali się przebudzić w innym śnie - w koszmarze, który normalnie nigdy by się im nie przyśnił.

26

Tej nocy członkowie Arts Amantis zebrali się jak zwykle w paryskich katakumbach, w niedostępnej dla turystów części podziemia, która zachowała swój pierwotny, posepny i złowrogi wygląd. Od wejścia długi tunel wiódł do surowego wapiennego panteonu, o ścianach wyłożonych kośćmi ich poprzedników, zameczonych podczas licznych masakr i rzezi w dawnej Oksytanii. Szkielety tu znalazły wieczny odpoczynek. Otulający grotę półmrok rozjaśniało jedynie migotliwe światło pochodni. Głosy zgromadzonych odbijały się głuchym echem od ścian. Rozmowa dotyczyła najważniejszego w ostatnim czasie tematu: Świętej.

Członkowie bractwa przywdziali z tej okazji białe szaty z wyhaftowanym na piersi symbolem zakonu. Nadrzędnym celem tych ludzi, niezależnie od wykonywanej profesji, czy to malarza, pisarza, profesora, muzyka, czy artysty było przekazanie ideowego dziedzictwa potomnym. Wśród nich nie było ani jednej kobiety.

- Ciało? - powtórzył Mężczyzna o Zamglonych Oczach, zwracając się do wielkiego mistrza. - Nie wiem, gdzie jest, panie. Nie jestem pewny, czy ono w ogóle istnieje.

- Co jest dla nas ważniejsze: odnalezienie ciała czy potwierdzenie, że Święta i dziewczyna pochodzą z jednej rodziny? - zapytał przyboczny mistrza.

- Dlaczego uważasz, że pochodzi z rodziny Świętej? Na razie jest to tylko nasza hipoteza.

- A medalion? - nalegał kolejny.

- I starzec, który ciągle jej towarzyszy? - stwierdził inny.

- A jeśli to zasadzka?

- Może to jakaś oszustka...

- Albo wariatka.

- Tak, ktoś, kto ośmiela się zabawiać świętym symbolem, nie jest godzien należeć do naszego bractwa.

- Być może to tylko biedna przerażona dziewczyna. Nie pomyśleliście o tym?

- Cisza! - krzyknął wielki mistrz. - W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Naszym zadaniem nie jest snucie domysłów, lecz konkretne działanie. Nasi poprzednicy usilnie starali się dowiedzieć, gdzie spoczywa ciało Świętej. Jeden z naszych braci - wskazał na Mężczyznę o Zamglonych Oczach - twierdzi, że trafił na wyraźny ślad. Pozwólcie mu mówić.

- Dobrze, niech mówi - odezwały się głosy.

- Złotnik może to potwierdzić - rzekł Mężczyzna o Zamglonych Oczach.

- Tak, mistrzu - oświadczył jubiler. - Klejnot, który otrzymałem do ekspertyzy, jest z całą pewnością autentyczny. Wygrawerowany znak to bez wątpienia symbol naszego zakonu. Metal nie jest stopem, lecz czystej próby jedenastowiecznym srebrem, z rytami charakterystycznymi dla tamtej epoki. Na pewno jest to ten sam medalion, który założono na szyję Świętej tuż po jej śmierci.

- Nie było rozkazu, abys go zatrzymał - zaznaczył wielki mistrz, patrząc z naganą na Mężczyznę o Zamglonych Oczach. - Ocena fachowca stanowi pewien dowód. Teraz już wiemy, że urwany przed wiekami ślad pojawił się znowu.

- Ona jest malarką, mistrzu. Dlatego ośmielam się zauważyć, że może być jedną z nas, tyle tylko, że należy do jakiegoś innego, nieznanego nam odłamu Arts Amantis.

- Wątpię - przerwał mu jeden z braci.

- Codziennie po południu przychodzi do La Ruche na lekcje. - Mężczyzna o Zamglonych Oczach próbował zaimponować swoją wiedzą.

- Do La Ruche? - ożywił się jeden z artystów. - Do Cadiza?

- Znasz go? - zapytał mistrz.

- A któż go nie zna, mistrzu? Przez niego moje dzieła pozostały nieznanne. Zmonopolizował wszystko: galerie, marszandów, wielkie wystawy, publikacje, wydawnictwa...

- Sądzisz, że Cadiz domyśla się, kim ona jest? – zapytał mistrz.

- Jeśli tak, jesteśmy zgubieni. Ten człowiek może sprawić, że dziewczyna zniknie i nigdy już jej nie zobaczymy. On ma cały Paryż u swoich stóp.

- Co może się dziać w atelier malarza?

- Czy nie przyszło wam do głowy, że ciało Świętej może być tam ukryte? To takie odludne, odizolowane od świata miejsce. Nikt nie podejrzewa, że mogłoby być tam schowane.

Zgromadzeni snuli domysły, stawiali hipotezy. Ferowali wyroki i skazywali. Wśród podejrzeń i intryg temat spotkania zszedł na dalszy plan. Wszyscy rozprawiali z podnieceniem.

- Dualizm wyuzdany! - wykrzyknął jeden z niedocenianych artystów - to kierunek pseudoartystyczny, który wymyślił ten człowiek na określenie swoich dzieł, aby je drożej sprzedać. To zwykłe śmieci!

TLR

- Milcz! - odpowiedział inny. - Popadasz w histerię, bo czujesz się zraniony.

Nie potrafisz być obiektywny.

-A cóż wspólnego ma dualizm wyuzdany z naszą Świętą?

- Proszę o ciszę - zażądał stanowczo mistrz i patrząc na Mężczyznę o Zamglonych Oczach, dodał: - Czy masz jakieś zdjęcia dziewczyny?

- Tak, mistrzu.

Wyciągnął spod szaty kopertę ze zdjęciami śpiącej Mazarine, zrobionymi tej nocy, kiedy włamał się do jej domu, i rozłożył je na kamiennym ołtarzu.

- Przecież to Dziewica! - wybuchnął zbiorowy okrzyk.

-Ty - mistrz wskazał na Mężczyznę o Zamglonych Oczach - zajmiesz się poszukiwaniem jakiegoś śladu w atelier malarza. Fotografuj wszystko, co znajdziesz, choćby pozornie nie miało to związku z naszą misją. Śledź ją we dnie i w nocy, ale pamiętaj - ostrzegł - nie wystrasz jej. Działaj dyskretnie, tak żeby cię nie zobaczyła. To zadanie wymaga sprytu, a nie siły. Czekaliśmy całe wieki, nie próbujmy zatem rozwikłać tej sprawy w ciągu paru dni. Spotkamy się ponownie w odpowiednim momencie.

Mistrz dał znak, że uważa zebranie za zakończone.

-*Mon energie, c'est l'amour* - powiedział z uniesioną w górę ręką.

-*Je l'accepte. Je te le donne* - odpowiedzieli zebrani.

Mazarine szła boso po Champs Elysees, otulona w czarny wełniany płaszcz, spowita kokonem samotności, z sercem rozdartym rozczarowaniem. Po chorobie wznowiła ulubione lekcje w La Ruche. Spędzała tam całe dnie, mimo to nie potrafiła znaleźć sposobu na przekroczenie wyznaczonej przez Cadiza granicy. Niezaspokojony głód powodował bezustanny niepokój i niebezpiecznie popychał

ją ku otchłani.

Krzycząca zachłanność i nienasycenie.

Wściekłość i miłość.

Więzienie i chłód.

Wystawa Sary Miller nadal zajmowała chodniki. Anonimowe istnienia wtopiły się w pejzaż miasta. Krzyk protestu wznoszony w szarej ulicznej rzeczywistości już nie przyciągał niczyjej uwagi. Cudze nieszczęście już nie zaskakiwało. Przechodnie mieli własne zmartwienia.

Na szerokiej alei niespodziewanie natknęła się na fotografię mężczyzny, który ją śledził. Nie mogła wprost uwierzyć w to, co widzi: odrażający prześladowca przeżył wyzywająco pierś i demonstrował znajomy, tak bardzo jej drogi znak.

Nie spuszczać wzroku ze zdjęcia mężczyzny, wyjęła medalion spod płaszcza i porównała widniejący na nim symbol ze stygmatem odcisniętym na skórze tego człowieka. Były identyczne. O co tu chodzi? Co się kryje za tym znakiem? Kim jest tajemniczy nieznajomy? Czego od niej chce? Schowała medalion pod ubraniem i rozejrzała się czujnie w koło, szukając tych dziwnych oczu o pokrytych bielmem, zamglonym spojrzeniu, które ostatnio ją prześladowały. Ale nigdzie ich nie dostrzegła.

Tego wieczoru Cadiz umówił się z nią pod Łukiem Triumfalnym. Pierwszy raz poza pracownią. Mazarine szła, a na jej twarz spadały delikatne płatki śniegu, zwiastuny nocy o satynowej bieli. Lubiła śnieg; pod nim uliczne brudy stawały się niewidoczne. Paryż zmieniał się w miasto przepełnione melancholią, odludne i wyciszone. Biały całun tłumiał zrozpaczony krzyk świata.

W ciągu paru minut ulice pokrył nieskazitelnie czysty śnieg. Ludzie chowali się przed nim pod parasolami, ale ona szła spokojnie. Bose stopy zostawiały ciemne ślady, jak na płótnie do malowania.

Długi marsz nie sprawiał jej bólu. Nie czuła zimna. Znieczuliła się na kaprysy pogody. Przy końcu alei mglisty pejzaż przecinała ciemna sylwetka malarza.

Stał pod Łukiem Triumfalnym, samotny i nieprzenikniony, w czarnym, ob-
sypanym płatkami śniegu płaszczu, z siwymi, potarganymi włosami, spowity
kłębamii dymu mieszającymi się z mgłą, i wpatrywał się w nią uporczywie. W jego
spojrzeniu dostrzegła wszystkie utajone pragnienia.

- Czemu umówiłeś się ze mną właśnie tu? - spytała Mazarine, całując go w
nos.

- Bo to jest nasz triumf.

- Triumf? Nad czym?

- Nad życiem. Rzuciliśmy mu wyzwanie i wygraliśmy.

- To ty tak myślisz. Życie nas pokonało, bo nie możemy być razem. Przegra-
liśmy z przesadami.

-Maleńka, nie musimy być razem, abyśmy czuli się szczęśliwi.

- Jesteś masochistą i sadystą.

- Nie. Jestem realistą i marzycielem.

- Sama nie wiem, po co przychodzę do twojego atelier ani czemu tu przy-
szłam. Nie wiem, dlaczego ciebie słucham.

- Ponieważ nie możesz mnie nie słuchać.

- Męczy mnie to stawianie Ograniczeń, wiesz? Wydaje ci się, że z racji wieku
wszystko już przeżyłeś. Powinnam od ciebie odejść.

- Odejść? Dokąd? Gdziekolwiek pójdziesz, będę tam na ciebie czekał. Uwierz
mi - objął ją czule - nic nie tracisz. To, co robimy, jest znacznie bardziej emo-
cjonujące. Chodź... - Pociągnął ją pod neonową lampę. - Stań przede mną. Maza-
rine podjęła grę. Cadiz ciepłem swego oddechu utworzył w chłodnym powietrzu
krąg pary. Ona uczyniła to samo. Oddechy połączyły się i zmieszały.

- Czujesz mój pocałunek?

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem. - Jest przeznaczony wyłącznie dla ciebie,

jedyny. Tak będziemy się całować tylko my dwoje.

- Chcę jeszcze. - Musnął ustami wargi Mazarine. - Idziemy - powiedział, biorąc ją za rękę.

Wchodzili po schodach, niemal stykając się duszami. Na tarasie Łuku Triumfalnego nie było nikogo.

Ogarnęło ich poczucie niezmiętej władzy. Z tej wysokości życie było takie, jakiego pragnęli. Byli jego panami.

Znajdowali się w samym środku rozświetlonej gwiazdy, 1'Etoile, w miejscu, gdzie zbiegały się najważniejsze arterie.

W monotonnym chaosie samochody nadjeżdżały i odjeżdżały. Tym zamętem zarządzały automatycznie światła sygnalizacji ulicznej: zakazywały lub zezwalały. Wszyscy byli im posłuszni. Ludzie zapomnieli o buncie, podporządkowali świetlnym sygnalizatorom swoje życie. Nikt nie podnosił głowy, nie spoglądał w górę.

Cadiz znowu poczuł się młody. Świat leżał u jego stóp.

Śnieg sypał coraz gęściej i w zupełnej ciszy otulał lodowatym tiulem ich ciała. Na białym całunie odznaczały się białe stopy dziewczyny. Cadiz nie mógł oderwać od nich oczu.

- Pozwól mi je pocałować - poprosił i nie czekając na odpowiedź, rzucił się na nie jak spragnione łakoci dziecko.

Całował je powoli, z oddaniem, zlizywał śnieg z palców, zagłębiał język w przestrzenie między nimi. Ssał je po kolei z narastającym pożądaniem. Mazarine czuła jego gorący oddech na stopach. Może zdarzy się to właśnie dziś?

Rozpięła płaszcz.

Pod spodem była naga. Białe płatki roztopiały się na ciepłej skórze, spływały między piersiami, ześlizgiwały się na miodowe łono, skapywały na twarz patrzącego na nią z dołu Cadiza, który wprost pożerał ją oczami.

Nie potrafił się bronić.

Tyle ciała widział, rysował, malował i posiadał, jednak dopiero jej ciało zdołało go poruszyć. Gwałtownym, namiętym ruchem przewrócił Mazarine na ziemię i zdarł z niej płaszcz. Na śnieżnym całunie obnażone piękno uczennicy, której jedynym okryciem był medalion, wzbudziło w nim pożądanie. Był jak opętany. Czuł, że kocha do szaleństwa. Mazarine serce waliło jak młotem. Pod dłonią wyczuwała bicie serca Cadiza. Gdy wsunął ręce między jej nogi, cicho jęknęła. Jeszcze nikt nie ośmielił się dotknąć tego miejsca.

- Nie mogę! - krzyknął.

Nie mógł. Przygniotły go udreki i kłopoty. Przed oczami wirowały chaotycznie: wystawa, która wkrótce miała się odbyć, publiczność, jego obrazy, żurnaliści. Ego artysty, gniew, bunt, obietnica, niemoc twórcza, impotencja... Sara. Paraliżował go lęk, że straci wszystko, co osiągnął. Ta wspaniała chwila, kiedy czuł się panem świata, minęła. Pozostawiła po sobie przerażającą niepewność, którą bezskutecznie starał się ukryć. Opanował się. Rozpalone ciało Mazarine wiło się i drżało.

- Przykro mi, maleńka. Naprawdę mi przykro - powiedział, przykrywając ją płaszczem.

Z ostatniego podestu schodów prowadzących na taras widokowy Łuku Triumfalnego obserwował tę scenę Mężczyzna o Zamglonych Oczach. Każdy trop mógł go zaprowadzić do Świętej.

Pożegnali się przed zniczem pamięci przy Grobie Nieznanego Żołnierza, jakby ten wąty płomień mógł rozpalić to, co właśnie zgasło. Cisza aż krzyczała. On odszedł znie-

chęcony avenue Foch, ciasno otulony płaszczem, jakby chciał się w nim ukryć. Ona znieruchomiała przed wątłym płomieniem, deptając bosymi stopami skrzydła orła z brązu, który nigdy nie poderwie się do lotu.

Zanim pozwoliła mu odejść, zapragnęła go obrazić, wyrzucić z siebie to wszystko, co o nim myślała i co czuła, ale widząc, jak bardzo jest przybity, wybrała milczenie. Oprócz niego nie miała nikogo więcej. Jeśli go straci, będzie zgubiona. Na zawsze pozostanie smutną, samotną, niekochaną dziewczyną. Zranionym ptakiem, który nie uleci w przestworza. Pustą w środku, gipsową figurą.

Wkroczyła w dorosłość pozbawiona miłych wspomnień.

Z dzieciństwa zapamiętała jedynie śmiertelne zimno ojcowskiego czoła, gdy leżał w surowej, drewnianej trumnie, i badawczy, cenzorujący wzrok matki, zły i rozgoryczony, grożącym palcem nakazującej dobre maniery, wpajającej nieznośne zasady służące tylko temu, aby zniszczyć jej dziecięcą radość.

Całe jej życie było pasmem udreki. Sukienki małej Mazarine przenikał odór lęku. Dzieciństwo pozbawione złudzeń i czułych słów. Niezaspokojone pragnienie miłości. Najwspanialszą zabawą było ukrywanie się w szafie ze Świętą i udawanie przed nią, że jest dobrą albo złą dziewczynką. W tym mrocznym zakamarku otrzymywała to wszystko, czego nie dawali jej rodzice. Tylko tam czuła się szczęśliwa, a jej istnienie nie było owocem pomyłki. I wcale nie urodziła się po to, aby być jeszcze jednym sprzętem w tym ponurym domu.

Szafa stała się miejscem, gdzie w wyobraźni mogła przybierać różne formy i kształty: rozciągnąć się w nieskończoność albo skurczyć do wielkości niewidocznego, ale dokuczliwego pyłku kurzu, zaśmiecającego duszę jej matki i przypominającego jej o nieszczęściu... Tego, który w końcu ją zabił. O to także oskarżyła córkę na łożu śmierci. Nawet w tych ostatnich chwilach życia matka nie powiedziała jej ani jednego ciepłego słowa.

W szafie czas upływał spokojnie i życie stawało się proste. Mówiła do Świętej i była wysłuchana, co w jej wypadku znaczy to samo, co kochana. Zamykała oczy

i przenosiła się w świat jak w hollywoodzkim technicolorze; wymyślała ramiona, które nigdy jej nie przytulały, pocałunki, których nigdy nie otrzymała. W szafie nikomu nie przeszkadzała, była zawsze mile widziana. Tam stawała się częścią rodzinnej historii, a nie zbędnym bagażem, niepotrzebnym i obciążającym. Ukryta w drewnianym wnętrzu przechadzała się po ogrodach i plażach, po ulicach, na których nie czyhały potwory. W tej kryjówce ludzie się do niej uśmiechali przedstawiała być niewidzialna. Tam wszystko było ulotne. Ciemność przechodziła w światło. Brzydota zmieniała się w piękno. Zmarła ożywała. Dziewczyna stawała się lalką. Łza - uśmiechem. Milczenie - słowem.

Wieczny sen Świętej zawierał całą magię życia. Dlatego tak bardzo ją kochała.

Musi jak najszybciej wrócić do domu i zamknąć się w szafie ze Sienną. Potrzebowała otuchy, pocieszenia. Sama nie wiedziała, czego pragnie. W takich chwilach jak ta śmierć i życie były bardzo do siebie podobne...

Przyspieszyła kroku i ciaśniej otuliła się czarnym płaszczem. Spływające po jej zaczerwienionych policzkach łzy połyskiwały jak diamenty. Śnieg nie przedstawiał sypać. Z kawiarnianych ogródków na Champs Elysees dochodziły odgłosy rozmów, unosiły się kłęby dymu, zmieszane z zapachem piwa i aromatem kawy. Tuż przed place de la Concorde zniknęła w wejściu do metra.

Pascal obudził się z zachowanym w pamięci pięknym wspomnieniem, które nie dawało mu spokojnie spać: obrazem bosonogiej dziewczyny w czarnym płaszczu na Champs Elysees. Długie poły falowały w rytm jej kroków, odsłaniając i zakrywając smukłe nogi. Zagubiony we wszechświecie bosonogi anioł. Czy to,

co widział wczoraj wieczorem, było prawdą czy złudzeniem?

Ganił siebie za to, że nie ośmielił się do niej zbliżyć. Nie pozwoliły mu na to szacunek i skrępowanie na widok cudzych łez. Zauważył, że dziewczyna jest piękna w swoim smutku, pogrążona w wewnętrznych rozterkach.

Nigdy nie umiał odczytać tego, co kryło się za łzami, chociaż widział ich wiele w swoim życiu.

Właśnie wrócił z Harvardu po zakończonych z wyróżnieniem studiach doktoranckich dotyczących psychoz i na nowo odbudowywał swoje życie w Paryżu.

Gdy brał prysznic, znowu pomyślał o dziewczynie. Kto przy zdrowych zmysłach chodzi boszo po śniegu? Ileż wrażliwości mieści się w tym oderwanym od kontekstu obrazie, tak niepasującym do pory roku!

Bose stopy na plaży nie budziły w nim żadnej fascynacji. Magnetyzm dziewczęcych stóp na ulicznym bruku sprawił jednak, że spędził niemal bezsenność noc.

Mimo iż skończył trzydzieści lat, ludzka psychika nadal stanowiła dla niego nieodkryty i niezbadany ocean. Postanowił poświęcić się zgłębieniu tej tajemnicy, by lepiej poznać samego siebie. Wierzył, że psychoanaliza pozwoli mu nie tylko zrozumieć innych, ale przede wszystkim dotrzeć do własnego, głęboko ukrytego „ja”. Pacjenci byli dla niego najwierniejszym zwierciadłem. Im się zdawało, że płacą mu za to, aby ich zrozumiał, tymczasem on po prostu odnajdywał w nich siebie.

Współczuł tym ludziom. Większość z nich żyła w poczuciu niskiej wartości, nieakceptowana przez otoczenie, podczas gdy od cudzej aprobaty uzależniali swoje istnienie.

Im więcej się uczył i lepiej poznawał ludzką psychikę, tym bardziej oddalał się od znalezienia prawdy, tym bardziej czuł się oderwany od swojego miejsca na ziemi. Był jeszcze jedną ofiarą. Nie prosił się na ten świat, dlaczego więc musi teraz dokonywać cudów, aby odnaleźć sens w tym, że do niego należy? Ile osób

myśli w podobny sposób?

Wciągnął na siebie wytarte dżinsy, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł z domu. Zbliżało się Boże Narodzenie, a on nie miał jeszcze żadnego prezentu. Cały ranek spędził na oglądaniu wystaw sklepowych, odwiedzaniu antykwariatów w poszukiwaniu jakiegoś drobiazgu, który ze względu na swoją wartość wyraziłby za niego to, czego nie potrafił powiedzieć swoim rodzicom: że mimo wszystko bardzo ich kocha.

Znalazł odpowiednie prezenty i taksówką podjechał na rue Robert Lindet. Zanim zrobił ojcu niespodziankę swoim niezapowiedzianym przybyciem, wstąpił do narożnego bistro. Wpatrzony w szklane drzwi zerknął spod oka na mężczyznę, który złorzecząc pod nosem, obsesyjnie grał na „jednorękim bandycie”. Jeszcze jeden chory z samotności, dryfujący w poszukiwaniu przelotnego sukcesu - pomyślał.

Nagle stara kuta żelazna brama otworzyła się i na czarny płaszcz wychodzącej przez nią młodej kobiety osypał się śnieżny puch. Pascal odstawił filiżankę z kawą i spojrzał na jej stopy: szła bosą. Poderwał się z miejsca. Poznał ją. Z La Ruche wyszła właśnie dziewczyna, przez którą nie mógł zasnąć w nocy. Patrzył, jak odchodzi pasażem de Dantzig i nie namyślając się długo, ruszył za nią. Dogonił ją dwie przecznice dalej.

- Dlaczego płakałaś wczoraj wieczorem? Człowiek, który skrzywdził kogoś takiego jak ty, nie zasługuje na twoje łzy.

Zaskoczona Mazarine podniosła wzrok i napotkała pełne dobroci i życzliwości oczy.

- Zostaw mnie - odpowiedziała szorstko.

- Przepraszam, chcę tylko przez chwilę z tobą porozmawiać. Wczoraj widziałem cię na Champs Elysees; byłaś bardzo smutna.

- Nie mam zwyczaju rozmawiać z nieznajomymi.

- Co mam zrobić, żebyś mnie nie traktowała jak nieznajomego?

- Proszę się do mnie nie odzywać.

-A gdyby znalazł się ktoś, kto by mnie przedstawił, przestałabyś mnie uważać za nieznajomego?

Mazarine zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i kiwnęła głową.

Pascal stanął przed nią i odegrał scenkę przypadkowego spotkania.

-Witaj, bosonoga dziewczyno w czarnym płaszczu. Przedstawiam ci mojego przyjaciela. Marzy o tym, żeby cię poznać... Pascal, chodź tu, nie wstydź się.

Wyciągnął rękę do Mazarine.

Gra w nieznajomego przypominała jej zabawę w dzieciństwie ze Świętą. Sztuczka podziałała.

- Jak się nazywasz?

- Mazarine.

- Dźwięczne imię. Mieszkasz w pobliżu?

- Nie, ale lubię spacerować.

- Mogę ci towarzyszyć?

- Tylko przez chwilę.

Szli niespiesznie pod ołowianym niebem, cierpliwie znosząc chłód zapowiadający mroźne, śnieżne święta.

- Co robisz dziś wieczorem? - spytał Pascal, starając się za wszelką cenę nawiązać z nią rozmowę, nawet w tak banalny sposób.

-Nic.

- Przecież to Wigilia.

- Wigilia - prychnęła. - A co to takiego?

-Spotkanie w rodzinnym gronie, prezenty, dużo ciepła...

- ... to bzdury! - Weszła mu w słowo. - Nie lubię tego.

- Nie masz dobrych wspomnień związanych ze świętami? Ja staram się ocalić z dzieciństwa to, co najlepsze.

- Słuchaj... - Mazarine zatrzymała się. - Ja tu zostaję.
- Tu? W środku Ogrodu Luksemburskiego? A gdzie mieszkasz?
- Dostyc tego! Żegnaj, Pascalu. I baw się dobrze na Wigilii.
- Poczekaj. Mogę do ciebie zadzwonić?

Mazarine zastanawiała się. Brakowało jej towarzystwa.

Cadiz nie interesował się wcale tym, co ona robi. W końcu podała mu numer komórki i umówili się na kolację któregoś dnia, po sylwestrze.

Pascal, odchodząc, ciągle się odwracał i spoglądał na siedzącą na ławce dziewczynę. Nie chciał się z nią rozstawać, ale też nie zamierzał się jej narzucać. Był pod wrażeniem melancholii, emanującej z oczu tej młodziutkiej kobiety.

Mazarine odwróciła wzrok od Pascala i zaczęła się przyglądać wielkiej oblodzonej fontannie, po której ślizgały się ptaki. Obok marzły rzeźby Dawida i Goliata. Nagie, pozbawione liści drzewa sprawiały przygnębiające wrażenie. Ogród, w lecie wypełniony opalającą się młodzieżą zajadającą bagietki, przeżywającą swój młodzieńczy bunt, zaczytaną w książkach, teraz był smutny i opuszczony, tak samo jak ona.

Zastanawiała się, dlaczego odprawiła Pascala, skoro wydawał się niegroźny. Dlaczego unika ludzi? Za co ciągle się karze?

Po powrocie do domu zastała zatkniętą w drzwi świąteczną kartkę ze Świętym Mikołajem. Rozłożyła ją i usłyszała znajome: „o, ho, ho, ho”, dochodzące z pozytywki. Arcadius zapraszał ją do siebie na świąteczną kolację. Nie miała ochoty. Weszła do domu i zamknęła się w szafie ze Świętą.

Drr... Drr... Drr... Komórka dzwoniła uparcie, ale Mazarine nie zamierzała jej odebrać. Schowała się w swojej dziwacznej kryjówce, bo tylko tam, w jej sank-

tuarium, czuła się bezpiecznie.

Tam leczyła rany, świadoma, że nici, którymi je zszywa, są słabe i znowu się zerwą. Przeprowadzała renowację siebie, podobnie jak konserwator naprawia zniszczony przez wandalów i czas obraz: przykładła kompresy, wypełniała ubytki, ożywiała kolory, wydobywała na światło dzienne ukrywające się w mroku widma.

Nie była chora, na pewno nie. To tylko żal i gorycz, towarzyszące jej od czasów dzieciństwa, wywołane stratą rodziców.

Drrr... drrr... drrr... Telefon nie przestawał dzwonić.

Ktoś nie dawał jej spokoju.

Rozdarta i zgnębiona, pragnęła oderwać się od smutnych myśli, zapomnieć o trudnej miłości, dawanej i odbieranej. Czuła się wewnętrznie rozbita. Miłość... Pojawiające się zniemacka pragnienie wysuszało gardło i dławiło. Nowy, nieznany głód dręczył nie ciało, lecz duszę.

Twarz Cadiza, biała połać śniegu dookoła, i ona naga, spłoniona ze wstydu. Płonący, a może zgaszony znicz – hołd złożony nieznanym żołnierzom, których śmierć nikogo już nie obchodzi. Lepiej pozbyć się wspomnień. Wyrzec się ich, wyrzucić z pamięci twarze, gesty, spojrzenia, słowa... Rozpłynąć się w nicości. Urodzić się martwą. Tak, właśnie tak, urodzić się martwą. Zwodnicze istnienie. Być, ale tak, jakby nie być.

Drr... drr... drr...

Wyszła z szafy i odebrała telefon.

- Mazarine? Tu Pascal. Pamiętasz mnie? Poznaliśmy się dzisiaj.

- Czego chcesz?

- Spotkać się z tobą. Mam coś dla ciebie.

- Nie lubię prezentów.

- To nie jest prezent.

-A co?

- Zobaczysz.

- Jest już bardzo późno.

- Nie przyjmuję odmowy.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Wcale nie chcesz, żebym zostawił cię w spokoju, Mazarine. To tylko tarcza, twój sposób obrony. Słowa przeczą temu, co dostrzegłem w twoich oczach. A oczy, jak wiesz, są zwierciadłem duszy

- A co ty wiesz o duszy?

- Dużo. Jesteśmy do siebie podobni.

- Nie znasz mnie.

- Ja nie, ale moja dusza tak.

- Mówisz tak, jakbyś był wszechwiedzący.

- Skąd w tobie tyle złości? A może bólu? - Głos Pascala jeszcze bardziej złagodniał. - Nie skrzywdzę cię. Zaufaj mi.

Mazarine chciała odłożyć słuchawkę, ale nie mogła. Walczyła ze sobą, aby nie odtrącić dłoni, którą do niej wyciągał.

Spojrzała na Świętą i spytała ją o radę. Pragnęła, aby powiedziała jej, że powinna się z nim spotkać. Sprzeczała się z nią, póki nie doszły do porozumienia: spotka się z nim.

Umówili się za pół godziny przed kawiarnią La Palette, na rue de Seine.

Gdy tam dotarła, Pascal już na nią czekał z bukietem róż i ciepłym uśmiechem.

Cichy księżyc wieńczył czyste niebo nad Paryżem, obsypanym świeżym śniegiem. Z okien domów dobiegały dźwięki kolęd, nappełniając radością zimową noc.

Kawiarnia była zamknięta z powodu świąt, tak jak prawie wszystkie lokale.

Bez słowa dobrnęli przez kopny śnieg nad brzeg Sekwany. Mazarine tego właśnie potrzebowała: obecności żywej istoty obok, zdolnej do uszanowania jej milczenia, kogoś, kto by jej nie zmuszał do rozmowy o niczym, kto by nikogo nie

udawał, był po prostu sobą. Kogoś anonimowego, niespragnionego sławy - tak przynajmniej sądziła - kogoś, kto oferował jej swoje towarzystwo w ten smutny wieczór. To był ten prawdziwy prezent: przyjaźń bez pytań, wynikła z przypadkowego spotkania.

Pascal postanowił się nie odzywać, póki ona pierwsza tego nie zrobi. Pociągała go bezbronność, kruchość tej dziewczyny, tajemniczy świat, w jakim przebywała, bosa stopy i całkowite wyobcowanie. Mogłaby być jego pacjentką. Czy pociągała go jako ewentualny przypadek kliniczny? Nie. To wcale nie był powód, nie będzie się oszukiwał. Jakkolwiek było, nie pasowała do żadnego schematu, jaki znał. Wszystko co przeczytał na temat miłości od pierwszego wejrzenia, przekonanie, że takie zjawisko nie istnieje, a pociąg fizyczny i miłość to dwie różne sprawy, obróciło się wniwecz. Ubiegłej nocy, gdy zobaczył ją, jak idzie Champs Elysees, emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Trudne przypadki to jego specjalność, ale teraz specjalistyczna wiedza mu nie pomoże. Zakochał się, i to do szaleństwa. Jakaś część tej dziewczyny znajdowała się daleko. I właśnie to - odległe i nieosiągalne - coś, co błyszczało w głębi jej oczu, najbardziej go w niej pociągało. Mazarine musi być jego, bez względu na to, jak długo przyjdzie mu ją zdobywać.

Nie wierzyłem w miłość od pierwszego wejrzenia, póki mnie nie dopadła i nie poraziła - pomyślał, patrząc na delikatny profil dziewczyny... i stopy.

Cisza nie przestawała dziergać niemych słów, które przepływały między nimi niewypowiedziane.

- Zimno mi - odezwała się Mazarine.

Pascal okrył ją swoim płaszczem i przytulił. Pozwoliła mu na to. Czowała się taka słaba.

- Każde słowo ma zabarwienie emocjonalne: wiąże się z życiem albo ze śmiercią. Zauważyłeś? - spytała.

-Masz rację... - Szukał słowa, które by ją rozgrzało. - Ogień. Czy rozgrzewa cię słowo ogień?

Mazarine zamyśliła się. Przywołała obraz ciepła bijącego od kominka i skinęła głową.

Przez chwilę zabawiali się, podkładając pod abstrakcyjne pojęcia swoje wyobrażenia: ubierali słowa w materię. Jedne unosiły się jak ważka albo płatek kwiatu, inne pieściły jak piórko albo pędzel, jeszcze inne miały zapach i smak, jak miód czy wino. Zatrzymali się pod Pont au Double, w pobliżu domu Mazarine.

- Czym się zajmujesz, Pascalu?

- Słuchaniem.

- Słuchaniem czego?

- Cudzych opowieści.

- Nie przerażaj mnie. Jesteś księdzem? Czyżbyś był spowiednikiem ludzi pogrążonych w rozpacz i ratował ich dusze od potępienia? Powiedz, czy dlatego umówiłeś się ze mną? Czy zastosujesz wobec mnie akt miłosierdzia?

- Nie jestem księdzem.

- Więc kim?

- Staram się, aby to nie był tylko mój zawód.

- Dobrze, nic nie mów. Sama zgadnę.

Pascal nie czekał.

- Jestem psychiatrą - wyznał.

- To znaczy, że masz do czynienia z szaleńcami. – Zrobiła spłoszoną minę. - Sam jesteś trochę szalony.

- Wszyscy jesteśmy odrobinę szaleni, Mazarine. Bez tego nie ma równowagi psychicznej. Nasze istnienie to otwarty okrąg. Mimo rozczarowań coś zmusza nas do ciągłych poszukiwań, a potem do kolejnych i jeszcze kolejnych... Kiedy krąg się zamyka, umieramy.

- Nie rozmawiajmy o życiu.

- Dobrze, pomilczmy...

Przyciągnął ją do siebie. Czuł bijącą od Mazarine energię. Oparła głowę na jego ramieniu i pozwalała się prowadzić. Wyglądali jak para zakochanych, przechadzająca się brzegiem Sekwany. Zbliżała ich do siebie świadomość tych samych niezaspokojonych potrzeb i poczucie pustki - ta mroczna strona, w którą lepiej się nie zagłębiać, aby nie wpaść w otchłań samotności.

Nie mógł wiedzieć, że myśli Mazarine krążą wokół Cadiza.

Wyobrażała go sobie świętującego Boże Narodzenie z żoną, w tłumie eleganckich mężczyzn i wytwornych kobiet, strzelające korki od szampana... Nigdy nie będzie z nim podczas świąt. Mocniej przytuliła się do Pascala.

Pod katedrą Notre Dame jakiś pijak spał przykryty stertą kartonowej maku-latury, otoczony pustymi butelkami. Nie czekając, aż Pascal ją pocałuje, Mazarine objęła go za szyję i obdarowała długim, wilgotnym pocałunkiem, od którego zaparło mu dech w piersi. W przeciwieństwie do ukochanego mistrza pozwolił się całować.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach był zrozpaczony. Tyle dni czujnie śledził każdy ruch Mazarine, i co? Trochę podekscytowania i nic więcej. Nie potwierdziły się przypuszczenia, że dziewczyna coś ukrywa albo należy do jakiegoś nieznanego odłamu Arts Amantis. Jego zdaniem wykonywała nudne, codzienne czynności, zupełnie pozbawione znaczenia. Była typową samotną, zbuntowaną dziewczyną, która, podobnie jak wiele jej rówieśniczek, wolała towarzystwo starszych panów niż chłopców w jej wieku. Z zażenowaniem myślał o scenie na tarasie widokowym Łuku Triumfalnego. Kobieta uważana za nowe wcielenie Świętej nie zachowy-

wałaby się tak nieprzystojnie. Nie mogła też należeć do tajnego bractwa. Powinna wzbudzać podziw, przekazywać energię, a to stało w sprzeczności z bezwstydnym tarzaniem się po śniegu.

Teraz był prawie pewny, że medalion trafił w jej ręce przypadkowo. Nosila go bezprawnie; święty symbol Zakonu został zbezczeszczony. Jedyne, co mógł zrobić przed złożeniem na ręce mistrza oficjalnego oświadczenia, że pora zakończyć całą tę aferę, to dowiedzieć się, jak weszła w posiadanie medalionu, co ułatwi odnalezienie ciała Świętej. W najgorszym wypadku odzyska medalion, zapomni o wszystkim i zachowa go jako relikwię.

Ponieważ jego wygląd fizyczny budził w kobietach odrazę i niemal zawsze był przyczyną odtrącenia, więc nawet nie próbował zbliżyć się do Mazarine.

Podczas włamania do Zielonego Domu parę miesięcy temu wyraźnie odczuł niezwykłą, bijącą od dziewczyny energię, jaką podobno emanowała Święta. Poza tym nic nie wskazywało na związek Mazarine z zakonem.

Tej soboty Mazarine zaprosiła Arcadiusa na lunch do La Friterie. Tak jak obiecał przez telefon, zjawił się ze spisaniem w języku oksytańskim pergaminem, ozdobionym niewielką litografią przypominającą symbol wyryty na medalionie.

Przy sąsiednim stoliku Mężczyzna o Zamglonych Oczach popijał *cafe au lait* i ukryty za rozłożoną stroną aktualnego wydania „Le Figaro” z uwagą przysłuchiwał się toczonej obok rozmowie.

-Moja kochana - zaczął antykwariusz poważnym tonem - chcę, żebyś była świadoma tego, co nosisz na szyi. Badałem tę sprawę i natrafiłem na pewną historię...

Oksytania, 8 stycznia 1244 roku

Na zboczach Del Pog

- Nie! Nie! - przerażona dziewczyna przedzierała się bosą przez ośnieżone zarośla, uciekając przed brudnymi łapskami i śmierdzącym oddechem mnicha. - Litości... zmiłujcie się - Błagała.

Mnich dopadł ją i brutalnie powalił na ziemię.

- Proszę... - łkała rozpaczliwie. - Błagam...

podczas gdy jej prześladowca z wściekłą żądzą zdzierał szaty z dziewczyny, aż do zupełnego obnażenia, na swoją kolej czekała gromada towarzyszących mu rozszalałych bestii.

Ciszę nocy choć nikt tego nie słyszał, rozdzierał nieukojoną szloch jankiego chłopca i mieszał się z łkaniem gwałconej dziewczyny. W dolinie unosił się odór śmierci.

Gdy mnich zaspokoił swe zwierzęce żądze, wbijając i wyciągając z wściekłością, jak sztylet, wzwidziony członek pomiędzy nóg dziewczyny, na jej ciało opadali kolejno jak sępy pozostali oprawcy.

- Wiedźma!

Przemocą rozdzierali jej członki...

- Szatańskie nasienie!

Kaleczyli ją...

- Pomiot Lucyfera!

Poniżali...

Nasienie, toczona z ust ślina brukały i paliły jej ciało. Sfora rozszalałych bestii pożerała ją, wyrywała wnętrzności.

Błagania dziewczyny ucichły, zduszone brudną łapą mnicha, który bezlitośnie uciskał jej usta i nie pozwalał zaczerpnąć powietrza. Powoli zaprzestała walki, leżała bezwładnie, tkanki po kolei umierały.

Posiedli jej ciało, zbrakli duszę i zadali śmiertelne rany. Niezmierny ból sprawił, że znieruchomiała, wpatrzona martwo w niebo. niemym świadkiem jej agonii Był czerwony i odległy księżyc. Biały śnieg nasiąkał w ciszy krwią.

- **Zabiłeś ją!** - krzyknął jeden z oprawców.
- **Przeklęta heretyczka!** powinna spłonąć na stosie!
- **Niech spłonie martwa!** - wrzasnął inny.
- **Nie!**

Herszt złapał kamień i cisnął w twarz dziewczyny. Za jego przykładem poszła reszta.

Grad kamieni spadał na ciało odartej z czci dziewicy... Już nic ją nie bolało.

...aż skrwawione zwłoki pokrył stos kamieni.

Mazarine słuchała tej suchej relacji ze ściśniętym żalem sercem. Wyobrażała sobie strach zapędzonej w głąb lasu dziewczyny i niemoc wobec wrzasków, wyzwisk, obelg i szykan. Serce jej podpowiadało, że tą niewinną prześladowaną istotą była Święta. Intrygujące blizny na twarzy Sienny, które przez tyle lat nadaremnie próbowała zmyć, jak ślady sadzy, mogły powstać w wyniku bestialskiego ukamienowania.

Wiesz, jak miała na imię ta dziewczyna? - zapytała.

- Nie. Pergamin jest niekompletny. Znalazłem go przypadkowo, wśród stron starego wolumenu, który trafił do mnie razem ze zbiorami bibliotecznymi jakiegoś starca. Po jego śmierci syn uznał je za bezwartościowe szpargały. Nie zdając sobie sprawy z wartości rzeczy gromadzonych przez ojca, sprzedał je na aukcji.

- W szpitalu opowiadałeś mi o Arts Amantis...

- Tak, ale to nic pewnego. Zaledwie przypuszczenia dociekliwego staruszka.

Ciągle jeszcze brak mi wielu danych.

- A ten medalion?

- Właśnie. Nie pojmuję związku tego znaku – wskazał na niepozorną litografię

w rogu pergaminu - symbolu Arts Amantis z opisaną historią. Popatrz. - Antykwariusz wyjął lupę z kieszeni i ustawił ją nad dokumentem. - Czy ten rysunek nie przypomina rytów na medalionie?

- Jest... identyczny! - wykrzyknęła Mazarine.

- Bez wątpienia coś łączy tę historię z Arts Amantis. Niestety, to zaledwie pojedynczy fakt. Nic przekonywającego.

- A co się stało z ciałem?

-Prześledziłem obyczaje tamtej epoki i sędzę, że najprawdopodobniej zostało zabrane jako trofeum przez zabójców.

- I co z nim zrobili?

- Wystawili ku przestrodze na widok publiczny. Pamiętaj, że dla nich ona była wiedźmą, polowali na nią jak krwiożercze lwy na gazelę.

- A jeśli tak się nie stało? - dopytywała się Mazarine.

- Jeśli była córką jakiegoś feudalnego możnowładcy, to rodzina wykupiła zbezczeszczone zwłoki, aby je godnie pochować.

- A jeśli jej nie pochowano, Arcadiusie?

- Ojej, dziewczyno! Wkraczasz na grząski grunt. Wiesz, że przez wiele, wiele wieków kupczono świętymi relikwiami? Płacono za nie niebotyczne sumy.

Uznawano za prawdziwy skarb. Kto je zdobył, niezależnie od sposobu, miał zagwarantowane wieczne zbawienie. W pogoni za zapewnieniem sobie łaski Bożej popełniano straszliwe nieprawości. Ciała świętych męczenników były rozdzielane na kawałki i sprzedawane. Całe, nienaruszone zwłoki miały wartość wręcz nie do oszacowania.

Ciało Sienny nie zostało poćwiartowane. W kryształowej trumnie wyglądała jak żywa. W jaki sposób znalazła się w Zielonym Domu? Jaka tajemnica jest z nią związana?

Mazarine pamiętała jeszcze słowa, jakie na temat zmarłej padały codziennie z ust matki: „Sprawdź, jak dziś wygląda Święta”; „Nie dotykaj jej!”; „Nie waż się

nikomu wspomnieć, że Sienna jest u nas". Reszta - to, co naprawdę ważne - zostało otulone mgłą nieprzeniknionego milczenia matki.

Arcadius zauważył, że Mazarine zamyśliła się i przestała go słuchać.

- Hej, zjedź z obłoków na ziemię!

- Biedna dziewczyna. To bardzo smutna historia.

- Muszę porozmawiać z twoją babcią.

- To niemożliwe, Arcadiusie.

- Moje dziecko, jeśli chcesz wiedzieć wszystko, musisz ze mną współpracować. Może twoja babcia wskaże nam jakiś trop.

- Moja babcia nie żyje, Arcadiusie.

- Wobec tego porozmawiam z twoimi rodzicami. Może od nich dowiem się czegoś więcej o medalionie.

- To... - Mazarine spuściła wzrok - też jest niemożliwe.

-Ach... *ma cheñe*. - Antykwariusz objął dziewczynę. - Jesteś sierotą?

Siedzący przy sąsiednim stoliku Mężczyzna o Zamglonych Oczach podsłuchiwał rozmowę z szeroko otwartymi oczami. Stary wiedział więcej niż on. Postanowił zdobyć ten pergamin. Pokaże go zwierzchnikom i udowodni, że potrafi być skuteczny w poszukiwaniach. Biedny, bezdomny chłopiec wyciągnięty przed laty z rynsztoka, chciał wreszcie poczuć się dumny z siebie.

Zgwałcona! Dlaczego w zakonie nigdy się nie mówiło, jak naprawdę zginęła Święta? Czyżby sami nie wiedzieli?

Święta, wokół której przed wiekami odprawiano sekretne rytuały, została zgwałcona przez odrażającego mnicha.

Zgwałcona na śniegu.

Na śniegu?

Czyżby historia się powtarzała? To wstrząsające widowisko na tarasie Łuku Triumfalnego, czyż to nie był swego rodzaju gwałt? Po co podstarzały malarz

przewrócił dziewczynę na śnieg? Żeby ją zgwałcić!

Tak, Mazarine nie mogła być nikim innym, jak tylko... wcieleniem Świętej! Stąd brała się niezwykła, niewytłumaczalna, emanująca z niej energia.

W ciało Mazarine wstąpił duch Świętej.

31

Radosna niespodzianka, jaką Pascal sprawił Sarze i Cadizowi swoim przybyciem w Wigilię Bożego Narodzenia, rozproszyła ich smutki i złagodziła napięcia ostatnich dni.

Nie mogli wprost uwierzyć, że syn, po tylu latach milczenia, zjawia się obładowany prezentami, szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Ten samotny, opuszczony chłopiec, zamknięty w szklanym pałacu na rue de la Pompe, podczas gdy jego rodzice błyszczeli w światłach reflektorów, wożowali, bywali na wernisażach, pławili się w splendorze i sławie, powrócił odmieniony. Nawet dał się pocałować, a z ojcem odbył swobodną acz krótką pogawędkę i żaden z nich się nie uniósł.

Skończył studia podyplomowe. Może to i coś jeszcze sprawiło, że dojrzał, zapomniał o pretensjach i urazach, i tego świątecznego wieczoru w domu zapomniał pogodny, prawdziwie bożonarodzeniowy nastrój.

Sara, podekscytowana przybyciem syna, zapragnęła upiec dla niego stosy herbatników, o które w dzieciństwie tak często prosił, a ona zawsze wymawiała się brakiem czasu, opowiedzieć mu bajki, których nie opowiadała, bo „nie miała czasu”, wysłuchać go, czego latami nie robiła, „bo nie miała czasu”.

Pragnęła tulić go, pieścić, kąpać, otulać ręcznikiem, czesać i ubierać. Prowadzić do szkoły i odbierać po lekcjach.

Bawić się z nim w parku w berka i w chowanego, budować zamki z piasku na

plaży, wspinać się po drzewach, jeździć kolejką górską w lunaparku, na zjeżdżalni i krzyczeć ze strachu w tunelach grozy. Wybrać się z nim do kina jak matka z synem, a nie wysyłać tam osamotnionego chłopca z opłaconą niańką. Chować się z nim pod prześcieradłem i tworzyć cienie latarką, a rano budzić go łaskotkami i słyszeć jego beztroski śmiech. Zaśpiewać z nim dziecięcą piosenkę, której nigdy razem nie śpiewali:

„Frere Jacques, fere Jacques, dormez-vous? Dormez-vous? Sonnez les matines, Sonnez les matines, ding, dang, dong. Ding, dang, dong”.

Ten czas minął i nie mogła już tulić syna w ramionach, a on nie potrafił zrozumieć spóźnionego wybuchu miłości macierzyńskiej.

Dopiero teraz jasno to dostrzegła.

Ciągły brak czasu, słynne, stale powtarzane „nie mam czasu”, odebrał jej największą przyjemność, jaką może cieszyć się matka: przeżywania wraz ze swoim dzieckiem najprostszyc codziennyc radości i rozkoszowania się nimi.

Straciła najsmakowitsze kawałki tortu.

Pascal dorastał jakby na uboczu ożywionego życia artystycznego rodziców, oddanych niemal bez reszty sztuce. Teraz on też poświęcił się sztuce, tyle że znacznie trudniejszej i mniej błyskotliwej: sztuce zrozumienia drugiego człowieka, nie wyłączając siebie.

Wrócił do Paryża z mocnym postanowieniem wyleczenia swoich ran poprzez kontakt z tymi, przez których cierpiał: z rodzicami.

Ani Freud, ani Jung, Adler, Reich czy Klein, nawet Lacan, z tymi swoimi teoriami, terapiami i psychoanalizami, nie rozwiązali problemu deficytów emocjonalnych i nieprzystosowania. Poszukiwania i eksperymenty doprowadziły go do wniosku, że najprostszą i najbardziej skuteczną kuracją będzie zrozumienie, wybaczenie i miłość. Żal i uraza tylko go oddalały od rodziców. Żadne z ich trojga

nic nie zyskało na rozłące.

Uciekł za granicę. Studiował na najbardziej prestiżowych uczelniach świata. Zdobył tytuł magistra, potem doktora. Renomowane uniwersytety dały mu wiedzę, ale odebrały uczucia.

Miał trzydzieści lat i jeszcze nigdy się nie zakochał. Być może dlatego, że jego podświadomość dotąd nie zdefiniowała ideału kobiety. Własna jaźń stanowiła zapewne jeden z najtrudniejszych przypadków dla psychologa. Powrócił, aby odnaleźć matkę, którą kiedyś utracił.

-Saro... - już w dzieciństwie przestał mówić do niej „mamo” - nie pobędę z wami długo.

- Dlaczego?

- Umówiłem się.

- Z dziewczyną? - Sara spojrzała na niego z miłością. - Masz dziewczynę? Tak mało o tobie wiemy.

- Ja też. Ja też mało o sobie wiem.

- Czasami zdaje się nam, że nie znamy siebie, a tak naprawdę jesteśmy po prostu zagubieni. Gubimy się, próbując nazwać to, czego nie rozumiemy. Daj mi na siebie popatrzeć, zobaczę, co widać. - Ujęła twarz syna w dłonie i spojrzała mu w oczy. - Jesteś zakochany?

- Może.

- Nie jesteś tego pewny, synku? Kiedy nadchodzi prawdziwa miłość, nie ma miejsca na wątpliwości. Jest tak jednoznaczna jak narodziny. Przyszedłeś na świat z krzykiem i płaczem... - Umilkła, pogrążając się we wspomnieniach. - To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Do tej pory czuję zapach twojej skóry. Wyślizgiwałeś się ze mnie wilgotny jak ryba, trzepotałeś rączkami. Byłeś taki żywy!

Pascal spojrzał na siedzącą przed nim kobietę, zmęczoną i przegraną. To nie była Sara, jaką pamiętał z dzieciństwa: pełną życia, piękną i zawsze w ruchu. Ruch był jej potrzebny do życia jak tlen. Zawsze pełną planów czynionych w ostatniej

chwili, prowadzącą błyskotliwe rozmowy i dzwoniącą w pilnych sprawach. Poczuli litość do niej i do siebie.

- Byłeś takim pięknym dzieckiem. Patrzyłeś na mnie ciekawie, poszukiwałeś łapczywie usteczkami, drapałeś i prosiłeś... a ja... Jakże byłam głupia! Nie chciałam cię karmić, żeby nie zepsuć sobie tych dwóch worów. - Dotknęła swoich piersi. - Kobięca próżność! Jak widzisz, czas je zniszczył. Ileż głupich błędów popełniłam! A tak łatwo było cię kochać!

- Mamo...

- Już dawno tak do mnie nie mówiłeś. - Sara popatrzyła na syna z czułością. - Jesteś... sama nie wiem, jakby inny, odmieniony.

- Ty też.

- Tak bardzo się pomyliłam! Nie wiesz, jak bardzo żałuję, że mnie przy tobie nie było. Nie umiałam być matką.

- Nieważne. To już minęło. Ja także się pomyliłem, uciekając i znikając na tak długo. Jak się czujesz? - Spytał, biorąc jej dłoń w swoje ręce.

- Po prostu... jestem. Bez przymiotników. Już od dawna po prostu jestem. Rozumiesz?

- A... Cadiz? - Popatrzył na ojca popijającego whisky w drugim końcu salonu, obserwującego obojętnie śnieżycę szalejącą za oknem. - Jak on się czuje?

- Żyje w innym świecie.

- Źle się między wami układa?

Nie odpowiedziała.

- Korzystaj z życia, póki jesteś młody, póki uczucia są silne, bo z czasem bledną. Widzę z perspektywy moich sześćdziesięciu lat, jak wygląda życie. Twój ojciec i ja jesteśmy jak rozbitkowie - przeżyliśmy, ale otacza nas pustka.

- Co ty mówisz, mamo! Powinnaś się wstydzić. Masz za sobą dopiero połowę życia. A twoje fotografie? Wystawy? Cała twórczość artystyczna? Śledziłem wasze kariery w prasie.

- Nie przywiązuj do tego wagi. Błysk fleszy nie rozproszy ciemności.
- Po prostu masz depresję.
- Nie, to twarde lądowanie w realnym świecie, skarbie.

Nie umiera się tylko zewnętrznie. Proces umierania odczuwamy od środka. Tak jest gorzej... A wiesz dlaczego?

Bo śmierć nadchodzi bardzo powoli i nim się zorientujesz, nagle trach! Draży ci duszę. A kiedy wreszcie zdasz sobie z tego sprawę, ona już wszystkim zawładnęła.

Pascal spojrział na zegarek.

- Zabieram ci czas, synku. Pogadamy o tym kiedy indziej.
- Przepraszam, mamó. Muszę już iść. Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać.

Nie do końca się z tobą zgadzam.

Sara spojrzała na niego sceptycznie, ale nie chciała mu się sprzeciwiać.

- Idź już.
- Tak. Nie mogę się spóźnić.
- Wiem. Widać to w twoich oczach: zdradzają cię. Pogadamy kiedy indziej, dobrze? Teraz, kiedy już jesteś z nami...

- Życz mi szczęścia.

- Gdybym była nią, oszalałabym na twoim punkcie.

Podszedł do ojca i pożegnał się z nim zdawkowym uściskiem ręki - wspa-
niałomyślność wobec niego nie była jeszcze taka wielka, aby go przytulił. - Cadiz
siedział w milczeniu, obojętny na wszystko, z pustą szklanką w dłoni. Duchem
pozostał na rue Galande. Nawet nie odwrócił głowy.

Sara odprowadziła syna do drzwi. Przy pożegnaniu mocno się do niej przy-
tulił. Ciało mówiło, że otworzył się na nią.

Silny mężczyzna o szerokiej muskularnej piersi, w głębi serca pozostał wrażliwym
dzieckiem, małym Pascalem. Może kiedyś, oby nie za późno, otworzy także przed
nią serce.

Pascal nie wiedział, czy wróci do tego miejsca, gdzie tak często cierpiał. Pusty

korytarz i pokoje w domu, gdzie nadaremnie czekał na telefon od rodziców, budziły w nim niepokój.

Tego wieczoru ożyły wszystkie wspomnienia dni i nocy z jego samotnego dzieciństwa, ale zaczął też coś rozumieć.

Co to za miłość, która pragnie tylko brać i nic w zamian nie dawać? Jedyna droga, jaka im pozostała, aby znowu się odnaleźć, to zrozumienie. Gdy zrozumie matkę, zrozumie i siebie. Potem, być może, przyjdzie kolej na ojca.

Zamknął drzwi. Pomyślał, że dobra wola i chęci to pierwszy krok do uzdrowienia duszy. Teraz wiedział, że ma - i tego właśnie chce - kogoś, kogo może nazywać matką.

Dni mijały jeden za drugim jak długi pociąg zatrzymujący się na stacjach: Cadiz, Pascal, Arcadius, Sienna... Pożądanie, niepokój, zagadka, żal...

Mazarine nie spędzała już samotnie wieczorów w zimnym i pustym domu. Spotykała się z Pascalem w gwarnych barkach i kawiarniach.

Czuła się niespokojna i zagubiona. Z jednej strony obsesyjny pociąg do Cadiza, bez szans na spełnienie, z drugiej - ktoś, kto traktuje ją czule, zaspokaja wszystkie zachcianki. Jednym słowem: daje to, czego tamten jej odmawia.

Pascal ustawicznie wypytywał ją o przeszłość, a ona bawiła się wymyślaniem kłamstw, coraz to ciekawszych i bardziej atrakcyjnych wersji swojego życia, aż sama się w tym pogubiła i już nie wiedziała, co w tych fantazjach jest prawdą, a co zmyśleniem.

Kłamstwem było to, że rodzice mieszkają za granicą i spotyka się z nimi tylko od czasu do czasu. Skłamała też, i nawet nie wiedziała dlaczego, że ma siostrę bliźniaczkę.

Nie chciała natomiast zdradzić swojego adresu, choć Pascal twierdził, że nie zamierza robić z tej wiadomości użytku. Po prostu chce ją odprowadzić do domu i spędzić parę chwil w spokojnym miejscu zamiast w zadymionej i hałaśliwej kafejce czy zatłoczonym bistro.

Wiedziała, że ma nad nim przewagę nie tylko z tej prostej przyczyny, że był w niej do szaleństwa zakochany i bał się ją stracić. Podporządkowała go sobie za sprawą swojej wewnętrznej energii, choć nie potrafiła tego zrobić w odniesieniu do mistrza Cadiza. Ku swemu ubolewaniu w La Ruche zachowywała się jak marionetka, posłuszna woli mentora i wyczekująca na jego gest.

Świadomie spowalniała pracę nad obrazami, ponieważ bała się, że gdy skończy, Cadiz pozbędzie się jej, a tego, była o tym przekonana, ona nie zniesie.

Dojrzałość malarza pociągała ją znacznie bardziej niż młodość psychiatry. Będąc z Cadizem, pragnęła, aby ją wreszcie posiadał i zaspokoił narastające pożądanie; Pascalowi nie pozwalała na zbyt śmiałe pieszczoty.

Tych dwóch mężczyzn dzieliła przepaść, mimo to, porównując ich obu, dochodziła do przekonania, że obaj są jej na swój sposób niezbędni.

Cadizowi brakowało tego, czego Pascal miał w nadmiarze, bezmyślnie zaś trwonił to, czego nie miał psychiatra.

Z mistrzem rozmawiała wyłącznie o przeszłości. Prowadził ją ścieżką wśród krajobrazów odwiecznych rozczarowań, wśród duchów, zgiełku aplauzów i świateł reflektorów, należącym do wspomnień. Pokazywał jej świat skażony pesymizmem, zdeformowany, bliższy jej po przeżytych rozczarowaniach niż świat Pascala, w którym było miejsce na oczekiwania, nadzieje i stawianie sobie celów.

Cierpiała z powodu niepewności co do uczuć Cadiza i czerpała z tego radość. Najbardziej ją podniecał ten cały zamęt i niepokój. Gdy „wielkie dzieło” zostanie już ukończone, w każdej chwili mógł zażądać, aby odeszła. Czy mistrz czegoś ją nauczył? Nie wiedziała. Może tak, a może nie. W końcu co to za różnica! Tak czy owak potrzebowała go. Uczucia i namiętności, jakie w niej budził, to chore, wi-

brujące i natarczywe podniecenie, zabijało ją i odradzało bezustannie.

Przy Pascalu jej zmysły wyciszały się. Było to uczucie pełne łagodności i spokoju, i to wcale nie dlatego, że on nie chciał podnieść temperatury ich związku albo że był mniej atrakcyjny. Prawdę mówiąc, uważała, że jest znacznie przystojniejszy od Cadiza. Jej zmysłowość pozostawała w uśpieniu. Rozsądek, jaki wykazywał psychiatra, gasił ochotę sprawdzenia, co do niego czuje. Seksualność została zepchnięta na margines. Brakowało jej buntu, burzenia zastanego porządku, męczyło przywiązanie do schematów.

Gubiła się, słuchając opowieści Pascala o tym, w jaki sposób osiągnie swój cel, zdobędzie to, co wydaje się niemożliwe do zdobycia, zmieni świat i stanie się wielkim zbawcą chorych, udręczonych ludzkich dusz. Plany i projekty, do których coraz częściej ją włączał, były bardzo odległe od jej pragnień. Jak obrazy odbite w niewidzialnym lustrze.

Odkąd Arcadius opowiedział jej o gwałcie, więź ze Świętą jeszcze się pogłębiła. Teraz nie tylko z nią rozmawiała, ale także czesała ją i dbała o nią jak o młodszą siostrę. Świeżość i piękno oblicza Sienny sprawiały, że czasem wątpiła, czy ona naprawdę jest martwa. Uczepiła się nadziei, że Sienna przebudzi się wreszcie ze snu i zacznie żyć, starając się odzyskać stracone lata.

Pewnego ranka, myjąc ją, miała wrażenie, że skóra Świętej stała się ciepła i gładka, a policzki zaróżowiły się.

Poprzez zetlałą tunikę prześwitywał wypalony tuż nad sercem Sienny symbol Arts Amantis - ten sam znak, który widziała na fotografii swojego prześladowcy, na wystawie na Champs Elysees.

Czy Sienna rzeczywiście się zmieniała? Czy tylko Mazarine widziała ją odmienioną?

Co łączy odrażającego Mężczyznę o Zamglonych Oczach ze Śpiącą Królową?

Jak długo da się utrzymać tajemnicę?

Musi porozmawiać o tym z Arcadiusem.

Tylko... co mu powie, skoro nie może zdradzić rodzinnego sekretu? Ukrywała w szafie nie tylko ciało Świętej, ale także swoją własną historię, i to tę najbardziej skrywaną: historię Mazarine zamkniętej w hermetycznym milczeniu. Jej życie, łzy, frustracje i śmiech. W szafie ukrywała się nie tylko Sienna, ale także ona sama. Jeśli ujawni ciało Świętej, odkryje też swoją duszę.

Jednak porozmawia z Arcadiusem.

33

Czy miał obsesję na punkcie stóp Mazarine? Gdy ich nie widział, dusił się. Teraz, gdy miał je pod swoimi ustami, wiedział, że nie może jej stracić.

-Wiesz, jak się czuję? - zapytał, pieszcząc z czułością palce stóp uczennicy. - Jak rozbitek ze statku, który zatonął na środku morza. Uczepiony twoich stóp, unoszę się samotnie na wodach życia.

- Czy ty masz obsesję na punkcie moich stóp?

-Opowiem ci, co mi się przydarzyło. Byłem wtedy młodszy od ciebie. Tylko proszę: nie kpij ze mnie. Zgoda?

Rozbawiona Mazarine udała gromki, choć bezdźwięczny śmiech. Potem udała, że chwyta swój śmiech palcami i chowa pod koszulą.

- Gotowa?

- Tak, mój panie - odpowiedziała, podejmując grę.

-Miałem wtedy z osiemnaście lat. Utrzymywałem się z malowania pejzaży i portretów na ulicach Sewilli... Ach, Sewilla! Musimy się kiedyś wybrać do Andaluzji razem, tylko ty i ja, będziemy tam malować, marzyć... Pokażę ci, co to znaczy radość w czystej postaci... Kordoba, Granada... białe miasteczka, pościel suszona na słońcu, łopocząca na wietrze. Rozkochasz się w tym słońcu, maleńka.

Tam znajdziesz najjaskrawsze światło, zmysłowe i cielesne. Zaznacza kształty i cienie jak nigdzie indziej. To światło, którego potrzebuje każdy prawdziwy artysta. - Pograżony w nostalgicznych wspomnieniach, przymknął oczy. - Ach, Sewilla! - zawołał, ocknąwszy się. - Zmysłowość unosi się tam w powietrzu. Biodra kuszą do grzechu, oczy wpatrują się ze słodyczą, usta dają przyzwolenie, salwy śmiechu jak dojrzałe, tryskające sokiem śliwki... Wyobrażam sobie, jak tańczysz boso... - w Cadizie odezwała się andaluzyjska krew - w rozłożystej, czerwonej spódnicy z falbanami... Krwistoczerwonej. Albo nie... białej, w kolorze twojego dziewictwa... Po prostu piękna!

W marzeniach przeniósł się do lat młodości. Przechadzał się pod rękę ze swoją uczennicą po dzielnicy Santa Cruz.

Widział ją wirującą w tańcu na placu Doñi Elviry, biegnącą boso brzegiem Gwadalkiwiru. Słyszał stukot końskich kopyt, gdy oboje jechali powozem przez park Marii Luisy.

Zniecierpliwiona Mazarine, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, wyrwała go z zamyślenia.

- Cadiz, co się stało w Sewilli? - zapytała.

- Prawda, odbiegłem od tematu. Jak już mówiłem, szkicowałem wszystko, co mnie zachwycało. Pewnego razu piękna Cyganka o oczach w kolorze palonego miodu, ustach jak rozkwitły szafran i włosach rozwianych jak u galopującej klaczy, tańczyła żywiołowe flamenco na środku ulicy. Zabawiała się też w przepowiadanie losu niedowiarkom. Byłem wtedy żółtodziobem w sprawach miłości, na jej widok zrozumiałem, czym jest pożądanie: życiem, moja maleńka, samym życiem. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Nadal myślę tak samo: pożądanie to siła, która porusza świat. Bez pożądania życie przestałoby być...

Mazarine patrzyła na niego podniecona. Obcałowałwszy jej stopy i nie przestając przy tym mówić, zaczął malować na nich jęzory ognia. Wspinały się po łydkach, a teraz łaskotały obnażone łono. Ten ogień palił.

- Wiedziałem, że dla niej i dzięki niej stanę się mężczyzną. Zawiązałem jej oczy i poprowadziłem uliczkami starej Sewilli. Weszliśmy do jakiegoś nędznego pensjonaciku. Oj, maleńka! Gdy zdjęła buty i pończochy...

- Co się stało? - spytała zaciekawiona.

-Ukazały się dwie monstrualne stopy. Wielgachne, o wysokim podbiciu, nabrzmiałych żyłach i grubych paluchach, zupełnie do niej niepasujące.

Mazarine wybuchnęła śmiechem.

- Prosiłem cię, żebyś się nie śmiała.

- Przepraszam, ale nie mogłam się pohamować. I co zrobiłeś?

-O mój Boże! Możesz sobie wyobrazić... Co mogłem zrobić? Dziewczyna wpatrywała się we mnie z pożądaniem. Zakryłem jej stopy prześcieradłem, ona je odkryła... Ja przykrywałem, a ona odkrywała. Biedaczka nic nie rozumiała.

Mazarine nie przestawała się śmiać.

- Im dłużej wpatrywałem się w jej stopy, tym mniej mi się podobały. To było straszne. Postanowiłem skupić się na wyższych partiach jej ciała i nie myśleć o stopach.

-Ico?

- I nic. Nie potrafiłem. Wrażenie było zbyt silne. Cyganka, choć widziała moją reakcję, nie przestawała mnie zachęcać. Wpadł mi do głowy pomysł, żeby włożyła buty. Powiedziałem, że to mnie bardziej podnieca. Udało się. Ale zło już się stało.

Mazarine popłakała się ze śmiechu.

- Śmiejesz się ze mnie? Popamiętasz...

Rzucił ją na podłogę i polał farbą z wielkiego pojemnika.

W kilka sekund była skąpana w pomarańczowej czerwieni.

- Tarzaj się - rozkazał rozbawiony. - Zapłacisz mi za te kpiny, szalona!

Mazarine ciągle się śmiała. Maczała dłonie w farbie i rozmazywała po całym ciele. Jej obnażone łono pulsowało.

- Tak, tak, dotykaj się, pieść się. Namaluję cię taką, moja maleńka. Z tym błyskiem w oczach. To będzie najpiękniejszy obraz na wystawie: *Pieszcząca się dziewczica*.

Cadiz powracał do życia. Na ogromnym płótnie, o szerokości dwóch metrów, uwiecznił pożądanie. Zmysłowe pociągnięcia pędzlem były przedłużeniem jego płonącej żądz. Raz po raz zanurzał pędzel w farbie i przenosił na białą płaszczyznę twory swojej wyobraźni. Jego podniecenie rosło wraz z postępem prac.

Mazarine pławała się w rozkoszy. Malując siebie samą, odkrywała swoje ciało, poznawała sztukę odczuwania przez dotyk. Jej palec wskazujący błędził wokół zakazanego zakamarka, zagłębiał się i wynurzał, wilgotny i bezwstydnny.

Mistrz nie mógł oderwać od niej wzroku. Na jego oczach odrodziła się sztuka. Intuicyjnie oboje poddali się pierwotnemu, zwierzęcemu instynktowi.

Czemu tego samego nie czuła do Pascala?

34

Arretel *C'est ici l'empire de la mort*. Zatrzymaj się! Tu zaczyna się królestwo śmierci.

Tej nocy członkowie Arts Amantis, ubrani w odświętne szaty, obwieszeni insygniami, przechodzili z pochodniami w dłoniach w uroczystym orszaku pod kamiennym łukiem prowadzącym do katakumb, z wyrytą na nim inskrypcją.

Stare kamieniołomy z czasów rzymskich, zamienione w krypty, w dzień przyciągają tłumy turystów, w nocy zaś stają się miejscem potajemnych spotkań.

Ponad trzysta lat temu ich przodkowie, wmieszani w tłum przenoszący miliony szkieletów z paryskich cmentarzy do katakumb, wykorzystali sposobność, aby ukryć tam, w bezpiecznym miejscu, szczątki setek wyznawców Arts Amantis, zamęczonych w ciągu wieków w Oksytanii. W bezksiężycową noc wozy przy-

kryte czarną krepu przemierzały uspięte miasto, docierały do podziemi i nikt postronny się nie domyślił, że kości nie pochodzą z żadnego z miejscowych cmentarzy.

Potem wykonali zadanie, które zajęło im nieskończenie wiele nocy. Pracowali w głębokiej ciszy, wypełniając kośćmi i czaszkami trzysta kilometrów korytarzy. Wejście do ogromnej komory zasłaniała marmurowa płyta z wyrytym na niej napisem: *Animae et Corpore: Principium et Finis*.

Duch i ciało: Początek i koniec. Uchyłał ją zmyślnie ukryty w ścianie mechanizm. Docierało się tu skomplikowanym systemem chodników - Labiryntem Zagubionych – których nikt prócz członków Arts Amantis nie potrafił przebyć, nie gubiąc drogi.

Tak jak w całych katakumbach, ściany tej niezwyklej, wysokiej na dziesięć metrów krypty były wyłożone ludzkimi szkieletami. Pośrodku stał ołtarz. W tym miejscu członkowie Arts Amantis przez wieki oddawali cześć pamięci Świętej. Wielki wapienny postument ciągle czekał na zaginioną relikwię.

- Bracia - zaczął wielki mistrz - zebraliśmy się tu dzisiaj, ponieważ nasz brat - wskazał na Mężczyznę o Zamglonych Oczach - który nie ustaje w dyskretnie prowadzonych poszukiwaniach ciała Świętej, ma nam coś ważnego do zakomunikowania. Proszę, mów, Jeremie.

Stremowany Mężczyzna o Zamglonych Oczach początkowo jąkał się i plątał. Później poszło już gładko i opowieść nabrała tempa.

-Przed... przed... przed kilkoma dniami dotarła do mnie pewna informacja, według mnie ważna, a przy tym delikatnej materii, dotyczy bowiem naszej Świętej. Otóż, zmuszony okolicznościami, wykradłem z antykwariatu dokument, rzekłbym, najważniejsze świadectwo dotyczące jej życia.

Wyjął spod szaty wąską tubę. Zdjął wieczko i wręczył mistrzowi pergamin - ten sam, który Arcadius pokazał Mazarine w La Friterie.

- Zbliżcie się - nakazał mistrz, rozwijając rulon.

Członkowie Arts Amantis utworzyli wokół niego zwarty krąg i ze skupieniem słuchali zwierzchnika, odczytującego treść dokumentu, spisane w języku oksytańskim. Gdy skończył, w krypcie zapadła iście grobowa cisza.

- Co za podłość! - wyszeptał jeden z nich.

- To niemożliwe, żeby nasza Święta doznała takiego pohańbienia.

- Czy to na pewno była ona?

- A któż by inny? Spójrz - powiedział drugi, wskazując róg dokumentu. - To nasz symbol. Zawsze wiedzieliśmy, że dokument będący w naszym posiadaniu, opisujący odzyskanie ciała, jest niekompletny. Brakowało w nim tej straszliwej relacji.

- Gwałt jest większą hańbą niż śmierć na stosie. Ciało dziewicy zostało zbezczeszczone w najohydniejszy sposób.

- Nie to jest najgorsze. - Głos zabrał ponownie Mężczyzna o Zamglonych Oczach. - Obawiam się, że znowu możemy ją stracić.

- Co ty gadasz, Jeremie? Kogo stracić?

- Nowe wcielenie Sienny. Energia, jaką wydziela ta dziewczyna, jest nadprzyrodzonej natury. Odczułem to na własnej skórze. - Mężczyzna o Zamglonych Oczach miał na myśli noc, gdy leżał obok śpiącej Mazarine.

W sali rozległ się szmer.

- Pewnego wieczoru - kontynuował niezrażony Jeremie - byłem świadkiem próby gwałtu. Historia lubi się powtarzać. Niejaki Cadiz chciał pohańbić tę dziewczinę niemal na moich oczach.

- Żywi się jej siłą i dzięki niej odnosi takie sukcesy - wtrącił zawistny malarz.

- Nie jesteśmy pewni, czy ta dziewczyna jest jedną z nas. To hipoteza zupełnie pozbawiona sensu. Gdzie jest ciało, Jeremie? Obiecałeś je znaleźć. Nieudacznik z ciebie. Nie zmieniłeś się.

- Cisza! - wezwał mistrz do zachowania spokoju. - Nie unośmy się. Wszystko we właściwym czasie.

- Zakon już nie jest taki sam jak dawniej, panie - stwierdził jeden z przybocznych. - Pograżamy się w złości i zawiści, a prawdziwa sztuka zanika. Nie rozkwitają nowe talenty. Ginie istota naszej idei i pamięć o niej. Minimalizm, konceptualizm, wyrzeczenie się ekspresjonizmu... realizm... sztuka abstrakcyjna. Malarstwo zostało skażone. Komputery, Internet, łatwy przekaz wizualny, wideo... Brakuje awangardy. Nikt nie pyta o sens istnienia, nie zastanawia się, czym dla człowieka jest przemoc i miłość. Brakuje inspiracji... Śmierć i pożądanie, Eros i Tanatos. Wojna i niedola rodzaju ludzkiego... Nic nas nie wzrusza.

- Tak - przyznał kolejny z braci. - Jesteśmy wypaleni.

- Zakon to nie tylko sztuka. A co z naszymi przekonaniem? Ambicja nie może być jedyną siłą popychającą nas do działania. Ponad wszystkim powinna wznosić się duchowość. Pamiętajcie, że naszą dewizą jest działanie niedostrzegalne dla innych. Co wprawia świat w ruch, bracia?

- Wiara i miłość. Łagodność i siła. Walka i duchowość. Impuls i pasja.

- Nie ma kogo czcić.

- Nieprawda. Czciliśmy męczennicę, chociaż nie było jej ciała, bo wierzyliśmy, że istnieje. Święta dziewica nadal powinna nami kierować.

- Czy jej ciało ma moc uzdrowienia i odnowienia naszego zakonu? Zmieni nasze życie, gdy się odnajdzie? – zapytał sceptycznie jeden z braci.

- To element świętości, kwestia wiary. Jeśli w to nie wierzysz, nie jesteś go-dzien należeć do naszego bractwa.

- Spokojnie. Kategorie stwierdzenia są niewskazane - skarcił go mistrz. - Nasz cel to odzyskanie ciała Sienny. Pozbądźmy się wszystkiego, co nas odciąga od tego zadania. Proponuję następujące rozwiązanie: ponieważ to Jeremie znalazł dziewczynę z medalionem, udzielmy mu wotum zaufania. Pozwólmy mu kierować się instynktem. Masz jakiś plan, Jeremie?

Mężczyzna o Zamglonych Oczach skinął głową.

-Jak już mówiłem na poprzednim zebraniu, jestem przekonany, że ciało

Świętej spoczywa w atelier malarza. Nie mogłem tam wejść. Drzwi są wyposażone w zamek z zabezpieczeniami przeciwwłamaniowymi. Przyszło mi do głowy, że Cadiz może należeć do któregoś z odłamów Arts Amantis. Koniec końców panuje opinia, że to wielki malarz.

-Ta uwaga nie jest pozbawiona sensu. Rozważaliśmy taką hipotezę. Jego dzieła mówią o dualizmie, a nasza doktryna wywodzi się z dwoistości natury ludzkiej. Tylko... czemu chciałby wyrządzić krzywdę dziewczynie?

- Jesteś pewny, że chce ją skrzywdzić?

- W historii Sienny - odparł Mężczyzna o Zamglonych Oczach - i zachowaniu dziewczyny z medalionem znajduję wiele podobieństw.

- Teoria spiskowa - rzucił sceptyczny brat.

- Wymyślę jakiś pretekst i dostanę się do atelier Cadiza - zaproponował zawistny malarz. - Dowiem się, czy ma on coś wspólnego ze Świętą.

- Przypominam, że kiedy Święta zniknęła z krypty, nie było go jeszcze na świecie.

- Ani żadnego z nas - dodał ktoś.

- Pomysł nie jest zły... wcale nie jest taki zły - stwierdził mistrz. - Zgoda.

Skontaktuj się z Cadizem.

-Proszę o parę dni zwłoki - powiedział Mężczyzna o Zamglonych Oczach. - Najpierw chciałbym sprawdzić, kim jest ten młody człowiek, który kręci się koło dziewczyny. Nie mam żadnych danych na jego temat, a ciekaw jestem, kto to taki.

- Dobrze. - Mistrz zakończył zebranie. - Poczekamy. Na twój znak zaczniemy działać.

się skostniała z zimna. W ostatnich latach chłód ogarniał jej ciało już jesienią i trzymał do nadejścia wiosny.

Po omacku przeszła przez przedpokój do wielkiego okna w salonie. Bolały ją kości i dusza. Zapaliła papierosa i spojrzała na ulicę. Fala mrozów ogarnęła Europę, nie oszczędzając Paryża. W oddali z mgieł wyłaniała się smętnie strzelista sylweta wieży Eiffla. Biały opar rozwijał się nad miastem i spowijał domy. Majestatyczne budowle zagubione w szarości jak w marzeniach sennych.

Nie miała na nic ochoty. Uszła z niej cała energia. Nie cieszył sukces wystawy fotografii na Champs Elysees. Spojrzała na zegarek. Zadzwoiła do swojej mieszkającej w Nowym Jorku marszandki i przyjaciółki.

-Sara! Co robisz o tej porze na nogach? – Usłyszała w słuchawce okrzyk radości.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Stało się coś?

- Nie mogę spać, jest mi piekielnie zimno.

- Dzwonisz, żeby mnie o tym powiadomić? Co się z tobą dzieje?

- Nie wiem.

-A Cadiz?

- Śpi.

- Nie o to mi chodzi. Dobrze się między wami układa?

- Tak, myślę, że tak.

- Myślisz czy jesteś pewna?

Sara pogrążyła się w milczeniu.

- Saro? Jesteś tam?

- Podejrzewam - odpowiedziała po chwili - że się zakochał, ale nie wiem, w kim.

- Nigdy nie przejmowałaś się romansami Cadiza.

- Tym razem to co innego. Zamknął się w sobie, nie chce o tym ze mną roz-

mawiać, a ja nie naciskam. Po długiej przerwie chyba znowu zaczął tworzyć.

- Może przylecisz do mnie?

-I zostawić go?

-Tylko na parę dni. Wyjdzie ci to na dobre. Akurat otwieram wystawę prac niezwyklej malarki kolumbijskiej, Cataliny Mejii. Musisz zobaczyć jej obrazy. Są wspaniałe.

- Zastanowię się.

-Poznasz nowych ludzi, odwiedzisz stare kąty. Dawno nie byłeś w swoim rodzinnym mieście. Przedstawię cię przyjaciołom i choć na chwilę oderwiesz się od tego wszystkiego. Może Cadiz za tobą zatęskni...

-A jeśli go stracę?

- Jeśli go stracisz?... Czy ja dobrze słyszę? To mówi Sara, którą tak podziwiałam? To raczej on powinien się martwić, że cię straci. A ty po prostu musisz się przewietrzyć. Jeśli nie straciłaś go wtedy, w tamtych szalonych latach... Zapomnij o nim... przynajmniej na parę dni. Mam pomysł, o którym muszę ci opowiedzieć. To prawdziwa bomba!

- Nic mnie nie cieszy.

- Ucieszysz się, gdy ci powiem o moim pomysle. Przyjedziesz?

- Nie obiecuję.

-Proszę...

- Kiedy jest ta wystawa?

- Za piętnaście dni. Nie namyślaj się za długo.

- Zgoda, przylecę.

Odłożyła słuchawkę i znowu się zamyśliła, zamotana w swój wewnętrzny kokon. Miniaturowy motyl stracił skrzydła i wrócił do postaci poczwarki. Nie potrafiła wyzbyć się uczucia przegranej, choć nic się jeszcze nie stało.

Nie spała całą noc. Paliła papierosy i zastanawiała się nad swoim życiem. Świt nie rozproszył wątpliwości. Musi coś zrobić. Pomyśleć. Ruszyć się. Poszu-

kiwać. Znaleźć. Pozbyć się rozterek. Zrozumieć. Działać. Żyć. Jeść. Chodzić. Rozmawiać o błahych sprawach. Śmiać się z niczego. Płakać ze śmiechu; choćby wcale nie miała na to ochoty. Tworzyć mimo braku pasji. Nie patrzeć w lustro ani w swoje odbicie w szybie, odzwierciedlające stan jej ducha.

- Nie śpisz, kochanie? - Dobiegł ją głos męża.

Uśmiechać się. Musi się uśmiechać.

- To przez ten chłód nie mogłam zasnąć.

- Chodź. - Cadiz objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Wyjeżdżam do Nowego Jorku - powiedziała, uwalniając się z jego objęć.

- Do Nowego Jorku? Po co?

- Dobrze wiesz, że ostatnio nie układa się między nami. Nie jestem idiotką.

- Nie rozumiem cię, Saro.

- Masz problem i tym razem ja nie mogę ci pomóc. Muszę od tego wszystkiego uciec, także od moich własnych rozterek. Jestem tym bardzo zmęczona.

- Sądzisz, że Nowy Jork to dobre miejsce na odpoczynek?

- Tam się urodziłam. Chcę się wtopić w tłum na ulicy i znowu być nikim.

- Nie musisz wyjeżdżać. Na to, co się ze mną dzieje, nie ma rady. To wcale nie to, co myślisz.

- Nie oszukuj samego siebie, Cadizie.

- Spójrz na mnie. Jestem stary, Saro. Sama mi to powiedziałaś. Za stary... na wszystko. To tylko starość i wzbudza we mnie obrzydzenie. Starość to koniec. Gdy byliśmy młodzi, nie myśleliśmy o przemijaniu. Wierzyliśmy, że nas to nie dotyczy. Żyliśmy nieświadomi, że upływający czas z każdą sekundą coś nam odbiera, radośnie i beztrąsko wysysa z nas życie. Rozmawiamy, a zegar - słyszysz? - osacza nas swoim nieubłaganym tik-tak. Zabiera powietrze; pozbawia tchu. Pozostawia po sobie popiół. Przebudziłem się z koszmarną myślą: już nie jestem godny prawdziwego piękna.

- Ładna jest?

- Saro... nie mam nikogo.

- Wszystko się starzeje, Cadizie. To, co kiedyś było piękne, pewnego dnia stanie się odrażające. Nikt nie jest wolny od przemijania, nic, co żyje. Jedyne, co pozostaje niezmiennie, to uczciwość. Jest ponadczasowa. Musimy być uczciwi wobec samych siebie... - spojrzała na niego z miłością - ... i wobec osób, które kochamy.

- Nikogo nie mam.

Usłyszawszy powtórnie to zapewnienie, Sara Miller nie miała już wątpliwości, że mąż kłamie. Zakochał się w pięknej nieznajomej. Pięknej i młodej, w przeciwieństwie do jego żony. Będzie cierpiał. Oboje będą cierpieć.

Godzinę później poprosiła sekretarkę o zarezerwowanie *suite* w nowojorskim hotelu Mercer. Poleci jutro, nie za piętnaście dni.

36

Odkąd spotykał się z Mazarine, niektóre jej zachowania zaczynały go niepokoić jako psychiatrę. Zauważył, że ma swoje życie, do którego on nie ma wstępu. Był niemal pewny, że opowieść o siostrze bliźniaczce jest tworem dziecięcej wyobraźni i być może odzwierciedla niezaspokojone potrzeby Mazarine. Jednak magnetyczny urok tej dziewczyny był taki silny, że nie potrafił wyzwolić się spod jego wpływu. Całkowicie mu się poddał.

Pociągała go u niej bezbronność kontrastująca z zapalczywością, z jaką przedstawiała swoje argumenty. Jeśli nie chciała czegoś zrobić, nie było takiej siły, która by ją do tego zmusiła. To Mazarine dominowała w ich związku, a on, bez-

granicznie zakochany, oddał się jej w niewolę.

Prosił ją, żeby nie chodziła boso po ulicach, przynajmniej w zimie, nie posłuchała go. Bose stopy działały na jego zmysły - dlaczego więc miałby się pozbawiać rozkoszowania tak wysublimowanym widokiem - a jednocześnie budziły instynkt opiekuńczy.

Nigdy nie spotkał kobiety, która emanowałaby taką energią, a w nim rozpałała tak różnorodne uczucia. Poświęcała mu tylko wieczory, ale wynagradzały mu one, i to z nawiązką, czas spędzony bez niej.

Pociągała go, uwodziła i doprowadzała niemal do szaleństwa. Pragnął jej, ale ona trzymała go na dystans, nie pozwalała na większą bliskość niż ta dopuszczalna w narzeczeństwie w starym stylu, tak jakby pozostawała w innym czasie i w innej rzeczywistości. Nawet nie śmiał pomyśleć, że mógłby ją osiąść, i tym bardziej jej pożądał. Gdy była obok, ogarniało go wrażenie mistycznego odrealnienia. Młodzieńcze romanse niewiele miały wspólnego z uczuciem, jakie żywił do Mazarine.

Szli, trzymając się za ręce, pośród ulicznej wrzawy Wieczorem bulwar Saint-Germain zapemniał się tłumem. Paryżanie spotykali się po pracy, rozmawiali, śmiali się, witali okrzykami radości i planowali wspólne rozrywki. Gdy Mazarine zajadała jak wygłodniałe dziecko *palmier pur beurre*, kupionym przed chwilą w cukierni, Pascal zaproponował, aby zatrzymali się przed jego ulubioną księgarnią Lecume des Pages. Na zielonych stołach zalegało setki książek i albumów o architekturze, fotografii i sztuce. Ludzie, których nie stać było na ich kupno, czerpali przyjemność z ich wertowania. Art nouveau, art deco, modernizm, racjonalizm...

Wszystkie kierunki w malarstwie. Impresjonizm, surre- alizm, ekspresjonizm, Die Brücke*⁴.. Luksusowe wydania współzawodniczyły o palmę pierwszeństwa pod względem edytorskiego wysmakowania. Album o Cadizie ze zdjęciami Sary - ten sam, z którego Mazarine wyrwała w księgarni Shakespeare and Co. stronę -

⁴ 4 Die Brücke - grupa niemieckich artystów, założona w Dreźnie w 1905 roku, która dała początek ekspresjonizmowi.

przeglądał jakiś klient i sporządzał notatki.

Pascal już miał powiedzieć, że artysta, o którym jest ta książka, to jego ojciec, ale się powstrzymał. Mazarine już miała powiedzieć, że Cadiz to jej ukochany mistrz, ale się powstrzymała. Zdjęcie na okładce wywołało w niej wstrząs. Nie mogła dłużej trzymać Pascala za rękę.

-Chodźmy stąd - powiedziała, wyrzucając do kosza niedojedzone *palmier*; nie mogła przełknąć ani kęsa więcej. - Dusi mnie zapach książek.

-A ja bardzo lubię zapach świeżo wydrukowanych stron. - Przyjrzał się jej uważnie. Była śmiertelnie blada. - Co ci jest? Zapraszam cię na kawę. Masz ochotę?

Mazarine bolało to, że nie może być teraz ze swoim mistrzem, i żałowała, że zakochany w niej Pascal nie jest Cadizem.

W kawiarni Les Deux Magots ukryła się za milczeniem jak za tarczą. Psychiatra nauczył się rozpoznawać ten stan. Uciekała od siebie. Pianka na cappuccino w jej filiżance powoli opadała, łyżeczka zaś obracała się i obracała, mieszając wspomnienia. Twarz Cadiza, jego wpatrzone w nią oczy, ścigający ją śmiech... i dłonie malujące jej ciało. Nie potrafiła bez niego żyć. Potrzebowała Cadiza, żeby żyć.

- Pascal - odezwała się po długiej chwili zamyślenia - jak sądzisz, czy złamane serce można poskładać w całość jak kawałki rozbitej porcelany?

- Czemu o to pytasz?

- Przecież leczysz ludzkie dusze? Czyż nie temu się poświęciłeś?

- Żeby uzdrowić swoją duszę, trzeba najpierw pokochać życie.

- Jak można pokochać coś nienamacalnego?

- Życie wcale nie jest nienamacalne, Mazarine. To twoje ciało, twój oddech... -

Przeciągnął palcem po jej wargach. - To, co czujesz.

- Kochać bez wzajemności - w tym tkwi cały urok. Miłość odwzajemniona nie sprawia bólu. Natomiast ta nieosiągalna...

- Kto ci powiedział, że miłość to ból?

- Czyż nie cierpisz, gdy jesteś spragniony? Jeśli nasze pragnienia zostaną zaspokojone, wszystko się rozmywa, już nie ma o co walczyć.

Pascal zbliżył usta do ust Mazarine.

- Jestem spragniony.

- Nie - powiedziała, odsuwając się. - Poznałbyś moje myśli, a tego nie chcę.

- Moje myśli mogą przeniknąć do twojej głowy – odparł Pascal, przysuwając się do niej. Poszukał jej ust i pocałował. - Moje pragnienia nie da się ugasić. Rozumiesz? Jestem ciągle spragniony. Im więcej piję, tym bardziej jestem zła.

Mazarine pomyślała o swoim pragnieniu. Swoim własnym. Pragnęła Cadiza. I to bardzo. Od niewypowiedzianych słów paliło ją gardło. Tłumiony krzyk sprawiał ból i niszczył. Ani jednego pocałunku. Cadiz ani razu jej nie pocałował.

- Czemu jesteś smutna, maleńka?

- Nie nazywaj mnie tak, słyszysz? Nigdy nie mów do mnie maleńka.

To słowo było zarezerwowane dla mistrza. On pierwszy ją tak nazwał i przy swoim nauczycielu rzeczywiście czuła się bezbronna jak dziecko.

- W porządku - odpowiedział Pascal. - Chciałem użyć jakiegoś pieszczotliwego słowa.

- Wybierz jakieś inne, na przykład *mon amour*.

Pascal nie kontynuował tej gry. Powrócił do tematu, który go naprawdę interesował.

- Dlaczego jesteś smutna? Czy z tego samego powodu płakałaś tamtego wieczoru, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz?

- Posłuchaj, nie wątpię, że masz szlachetne intencje i pragniesz mi pomóc, ale po pierwsze, nie jestem twoją pacjentką, po drugie, nic mi nie jest. Jeśli chcesz być ze mną, musisz zrozumieć, że milczenie i melancholia to cechy mojej osobowości.

- Spotykamy się już od prawie trzech miesięcy, a ja nawet nie wiem, czym się

zajmujesz.

- To nie ma nic wspólnego z tym, o co mnie wypytyujesz.

- Nie chcę, żebyś myślała, że cię przesłuchuję. Nie mam takiego zamiaru. Po prostu kocham cię i chciałbym lepiej cię poznać.

- Sądzisz, że jeśli lepiej mnie poznasz, staniemy się parą?

- Tego nie wiem, ale może tak się zdarzyć, że nasza znajomość zakończy się, ponieważ nie poznaliśmy się dobrze. Stracimy szansę na wspólną przyszłość.

- Przyszłość? Nie znam takiego pojęcia. Przyszłości nie ma, rozumiesz? Polowa ludności tej planety z myślą o przyszłości nie przeżywa teraźniejszości. Żyjemy po to, żeby umrzeć. To jest przyszłość. Jaka jest w końcu różnica między życiem a śmiercią?

-Kolosalna. Życie od śmierci dzieli gigantyczna przepaść.

- Śmierć jest jak sen. Zamykamy oczy. Odpoczywamy. Jesteśmy tu tylko przez chwilę. Nieważne, czym się zajmujemy. Wszystko, co robimy, odwraca jedynie uwagę od świadomości, że zmierzamy wprost do śmierci.

- W porządku. Nie chcesz mi nic powiedzieć o sobie, to nie mów. Nie było pytania.

- Studiowałam w akademii sztuk pięknych.

- A siostra?

-Ach... moja siostra całe dnię śpi. Ta to ma życie. Nic nie robi.

- A rodzice?

- Już mówiłam, ciągle podróżują. Prawie ich nie widuję.

- Tęsknisz za nimi?

Mazarine przypomniała sobie, jak całowała zimne czoło zmarłego ojca, i skinęła głową.

- Za ojcem tak. Tylko za ojcem... czasami.

- Mówisz mu to?

- Nie. - Wbiła wzrok w Pascala. - Posłuchaj, nie chcę o tym rozmawiać. Bierz

przykład ze mnie: czy ja cię o coś pytam? A wiesz, dlaczego? Ponieważ nic mnie to nie obchodzi. Ważne są tylko te chwile, kiedy rozmawiamy i spacerujemy. Zaprosisz mnie na kolację? Niedaleko jest przytulne bistro.

Mazarine była już w berecie i szaliku. Bose stopy odbijały się od ułożonej w szachownicę ciemnej terakotowej posadzki. Pascal wstał i zostawił kilka monet obok rachunku.

Gdy wkładał płaszcz i szykował się do wyjścia, pomyślał, że po powrocie do domu zajrzy do podręcznika psychiatrii.

Zima rządziła niepodzielnie. Nowy Jork powitał Sarę Miller śnieżycą, nie-spotykaną o tej porze roku. East River, która od ponad dziesięciolecia nie zamarażała, uwięziła w okowach lodu łodzie i statki. Mimo to Sara cieszyła się, że znowu tu jest.

Gdy jechała taksówką mostem Brooklińskim, patrzyła na okaleczony pejzaż Manhattanu i próbowała odtworzyć jego dawny wygląd. To miasto, z Twin Towers jako symbolem władzy pieniądza, wielokrotnie było bohaterem jej reportaży.

Od wstrząsającego zamachu jedenastego września Nowy Jork się zmienił. Zniknęły Bliźniacze Wieże i mimo upływu lat ta straszliwa tragedia kładła się złowrogim cieniem na mieszkańców. Nie rozmawiali o tym - temat był zbyt bolesny - ale wszystkie oblicza, niezależnie od rasy i koloru skóry, były naznaczone piętnem strachu. Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżała, odnajdywała na twarzach grymas przerażenia na wspomnienie tych trzech tysięcy dusz, które na zawsze zamieszkały w zbiorowej świadomości Wielkiego Jabłka. Puste miejsca po zbu-

rzonych wieżach zrobiły na niej wstrząsające wrażenie.

Tym razem przyleciała do Nowego Jorku, aby uciec przed samą sobą.

Gdy pakowała walizkę, Cadiz nalegał, żeby została. Twierdził, że wyjazd niczego nie zmieni, więc tym bardziej pragnęła uciec jak najdalej.

W drodze na lotnisko usiłowała dodzwonić się do Pascala i pożegnać z nim, ale okazało się to niemożliwe; w słuchawce usłyszała komunikat, że nie ma takiego numeru. Po spędzonej wspólnie Wigilii syn znowu zniknął z jej życia. Jego obecność w domu i wspólne rozmowy stały się pięknym wspomnieniem, bożonarodzeniowym snem. Właśnie ta wątpliwość porozumienia z synem była najwspanialszym prezentem świątecznym.

Bolało ją to.

Było jej wstyd, że nic o nim nie wie. Zawsze trzymała się z dala od jego dziecięcych rozterek, młodzieńczego buntu, jak również, niestety, potrzeb emocjonalnych. Zastanawiała się, jak zdołał tak daleko zajść i tyle osiągnąć bez solidnego wsparcia uczuciowego rodziców.

Lata spędzone w szkole z internatem w Szwajcarii – takie rozwiązanie oboje z Cadizem uznali za najlepsze - przyczyniły się do wzajemnego oddalenia i spowodowały przejście w stan dobrze kamuflowanej samotności. Pieniądze zdeponowane w banku służyły do spełniania wszystkich jego kaprysów, nieodmiennie związanych z nauką. W zmaterializowanym świecie, w jakim przyszło mu żyć, łatwo mógł się zmanierować, ale jego zachowanie przeczyło temu. Teraz zaczęła pojmować, że ta jego obsesyjna potrzeba zdobywania wiedzy zaspokajała nie tylko głód poznawania ciągle nowych obszarów nauki, lecz przede wszystkim głód uczuć. Czy jeszcze był w Paryżu? A może rozpoczął kolejne studia w jakimś innym miejscu na kuli ziemskiej? Co powinna zrobić, aby go odzyskać?

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Wreszcie dotarła na miejsce.

Ugrzeczniiony portier wyszedł po nią z parasolem. W lobby panowało gorączkowe

zamieszanie. Cały hol okupował Karl Lagerfeld - tradycyjnie ubrany w obcisłe czarne spodnie i białą koszulę z wysokim kołnierzykiem - wraz z ekipą projektantów i modelek. Wydając polecenia, szybko gestykulował zdobnymi w metalowe obrączki palcami. Przyczajeni pod oknami paparazzi na próżno próbowali zrobić zdjęcie dla czasopism o modzie. W drugim końcu holu, w berecie nasuniętym na czoło, Benicio del Toro przeglądał w skupieniu scenariusz, a przy sąsiednim stoliku piosenkarz Robbie Williams zaśmiewał się z przyjaciółmi. Taki był hotel Mercer. W świecie gwiazd i celebrytów, gdzie nikt nie zwracał na nikogo uwagi, czuła się komfortowo. Tu międzynarodowa sława Sary Miller nie była niczym niezwykłym. Tu paparazzi, choć stosowali rozmaite wybiegi i sztuczki, nie mieli wstępu.

Dostała ten sam *suite* co zawsze i kiedy tam dotarła, od razu postanowiła wziąć gorącą kąpiel. Przysnęła w wannie. Obudził ją dzwonek telefonu.

- Sara?

- *Ohhh, my God!* Gdzie jesteś?

- Wiesz, która godzina? Jestem na dole. Umówiliśmy się na kolację, pamiętasz?

- Przepraszam. Wejdz.

Otuliła się puszystym płaszczem kąpielowym i pobiegła otworzyć drzwi. Uściskały się serdecznie. Anne była jej najlepszą przyjaciółką, marszandką i pocieszycielką. Ubierając się, Sara opowiadała jej o wszystkim, co się wydarzyło ostatnio w jej życiu. O Cadizie, Pascalu, wystawie... Ustaliły, że zjedzą kolację w restauracji hotelowej.

Czekając na stół, wypity po dwa kieliszki dry martini.

- Mówiłam ci, że mam coś dla ciebie, Saro - powiedziała Anne, pełna zaróżliwej żywotności. - Może nie uwierzysz, ale wtedy, kiedy do mnie dzwoniłaś, miałam wspaniały sen.

- No dalej, opowiadaj. O czym śniłaś?

- To wspaniały projekt. Sama wiesz, że gdy mi się coś przyśni, to na ogół jest to dobry pomysł.

- Przestań się reklamować i opowiadaj.

- Chciałabym, żebyś zrobiła wszystko tak, jak sobie wyśniłam.

- Zobaczymy.

- W moim śnie realizowałaś fotoreportaż o grubasach, tłuściochach w stylu Fernanda Botera. Zdjęcia w jaskrawych barwach, zrobione w najbardziej typowych, symbolicznych miejscach Nowego Jorku. Pary i całe rodziny. Sama wiesz, że tu możesz trafić na prawdziwą galerię dziwołagów. Wyobrażam sobie, że pokazemy ten materiał na wystawie i w formie albumu o gigantycznych rozmiarach: metr na siedemdziesiąt centymetrów. Wydamy go w nakładzie pięciu tysięcy sygnowanych egzemplarzy z dodaną w prezencie podstawką z tytanu. Gratka dla kolekcjonerów. I co ty na to?

Sara patrzyła na nią bez entuzjazmu. Milczała.

- Nie widzisz w tym idei? - mówiła dalej Anne, jakby nie dostrzegając braku zainteresowania ze strony Sary. - Mogłybyśmy zacząć choćby jutro. Castingi, załatwienie pozwoleń, miejsc na wystawę, praw autorskich biorę na siebie. Twoje nazwisko otworzy nam wszystkie drzwi, a Nowy Jork rzuci na kolana.

- Sama nie wiem... Chyba nie mam na to siły.

-Rusz się, kobieto. Potrzebujesz porządnego bodźca, żeby znowu poczuć się pełna życia, a taki reportaż to czysta energia. Wyobraź sobie parę grubasów u Tiffany'ego. - Anne gestykulowała, kreśląc kadry w powietrzu. - On patrzy na swoją żonę ubraną w krwistoczerwoną sukienkę, obwieszoną kosztownościami. Naszyjniki, kolie, bransoletki i pierścionki wrzynają się jej w ciało, w otwartych ustach tkwi największy brylant na świecie. Wiesz, jak nazwiemy naszą wystawę?

Przesyt.

Im dłużej Sara słuchała Anne, tym bardziej zapalała się do tego pomysłu.

- Podoba ci się... - Anne z uwagą przyglądała się przyjaciółce. - Poznają to po

błysku w twoich oczach. Wykonanie strojów zlecimy wspaniałej stylistce, Bercie Guerin. Zrobi dla ciebie wszystko. Ściągniemy ją z Barcelony. Co o tym myślisz?

- Zgoda, zawsze postawisz na swoim, ale zrobimy to tak, jak ja chcę.
- Jak zwykle.

Zjadły pizzę z białymi truflami, za którymi Sara tak bardzo tęskniła w Paryżu, i umówiły się następnego dnia w galerii Anne na robocze spotkanie.

Schody do nowojorskiego Radio City Hall, windy w wieżowcu Chryslera, recepcja Waldorf Astorii, Madison Square Garden, limuzyna przy wejściu do hotelu Plaza - to tylko niektóre miejsca wybrane przez Sarę do realizacji wielkiego fotoreportażu.

Dni mijały jeden po drugim. Przychodziły zezwolenia, przed drzwiami agencji prowadzącej casting tłoczyły się tłumy grubasów, modystki i styliści przygotowywali stroje na miarę, szewcy - obuwie, wizażyści i fryzjerzy dbali o całą resztę. Machina została wprawiona w ruch i ta krzątanina rozproszyła rozterki Sary.

W Anne's Gallery na Wooster Street trwał właśnie uroczysty koktajl, wydany z okazji inauguracji niezwyklej wystawy zatytułowanej *Stany ducha* Cataliny Mejii. Sara Miller przechadzała się z kieliszkiem szampana w dłoni, by nie brać udziału w banalnych rozmowach, typowych dla tego rodzaju imprez. Zastanawiała się, co, do diabła, ona tu robi wśród tych ludzi, których nie miała ochoty poznać.

- Podobają mi się twoje obrazy - powiedziała, zbliżając się do kolumbijskiej malarki. - Są wymowne, pełne głębi i mają duszę. Dobry obraz musi mieć duszę.

- Dziękuję... Jak się czuje Cadiz?

- Och... dobrze, w porządku. Jest bardzo zajęty, przygotowuje wystawę.

- Anne mówiła, że właśnie zabierasz się do realizacji kolejnego wspaniałego projektu.

- No cóż, wiesz, jaka ona jest. Potrafi człowieka omotać swoją niewidzialną

siecią. Prawdę mówiąc, wolałabym zrealizować inny projekt, który już od dłuższego czasu chodzi mi po głowie. Szukam odpowiedniego pleneru jako tła. Tysiącletnich drzew, wysokich gór - barokowego piękna przyrody. Krajobrazy wobec nic nieznaczącego losu ludzkiego.

-Czekaj... - Catalina przywołała mężczyznę z głębi galerii. - Mam dla ciebie najpiękniejszy pejzaż na świecie: Quindio.

- Quindio? A gdzie to jest?

- W Kolumbii. Magiczne miejsce położone w Kordylerze Środkowej, o przebogatej przyrodzie. W języku keczua Quindio znaczy raj. Zamieszkujący ten teren Indianie z plemienia Quimbaya mieli rację. W ciągu jednego popołudnia widziałam tam aż cztery tęcze, rozciągające się jedna nad drugą. Zbocza gór porastają plantacje kawy, kwiaty i owoce w kolorze wiśni, rozłożyste bananowce... Bambusy piją chciwie wodę z rzek, wilgotne pnie drzew oplatają wielobarwne orchidee, kwitnące we wszystkich zakątkach. Niewyobrażalnie piękne motyle przerywają lot, siadają na wyciągniętej dłoni i pozwalają się dotknąć, obłaskawione rozgrzanym powietrzem. I jeszcze... - Urwała. Podszedł do nich bowiem mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojony czarny garnitur. – Właśnie opowiadałam pani o twoich rodzinnych stronach, Germanie - powitała go Catalina. - Przedstawiam ci...

Mężczyzna nie pozwolił jej dokończyć. Skłonił się nisko i z atencją ucałował dłonie fotografki.

- Nie musisz mi przedstawiać Sary Miller. To dla mnie zaszczyt poznać niezwykłą artystkę. Właśnie wróciłem z Paryża, gdzie mogłem podziwiać pani ostatnią wystawę. Doprawdy porywająca.

Jak zawsze, słysząc pochwały, Sara poczuła się niezręcznie. Nigdy nie wiedziała, czy słowa zachwyty są szczere. Przyjęła je zdawkowym uśmiechem.

- Jest pani już legendą - nie przestawał jej komplementować. - Niech pani nie będzie taka skromna - dodał, widząc, że się zarumieniła.

- German ma wspaniałą haqendę na plantacji kawy - wyjaśniła Catalina.

- Serdecznie zapraszam. Zna pani Kolumbię?

Sara pokręciła głową.

- Artysta fotograf o takiej wrażliwości jak pani – spojrzał jej prosto w oczy - doceni urodę mojego kraju.

Przerwała im Anne. Jakąś mającą parę zauroczył jeden z obrazów Cataliny.

- Porywam ją - powiedziała, puszczając do Germana oko.

Specyficzny akcent, melodyjny tembr głosu, inteligencja, szczery uśmiech, intensywnie czarne oczy i wykwiłtne maniery Germana Naranjo oczarowały Sarę. W wyobraźni widziała sugestywnie malowany przed jej oczami pejzaż. Dwie lampki szampana, trzy, cztery... pierwszy uśmiech... Może to ostatnia szansa? A gdyby tak zgodzić się i po zakończeniu reportaży w Nowym Jorku pojechać do Kolumbii?

38

O co chodziło mężczyźnie, który dobijał się do drzwi La Ruche? Czemu go niepokoił? Jeśli - jak twierdził przez domofon - znają się ze studiów w Akademii Sztuk Pięknych, dlaczego nazwisko natręta nic mu nie mówi?

Trzeciego dnia uporczywego pukania i wydzwaniania Cadiz wpuścił go do środka.

I tak zawistny malarz z zakonu Arts Amantis postawił na swoim i wkroczył do atelier swojego rywala. „Kumpel ze studiów” sypał szczegółami, znał przezwiska profesorów z tamtej epoki i wreszcie Cadiz uwierzył, że ma przed sobą dawnego kolegę. Gość ani słowem nie wspomniał o zazdrości, jaką zawsze odczuwał wobec Antegery.

Mazarine stała przy rozpiętym na sztalugach płótnie i malowała. Światło

padające przez przeszklony dach w kształcie kopuły zmieniało ją w zjawiskową postać. Na jej widok nowo przybyły zrozumiał, dlaczego Jeremie uważał ją za wcielenie Świętej. Emanująca z niej energia była niezaprzeczalna, a pociągnięcie pędzla - trafne i precyzyjne.

- To twoja uczennica? - zapytał zawistny malarz z Arts Amantis.

Cadiz nie odpowiedział. Niespodziewana wizyta była mu nie na rękę, drażnił go sposób bycia nieproszonego gościa okazującego nadmierną, niczym nieuzasadnioną zażyłość.

- Co cię tu przywiodło, Flavien? Nie mam czasu na wspomnianie starych dziejów. Minęło tyle lat. O czym tu gadać?

- Możemy porozmawiać na osobności?

- Mów śmiało.

- A ona?

- Należy do rodziny.

- No dobrze. Słyszałeś o katarach?

- O katarach? Czemu pytasz? Co ja mam z nimi wspólnego?

- Bardzo dużo. Dualizm wyuzdany opiera się na ich poglądach i wierze.

- Sądzisz, że to ja wymyśliłem ten termin?

- Uważamy, że należysz do odłamu katarów. Jesteś więc po części naszym duchowym bratem, chociaż... – spojrzał na niego wymownie - wyrodnym bratem. Ukrywasz coś, co nie należy do ciebie.

- O czym ty, do diabła, mówisz? Oszalałeś?

- Radzę po dobroci. Oddaj sam albo odbierzemy ci ją siłą.

Mazarine przysłuchiwała się rozmowie. Czemu nieznajomy wypytywał Cadiza o katarów?

- Gdzie jest ciało naszej Świętej?

Ciało? Święta? Czy dobrze słyszała? Zamarła z przerażenia.

- Jaka Święta? Wynoś się z mojego atelier!

Cadiz złapał mężczyznę za rękę i pociągnął do drzwi.

- Powinieneś podzielić się z nami swoim sukcesem, Cadiz... i natchnieniem.

Mazarine błyskawicznie wpuściła medalion za podkoszulek.

- Wynoś się stąd, Flavien. Zupełnie zwariowałeś.

- Ukrywasz ją za obrazami? - Wskazał płótna oparte o ścianę. - A może zamurowałeś ją we wnęce? - Jego wzrok penetrował studio. - To ona przyniosła ci sławę i rozgłos?

- Precz, wynocha! Bo zadzwonię po policję.

- Dowiemy się, gdzie ukrywasz naszą Siennę. Ostrzegam cię: nie spoczniemy, póki jej nie znajdziemy. Nie jestem sam. Jest nas wielu. Bądź tego świadom.

- Już cię tu nie ma!

- Cadiz, co się dzieje? - spytała Mazarine sztucznie spokojnym głosem.

- Nie przejmuj się. Ten pan już wychodzi.

- Może panienka ma mi coś do powiedzenia.

Mazarine podeszła do mężczyzny i spojrzała mu w oczy z udawaną pewnością siebie, choć w głębi duszy budził w niej paniczny lęk.

- O co chodzi? Tak trudno pogodzić się z tym, że jest ktoś lepszy od pana?

Przemawia przez pana zawiść, zgadłam?

- Daj spokój, Mazarine - wtrącił Cadiz.

Flavien wypatrzył pod koszulką medalion.

- To z tobą powinienem porozmawiać na osobności, nieprawdaż, panienko?

Wiesz coś, czego on nie wie - mówił, podczas gdy Cadiz wypychał go z atelier.

- I nie waż się tu przychodzić! - wrzasnął, zatrzaskując za nim drzwi. - Zrozumiano?

*

Narozrabiał... i to jak! Skończony kretyn. Odślonił karty zamiast wkraść się w łaski Cadiza i stopniowo zdobyć jego zaufanie i w końcu przyjaźń. Zawiść okazała

się silniejsza od rozsądku. Sprowokował go widok kolegi po fachu na ile wspa-
niałych obrazów, w nimbie *grandeur*, obdarzonego niemal boskim natchnieniem.
Ze wszech miar upokarzające doświadczenie.

I co teraz? Jak się wytłumaczy braciom z Arts Amantis? Zmarnował taką
okazję!

Idąc rue des Morillons, do stacji metra, Flavien ganił się i beształ.

A dziewczyna... Uśmiechnął się na wspomnienie. Jej dziewicze piękno bu-
dziło w nim zachwyt. Jakaż siła kryła się w tej kruchej istocie!

- Ty idioto! - wykrzyknął na cały głos, zbiegając po schodach na peron.

Ludzie, którzy właśnie wysiadali z pociągu, spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Tak, proszę państwa. Macie przed sobą największego głupka w Paryżu.

Podróżni wyminęli go, przeświadczeni, że to szaleniec, jeden z wielu, jacy
błąkają się po ulicach miasta.

- Kreeetyn! - powtórzył, gdy zamykały się za nim drzwi wagonu. - Dobrze ci
tak!

Mazarine przestała malować. Była przerażona. Mężczyzna, którego Cadiz
wyrzucił z atelier, chciał jej odebrać Świętą. Pozbawić jedynej rzeczy, jaką po-
siadała.

- Maleńka, ty drzysz. - Objął ją. - Nie martw się. Miałem do czynienia z
niejednym oszołomem. Biedacy! Chcą uchodzić za niebezpiecznych, a w gruncie
rzeczy są zupełnie niegroźni. Domagał się wydania ciała jakiejś świętej. Wy-
obrażasz sobie? - Rozbawiła go ta myśl. - Bredził coś o braterstwie dusz...

Myśli Mazarine mknęły jak szalone. Nikomu nie mogła się zwierzyć. Nawet
Cadizowi. Zwłaszcza jemu. Co by sobie niej pomyślał? A antykwariuszowi?

Pomógłby jej? Może Pascalowi? Nie. Stanowczo nikomu nie mogła powierzyć swojego sekretu. Bez Świętej nie miałyby po co żyć... Nie chciałyby... Nie umiały...

- Mazarine, zapomnij o tym incydencie. Jest absolutnie bez znaczenia. - Głos mistrza obudził ją z zamyślenia.

Wolałyby umrzeć niż stracić Sienne.

- Straciłaś natchnienie przez tego łajdaka. Zrobimy sobie krótką przerwę?

Przejdziemy się? Już wiem. - Zastanawiał się chwilę. - Pójdziemy na obiad.

Mazarine rozpędziła czarne myśli gromadzące się w jej głowie.

- Obiad na mieście?

Nigdy jej nigdzie nie zabierał. Spotykali się wyłącznie w La Ruche. Oprócz tego wieczoru spędzonego na tarasie Łuku Triumfalnego, nikt ich nie widział razem.

-Zabiorę cię w pewne szczególne miejsce. Już dawno chciałem cię tam zaprosić. Bywali tam najślynniejsi artyści.

- Czyli dokąd?

- W samo serce Montparnasse'u. Gdybyśmy żyli w tamtych czasach... Ach... La Rotonde, La Coupol, Le Dôme, La Closerie des Lilas⁵. Ty, moja wielka muza, moja miłość, moja malarka... - westchnął głęboko - ... moja kochanka... W Cantine de Vassilieff, upojeni sztuką. Złączeni aż do obłędu w miłości do piękna, które tak mnie przejmuję i pochłania. My, dwoje, wyrażający dziką radość, przytłaczający smutek... morderczy szal, przelotną frustrację... Ty i ja tańczący walca: teatr życia, maleńka. Przepiękna farsa. Odgrywana po mistrzowsku komedia.

Mazarine wpatrywała się w niego. Właśnie to w nim najbardziej kochała. Tę pasję we wszystkim, co mówił i robił. Nerozsądny rozsądek.

- Ty wybierasz.

⁵ 5 Wymienione restauracje i kafejki były w latach dwudziestych minionego wieku ulubionymi miejscami spotkań cyganerii artystycznej Paryża.

- Nie potrafię. - Zakryła oczy rękami. - Zabierz mnie tam, gdzie chcesz.

-A zatem... niespodzianka? Świetnie! Przygotuj się na niezwykle wrażenia.
Zdjął kitel i włożył płaszcz.

Szła pod rękę ze swoim mistrzem, przepelniona radością. Chciało się jej skakać i krzyczeć. Czuła się małą dziewczynką i kobietą zarazem. Kimś naprawdę ważnym.

Cadiz nalegał, żeby złapali taksówkę, ale ona wolala iść piechotą. Euforia i świeże powietrze zabarwiły jej policzki na różowo. Szli objęci, śmiali się, przeskakiwali przez kałuże, liczyli kroki, dzwoniли do drzwi i uciekali. Powrót do dzieciństwa...

Bose stopy Mazarine, unurzane w topniejącym śniegu i błocie, Cadiz wycierał chustką. Rozmawiali, ona śpiewała znane paryskie piosenki, nieśmiertelne przeboje Edith Piaf...

Quand il me prend dans ses bras,
Il me parle tout bas,
Je vois la vie en rose...

Była szczęśliwa. Czas nie istniał.

Il me dit des mots d'amour,
Des mots de tous les jours,
Et ca me fait quelque chose..

Był obok niej, troszczył się o nią.

Il est entre dans mon coeur
Une part de bonheur
Dont je connais la cause...

Na pustej ulicy tylko ona i on.

C'est lui pour moi.

Moi pour lui dans la vie,

Il me l'a dit, l'a jure

Pour la vie.

Bulwar Montparnasse czy Raspail? Wszystko jedno. Marzenia nie znają granic. *Rive gauche* czy *rve droite*? A może prosto? Upojna chwila. Życie zdało się usłane różami.

Et des que je l'aperçois

Alors je sens en moi

Mon coeur qui bat.

W mieście pojawiły się pierwsze nieśmiałe oznaki wiosny. Z kawiarnianych ogródków zdejmowano plastikowe osłony, chroniące gości przed ulicznym zgiełkiem i zimnym wiatrem. Stoliki z bistro, z *rotisseries* znowu wystawiono na chodniki... *Bonjour, mademoiselle; bonjour, monsieur... nous avons des Coquilles Saint-Jacques, entieres et vivantes, de belle taille...* Kelnerzy zapraszali do spożywania obiadów na świeżym powietrzu.

Podnosiła się piana piwa, postukiwały rażno kufle, wszyscy świętowali porę roku niosącą ze sobą uśmiech. Nawet Balzak, dzieło Rodina, dumnie stojący na cokole, sprawiał wrażenie, jakby pragnął z niego zeskoczyć i też świętować nadejście wiosny. Ludzie wierzyli, że zima odeszła i już nie wróci.

Na bulwarze Montparnasse Cadiz zawiązał oczy Maza-rine czarnym szalikiem. Zachwycona zgodziła się na to. Ten rytuał należał tylko do nich.

- Dasz się poprowadzić?

- Cała jestem twoja.

- Zobaczymy, czy zgadniesz, dokąd idziemy.

Na oczach zdumionych przechodniów prowadził ją jak ociemniałą.

- Pobawimy się w zgadywanki?

Podniecona Mazarine przytaknęła.

- Gdzie cię prowadzę?

- Do La Closerie des Lilas?

- Zimno, zimno.

- Już wiem. Do La Rotonde.

- Święty Balzaku, oświeć ją!

- Zaraz, zaraz... Pomnik Balzaka?

Cadiz roześmiał się.

- Mróz.

Gdy przechodzili przez ulicę, światła zmieniły się na czerwone.

- Biegnij, maleńka.

Chodzenie po omacku, w środku dnia, stanowiło zupełnie nowe doznanie - podniecało i wyostrzało słuch. Klaksony samochodów, plaskanie bosych stóp o asfalt – wszystkie te dźwięki potężniały. Zatrzymała się.

- Poddajesz się?

-Nie, daj mi pomyśleć... - Po chwili zastanowienia stwierdziła: - Już wiem. To La Coupole. Jestem pewna, że to La Coupole.

Maitre z Le Dôme wyszedł im na powitanie, ale Cadiz gestem nakazał mu milczenie.

Weszli do środka. Goście z ciekawością spoglądali na dziewczynę w czarnym płaszczu, o bosych stopach, z czarnym szalikiem na oczach i na jej starszawego towarzysza.

Mazarine słyszała szmery i szepty i niemal czuła ciekawskie, taksujące spojrzenia, ale wcale się tym nie przejmowała. Nikt i nic nie mogło zniszczyć jej radości.

Mistrz pomógł jej wejść po schodach i usadowił przy stole, który zawsze był dla niego zarezerwowany, choć rzadko z niego korzystał. Dopiero wtedy odsłonił

jej oczy.

Mazarine poczuła wzruszenie. Ściany lokalu obwieszane były zdjęciami i pamiątkami po Modiglianin. La Coupole stanowiła alegorię paryskiej bohemy. To miejsce jeszcze oddychało anegdotami i wspomnieniami o malarzach i modelkach, tą specyficzną atmosferą artystycznego Paryża z czasów Kiki.

- Mówiłaś, że twoim ulubionym malarzem jest Modigliani. Proszę bardzo. To jego ulubiony zakątek. Tu przychodził na obiady i kolacje z Jeanne Hebuterne, swoją wielką ostatnią miłością.

Na ścianie widniała sentencja napisana ręką Włocha:

„Malować kobietę to posiadać ją”.

- „Malować kobietę to posiadać ją” - przeczytał Cadiz; patrząc na Mazarine. - Masz rację, przyjacielu.

- A ja się z tym nie zgadzam.

- Nie kłóć się. Fakt jest bezsporny. Jesteś moja.

- Twoja? Nie bądź tego taki pewny - uniosła się.

Po raz pierwszy Cadiz poczuł się zbity z tropu. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby ją stracić, że ktoś śmiałyby odebrać mu jego szczęście.

- Masz kogoś?

- Nie, ale mogłabym mieć. - Uśmiechnęła się przewrotnie. - Jesteś zazdrosny, mistrzu?

-Też coś! Nawet gdybyś kogoś miała, maleńka, i tak byłabyś moja. Jeśli mi nie wierzysz, przypatrz się naszym płótnom.

- Obrazy to tylko sztuka.

-Artystka tej miary co ty nie powinna mówić takich rzeczy.

- Liczy się tylko prawda.

- Ktoś powiedział, że prawda to fałsz.

- W takim razie, czym jest kłamstwo?

-Wiesz, ile prawdy można zawrzeć na jednym płótnie?

Dużo i nic. Obraz jest odzwierciedleniem duszy jego twórcy.

Właśnie to jest prawdą. On krzyczy pożądaniami, maleńka. Pożądaniami! Picasso mawiał: „Moje ego ujawnia się na płótnach; niezależnie od tego, co zrobię, zawsze tam będzie. Nawet zbyt widoczne... Problemem jest reszta". A zatem tam jest: twoje pożądanie i moje wielkie ja, tak ewidentne, że nie da się ukryć.

Mazarine patrzyła na niego bez słowa. Cadiz przypomniał sobie zdanie, które przed chwilą wypowiedziała:

„Twoja? Nie bądź tego taki pewny", i znowu poczuł ukłucie zazdrości. Umilkł, spojrzał jej w oczy i zapytał, tym razem błagalnie:

- Moja maleńka... masz kogoś?

40

Przez trzy kolejne wieczory Mazarine odwoływała randki z błahych i nieprawdziwych powodów. Przy próbach pozbycia się go wyczuwał w jej głosie kłamstwo.

Nie nalegał, mimo że bardzo chciał ją zobaczyć. Wykorzystał ten czas do studiów nad jej przypadkiem.

Usiłował naszkicować jej profil psychologiczny, ale nic z tego nie wychodziło. Brakowało faktów, istniały same przypuszczenia wysnute z milczenia Mazarine. Przy takich lukach sformułowanie jakiegoś wniosku było wręcz niemożliwe.

Założył jej kartę.

Imię: Mazarine.

Nazwisko: ?

Wiek: 23 lata.

Rodzice: ?

Adres rodziców: ?

Rodzeństwo:.. Siostra bliźniaczka.

Imię siostry: ?

Kto urodził się pierwszy, ona czy siostra: ?

Dzieciństwo: ?

Rodzaj więzi z ojcem: ? Brak więzi?

Rodzaj więzi z matką: Brak zrozumienia?

Studia: akademia sztuk pięknych. (Stąd ta duża wrażliwość).

Aktualne zajęcie: ?

Adres: ? Dzielnica Łacińska?

Nic o niej nie wiedział, mimo to zakochał się. Kochał nawet powietrze, którym oddychała, ale jego miłość nie była ślepa; wykonywany zawód nie pozwalał mu się oszukiwać. Im baczniej ją obserwował, tym bardziej był przekonany, że coś ukrywa. Sferę uczuciową i wszystko, co dotyczyło rodziny i przyjaciół, Mazarine trzymała w ścisłej tajemnicy. Tak jakby nie miała wspomnień ani przeszłości; jakby tamtego wieczoru na Champs Elysees wyłoniła się z nicości.

Te chwile, kiedy stawała się nieobecna, jakby zapadała się w siebie, ucieczki od rzeczywistości, milczenie i podejmowanie jak gdyby nigdy nic rozmowy. Teżniejszość miała dla niej niewielkie znaczenie; wyrażała się sceptycznie i nie widziała sensu życia; nieokazywanie emocji, gdy próbował się do niej zbliżyć, i zbytnia czułość, z jaką mówiła o śmierci... Wszystkie te okoliczności sytuowały ją w dziwnym miejscu. Była normalna czy odbiegała od normy? Nie odważył się wskazać wzorców zachowań normalnych w świecie, w którym popełniano coraz więcej szaleństw w imię normalności. Czuł się zagubiony. Szperał w podręcznikach psychiatrii, psychologii, neurologii... Sprawdzał w archiwach, wyciągał teczkę z przypadkami klinicznymi. Szukał czegoś, co by go naprowa-

dziło na ślad.

Szukał, wiedząc, że niczego nie znajdzie; naukowe rozprawy ani podręczniki nie rozproszą jego wątpliwości. Szukał czegoś, czego i jemu brakowało... Szukał po prostu po to, aby nie czuć się samotny.

Wyciągnął tom DSM-IV*⁶ *Klasyfikację zaburzeń psychicznych* i powoli kartkował. Zaburzenia, nerwice i lęki zostały ujęte w porządku alfabetycznym. Na literę A: ADHD, aerofagia, agorafobia, alkoholizm, amnezja, anoreksja, apatia, arachnofobia, autyzm... Na B: bezsenność, bordeline, ból bulimia... Na C: ceno-
tofobia, charakter - „patrz zaburzenia charakterologiczne”, choroby układu ner-
wowego, cierpienie... Na D: demencja, delirium, depresja... Traумы i urazy psy-
chiczne, w większości spowodowane przez najbliższe otoczenie pacjentów, pro-
wadzące do poczucia zagubienia i wyobcowania. Żyli w mroku. Porady i kon-
sultacje miały

na celu wyciągnięcie ich z tego stanu, a Pascalowi dodawały sił do dalszej walki. Wertując kolejne strony, dotarł do zaburzeń adaptacyjnych i czytał dalej. Za-
trzymał się na zaburzeniach osobowości typu mieszanego: „Tę kategorię zaburzeń
trudno jednoznacznie sklasyfikować, ponieważ nie przejawia się w określonych
wzorcach zachowań uznanych w psychiatrii za specyficzne”. Jaki rodzaj zaburzeń
ma Mazarine? Osobowość aspołeczną? Aspołeczno-depresyjną ze skłonnością do
melancholii? A może o podłożu histerycznym?...

Gwałtownie zamknął książkę. Właściwie po co to robi?

Może jej nic nie dolega, a z nim jest coś nie w porządku?

Znajomość z Mazarine nie rozwijała się i nie ewoluowała zgodnie z jego
oczekiwaniem, co wywoływało w nim niecierpliwość i budziło niepokój.

Jakie miał prawo wyrokować o jej zdrowiu psychicznym? Gdyby przyjrzał się
sobie jako pacjentowi, jak zaklasyfikowałby swój stan? A może uważa się za

⁶ 6 DSM-IV (*Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders*) - klasyfikacja zaburzeń psychicznych według Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

zdrowego i sądzi, że jego to nie dotyczy? Czyżby?

Odłożył DSM-IV na półkę i spojrział na wyświetlacz komórki. Żadnego nieodebranego połączenia. Mazarine nigdy do niego nie dzwoniła ani nie wysyłała SMS-ów. Gdyby nie przejawiał inicjatywy, pewnie zniknęłaby z jego życia tak samo nagle, jak się pojawiła. Czasami miał wrażenie, że utrzymywanie tej znajomości zależy wyłącznie od niego, a Mazarine po prostu pozwala się kochać.

Dłużej tego nie wytrzyma.

Zadzwoń do niej.

Mazarine szła rue Galande pod rękę z Cadizem, gdy usłyszała dzwonek telefonu.

- Odbierz - powiedział malarz, widząc, że nie reaguje na sygnał.

- To nic ważnego.

- Odbierz - nalegał. - A może nie chcesz, żebym usłyszał, o czym rozmawiasz?

Szkoda, że nie wyłączyła komórki.

- *Allo.*

- Przepraszam, że dzwonię o tej porze. Chciałem tylko zapytać, jak się czujesz.

Cadiz puścił jej rękę.

- Nie mogę teraz rozmawiać - odpowiedziała zmieszana Mazarine.

- Jesteś zajęta?

- Tak. Oddzwonię później. *D'accord?*

A więc nie jest sama.

- Czy jest ktoś z tobą?

- *Au revoir.*

Wyłączyła komórkę.

Była z kimś. Na pewno. Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że ona może kogoś mieć? Jeśli tak, to dlaczego mu nie powiedziała? Czemu pozwoliła mu się

łudzić? Może jest mężatką? Nie, to niemożliwe. Jest za młoda. A jeśli prowadzi podwójne życie? Jeśli jest *belle du jour*?

Pascal szalał z zazdrości.

Miała kogoś. Był pewny. Po tym telefonie Cadiz wyczuł u Mazarine zderzenie nerwów.

- Kto to był?

- Przyjaciółka.

- Nie okłamuj mnie, maleńka. Słyszałem męski głos.

- To była przyjaciółka i koniec. Czy ja wypytuję cię o żonę?

- Jaki on jest? Młody, prawda?

- Już ci mówiłam, że nikogo nie mam. Na moje nieszczęście to ty ukradłeś mi serce.

- A co ty zrobiłaś z moim?

Mazarine spojrzała na niego triumfująco.

- Powiedz, dlaczego ostatnio wychodzisz ze mną wieczorami? Gdzie jest Sara?

Cadiz zmieszał się.

- Dlaczego pytasz?

- Bo ona istnieje.

- Wszystko zepsułaś.

- Nie ma jej teraz w Paryżu, prawda?

- Nie twoja sprawa.

- W porządku. W takim razie nie wymagaj szczerości ode mnie. Ty masz prawo do swojego życia, a ja do swojego. Co ty na to, abyśmy ten rodzaj związku określili mianem dualizmu... - zrobiła efektowną pauzę - wyuzdanego?

Cadiz milczał. Miała rację, ale nie chciał tego głośno powiedzieć. Zmienił temat.

- A więc chcesz mi pokazać swoją kryjówkę.

- Nie, wcale nie chcę pokazać ci mojej kryjówki. - Mazarine pomyślała o szafie. - Tam nikt oprócz mnie nie może wejść... chyba że byłby to ktoś absolutnie godny zaufania, a ty nie jesteś mi wierny. Co ty sobie wyobrażasz? Ja też mam swoje sekrety. Chcę ci pokazać coś zupełnie innego. Pewien szczególny lokal: La Guillotine, piwnicę, w której grają taki jazz, że można umrzeć. Zapomnisz o klaustrofobii.

- To nie jest twój dom? - spytał zdziwiony.

- Ależ tak. Pub znajduje się dokładnie naprzeciwko.

- Czy twoi rodzice już wrócili? Mówiłaś, że z nimi mieszkasz, prawda? W domu są zapalone światła.

Mazarine zawsze zostawiała zapalone światła, także w dzień. Gdy wracała późnym wieczorem, wyobrażała sobie, że czeka na nią Sienna.

- Nigdy o nich nie mówisz.

- O kim? Ach, tak... bo nie ma o czym. Mają swoje życie. Dziś są, ale jutro mogą znowu wyjechać, nie żegnając się ze mną. Jesteśmy bardzo niezależni. Ja ich nie wypytuję, dokąd jadą, oni dają mi święty spokój. *Liber te familiere. C'est la vie, mon amour.* Chodź...

Pociągnęła mistrza za sobą. Atmosferę lokalu tworzyły unoszące się w górę kłęby dymu z papierosów i dźwięki trąbki. Przysiedli na wąskim, kamiennym schodku. W środku brakowało już wolnych stolików. Młody chłopak po mistrzowsku grał klasyczny motyw z *Cornet shop suey* Louisa Armstronga.

Cadiz rozejrzył się. Piwnica była pełna młodych ludzi.

W nabożnej ciszy słuchali starych standardów muzycznych, które za sprawą swej niezwyklej mocy ocalały od zapomnienia. Młodość i świeży umysł to największy skarb. Goście doceniali nowoczesną klasykę, jak nazywali ten rodzaj muzyki. Tu on, przytulony do Mazarine, czerpał z jej siły i młodości nektar życia.

Cieszył się, że Sara wyjechała. Nie musiał wymyślać wymówek i usprawiedliwień, w które ona i tak nie wierzyła. Żona, co bardzo sobie cenił, ofiarowała mu w swojej życiowej mądrości wolność wyboru i swobodę podejmowania decyzji. I korzystał z tego. Towarzyszył dwudziestotrzyletniej dziewczynie, która mogłaby być jego córką, a nawet wnuczką. Nie poddawał się starości. Prowadziła go pewną ręką ku dawno utraconej radości... uczucia tak dalekiego. Stwarzała więź z życiem. Objął ją. Mazarine położyła mu głowę na ramieniu. Pocałował jej włosy. Pachniały szamponem brzoskwińowym i wiosną.

W półmroku piwnicy ciszę przerywał jedynie głęboki głos, do perfekcji naśladowujący Ellę Fitzgerald w *Oh, Lady be good*, i mroczny, wyrazisty dźwięk kontrabas w stylu Raya Browna.

Zobaczył ją. Czy to na pewno ona? Tak.

Na schodach siedziała dziewczyna jego marzeń. Mazarine... przytulona do kogoś. Do kogo? Czyjaś głowa zasłaniała mu widok. Poruszył się, ale zdołał zobaczyć tylko siwe włosy. Była z jakimś staruchem!

Od wielu dni Arcadius nie miał żadnych wiadomości od Mazarine. Poczł się więc mile zaskoczony, gdy tego ranka zjawila się w antykwariacie.

- Zanedbujesz mnie, dziewczyno. Czy już nic cię nie obchodzi biedny starzec? Gdzie się podziewałaś? Szukałem cię.

- Przykro mi, Arcadiusie. Byłam bardzo zajęta. Muszę z tobą porozmawiać.

- Co się stało? Widzę, że jesteś zdenerwowana.

- Zapraszam cię na kawę. Masz czas?

- Dla ciebie zawsze.

Antykwariusz wstał, wziął płaszcz i odwrócił wiszącą na drzwiach tabliczkę:

Ferme.

Wyszli na ulicę. Rue Galande rozświetlało promienne słońce. Wiosna triumfalnie święciła swoje przybycie. Ulice zapełniały się turystami szukającymi na planie drogi na Ile de la Cite. Kramy z kwiatami zamieniły chodniki w jedno wielkie targowisko wonności. Powietrze przesycił zapach róż, lilii i egzotycznych orchidei. Przepisnęli się między dzbanami i konwiami i poszli w stronę Saint-Severin.

- Musisz mi opowiedzieć coś więcej o relikwiach, Arcadiusie.

- Poprzedniej nocy ktoś się włamał do antykwariatu.

- Co ty mówisz?

- Okradli mnie. Pamiętasz ten pergamin, który ci pokazywałem? - Przytaknęła. - Zniknął. Rano zastałem wyłamany zamek w drzwiach, a w środku wszystko poprzewracane. Złodzieje pewnie szukali pieniędzy, a ponieważ ich nie znaleźli, zabrali kilka przedmiotów, między innymi książkę, w której trzymałem pergamin.

- Myślisz, że chodziło im o pieniądze? Może właśnie tego szukali, a nie pieniędzy?

- Czemu tak sądzisz?

- Sama nie wiem, Arcadiusie. Wspominałeś o handlu relikwiami. Ten tekst mówił o ciele zamęczonej dziewczicy uznanej za świętą.

- Nie pojmuję, dlaczego szukają go u mnie?

- A dlaczego nie? Przechowujesz różne rzeczy.

- Ty coś wiesz o tej sprawie, prawda?

Mazarine chciała mu wszystko powiedzieć, ale nie miała odwagi. Wybrała zatem inne wyjście: zmieniła temat.

- Podśluchałam pewną rozmowę.

- Tak? - Antykwariusz był zaintrygowany.

- Dwaj mężczyźni rozmawiali o katarach, dualizmie i jakiejś sekcje... Jeden z nich wspomniał o Świętej.

-Tak, są jeszcze sekty działające w podziemiu. Nie wiesz, kim byli?

-Wyglądali na artystów. Wspominali coś o natchnieniu... opowiadałeś mi kiedyś o Arts Amantis, pamiętasz? Domyśliłam się, że są związani z tym zakonem.

- Gdzie to słyszałaś?

-Miejsce jest nieważne, Arcadiusie. Byłam wtedy na obiedzie w... - zastanawiała się, co powiedzieć - ... na bulwarze Montparnasse.

- Czyżby byli to członkowie Arts Amantis?

- Zdaje się, że szukają ciała męczennicy o imieniu Sienna. Nie domyślasz się, w jakim celu, Arcadiusie?

- Rozbudziłaś moją ciekawość. Nie wiem, co w tobie jest, ale sprawiaasz, że przy tobie czuję się pełen werwy. - Schwycił jej dłoń i ucałował z czułością. - Błogosławiona dziewczyno, wiesz co? Teraz bardzo chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

- Boję się...

- Czego?

- Że odbiorą mi medalion.

- Nie zależy im na medalionie, jestem tego pewny. Gdyby był uznawany za relikwię ten, kto go ukarał, nie zwróciłby go. Chyba że...- zamilkł na chwilę - ty naprowadzisz ich na jakiś ślad.

-Ja?

- Czy ktoś cię śledzi?

- Przez kilka miesięcy chodził za mną mężczyzna o odrażającym wyglądzie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo wtedy jeszcze cię nie znałam.

Arcadius zamyślił się.

- Przyszła mi do głowy pewna myśl - powiedział, przerywając ciszę. - Może mój stary przyjaciel zechce nam pomóc. O ile żyje, oczywiście.

- Kto to?

- Jubiler ze starego cechu złotników paryskich. Co prawda straciłem z nim kontakt. Hm... Bóg jeden wie, gdzie on się teraz podziewa. Był w tym wieku, że najpewniej wyruszył w bezpowrotną podróż. Jest teraz jak pustynny wiatr, którego nikt nie słyszy.

- A cóż on może wiedzieć?

- Że też wcześniej na to nie wpadłem! Zawsze uważałem go za światłego i tajemniczego człowieka. Miał swoje sekrety. To on opowiedział mi o Arts Amantis. Myślę, że zrobił to pod wpływem impulsu.

- Jest niebezpieczny?

- Kto? Złotnik?

- Nie, zakon.

- Wszystko jest niebezpieczne, jeśli patrzysz na to przez pryzmat strachu, Mazarine. Jedyne, czego powinniśmy się bać, to strachu, jak powiedział Roosevelt.

- Zadzwońisz do niego?

- Miejmy nadzieję, że żyje. Mam coraz mniej znajomych na tym świecie. Boję się, że każdy kolejny dzień to dar, na który nie zasłużyłem.

- Nie mów tak, Arcadiusie.

- Powiedz, dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej? I skąd masz medalion?

Mazarine pocałowała go w policzek.

- Mam wrażenie, że ukrywasz coś przede mną. Nie sądzisz, że zanim odnajdę mojego przyjaciela, powinienem wysłuchać twoich wyjaśnień?

- Muszę wiedzieć, dlaczego szukają ciała Świętej, Arcadiusie. Tylko tyle mogę ci na razie powiedzieć.

- Już dobrze. Nie wiem, co tam jeszcze trzymasz w zanadrzu. Nawet nie wiem, kim ty naprawdę jesteś, ale czy to ważne? Postaram się skontaktować z moim

starym druhem. A ty kiedy wreszcie skończysz z sekretami?

-Proszę, nie męcz mnie. Pewnego dnia opowiem ci wszystko. Teraz obiecaj, że mi pomożesz. Zrobisz to?

- Hm... Jeśli znowu mnie pocałujesz, być może przemyślę to.

Roześmiał się w głos, gdy cmoknęła go w policzek.

- Wiesz, że prócz mojego przyjaciela - jeśli żyje – mam tylko ciebie.

42

Fotoreportaż *Przesyt* był niezwykły. Fascynujące dzieło, jak wszystko, co wyszło z obiektywu Sary Miller. Jej zdjęcia to prawdziwy majstersztyk. Zawsze we wspaniałych sceneriach, ironiczne i groteskowe, prowokowały do myślenia, intrygowały. Przesadnie wyolbrzymione, wyszydzały rozrzutność. Emanowały doskonałością. Pobyt w Nowym Jorku przeciągnął się do siedmiu tygodni. W nocy poprzedzającej wyjazd Sara wahała się między powrotem do Paryża a ucieczką dokądkolwiek, gdzie zanosłyby ją wiatry, napełniły świeżością i oderwały od dotychczasowego życia. Pragnęła rozplątać się w nicości, dotrzeć aż do kresu, przekroczyć granicę oddzielającą od anonimowości i całkowitej pustki.

Nie miała żadnych wiadomości od Cadiza, ale też wcale na nie nie czekała. Tak sobie przynajmniej wmawiała. Była pewna, że mąż przeżywa największą miłość swojego życia, ponieważ nawet podczas największych małżeńskich kryzysów zawsze do niej dzwonił. Bolało ją to milczenie, ale sama była sobie winna: sprowokowała tę ciszę swoją nagłą ucieczką. Przerwanie jej byłoby poniżej godności Sary Miller.

W Nowym Jorku - Wielkim Jabłku, jak nazywali swoje miasto mieszkańcy - korzystała z życia, syciła głód i szukała zrozumienia. Czy zaspokajała ten głód? Wielkie Jabłko było, owszem, smacznym owocem, kuszącym, ale nie sycącym.

Co wieczór wychodziła na kolację z Anne. Nie była sama ani w dzień, ani w nocy. Marszandka próbowała poprawić jej humor, zapraszając przyjaciół, którzy zasypywali ją pochwałami i uważali za boginię fotografii. Słowa, puste i błahe jak przekąski przed obiadem, banalne wypowiedzi pozbawione treści. Między nią a tymi ludźmi nie było więzi, a Sara dążyła do takiej harmonii, jaka panowała w przyrodzie. Krajobraz był piękny, gdy odpowiadał stanowi jej duszy. Chciała odnaleźć myśli i uczucia, nawiązać dialog współbrzmiący z najgłębiej skrywanymi przeżyciami, prowadzić rozważania o ludzkiej egzystencji i upadku kondycji duchowej człowieka w jesieni życia. Pragnęła rozmawiać o ludziach, ich potrzebach i emocjach, z kimś, kto przyznałby jej rację, że ma prawo czuć to, co czuje, i że normalne jest to, co się z nią dzieje. Wydawało jej się, że jest zupełnie osamotniona w swoich rozterkach duchowych. Kryzys egzystencjalny, w jakim była pogrążona, niszczył ją. Wiedziała, że przygnębienie i rozpacz odstrasza ją, a ona czuła się bardzo przybita. Poważne rozmowy okazały się nudne dla tych, którzy ukrywali się za banalnymi tematami jak za tarczą ochronną.

Podczas jednego z takich popisów próżności Sara nagle poderwała się z miejsca.

- Wychodzę.

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Nikt nie rozumiał, dlaczego kobieta sukcesu, *cool*, nie czuje się dobrze w Lotusie, modnej restauracji w Meatpacking District.

Anne natychmiast podeszła do niej.

- Saro... spójrz. - Wskazała na grupę artystów. – Przyszli tu tylko dla ciebie.

- Przykro mi. Nie chcę wam zepsuć kolacji.

- Idę z tobą.

- Nie ma mowy. Zostań. Tyle już dla mnie zrobiłaś.

- Saro, nie mogę patrzeć, jak cierpisz. Taka kobieta jak ty nie może sobie pozwolić na...

- Nie może sobie pozwolić na co? - przerwała jej ostro. - Mam tego dosyć!

Wykreślałam słowo zakaz z mojego języka.

- Masz rację, bardzo mi przykro. W końcu kim ja jestem, żeby udzielać ci rad.

- Wiesz, co jest najgorsze, Anne? Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co robić.

- Skoro nie wiesz, to lepiej nic nie rób. Poczekaj...

- Nie mogę. Jutro wsiądę do pierwszego samolotu, jaki wystartuje z lotniska.

- Ale tak nie można!

- Może na tym to polega? Nie znać kierunku, nie mieć obowiązków? Do tej pory żyłam jak zaprogramowana.

- Będziesz się czuła tak samo jak tu, tylko jeszcze bardziej samotna. Nie rób tego.

- Żegnaj, Anne.

Sara nie uległa prośbom przyjaciółki i nie pozwoliła sobie towarzyszyć.

Wyszła na ulicę. Czuła pustkę, której nic nie wypełni. Chciała zapłakać, ale nie zdołała uronić ani jednej łzy. Była wypalona.

Nocne powietrze śmierdziało fekaliami i spalinami. Pozwoliła nieść się nogom, wszystko jedno dokąd.

Biały opar wydobywający się przez kratki studzienek kanalizacyjnych tworzył fantasmagoryczny widok. Ulice były równie puste jak ona.

Idąc, natknęła się na bezdomnych, przykrytych gazetami. Pierwsze szpalty „The New York Times”, „The Independent” i „The Wall Street Journal” z sensacyjnymi doniesieniami posłużyły za dach nad głową ludziom go pozbawionym. Nie zrobi zdjęcia, bo na nic się zda obnażanie niesprawiedliwości. Zmarnowała tyle lat, próbując pokazać światu to, czego była świadkiem. Planeta Ziemia chyliła się ku upadkowi: głód, ucieczki, exodusy, wojny, maltretowane kobiety... Droga kariery zaprowadziła ją na manowce. Demaskatorskie reportaże, istota tego zawodu, stały się rozrywką dla sytych i bogatych.

Strawiła życie w pogoni za mrzonką. Sądziła, że ujawnianie okiem kamery nieprawości i ludzkich dramatów jest jej obowiązkiem, ale w ten sposób nie naprawi świata.

Fotografowała prostytutki, bogaczy, nędzarzy, młodych, starych, radość i łzy... Tragicznych losów jest więcej niż gwiazd na niebie.

Do hotelu dotarła późno w nocy, na obolałych nogach i w podłym nastroju. W barze zamówiła wytrawne martini. Usiadła przy stoliku w opustoszałej sali. W głębi, wpatrzony w wielkie okno, stał jakiś mężczyzna z kieliszkiem szampana w dłoni. Światło z ulicy zabarwiało złotawo perlisty płyn. Sara nie potrafiła się powstrzymać od wykadrowania tej sceny; była doskonała. Zatyłowała ją *Samotność wędrowca*.

Z torebki wyjęła mały aparat, który zawsze nosiła przy sobie, i zrobiła zdjęcie. Mężczyzna usłyszał dźwięk zwalnianej migawki i odwrócił się od okna. W pierwszej chwili go nie poznała, ale gdy zorientowała się, kto to jest, poczuła się zażenowana.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie mogłam się powstrzymać. Światło, zarys twoich pleców, szampan w kieliszku...

- Sara Miller? - zdziwił się, rozpoznawszy ją po głosie. - To dla mnie zaszczyt, że uznałaś mnie za interesujący obiekt.

- Co ty tu robisz?

- Wczoraj przyjechałem. Wiesz, moje życie to ciągle podróże. Tyle dobrego mówiłaś o tym hotelu, że postanowiłem się tu zatrzymać.

- Nie wiedziałam, że wyjechałeś.

- Bo do mnie nie zadzwoniłaś. Jak miałem ci to powiedzieć?

-Jutro... wyjeżdżam.

- Wracasz do Paryża?

Nie odpowiedziała.

- Moja propozycja jest nadal aktualna. Pamiętasz? Złożyłem ci ją tamtego

wieczoru na koktajlu. Możesz zatrzymać się w San Jorge, mojej posiadłości, jak długo zechcesz. Dobrze ci zrobi kolumbijski klimat.

Zaprosiła go do swojego stolika, szczęśliwa, że znowu go spotyka. Podczas koktajlu niewiele ze sobą rozmawiali, ale odniosła wrażenie, że German Naranjo jest człowiekiem godnym zaufania. Nie potrafiła jednak zrozumieć, dlaczego jest dla niej taki miły.

- Mieszkasz na wsi?

- Chciałbym, ale nie mogę. Wiesz, jak jest, Saro. Człowiek staje się niewolnikiem własnego losu. Czasami czuję się tym wszystkim zmęczony. Nie sądzisz, że jestem śmieszny? Chciałbym wrócić do moich wiejskich korzeni: ujeżdżanie koni, dojenie krów.

- To czemu tego nie robisz?

- Bo już jest za późno. Moje życie zmierza w zupełnie innym kierunku. Nie jestem gotowy na zmiany.

- Masz rodzinę?

- Moja żona... a właściwie moja była żona, to całkiem inna historia.

- Co to znaczy?

- W tej chwili na nowo układa sobie życie. - Nie potrafił ukryć smutku w głosie. - Dwoje moich dzieci żyje szczęśliwie w Miami.

- Opowiadasz o swojej byłej żonie, o dzieciach... a ty?

- Ja? Moje życie legło w gruzach. Nie chcę o tym mówić.

- Tak cię to boli?

- A kogo nie boli, Saro? Czasem trzeba oderwać się od tego wszystkiego i to właśnie ci proponuję. Zgadzasz się?

- Nie mogę, ale dziękuję za zaproszenie.

- Jeszcze jedno wytrawne martini?

- Czemu nie?

Kelner przyjął zamówienie z wyrazem udręki na twarzy. Wrócił po dziesięciu

minutach z kieliszkami szampana i martini na tacy.

- Jesteś za młody, żeby wieść samotne życie – stwierdziła Sara, rozgryzając oliwkę.

- Czterdzieści osiem lat to dużo, jeśli się żyło intensywnie. Nie mówmy o mnie. Porozmawiajmy o tobie.

- Uważasz, że czterdzieści osiem lat to dużo, a co ja mam powiedzieć? Niedługo skończę sześćdziesiąt i jestem starą, zmęczoną kobietą i nie ma już we mnie tej pasji co dawniej. Fotografie wyssały ze mnie całą siłę. Ukradły mi życie.

Alkohol rozwiązał jej język i wyzwolił potrzebę zwierzeń.

- Jesteś szczęśliwa?

- Nie rozśmieszaj mnie. Absolutne szczęście nie istnieje. Zawsze jest coś, co je zniszczy. Na przykład: poczucie winy.

- Saro... Twoja dusza gwałtownie domaga się...

- ... podróży do Kolumbii? - dokończyła.

-Właśnie. Wszystko perfekcyjnie przygotowuję. W mojej posiadłości miałabyś całą służbę do dyspozycji. Ten reportaż, o którym mówiłaś, będzie wspaniały. W lesie rosną niezwykle drzewa: kapokowe, cisy deszczowe, mahoniowce, bambusy, rozłożyste cekropie, obok płynie rzeka La Vieja...

- Brzmi pięknie.

- Tam jest pięknie - poprawił ją German. – Nabierzesz ochoty do życia. Odnajdziesz radość dzieciństwa. Wiesz, że z nasion guama można robić kolczyki? W hacjendzie mamy szkółkę dla dziewcząt, córek naszych pracowników. Nauczą cię.

- Z nasion guama? - Roześmiała się.

Ona w kolczykach z wielkich fasolek, zwisających jej z uszu. Jakoś nie mogła sobie tego wyobrazić.

-Mogłabyś się przydać jako nauczycielka... fotografii? Bardzo dobrze mówisz po hiszpańsku.

Spojrzała wymownie na swój pusty kieliszek. Miała ochotę na jeszcze jedno

wytrawne martini. Dla siebie German zamówił szampana.

- Saro, życie czasami ofiarowuje nam prezenty. Trzeba nauczyć się je przyjmować. Będiesz sama, na dziesięciu tysiącach hektarów. Co ty na to?

- Dobrze - odparła po namyśle. - Pojadę do tego raj... Jak nazywają go tubylcy?

- Quindio.

Barman pożegnał się. Zostali sami w hotelowym lobby.

Rozmawiali o wszystkim: o marzeniach, złudzeniach, zdradach, rozczarowaniach, wątpliwościach, o samotności, młodości, dojrzałości... O sztuce, przede wszystkim o sztuce, literaturze i architekturze, egzotycznych miejscach. W żyłach Sary i Germana coraz szybciej krążyły wytrawne Martini i szampan. W końcu, tuż przed świtem, gdy w hotelu Mercer pojawiła się ranna zmiana, postanowili, acz niechętnie, zakończyć spotkanie.

W windzie Sara nacisnęła przycisk trzeciego piętra, German nie nacisnął żadnego. Zdziwiła się.

- A ty na które?

- Na to samo, co ty.

Drzwi windy zamknęły się. W ciasnej kabinie zapadła niezręczna cisza. Nie patrzyli na siebie. Winda stanęła na trzecim piętrze.

- Dojechaliśmy - stwierdziła Sara, żeby coś powiedzieć.

- Tak, dojechaliśmy - przytaknął German.

Po tej wymianie zdań umilkli.

W milczeniu przeszli hotelowym korytarzem do drzwi pokoju Sary. On zatrzymał się przed drzwiami pokoju naprzeciwko. Pożegnali się szybkim spojrzeniem.

Gdy Sara w końcu położyła się do łóżka, pościel była ciepła od pierwszych promieni słońca.

Zasnęła głęboko i śniła o jaskrawozielonych lasach nad rzeką o bystrym

nurcie; drzewach kapokowych i mahoniowcach; o setkach wielobarwnych motyli spadających na nią jak skrzydlate płatki kwiatów... We śnie znalazła się w kolumbijskim raju, mała, nic nieznacząca na tle ogromnych gór... Jedna, dwie, trzy... pięć - na niebie rozpościerało się dziesiątki kolorowych tęcz, tylko dla niej, bezkresne sklepienie przecinane pasmami barw... Poczuła się szczęśliwa.

Została w Nowym Jorku jeszcze dwa dni. Spotkała się ze swoim jedynym bratem, odwiedziła grób rodziców. Już nie chciała uciekać. Odnalazła kierunek i dała się ponieść przygodzie.

German Naranjo wyjechał wcześniej rano, zostawiając dla niej wizytówkę i krótki liścik.

Kochana Saro,

San jorge czeka na ciebie. Służba w hacjendzie już rozpoczęła przygotowania na Twój przyjazd. Podaj, proszę, mojemu sekretarzowi dzień i godzinę przylotu. Na wizytówce masz numer telefonu (także i mój, na wypadek, gdybyś zgubiła tę, którą Ci dałem).

Korzystaj z rajy, podczas gdy ja będę się smażył w piekle wielkiej finansjery.

Ucałowania,

GERMAN

Byłaby sama w niezmiarzonej przestrzeni kraju, którego nie znała. A jeśli samotność okaże się gorsza niż hałas i zamieszanie?... A może wręcz przeciwnie - odnajdzie tam spokój i wewnętrzną harmonię?

Przed opuszczeniem hotelu Mercer zadzwoniła do Pascala. Z różnicy czasu wynikało, że powinien być w domu.

Telefon dzwonił i dzwonił. Wreszcie usłyszała zaspany głos syna.

-Pascal?

-Kto mówi?

-Mama... mówi mama.

- Czy coś się stało? - Zapalił nocną lampkę i spojrzął na zegarek: dwadzieścia pięć minut po czwartej. - Wiesz, która jest godzina?

-Przepraszam, synku. Chciałam cię tylko usłyszeć. - Głos jej się załamał.

-Mamo, dobrze się czujesz? Gdzie jesteś?

- W Nowym Jorku.

-A Cadiz?

-Nie wiem.

- Co się z tobą dzieje?

Sara milczała. Wzruszyła ją rozmowa z synem. Przełknęła ślinę.

- Nic, naprawdę nic. Chciałam tylko, żebyś wiedział, że... że bardzo cię kocham.

- Wiem, mamó, wiem. Kiedy wracasz?

- Muszę zniknąć na jakiś czas. Rozumiesz to, prawda? Ukryję się z dala od wszystkich i wszystkiego, ale chcę, żebyś wiedział... gdyby coś mi się stało.

- Nie strasz mnie, mamó. Rozstaliście się?

- Powiedzmy, że musimy przemyśleć pewne sprawy. Przechodzimy małżeński kryzys. Poczuliśmy się zmęczeni sobą.

- Tata źle cię traktował?

- Daj spokój, to nasze sprawy. Wyjeżdżam do Kolumbii na plantację kawy.

- Do... Kolumbii?

- Podobno to fascynujący i piękny kraj. Mam słabość do piękna. Oderwę się od codzienności. Potrzebuję tego. Precz z komórkami! Może mi się wydaje, ale odkąd pojawiły się te przekłete aparaciki, przepadła intymność, nie można zniknąć, kiedy się tego potrzebuje.

- Czy ktoś jeszcze wie, że wyjeżdżasz?

- Chodzi ci o ojca? Nie, i nie chcę, żeby wiedział. Ale, na wszelki wypadek, zapisz sobie.

Podyktowała mu numery telefonów z wizytówki.

- Mamó, musimy porozmawiać.

- O czym?

- Nie teraz. To nie jest rozmowa na telefon.

- Zaintrygowałeś mnie.

- Będziesz miała powód, żeby szybciej wrócić.

- Może szepniesz choć słówko?

- Kocham cię, mamó - powiedział po dłuższej chwili milczenia.

- Ja ciebie też, synku.

Gdy odkładała słuchawkę, na jej ustach błąkał się uśmiech. Relacje z Pascalem zmieniały się. Stał się jej bliski, z jego strony wyczuwała życzliwe zainteresowanie. Martwił się o nią.

Nie zgodziła się, żeby Anne odwiozła ją na lotnisko Kennedyego. Nie chciała jej mówić o swojej tajemniczej wyprawie, nie opowiedziała też o nocy spędzonej w towarzystwie Germana. Przyjaciółka wyciągnęłaby pochopne wnioski i wyobraziła sobie nie wiadomo co. Pożegnały się przez telefon i uzgodniły, że tą samą drogą uzgodnią ostatnie szczegóły związane z inauguracją wystawy.

Na lotnisku w Bogocie odebrał ją mężczyzna o nienagannych manierach. Poprowadził ją bocznymi korytarzami prosto do prywatnego samolotu Germana Naranjo i traktował z szacunkiem należnym artystce światowej sławy.

Gdy awionetka wzbiła się w górę, wyrzała przez okienko - w dole rozpościerał się majestatyczny płaskowyż, w krasie wiecznej wiosny. Samolot przeźierał się przez chmury, które pasjami lubiła fotografować. Miała ochotę wyskoczyć prosto na pierzaste obłoki, jakby utkane z bawełny.

W strefie uprawy kawy pejzaż stał się jeszcze piękniejszy. Uroda tego kraju poruszyła ją do głębi.

Za pasmem niebieskawych gór ukazała się połać ziemi, podzielona na poduszeczki w różnych odcieniach zieloności, jakby przykryta narzutą z roślin tworzących patchworkowy wzór. Zwiewna apoteoza bogactwa przyrody, utkana z krzewów kawy, kwiatów, palm, wijących się rzek, wodospadów, jezior, stawów... i ta zieleń - bezkresna zieleń, rozbuchana, radosna. Prawdziwa uczta dla oczu.

Awionetka wylądowała na lotnisku w Armenii, stolicy departamentu Quindio. O tak wczesnej porze upał nie dawał się jeszcze we znaki.

Dotarła do oazy. Życie podarowało jej nieprzewidziany przystanek na drodze.

Pierwszą noc spędziła na dachu jakiejś szopy, wpatrzona w rozgwieżdżone niebo, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Blask rozżarzonych punkcików rozjaśniał mroki jej duszy. Upajał wilgotny zapach ziemi. Wzruszała cisza przerywana pohukiwaniem puchaczy. W takim miejscu czas miał inny wymiar, a przestrzeń rozpływała się w magicznej nierzeczywistości. Wszystko stawało się względne. Tu jeszcze cywilizacja nie dotarła i świat zachwycał prostotą.

Całymi dniami spacerowała ścieżkami wyciętymi maczetą w gęstwinie, poznawała niezwykłą przyrodę, wysłuchiwała opowieści, legend, między innymi tej o cekropiach, drzewach trąbowych, wyrastających z larw chrząszczy *mojojoi*, oraz o obwieszanej złotem staruszce, którą konkwistadorzy napotkali nad brzegiem rzeki, dlatego nazwali ją Starą - La Vieja. W środku puszczy fotografowała wierzby płaczące. Jeździła na platformie rozklekotanych dżipów willysów, wśród wieśniaków, gdaczących kur, worków kawy i kiści bananów. Do Salento wybrała się na rowerze podziwiać barwne fasady domów wokół placu z powiewającą na maszcie flagą narodową. Fotografowała dzieci odświętnie ubrane na niedzielę i pomalowaną w żywe barwy lokalną rozgłośnię na kółkach. Wchodziła do skromnych jadłodajni, ze stołami zastawionymi kuflami z piwem. Nauczyła się śpiewać regionalne piosenki, tak jak robią miejscowi: rozdzierająco, głosem nabrzmiałym bólem. Odwiedziła Dolinę Cocory i niekończący się ogród palm woskowych, pieszczących niebo. Aż do przesyty opychała się świeżo złowionymi smażonymi pstrągami... Robiła wszystko, co mogła, aby należeć do tego wolnego od blichtru świata. Zapomniała, kim była, ale nie potrafiła zapomnieć tego, przez kogo cierpiała.

Co się działo w Paryżu?

Pewnego dnia, zmęczona po długiej wędrówce, wypoczywała w hamaku. Uśpił ją popołudniowy skwar i na takiej chwili słodkiego leniuchowania przyłapał ją German Naranjo. Kontemplowanie widoku pogrążonej we śnie kobiety spra-

wiało mu prawdziwą rozkosz. W tej romantycznej scenie jak z barokowego obrazu, w którym malarz uchwycił ulotny moment gasnącej świadomości i zapadania w sen, tkwił zmysłowy urok. Udzielił mu się jej spokój. Ta chwila należała do niego.

Kiedyś musiała być piękna. Sen rozluźnił mięśnie twarzy i wygładził skórę. Tak wyglądała w młodości: klasyczna uroda, umiar i elegancja. Owal jej majestatycznego oblicza złagodniał. Pierś unosiła się i opadała miarowo w lekkim oddechu. O czym śniła?

Nagle Sara otworzyła oczy. Czar prysnął.

- O mój Boże... Co za niespodzianka! Nie wiedziałam, że przyjedziesz. Kiedy wróciłeś? - mówiła, poprawiając bluzkę i zrywając się na nogi.

- Nie wstawaj. Patrzyłem na ciebie.

- Na mnie?

- Informuję, że podglądanie nie jest zarezerwowane wyłącznie dla fotografów.

- I co dostrzegłeś?

- Piękną kobietę.

- Straszny z ciebie kłamczuch.

- Wytrawne martini?

- Czemu nie? Od tamtego wieczoru w Nowym Jorku nie piłam martini.

Przeszłam na wódkę...

- Widzę, że przejmujesz miejscowe zwyczaje. To bardzo dobrze.

- Germanie... - zawiesiła głos - dziękuję. Ta podróż to najpiękniejszy prezent, jaki dostałam od losu. Jestem twoją dłużniczką.

- Nasza rozmowa, pamiętasz, tamtej nocy w hotelu, też była dla mnie wielkim darem. Jesteśmy kwita.

Skinął na kamerdynera, który po chwili wniósł tacę z dwoma koktajlami.

- Wieczorem zapraszam cię na przejażdżkę. Będzie pełnia - powiedział, stuknąwszy się z nią kieliszkiem.

- Nie wiem, czy jeszcze potrafię utrzymać się w siodle. Dawno nie jeździłam konno.

- Po prostu złap rytm i pozwól się nieść. To kwestia harmonii, jak w muzyce. Idealne zespolenie. Ty i zwierzę tworzycie jedność. To jak... akt miłosny.

Sara milczała. Akt miłosny. Dawno się już nie kochała!

Poczuć... Jakie to przeżycie, znowu poczuć to delikatne łaskotanie wewnątrz? Zmieniła temat.

- Nie mam odpowiedniego stroju.

-Zapewniam cię, że tej nocy... - spojrzał jej prosto w oczy - nie będziesz go potrzebowała.

Mazarine w zamyśleniu podziwiała delikatne oblicze Sienny. Wyglądała, jakby spała, i różniła się od umarłych; ciała, które opuściła dusza, przypominają woskowe postacie w Musee Grevin. Święta natomiast zdawała się głęboko uśpiona. Mazarine wpatrywała się w jej pierś, czekając, aż weźmie głęboki oddech i przebudzi się z letargu. Czasami, ale tylko czasami, wydawało jej się, że czuje unoszący się wokół delikatny zapach lawendy, niczym zwiastun nadchodzącej wiosny.

Wtargnięcie nieznanego do La Ruche, domagającego się wydania ciała Świętej, dziwny osobnik, prześladowający ją swoim zamglonym spojrzeniem i niepozbawione słuszności domysły antykwariusza - wszystko to budziło niepokój.

Musi się dowiedzieć, w jaki sposób ciało Świętej znalazło się w jej domu. Co łączy Siennę z dramatycznymi wydarzeniami ostatnich dni?

Szkoda, że nie miała krewnych, babci, dziadka, wujków czy kuzynów - nikogo, kto mógłby wyjaśnić jej tę tajemnicę. Rodzice nie zostawili żadnego do-

kumentu, niczego, co pozwoliłoby zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Dlaczego ktoś chciał jej odebrać ukochaną Sienne?

Badała uważnie, centymetr po centymetrze, wewnątrz kryształowej skrzyni w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu. Resztki zetłalej tuniki nie mogły już nic powiedzieć, ale wyhaftowany złotą nicią na połach płaszcza wzór tworzył jakieś słowa, prawdopodobnie w języku staroprowansalskim, niemożliwe do odczytania ze względu na stopień zniszczenia tkaniny.

Przyjrzała się jej dłoniom. Ze zdziwieniem dostrzegła cienki sznureczek na serdecznym palcu. Wyglądał jak obrączka. Nie zauważyła go wcześniej. Coś kryło się pod splecionymi dłońmi Świętej.

Pochyliła się niżej.

- Przepraszam, Sienna - powiedziała, rozplątując delikatnie ciepłe palce dziewczyny.

Klucz! Do rzemyka był przywiązany zardzewiały klucz.

Powoli, bardzo ostrożnie, zsunęła wążutki paseczek z palca Świętej. Czy właśnie tego poszukiwali jej prześladowcy?

Klucz bez zamka był bezużyteczny, stanowił zaledwie połowę zagadki, ale z pewnością prowadził do jej rozwiązania. Przyjrzała mu się uważnie. Dziwne hieroglify na jego sześciu ząbkach bez wątpienia coś znaczyły. Rysunek wyrzeźbiony na ostatnim ząbku i symbol na medalionie były identyczne!

Kto włożył klucz w dłonie Sienny? Znalezienie zamka do niego to karkołomne zadanie, przypominające szukanie igły w stogu siana. Pobiegnęła do sypialni i ukryła klucz pod poduszką. Żegnając się przed wyjściem do antykwariatu ze Świętą, opowiedziała jej cichutko o swoich planach.

Na dźwięk drobnych kryształków wiszących w drzwiach, zakłócających głęboką ciszę sklepu, staruszek podniósł wzrok, ale tym razem nie poderwał się na powitanie Mazarine.

- Dzień dobry, Arcadiusie. Nie cieszysz się na mój widok?

- Ależ cieszę się, dziewczyno, tylko dokucza mi rwa kulszowa.

- Współczuję. Może zaprowadzę cię do lekarza?

- Nie przejmuj się mną i opowiadaj. Wpadłaś z takim impetem... Chcesz mi coś powiedzieć?

- Chciałam tylko spytać, czy udało ci się skontaktować z tym dawnym znajomym, złotnikiem.

- Tak, odnalazłem go i przynajmniej wiadomo, że żyje. Tylko że do tej pory nie udało mi się z nim porozmawiać, bo ilekroć do niego dzwoniłem, telefon odbierała żona. Chyba mnie z kimś pomyliła, bo poruszyła kilka ciekawych tematów, nieprzeznaczonych dla cudzych uszu.

- Jakich?

- Nas interesujących. Może starsza pani cierpi na demencję, chociaż mówiła bardzo spójnie. Ponoć jej mąż wymyka się ostatnio wieczorami z domu, rzekomo na spotkania z członkami jakiegoś bractwa, i nie jest to cech złotników.

- Musisz z nim natychmiast porozmawiać, Arcadiusie. To bardzo ważne.

- Dobrze, dziecko. Tylko skąd ten pośpiech?

- Przecież wiesz... Potrafisz czytać w moich myślach.

-Szkoda, że nie potrafię ich korygować. Działając pochoinnie, daleko nie zajdziesz. Najgorsze, że muszę walczyć z bardzo silnym przeciwnikiem: twoją zapalczywą młodością. - Podniósł słuchawkę. - Jeszcze raz zadzwonię. Tym razem przyjaciel był w domu i umówili się na spotkanie jeszcze tego samego popołudnia. Pod pretekstem fa- chowej porady Arcadiusowi udało się zwabić go do siebie.

Punktualnie o czwartej do antykwariatu wszedł złotnik - ten sam, który jakiś czas temu oglądał i wyceniał medalion skradziony Mazarine przez Mężczyznę o Zamglonych Oczach.

Pierwsze minuty upłynęły starszym panom na wspomnianiu przeszłości, kolejne na utyskiwaniu na wiek i związane z nim dolegliwości, w końcu przeszli do

sedna sprawy.

Arcadius wyjaśnił, że poprosił jubilera, aby sprawdził autentyczność kosztowności i starych monet, które niedawno nabył. Dokonawszy ekspertyzy monet oraz wyceny precjozów, złotnik długo gawędził z antykwariuszem.

W ciągu tych popołudniowych godzin wytworzyła się między nimi atmosfera prawdziwego koleżeństwa. Podzielali te same poglądy na każdy poruszany temat, co rodziło poczucie braterstwa. Jubiler był wielbicielem piękna w każdej postaci, pochodził ze starego klanu złotników uwieczniających swój mistrzowski kunszt w szlachetnych kruszczach. Arcadius zaś przywracał blask tym perełkom artystycznego rękodzieła. Wyszukiwał, odkupywał i czyścił, polerował, odnawiał i wskrzeszał dawną urodę starych mebli, ksiąg i biżuterii. Nowi nabywcy potrafili dostrzec i docenić piękno tych przedmiotów i zadbać o nie tak, jak na to zasługiwały. Błysk w oczach potencjalnego kupca, świadczący o podzielaniu tej samej pasji, powodował, że Arcadius często zaniżał cenę niektórych eksponatów.

Antykwariusz przyjął zaproszenie na kolację w domu złotnika. Przy stole odbył się prawdziwy popis erudycji. Panowie rozmawiali o Merowingach, Wizygotach, templariuszach, czarnych dziewicach, masonach, melchitach... miłości i nienawiści. O krwawych wojnach toczonych w imię prawdy.

Po kilku kieliszkach armaniaku, destylowanego metodą tradycyjną, i wypaleniu Davidoff Chateau Margaux, choć Arcadius od lat nie miał w ustach cygara, rozmowa zesłała na nurty religijne na południu Francji. Przed wiekami, w ustronnych miejscach wśród łąk i pól Oksytanii, katarzy odprawiali swoje obrzędy, między innymi *consolamentum* - chrzest duchowy przez nałożenie rąk. Tuż przed północą

pojawił się w końcu wątek Arts Amantis, a wraz z nim tajemnicza historia Świętej.

Arcadius nie potrafił ukryć podniecenia.

- Jak to się stało, że tak niewiele o niej wiemy?

- Bo nie ma ciała. Zniknęło. Zaginęła również skrzynka, zawierająca historię Świętej. Nasza obecna wiedza to zlepek wspomnień ocalonych z nieskończonych odmętów czasu przez rodziny, które dochowując tradycji, przekazywały z pokolenia na pokolenie jej dzieje. Podobno Święta była córką księcia, panną o nadzwyczajnej urodzie i szlachetności. Wędrowała ze swoją służką traktami i bezdrożami. Powiadano, że bez odrazy zbliżała się do żebraków, dotykała nieszczęśników swymi delikatnymi dłońmi i leczyła ich z trądu i innych chorób, także duszy. Już sam jej widok uzdrawiał. Ojciec nie potrafił zatrzymać córki w domu. Moc jej dobroci była tak wielka, że nie było ludzkiej siły, która nie padłaby ujarzmiona u jej stóp. Była wielką orędowniczką sprawiedliwości, brała w obronę ludzi skrzywdzonych. W jej zamku znalazło schronienie, dach nad głową, zrozumienie i strawę dziesiątki porzuconych na łaskę losu starców, kalek i szaleńców. Wszystko, co wychodziło z jej rąk zmieniało się w dzieło sztuki. Haftowała, malowała i śpiewała jak anioł. Nigdy nie było u niej widać oznak słabości. Pomimo młodego wieku, miała bowiem zaledwie szesnaście lat, jej siłę odczuwała cała Oksytania. Arts Amantis ją uwielbiali, ponieważ reprezentowała sobą wszystko to, co kochali: miłość i sztukę w czystej postaci.

- -I co się z nią stało?

- Została zamordowana. Do niedawna uważano, że zginęła ukamienowana. Ostatnio pojawiła się pogłoska, że zmarła w wyniku brutalnego gwałtu, dokonanego przez jakichś mnichów.

- Kto tak twierdzi?

- Zrobiło się późno. Muszę ci jednak coś wyznać, Arcadiusie. - Zniżył głos. - Należę do Arts Amantis.

- To ten zakon jeszcze istnieje?

-Nie w takiej formie jak dawniej. Niestety, zakon w znacznym stopniu stracił swoje morale. Pewne osoby w ogóle nie powinny do niego należeć, ale wykluczenie ich jest niezgodne z naszymi pryncypiami.

Arcadius pragnął dowiedzieć się czegoś więcej.

- Gdzie można ich znaleźć?

- Są wśród nas. Każdy może należeć do Arts Amantis, oczywiście przy zachowaniu absolutnej tajemnicy.

- Coś podobnego!

- Naprawdę. Byłbyś zaskoczony, jak różnych ludzi wyznających odmienne poglądy zjednoczyła miłość do sztuki; ta miłość czyni nas braćmi. Wyniszczają nas zazdrość i nienawiść. Dlatego tak ważny jest powrót do korzeni. Musimy odnaleźć ciało Świętej i skrzynkę. Wieść niesie, że Sienna uzdrawiała nawet po śmierci.

- Mogła paść ofiarą złodziei - stwierdził Arcadius. - Koniec końców to relikwia. Nadal istnieją mafie kupczące szczątkami świętych.

- Wiesz coś o tym?

- W środowisku, w jakim się obracam, mówi się o tym procederze. Handlem szczątkami świętych i przedmiotami liturgicznymi zajmują się zorganizowane szajki.

W opowieści Arcadiusa złotnik dostrzegł cień szansy; może antykwariusz mógłby być pomocny w poszukiwaniach.

- Na następne spotkanie bractwa pójdziemy razem - powiedział. - Przedstawie cię jako jednego z naszych, który przybył z południa. Co ty na to?

Arcadius zgodził się z zadowoleniem. Osiągnął więcej, niż mógł przypuszczać. Pomyślał o Mazarine.

- Przyjdę na pewno.

- Najpierw jednak musimy ci uszyć uroczystą szatę. W tych sprawach moja żona jest prawdziwą ekspertką. Przepięknie haftuje. Zostaw to mnie, przyjacielu.

Nie miał żadnych wiadomości od Sary. Niepisana umowa między nim i żoną zabraniała mu jej szukać. Początkowo jej wyjazd przyjął z ulgą, ale z biegiem dni przedłużająca się nieobecność zaczynała mu doskwierać. Może coś jej się stało?

Zadzwoił do Nowego Jorku. Anne zdziwiła się, że przyjaciółka nie wróciła jeszcze do domu. Była przekonana, że jest w Paryżu. Nie, nie ma pojęcia, gdzie ona teraz jest. Komórka Sary była wyłączona albo poza zasięgiem, jak brzmiała nagrana informacja, a poczta głosowa przepelniona. Nikt ze znajomych nie miał od niej żadnych wiadomości.

- Dwa dni przed wyjazdem z Nowego Jorku Sara oznajmiła, że pragnie zniknąć na jakiś czas - uspokajała zrozpaczonego Cadiza. - Znasz ją - mówiła. - Pewnie zamieszkała z jakimś indiańskim plemieniem albo z aborygenami w Australii i robi zdjęcia do reportażu. - Nie martw się, Cadiz. Na pewno się znajdzie. Przewietrzy się i wróci odrodzona. A ty jak się prowadzisz, łobuzie?

-Anne, jeśli będziesz miała od niej jakieś wieści, zadzwoń, ale nie mów, że jej szukam.

- Nie wiem, co się u was dzieje, nie chcę się wtrącać, ale jedno ci powiem: nie warto marnować tego, co jest między wami. Zbyt wiele razem przeżyliście.

Cadiz wołał jej tego nie tłumaczyć. Nie rozumiałyby.

Teraz, kiedy był sam, bez Sary, i mógł robić, co chciał, spędzał popołudnia i wieczory, zakochany jak młokos, z dziewczyną, która przywróciła go do życia. Kochał ją platoniczną miłością, wielką, o jakiej w całej historii ludzkości nikt nie słyszał. Przyglądał się sobie, analizował swoje zachowanie i sam siebie nie poznawał.

Mazarine zaśmiewała się, patrząc, jak Cadiz bez powodzenia usiłuje namalować jej stopy.

- Czemu tego nie zostawisz? Pogódź się ze swoją porażką. Stopy nie są twoją

mocną stroną. Nie potrafisz ich namalować. Może sprawił to uraz z młodości po nocy spędzonej z Andaluzijką.

- Możliwe... Mogę je tylko pieścić.

- Rzeczywiście.

Wodził cienkim pędzelkiem między palcami stóp uczennicy i jednocześnie zadawał pytania.

- Dlaczego nie chciałaś spotkać się ze mną wczoraj wieczorem, maleńka?

Pieszczota rozpraszała Mazarine. Nie pozwalała zebrać myśli.

- Odpowiedz.

Pędzelek powoli zagłębiał się w przestrzeń między palcami stóp i to ją podniecało.

-Byłam...

- Gdzie byłaś?

Łaskotanie włosia było jak pieszczota.

- ...umówiona.

- Z nim?

- Może...

Cadiz gwałtownie cofnął pędzelek. Odczuła to jak karę.

- Czemu mi to robisz, Mazarine?

-Bo ty mnie potrzebujesz tylko do malowania. Natomiast on...

- Poszłaś z nim do łóżka?

- Nic ci do tego.

- Jesteś moja.

- Nieprawda, wcale nie chcesz, żeby tak było.

- Nie wiesz, do czego jestem zdolny.

- Grozisz mi?

- Nie, to miłość. Proszę cię, Mazarine...

- Nie myśl, że będę na ciebie czekać całe życie.

-Nie mogę ci zabronić spotykać się z nim, ale dostaję szału na samą myśl, że trzyma cię w ramionach inny mężczyzna. Ostrzegam: jestem zazdrosny.

- A co z moją zazdrością? Myślisz, że ja jej nie czuję?

- Ta rozmowa nie ma sensu i do niczego nie prowadzi.

- Ach, tak? W porządku, mistrzu. Jeszcze się przekonasz, że ja też mam swoje życie. Dzisiejszego wieczoru również nie mogę spędzić z tobą.

- Oczywiście, że nie spędzimy go razem. Ty zostaniesz w pracowni i skończysz malować te obrazy. - Wskazał dwa płótna rozłożone na podłodze.

- Nie ma mowy.

Cadiz był bezsilny wobec jej nieoczekiwanego buntu.

Miał ochotę zedrzeć z niej ubranie i posiąść na podłodze wśród płócien, zapomnieć o udrękach, stać się znowu tym, kim zawsze był.

- Nie spotkasz się z nim.

- Oczywiście, że się spotkam. - Mazarine znalazła wreszcie sposób, żeby go prowokować. - Kocha mnie, słyszysz? Naprawdę mnie kocha.

- Ja też, Mazarine. Nie widzisz tego?

- Udowodnij mi to.

- Seks to nie wszystko. Nie wystarczą ci moje intencje? Nie czujesz, że cię kocham? Maleńka, chyba nie potrafisz mnie zrozumieć i wcale cię za to nie winię. W twoim wieku miłość pojmuje się zupełnie inaczej niż w moim.

- Miłość jest taka sama w każdym wieku, Cadiz. Zmienia się tylko fasada, ale... Pomyśl tylko, są to te same uczucia: zazdrość, nadzieja, pragnienia, chęć posiadania... Sądzisz, że ty przeżywasz co innego, bo jesteś ode mnie starszy?

- Moje przeznaczenie już się dopełniło.

- To nieprawda. W każdej chwili możesz je zmienić, jeśli oczywiście tego pragniesz. Ale ty wcale tego nie chcesz. Pogodziłeś się ze starością i na tym polega twój problem. Nie ciało jest ważne, lecz duch.

-Mówisz tak, bo nie wiesz, co to znaczy mieć tyle lat co ja. Patrzysz w lustro i

widzisz olśniewające młodzińcze odbicie.

- Nie przyszło ci do głowy, że starszy mężczyzna może być dla mnie atrakcyjny? Czy moje odczucia się nie liczą? Chyba nie jesteś prawdziwym artystą.

- Nigdy nie dojdziemy do porozumienia, Mazarine.

- Podziwiałam cię, zanim się poznaliśmy. Teraz mam wrażenie, że upajasz się współczuciem dla samego siebie.

Pogubiłam się i już sama nie wiem, co do ciebie czuję. Postawiłam cię na piedestale, stworzyłam fałszywy wizerunek twojej osoby. Może o to chodzi? Wiesz, dlaczego nasza znajomość się nie rozwija? Bo nie zaspokoiliśmy pragnienia.

- Mylisz się, maleńka. - Wskazał płótna pod ścianą. – Te obrazy właśnie dlatego są takie doskonałe.

- Twierdzisz, że gdy skończymy je malować, nasze ciała zapłoną namiętnością?

- Na początku jest wspaniale. - Zamyślił się. - Suche polana szybko zajmują się od ognia. Iskry strzelają wysoko. Żarłoczne płomienie jednoczą się we wspólnym tańcu... Wielki pożar spala i trawi wszystko. Z biegiem lat pojawia się rutyna: wilgotne drewno nie chwyta ognia, płomienie już nie unoszą się w górę, żar nie rozgrzewa... Udawanie rozkoszy...

Mazarine słuchała w milczeniu. Choćby zaprzeczyła, zapewniła, że dla niego będzie codziennie wymyślała nowe rozkosze, on nie uwierzy.

- Zamieniamy pieszczoty na filozofowanie - ciągnął - okrzyki namiętności na tyrady, westchnienia na informację...

Teraz, gdy dotykam cię pędzlem, drżysz jak ptak. Twoja namiętność budzi we mnie zupełnie inne uczucia, niestosowne i dziwne... Z mariażu pożądania i wyrzutów sumienia rodzi się obraz. Erotyzm eksploduje barwami na płótnie. - Przyciągnął Mazarine do siebie i pocałował w czoło. - Tego, moja mała, nie możesz wiedzieć, bo jeszcze nic nie przeżyłaś.

- Mam wrażenie, że wystawiasz na próbę przede wszystkim siebie.

- Możliwe. Nie tylko młodzi sprawdzają swoje granice.
 - Twoje ograniczenia mnie krzywdzą. Pomyślałeś o tym?
 - Nie moja wina, że masz wygórowane oczekiwania.
 - Jesteś samolubny, Cadiz. Najgorsze jest to, że kocham nawet twój egoizm.
- Rozmowę przerwał dzwonek komórki. Znowu zapomniała ją wyłączyć.
- Wydzwania do ciebie. Nie może bez ciebie żyć - za-

drwił Cadiz.

Mazarine odebrała telefon. Mówiła cicho, słodkim głosem, by wzbudzić zazdrość mistrza. Pascal zapraszał ją na kolację. Ma jej coś ważnego do powiedzenia.

-*D'accord*. Będę na pewno, *mon amour* - mówiła, nie spuszczać wzroku z Cadiza.

- Jak śmiesz tak z nim rozmawiać w mojej obecności! - rozzłościł się.

Co robisz, Mazarine? - zapytał zaintrygowany Pascal, usłyszawszy w słuchawce męski głos.

- Mam lekcję.
 - Powiedz mu prawdę. Powtórz to, co przed chwilą mówiłaś: że mnie kochasz.
- Cadiz ciągle przerywał im rozmowę.
- Mazarine, z tobą ktoś jest. Jakiś facet - denerwował się Pascal.
 - To mój profesor. Jest w złym humorze.

Ogarnięty zazdrością Cadiz chciał wyrwać jej telefon, ale Mazarine szybko skończyła rozmowę i rzuciła się w szaleńczy bieg po pracowni, uciekając przed profesorem. Jakby do wtóru tej gonitwie ze ścian spadały obrazy, trzęsły się sztalugi, w górę wystrzeliwały palety, pędzle szybowały w powietrzu jak strzały. Wszystko wirowało jak w oku cyklonu.

Umykając przed Cadizem, wbiegła po spiralnych schodach do sypialni pod szklaną kopułą dachu. Dotychczas nie ośmieliła się tam wejść. Zobaczyła ogromne łóżce z odrzuconą białą lnianą kapą i rozbebeszoną pościelą. Wzburzone

przez zawieruchę na dole pierze z poduszek powoli opadało na podłogę.

Cadiz dopadł ją, pchnął na łóżko i zdarł z niej ubranie.

Na widok jej obnażonych pleców i fig wrzynających się w skórę pośladków ogarnęło go pożądanie. Zsunął się z niej i rozpiął spodnie. Przecież o to jej chodziło. Łzy Mazarine przywróciły mu rozsądek. Wicher ustał. Cyklon ucichł. Za ledwie krok dzielił go od popełnienia niegodziwości. Obsypał ją pocałunkami, całował każdy skrawek jej ciała, każde zagłębienie i wypukłość. Jej szloch ranił mu duszę. Błagał o wybaczenie.

Mało brakowało, a postąpiłby bezmyślnie i podle. Nie, tak się nie stanie. Jeśli kiedykolwiek będzie się z nią kochał, zamieni seks w najpiękniejszy akt miłosny, jakiego jeszcze nigdy nie przeżył: wzniosły.

46

Odkąd spotykała się z Cadizem, zaczęła palić i wydatki na papierosy stanowiły znaczny uszczerbek dla jej skromnej renty. Wyszła z kiosku i przeliczyła resztę: na życie do końca miesiąca zostało jej pięćdziesiąt euro i siedemdziesiąt centów.

Na początku każdego sezonu manekiny na wystawach sklepów zachęcały do kupowania rzeczy z najnowszych kolekcji. Mazarine omijała z daleka butiki z awangardowymi strojami. Jej garderoba ograniczała się do jednych dżinsów, czterech T-shirtów, trzech swetrów i nieśmiertelnego czarnego płaszcza.

Nie mogła sobie pozwolić na luksusy i wygórowane zachcianki. Pieniądze musiały wystarczyć na opłacenie rachunków za wodę, prąd i telefon, na żywność, farby olejne i płótna. Właściciele Sennelier - sklepiku przy bulwarze Woltera - dawali upust studentom akademii sztuk pięknych.

Tego popołudnia chciała kupić tylko lżejszy płaszcz - ten, w którym chodziła, był za ciepły jak na wiosenną pogodę.

Do atelier Cadiza chodziła ubrana na czarno. Ten strój stał się niemal jej uniformem. W sklepie z używanymi ciuchami wypatrzyła czarny męski prochowiec i od razu go kupiła.

Z bosymi stopami i w czarnym płaszczu pojawiła się w hotelu Costes. Już przy wejściu ogarnęła ją specyficzna atmosfera. Tworzyły ją palące się wszędzie woskowe świece, strojne barokowe zasłony, sofy obite czerwonym aksamitem i muzyka *chill out & lounge*. W barku czekał na nią Pascal.

- Napij się mojito? - zaproponował. - Robią tu najlepszy na świecie koktajl z listkami świeżo zerwanej mięty. - Daj mi na siebie popatrzeć... Jesteś śliczna.

Mazarine szybko pocałowała go w usta.

- Nie tak - wyszeptał. - Pokażę ci, jak to się robi.

Objął ją i przy wszystkich zaczął namiętnie całować.

Co mu się stało? Wydawał się jakiś inny. Jakby było ich dwóch: tajemniczy i smutny psychiatra i pewny siebie, szalony, zabawny chłopak - przeciwieństwo tego pierwszego.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Mazarine, gdy złapała oddech.

- Teraz rozumiem, że można oszaleć z miłości. Rozsądek się wtedy nie liczy. Zakochani tracą godność, pozwalają sobą poniewierać. Pogwałceni, stłamszeni, ledwo żywi odradzają się po jednym pocałunku. Pytasz... co się ze mną dzieje. Nie mogę bez ciebie żyć. Nienawidzę pustki, jaką zostawiasz po sobie. Po prostu kocham cię.

Tym razem ona go pocałowała. Chciała poczuć to samo co on, zapomnieć choć na chwilę o bólu, jaki zadawał jej Cadiz. Zamknęła oczy i dała się ponieść... Nie, nie, nie... A może tak? Lekkie oszołomienie, prawie nic... Tak. Tak! Spodobał jej się ten sposób całowania. Język powoli, niespiesznie obmywał wargi jak morska fala brzegi plaży. Przełamywał barierę i smakował słonawe wnętrze

ust. Języki splatały się i rozplatały w mrocznej głębinie. Ciepła ślina pachniała miętą.

- Kocham cię, Mazarine... - wyszeptał Pascal wilgotnymi ustami i znowu zatracił się w pocałunku. - Kim ty naprawdę jesteś? Czasami myślę, że nie należysz do tego świata. .. Mimo to kocham cię.

- Ja ciebie też.

Mazarine pragnęła kochać miłością czystą i świeżą jak źródłana woda. Odwzajemnienie uczuć Pascala uwolniłoby ją od rozpaczliwego pożądania Cadiza.

- Chciałbym cię spytać o wiele rzeczy, wyjaśnić nurtujące mnie wątpliwości. Nic o tobie nie wiem, ale cokolwiek powiesz, nie będzie to miało wpływu na to, co do ciebie czuję. Miłość stoi ponad wszystkim.

-Jedno już o mnie wiesz. Nienawidzę stosować się do reguł.

- To widać. - Spojrzał na jej białe stopy. - Wobec tego ja też postąpię wbrew wszelkim zasadom i...

- *Monsieur Antequera?* - przerwał mu kelner. - Stolik jest już przygotowany. Proszę za mną.

Poprowadził ich korytarzem wokół imponującego wewnętrznego dziedzińca. Przeszli przez jedną salę, drugą i trzecią, do ustronnego kącika, gdzie czekał na nich stolik oświetlony jedynie chybotliwym płomieniem świecy.

Jedli, pili, rozmawiali, zaśmiewali się, całowali. Gdy nadeszła pora na deser, pojawił się *maitre* z tacą nakrytą srebrną pokrywą.

- *Creme brulee, mademoiselle.*

- Niczego takiego nie zamawiałam.

- Nie może pani odmówić.

Zdezorientowana spojrzała na Pascala. Patrzył na nią niewinnym wzrokiem.

- Ten deser jest szczególnego rodzaju, przeznaczony dla osoby, która będzie go degustowała. *S'il vous plait...*

Maitre odszedł, zostawiając ich samych...

Zaciekawiona podniosła pokrywkę i oniemiała z wrażenia. Na tarcie w kształcie puzderka z otwartym wieczkiem leżał pierścionek z brylantem. Na wierzchu widniał napis z zastygłej czekolady: „Czy chcesz za mnie...?”

- „Wyjść”? - dokończyła.

- Wiem, może to trochę przedwczesne, ale...

- Wyjść za ciebie?

Wpatrywała się w napis i nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

- Nie musisz odpowiadać mi teraz.

Włożyła unurzany w czekoladzie pierścionek do ust i zaczęła ssać.

Brylant zaśnił między wargami jak świetlisty kwiat.

- Ty chyba oszalałeś!

- Chcesz?

Nie знаła odpowiedzi. Milczała więc, przepelniona lękiem, niepokojem, smutkiem... W głębi duszy odczuwała przedziwną radość. Pierścionek symbolizuje zaręczyny.

Jeśli go przyjmie, zatrzaśnie za sobą jedne drzwi i otworzy inne. Zostanie żoną Pascala. A co z Cadizem? I Sienną?

- Pozwól, włożę ci go na palec.

Nigdy nie sądziła, że ktoś zechce spędzić z nią życie, że będzie dla kogoś kimś wyjątkowym.

Pierścionek gładko wsunął się na serdeczny palec. Rozbiegane myśli Mazarine krążyły od La Ruche do hotelu Costes, od Cadiza do Pascala. Co weźmie górę: szaleństwo i namiętność czy rozsądek niosący ze sobą spokój? Gubiła się w gąszczu poplątanych uczuć.

- Nie musisz teraz odpowiadać, *mon petit chou* - powtórzył. - Niech ten pierścionek będzie wyrazem mojego podziwu dla ciebie i miłości.

W ogromnych jak jeziora oczach Mazarine wzbierały łzy. Zaraz wystąpią z brzegów i wyleją się na policzki.

Nie wiedziała, co począć. Jeśli zatrzyma pierścionek, straci Cadiza, zapomni o popołudniach w atelier, o namiętności, jaka ich łączyła... O obrazach. Już nigdy nie będą razem malować. Czeka ją życie u boku Pascala, bez porywów serca. Będzie musiała wyznać mu prawdę: że jest zupełnie sama. Okłamywała go: nie ma ani siostry, ani rodziców - nikogo oprócz Sienny, z którą nigdy się nie rozstanie.

- Hej... pragnę cię tylko uszczęśliwić. Kocham cię, Mazarine. To wszystko.

Patrzyła na swoją dłoń: w błyskach brylantu odbijały się jej lęki i wątpliwości... Bawiła się klejnotem. Zdjąć go? Zwrócić mu? Pascal wpatrywał się w nią łagodnie oczami przepelnionymi miłością. A jeśli powie: „Nie, nie chcę rezygnować z barwnego życia?”. Nie. Nie zrobi tego. Ona też go kocha.

-Słuchaj...

- Ciii... - Pascal położył palec na ustach Mazarine. - Nic nie mów. Wierzę, że pewnego dnia wyczytam w twoich oczach odpowiedź „tak” i otworzysz się przede mną. Nie, nic nie mów. Daj mi się zatracić w radości i w nadziei, że jesteś moja.

Mazarine milczała.

47

Noc była ciepła. W niebieskawej poświacie księżycy krzewy kawowców rzucały pokręcone cienie. Poruszone podmuchami wiatru, chwiały się miarowo jak w tańcu. Ostre górskie powietrze przesycał aromat świeżo palonej kawy. W przejmującej ciszy monotonnie kumkały żaby i cykały świerszcze. Ze stajni dochodziło nerwowe rzenie koni. Sara Miller upierała się, że nie dosiądzie konia na oklep. German tylko się śmiał.

- Zapomnij o siodle. Dam ci moją najlepszą klacz.

- A jeśli mnie zrzuci?

-Nie zrzuci, jeśli przestaniesz się bać. Koń wyczuwa strach jeźdźca.

- Boję się.

- Saro... Na miłość boską!

Sara uchwyciła się białej grzywy konia i German pomógł jej wsiąść.

- Jestem szalona.

- Wcale nie. Wróciłaś do życia.

- Chyba jednak oszalałam...

German dosiadł rasowego wierzchowca.

- Gotowa?

Zdenerwowana, skinęła głową.

- Jedziemy!

Konie ruszyły z kopyta. Znały drogę. Pogalopowały prosto na dukt prowadzący do bezkresnej doliny. Jeźdźcy w szalonym pędzie mijali skąpane światłem księżyca pastwiska, uśpione gaje bananowe, obwieszane owocami krzewy kawowe, bambusy łąpczywie spijające wodę z rozpadlin. Na Morro de la Felicidad, w ciszy ożywionej natury, podziwiali początek rzeki La Vieja. Towarzyszyła im cisza ożywionej natury.

Spięty ostrogami wierzchowiec ruszył w dół zboczem góry, a biała klacz, na której jechała Sara - za nim.

- Trzymaj się! Teraz nastąpi najlepsze! - krzyknął German.

Konie pogalopowały rozległą łąką, pokrytą nocną rosą, i przemknęły po rozchybotanym wiszącym mostku. Tętent kopyt po roztrzęsionej kładce podniecał i budził grozę. Sara miała ściśnięte ze strachu gardło. Adrenalina pulsowała w żyłach. Mimo to zaczęła ją cieszyć ta nocna eskapada.

Konie przeszły w stępa. Zatrzymały się na skraju leśnej polany. Nad wodospadem o granitowych ścianach i brzegiem obrośniętym mchem i orchideami wirowało setki motyli. Taflę wody rozświetlały promienie księżyca. Zaczarowany zakątek, przesycony magią.

- To jest... zachwycające - wysapała Sara, zdyszana po szaleńczej jeździe.

- Nikt nie zna tego miejsca - powiedział German. - A wiesz dlaczego? Bo nikt

nie ma odwagi przebyć tego mostu, nazywanego mostem śmierci. Powiadają, że kto po nim przejedzie, już nie wraca. To prawda. Nie wraca taki sam.

Zsiedli z koni.

- Jasno jak w dzień! Chciałabym znowu być młoda.

- Napijesz się? - zaproponował.

-Nie mów, że...

German wyciągnął z kieszeni kurtki piersiówkę.

- Tak było wygodniej przewieźć - wyjaśnił.

Sara pociągnęła solidny łyk.

- Już wiem, dlaczego Indianie nazywają ten trunek wodą ognistą. Bo przechodzi przez gardło jak woda, a pali jak ogień.

Usiedli na rozłożonej na trawie kurtce.

- Co się dzieje, Saro? - zapytał German.

- Dlaczego pytasz?

- Bo w twoich oczach widać bezbrzeżny smutek. Wyrzuć to z siebie. Chodzi o twojego męża?

- Proszę, nie psuj nastroju tej nocy.

- Ból, o którym nie chcesz mówić, sam nie zniknie.

- Zmieńmy temat.

- Jestem może młodszy od ciebie, ale zapewniam cię, że sporo już przeżyłem...

Wiem, jak smakuje zdrada. Przychodzi nieoczekiwanie i trudno uwierzyć, że się zdarzyła. Coś się wtedy kończy i życie traci sens.

- Wolałabym nie rozwijać tego wątku i pozostać w stanie kontemplacji. Nie chcę osądzać. Zmęczyło mnie to. Ja też popełniam wiele błędów.

- Mówisz tak, bo zostałeś zraniona.

- Chciałabym w tym oddalonym od świata zakątku czekać na świt, a potem patrzeć, jak zapada noc i pojawiają się gwiazdy... Wirować niczym kamień rzucony w nurt rzeki, który woda wygładza aż do zupełnego zaniku. Rozpłynąć się w

przyrodzie. Stać się ciszą... Roztopić się w nicości.

-Możesz tu zostać. Mój dom jest twoim domem. Ale... ty tego wcale nie chcesz. Uciekasz od problemów w kolejny reportaż.

- Aparat fotograficzny to jedyne, co mi pozostało.

- Na pewno nie jedyne. Jesteś wyjątkowa. Twoje zdjęcia... skłaniają do refleksji. Nie uwierzysz, ale bardzo mi pomogłaś. Teraz po prostu rewanżuję się za to, co dla mnie zrobiłaś.

W piersiówce szybko pokazało się dno. Wódka uderzyła im do głowy i zmała umysły. Nagle German zaczął się rozbierać, nie okazując wstydu ani zażenowania.

- Co ty robisz? - spytała zaskoczona.

- Nie mogę stracić takiej okazji - odparł spokojnie i pobiegł w stronę wodospadu. - To święta woda.

Stanął na wielkim głazie i skoczył.

Usłyszała odgłos ciała uderzającego o powierzchnię wody.

- Chodź! - Głos Germana odbijał się echem od granitowych omszałych ścian.

Alkohol zrobił swoje. Sara już nie rozważała, ile ma lat.

Czy to ważne, że piersi już nie są takie sterczące? Że ktoś obcy zobaczy ją naga? Znowu była tamtą Sarą z maja sześćdziesiątego ósmego roku.

Ogarnęła ją słodka obojętność. Przeszłość zniknęła. Zniknęła w otchłani niepamięci. Tak, w tej chwili pragnęła o niej zapomnieć. Autoportret zmieniony w negatyw. Zapomnienie - to śmierć, niosąca wyzwolenie.

- Chodź, Saro! - nawoływał German.

Rozebrała się, starając się nie patrzeć na swoje ciało.

Stanął na granitowym występie, wyciągnęła w górę ręce i skoczyła. Lot nad wodospadem w rozpylonej, odświeżającej mgle. Wrażenie życia, upadek i śmierć. Powiew ciepłego powietrza jak pieszczota. Życ albo nie żyć - oto jest pytanie.

- Ostrożnie, Saro! - usłyszała jeszcze krzyk Germana.

Woda, woda, woda, woda... Uderzenie. Dłonie dotknęły dna. Ryby, zielone światło, wodorosty... niezdolna lekkość. .. spokój. Wilgotna cisza. Cisza. Nicość, nicość, nicość...

I nagle usta Germana przywarły do jej warg, jego oddech napełniał powietrzem jej płuca, póki nie odzyskała przytomności. Nagim ciałom na trawie przypatrywała się z konara deszczowego drzewa sowa.

Sara spojrzała w ciemne źrenice mężczyzny. Już nie była Sarą Miller, lecz kobietą bez wieku.

- Zamknij oczy - poprosił.

Posłuchała. Wśród szmaragdowych traw German odnalazł tamtą młodą i piękną kobietę z hamaka. Spokój na twarzy otoczonej mokrymi włosami przywrócił jej młodość.

- Gdybyś wiedziała, jaka jesteś piękna. Uśpiona... Oddana we władanie snom.

Fruwające w nocnym powietrzu motyle delikatnie muskały zabarwionymi na tęczowo skrzydłami skórę Sary.

Nie chciała otwierać oczu. Nie, nie otworzy powiek. Musi zapomnieć o sobie samej... Umrzeć, aby zmartwychwstać.

Klucz ukryty w dłoniach Sienny... Jakże otworzy drzwi? Co oznaczają wyryte na nim znaki?

Mazarine jak szalona przeszukiwała wszystkie kąty i zakamarki domu. Zdziwiona tym zamieszaniem kotka szła za nią krok w krok. Dziewczyna wyciągała wypchane papierzyskami i starymi rachunkami szuflady, przetrząsała ubrania w szafach, podnosiła meble. Wbiegała po schodach i w milczeniu badała wszystkie napotkane po drodze przedmioty. Na próżno.

Została już tylko piwnica.

Z latarką w dłoni zeszła do pomieszczenia wypełnionego odorem stęchłej wilgoci. Snop światła wydobywał z ciemności porzucone rzeczy - sam złom i makulatura. Zbutwiałe szkolne zeszyty na półkach, schowane za zwietrzałymi tiulami. Zardzewiała puszka po herbatnikach, w środku zdjęcia, mnóstwo fotografii zmarłych, a może tylko uspionych osób... Odkąd zbliżyła się do Świętej, nie potrafiła odróżnić życia od śmierci. Kolekcja widokówek Paryża z końca XIX wieku.

Szukała dalej.

W głębi, pod łuszczącą się ścianą stała drewniana skrzynia przewiązana skórzanym pasem. Wyciągnęła ją na środek, niecierpliwie odpięła pas i podniosła wieko. W środku, owinięty w czerwony aksamit, znajdował się instrument przypominający lutnię; nigdy czegoś takiego nie widziała.

Wzięła lutnię do ręki i zagrała na niej z niezwykłą wprawą. Tak się ucieszyła z cudownego znaleziska, jakby odzyskała dawno utraconą własność. *La mia mandora dolea* - dziwne słowa same się nasunęły. Skąd знаła ten język? Znowu szarpnęła za struny. Melodia przypomniła jeden ze średniowiecznych utworów, których jako dziecko słuchała z matką podczas koncertów przed katedrą Notre Dame.

Długo nie odkładała lutni. Do kogo należała? Na pewno nie do matki; nigdy nie słyszała, żeby na niej grała. W domu jedyną muzyką była cisza. A ojciec? Dziadkowie? Miała przecież jakichś przodków. Nie wyłoniła się z nicości.

Ściskając w dłoni szyjkę lutni, wybiegła z piwnicy i przeskakując po dwa stopnie naraz, wpadła do pokoju. Otworzyła szafę z kryształową trumną. Śpiąca królowa była jeszcze piękniejsza.

- Witaj! - wykrzyknęła podniecona. - Zobacz, co znalazłam.

Stojąc przed Świętą, zaśpiewała do wtóru słodkiej i subtelnej melodii piosenkę, której słowa same wydobyły się z jej ust.

Be-m cuidava d'amor gardar
Que ia trop no-m fezes doler,
Mas era sai eu ben de ver
C'us no-s pot de lleis escriemir,
Quant eu d'amar no-m posc tenir
Lleis que no-m deingna retener!
E car me torna e non chaler
Per trop amar m'er a morir,
C'autr'amors no-m pot esgauzir
Ne aquesta non posc aver.

- Podoba ci się?

Z kryształowej skrzyni wydobywał się intensywny zapach lawendy i rozchodził po pokoju. Mazarine wciągnęła powietrze przez nos.

-Tak, podoba ci się. Hm... Pachniesz lawendą. Przypomina mi... - Zamyśliła się. - Co właściwie przypomina mi ten zapach?

Błysk pamięci przeniósł ją w inny czas. Biegnie po ukwieconej łące, zrywa gałązki lawendy i wkłada je w poły fartuszek. Jakiś mężczyzna uśmiecha się do niej, czuje zapach jego potu pomieszany z wonią wilgotnej ziemi. Rozgrzana skóra otula jak gronostajowy płaszcz. Rozpiera ją radość... Wrażenie całkowitego szczęścia mąci nagle zmieniony obraz. Wspomnienie niespotykanego smutku. Pola w płomieniach. Rozpacz. Krzyk, którego nikt nie słyszy. Rozdzierający ból między nogami, profanacja sacrum, bestie pastwiące się nad bezbronną dziewczyną; jeden, drugi, trzeci... i jeszcze jeden, i jeszcze, i jeszcze.

Mazarine szlocha, nie potrafi się powstrzymać. Łzy skapują na pokaleczone kamieniami oblicze Sienny.

Skąd się wzięły te obrazy? I ból? Czyżby oszalała? Powiedzieć Arcadiusowi o tym, co przeżyła?

-Daj mi jakąś wskazówkę - szepnęła. - Powiedz, co otwiera ten klucz, którego tak zazdrośnie strzegłaś?

Jakby kierowana przeczuciem, przebiegła wzrokiem po wszystkich czterech ścianach pokoju, w poszukiwaniu ewentualnego schowka. Ukłękła na podłodze i powoli oglądała mosiężne krawędzie kryształowych ścian skrzyni zachwycające rękodzieło złotników. Nie kryły żadnego sekretu... A może tajemnica tkwi w wyrytych symbolach i literach? Szukała dalej. Obmacywała masywny, drewniany postument, na którym spoczywała trumna. Nic, żadnej skrytki. Przyjrzała się Świętej, jej długim miedzianym włosom opadającym falami na łożo. Delikatne, drobne stopy emanowały pięknem. Wpadła na pomysł: namaluje ją. Odłoży rozwiązanie zagadki klucza na później, a tymczasem stworzy dzieło w stylu dualizmu wyuzdanego. Cadiz oniemieje z zachwytu.

Pobiegła do pokoju po palety, pędzle, farby akrylowe i olejne, węgiel do szkicowania i rozpuszczalniki. I dwie deski, które trzymała w rezerwie. Portretując Sienkę, namaluje swoją twarz i podaruje obrazy Cadizowi.

Pracowała w twórczym zapamiętaniu. Stan wyobcowania, w jakim się znalazła, sprawił, że zupełnie zapomniała o Cadizie i Pascalu. Czas mijał niepostrzeżenie, wypełniony artystyczną pasją. Głód uśmierzały treściwe, odżywcze pociągnięcia pędzlem. Komórka dzwoniła niemal bez przerwy, póki się nie rozładowała. Noc przechodziła w dzień.

Wieczór zastawał Mazarine przy sztalugach. Skończyła malować siódmego dnia. Oba obrazy tchnęły niewyobrażalną siłą. Mocą nowej sztuki. Od ekspresjonizmu figuratywnego przeszła do hiperrealizmu surrealistycznego.

Przy ostatnich pociągnięciach pędzlem usłyszała natarczywy dzwonek do drzwi. Kto to może być? Nie, nie zejdzie na dół. Pozostało jeszcze najważniejsze: nadać końcowy ton dziełu.

- Mazarine... Jesteś tam? Otwórz, to pilne!

Rozpoznała głos antykwariusza.

Powiedział: pilne?

Już schodzę! - Zbiegła po schodach na dół i otworzyła szeroko drzwi. - Stało się coś, Arcadiusie?

-Dziecino, szczęście ty moje. Najpierw wpadasz do mnie i błagasz, abym uwolnił cię od widm, a potem znikasz. Nie chcesz wiedzieć, co ustaliłem z moim przyjacielem złotnikiem?

- Przepraszam, byłam bardzo zajęta.

- Nikt ci nie wpoił zasad dobrego wychowania? - zżymał się staruszek. - Co to za zapach? - zapytał, wciągając głęboko powietrze.

- Maluję.

- To nie jest zapach farby. Raczej... - zastanowił się - ... lawendy. Jakbyś w domu miała całe pole tych kwiatów.

Mazarine nie chciała wdawać się w wyjaśnienia, że tę woń wydziela ciało Sienny. Wdychała ten zapach, odkąd zaczęła malować, i przyzwyczaiła się do niego.

-Mój przyjaciel zaprosił mnie na tajne zebranie Arts Amantis - ciągnął Arcadius.

- To znaczy, że oni istnieją?

- Nie tylko istnieją, ale i działają. To bardzo dobrze zorganizowany zakon.

- Czy ja też mogłabym tam pójść?

Arcadius pokręcił głową.

-Proszę... - błagała. - To naprawdę dla mnie bardzo ważne.

-Jeśli mi powiesz, dlaczego to dla ciebie takie ważne, być może uda mi się coś załatwić.

- Nie mogę, Arcadiusie. Na razie nie mogę ci tego zdradzić.

- Nie wiem, co takiego masz w sobie, że w końcu zawsze mnie przekonasz.

Porozmawiam z moim przyjacielem... Zobaczymy, co się da zrobić.

- Dziękuję.

- Na to jeszcze za wcześnie.

Arcadiusowi zdawało się, że widzi wokół Mazarine jakby świetlistą aureę.

- Mogę zobaczyć, co malujesz? - spytał.

Mazarine wzdrygnęła się i zdenerwowana zatarasowała sobą wejście na schody.

- To niemożliwe.

- W porządku, kochana. W takim razie zapomnij o spotkaniu tajnego zakonu.

Ty masz swój sekret, ja mam swój.

- Pewnego dnia wszystko ci opowiem. Nie zrobiłam tego do tej pory tylko dlatego, że jeszcze nie znam początku tej historii.

- Jesteś bardzo młoda, więc nie możesz wiedzieć, że niektóre historie zaczynają się od końca.

- Nie w tym wypadku, Arcadiusie. - Mazarine, by udobruchać antykwariusza, pocałowała go w policzek. - Nie gniewaj się.

Nie potrafił się gniewać. Nie mówił tego, ale darzył tę dziewczynę wielką czułością. Przypominała mu ukochaną zmarłą wnuczkę.

- A swoją drogą, skoro już jesteśmy przy tym temacie, czy wiesz coś więcej o Świętej? - spytała.

Arcadius powtórzył jej wszystko, czego się dowiedział od złotnika podczas długiego nocnego spotkania. Poczawszy od pochodzenia świętej dziewczynki, skończywszy na zniknięciu ciała i kuferka z dokumentami. Mazarine starała się powiązać wątki. Ciało Świętej ktoś ukrył u niej w domu, było więc jej własnością. Malarz - członek Arts Amantis - twierdzi inaczej, ale ona nie pozwoli odebrać sobie Sienny. Jeśli zaś chodzi o kuferek...

- Przepraszam na chwilę. Zadzwońię do mojego przyjaciela - powiedział antykwariusz.

Posługując się zręcznym kłamstwem, przekonał złotnika, aby pozwolił włączyć jeszcze jedną osobę do wyprawy, oczywiście pod warunkiem zachowania

całkowitej dyskrecji. Jubiler zgodził się. Miał bowiem nadzieję, że przy pomocy osób

spoza bractwa ustali miejsce wiecznego spoczynku Świętej...

Arcadius zataił jednak, że będzie mu towarzyszyć kobieta.

Żona złotnika otrzymała polecenie uszycia nie jednej, lecz dwóch szat.

49

Zauważywszy brylant na serdecznym palcu Mazarine, Cadiz ledwo się powstrzymał od zrobienia sceny zazdrości. To z pewnością pierścionek zaręczynowy. Od wielu dni nie pokazywała się w atelier, więc nie miał wątpliwości: tracił ją. Zagryzł wargi, żeby powstrzymać się od wypytywania, gdzie się podziewała przez cały tydzień i dlaczego nie odbierała telefonu.

Pustka, jaką spowodowała jej nieobecność, była nie do zniesienia. Na próżno zmuszał się do pracy. Wybujale ego artysty nie mogło znieść niepewności. Nie chciał się do tego przyznać, ale cierpiał.

Wraz z jej przybyciem w pracowni powiało wiosną. Już sam jej widok przywracał mu chęć do życia. Przyniosła dwa wielkie obrazy, które z trudem mogła udźwignąć.

- Zamknij oczy - powiedziała wesoło, tak jakby widzieli się zaledwie dzień wcześniej.

- Nie uważasz, że jesteś mi winna jakieś wyjaśnienia? Myślałem, że umarłaś, tak nagle przestałaś się pojawiać.

- Wyjaśnienia nie będą ci potrzebne, kiedy to zobaczysz. Zamknij oczy, stary zrędo.

- Z kim byłaś? - zapytał, zżerany zazdrością.

- Nie powiem, póki nie zamkniesz oczu.

Zdominowała go. Całkowicie i bez reszty. W końcu po- słuchał i zamknął oczy.

Mazarine położyła obrazy na podłodze. Na jednym z nich Sienna wyglądała jak żywa: szeroko otwarte oczy, rozwiane włosy, na nagim ciele napis w języku staroprowansalskim. Mazarine odtworzyła na skórze Świętej teksty wyryte na mosiężnych krawędziach skrzyni. Stopy tkwiły uwięzione w zwojach materiału, tworząc w ten sposób nierozwiązywalną zagadkę. Na drugim obrazie uśpiona Sienna o łagodnym obliczu spoczywała w trumnie wśród kwiatów lawendy. Spod tuniki wystawały olśniewająco piękne stopy.

- Już możesz patrzeć - powiedziała Mazarine.

Nie wierzył własnym oczom. Obrazy były tak doskonałe, że brakło mu słów. Najwspanialsze, jakie kiedykolwiek widział: biła z nich siła i delikatność. Kontrast przykuwał uwagę. Piękno poruszało do głębi. Otarł łzy wzruszenia. Te dzieła wydobyły na powierzchnię nigdy nieujawniane emocje.

- I co o nich myślisz? Sądzisz, że mieszczą się w nurcie dualizmu wyuzdanego?

Cadiz miał ochotę zacałować ją na śmierć. Obrazy przewyższały kunsztem wszystko, co sam stworzył, ale próżność nie pozwalała mu się do tego przyznać.

-No cóż... w zasadzie podobają mi się. Co prawda za bardzo podkreślasz detale - stwierdził, wpatrując się w obrazy - ..ale w sumie nie są najgorsze. Moglibyśmy włączyć je do naszej wystawy.

- Naprawdę? To znaczy, że są dobre?

- Można wiedzieć - Cadiz uznał za stosowne skierować rozmowę na inny temat - co ty, do cholery, masz na palcu?

- To? - Mazarine spojrzała na brylant. - Pierścionek zaręczynowy.

Serce mu się ścisnęło z bólu. Bezsilność rozdzierała mu duszę. Nie mógł wymagać od niej wierności, skoro nie miał jej nic do zaoferowania. Kto śmie zabierać mu jego własność? Mała Mazarine należy tylko do niego.

- Nie możesz mi tego zrobić - stwierdził pokonany.
- Oj, Cadiz, Cadiz! - Mazarine, wyczuwając swoją przewagę, zrobiła iro-
niczną minę.
- Nie kochasz go.
- Tego nie wiesz.
- Wiem, maleńka. Przecież kochasz mnie.
- Jesteś zbyt pewny siebie. Nie możesz znieść porażki. Prawda?
- Popelniasz błąd, Mazarine.
- To mój błąd, a nie twój. Zajmij się swoimi sprawami.
- Nic nie rozumiesz. Jako artystkę czeka cię u mojego boku wspaniała przy-
szłość i niewyobrażalna sława.
- U twojego boku? Którego: prawego czy lewego? Przy którym boku sypia
Sara?

W La Ruche rozdzwonił się telefon i przerwał im rozmowę. Rzadko ktoś do niego telefonował, więc Cadiz postanowił go odebrać. Przed czterema dniami Sara wróciła ze swojego dobrowolnego zesłania i dzwoniła z wiadomością, że Pascal chce się z nimi obojgiem spotkać w pewnej ważnej sprawie. Nie mógł nawalić. Umówili się na kolację w La Closerie des Lilas.

Gdy samolot wzbił się w górę i przebijał się przez gąbczastą powłokę chmur zabarwionych światłem zmierzchu, a w dole malał w oczach krajobraz poznany zielonymi plamami pól i lasów, niebieskimi wstęgami rzek, Sara wybuchnęła płaczem. Wypłakiwała długo powstrzymywane łzy. Płakała tak jak nigdy dotąd. Płakała z żalu nad sobą, że być może nigdy już nie zazna takiej radości jak w Kolumbii, gdzie przeżyła najpiękniejsze dni swych dojrzałych lat. Uczucia,

niefotografowane obrazy nagromadzone w jej duszy napływały i odpływały. I co teraz? Decyzję o powrocie podjęła jakby na przekór sobie. I choć wcale nie była pewna, coś jej mówiło, że jednak warto ratować małżeństwo z Cadizem.

Jeszcze nie wszystko stracone. Jeśli nie ona, to kto przejmie ster i przeprowadzi statek przez odmęty i uratuje go od zatonięcia? Nie pozwoli rozpaść się związkowi, o który tak zaciekle walczyła.

German był podarunkiem od losu. Marzeniem. Przy nim, w ciągu zaledwie jednej nocy, zrozumiała sens życia. Proste, zwykłe rozmowy ukazały jej przestrzenie, o których istnieniu nie miała pojęcia. Nie była już młoda, ale nie zamierzała związać żagli. Głowę miała nabitą pomysłami. Otwierał się przed nią nowy rozdział, bez nadmiernych oczekiwań i wygórowanych celów. Okazując pokorę, godząc się z odwieczną mądrością, urodzi się na nowo. Ten obcy mężczyzna, który pojawił się w jesieni jej życia, nauczył ją cieszyć się prostymi rzeczami, akceptować siebie taką, jaka jest: podstarzałą, wewnątrznie poranioną kobietą z niedoskonałym ciałem.

Oddała mu się tej nocy na pokrytej rosą trawie, upojona zapachem wilgotnej ziemi i kumkaniem żab. Kochali się z nieskończoną czułością, bez słów, bez obietnic. Sara bała się, że to tylko sen i zaraz się obudzi.

Drżała w jego ramionach, budziła się z długiego letargu. Wprawne dłonie dawały rozkosz, odczuwaną nie naskórkowo, lecz głęboko w sercu. Pod jego palcami znów wilgotniały zakamarki jej ciała. Ta chwila zdawała się trwać wiecznie.

Nad złączoną w miłosnym uścisku parą dziesiątki motyli wykonywało swój godowy taniec. Z ich skrzydełek osypywał się złotawy pyłek: piękno, które wyłoniło się bezszelestnie z nicości, ozdobiło przywiedłą skórę kobiety.

A potem biały grzbiet klaczy i ostatni galop bez siodła i uprzęży. Falująca,

rozwiana wiatrem grzywa, dolina spowita światłem gwiazd i oni nadzy, połączeni jednym rytmem z wierzchowcami. Konie i jeźdźcy - współnicy nocy...

Nie pożegnała się z Germanem. Bała się, że gdy go zobaczy, podda się i zostanie. Miała jednak do spłacenia dług nie tylko wobec syna i Cadiza, ale także wobec siebie samej. Nigdy nie uciekała przed kłopotami. Była dumna z tego, że potrafi stawić czoło trudnościom. Teraz też nie zabraknie jej odwagi, by zmierzyć się z rzeczywistością, choćby sceneria nie była zbyt piękna i godziła w jej poczucie estetyki.

Wylądowała na lotnisku Charles'a de Gaulle'a, ciągnąc za sobą bagaż smutku. List, który napisała do Germana, spoczywał na dnie torebki. O świcie po tamtej nocy zamówiła taksówkę i zniknęła. Wiedziała, że on to zrozumie; wszystko zostało już powiedziane bez słów. Cisza, wtedy gdy spotkały się ich ciała, aż krzyczała. Przez cały czas, mieszkając w jego hacjendzie, podświadomie czekała na niego. Teraz wracała do domu spełnić swój obowiązek: uratować męża i syna. I zanim zupełnie się pogubi, uratować także siebie.

Po trzech miesiącach nieobecności miała wrażenie, że Paryż jakby wypiękniał. Wyjeżdżając, zostawiła zmęczone, posępne, wyziębione miasto, teraz odnalazła je zupełnie odmienione, dumne, obsypane zielenią i kwiatami.

Juliette wyszła jej na spotkanie, dyskretna i taktowna jak zawsze. Nie potrafiła ukryć radości. Przytuliła Sarę i powiedziała, że bardzo za nią tęskniła.

- *Tout va bien, Juliette?*

- Tres bien, madame.

- A pan?

- Jak zwykle, pracuje w swoim atelier.

- Nadal tu mieszka?

-Ależ oczywiście, *madame!* Co noc śpi we własnym łóżku.

Juliette podała jej wytrawne martini i Sara z kieliszkiem w dłoni zniknęła w korytarzu. Snop światła zalewał sypialnię. Przeżyła tu tyle miłosnych nocy ze swoim mężem, a teraz ta przestrzeń wydała jej się martwą scenerią, w której nie potrafiła się odnaleźć.

Na półkach z książkami, na stolikach, na biurku - wszędzie stały zdjęcia męża i syna. Cadiz i jego pierwsza wystawa. Cadiz otoczony wielbicielami. Cadiz z nieodłącznym papierosem. Zniszczone, poplamione farbami dłonie Cadiza. Pascal z głową w loczkach na plaży z młodym Cadizem. Pascal stawiający pierwsze kroki. Pascal wypluwający jedzenie... A ona? Gdzie była ona? Niewidoczna! Zawsze ukryta za aparatem. W tym domu nie istniała.

Długo leżała w wannie, jakby chciała rozpuścić w wodzie swoje ostatnie strapienia i resztki pieśczoł. Znowu przybrała swoją zwykłą maskę, choć była pewna, że dawna Sara odeszła bezpowrotnie.

Tego wieczoru, po powrocie z atelier, Cadiz nie uwierzył własnym oczom. Czas jakby się cofnął. Żona czekała na niego przy wielkim balkonowym oknie, piękna jak zawsze, pachnąca jakimiś nowymi perfumami, smukła, w nienagannie skrojonej lnianej sukience, z rozpuszczonymi, wilgotnymi włosami opadającymi na ramiona, zwrócona do niego arystokratycznym profilem, i sączyła wytrawne martini, zasłuchana w *La derniere minute*.

Ucieszył się na jej widok. Przeżyli razem tyle lat, stoczyli wiele walk, odnosili sukcesy i ponosili porażki, łączyły ich wspólne nadzieje i rozterki. Jej niespodziewany powrót wywołał w nim niejasne uczucia: zadowolenie i radość pomieszane ze smutkiem. Nadeszła chwila konfrontacji, której wcale nie pragnął. Powracało wrażenie zamknięcia, uwięzienia, wewnętrznego rozdarcia. Podszedł do niej z uśmiechem.

- Saro, gdzie... - zaczął.

- Nie - przerwała mu. - Nie pytaj, gdzie byłam. Ważne, że wróciłam, a ty... ciągle tu mieszkasz. Czy jesteś gotów do rozmowy?

- Nie - odpowiedział po długiej, trwającej niemal wieczność chwili.

- W porządku. Poczekam. Myślę, że oboje zasłużyliśmy sobie na szczerłość. -

W oczach męża dostrzegła niepokój, jak u osaczonego zwierzęcia. - Nie martw się. Nie będę z tobą spała. Juliette przygotowała dla mnie pokój gościnny.

- To ja powinienem się tam przenieść.

- Nie chodzi o miejsce, Cadiz. Zrozumiałam to, nim wyjechałam. Nie uciekniesz przed sobą.

Przyparty do muru, Cadiz jak zwykle zmienił temat.

- Jak było w Nowym Jorku?

Ona jednak drażyła dalej.

- Pewnego dnia będziesz się musiał zmierzyć ze swoimi widmami, także z tym jednym, które cię teraz dręczy.

- Daj mi trochę czasu, Saro. Tylko o to cię proszę.

- Nie jestem panią twojego czasu. Nikt nie jest panem czasu, choć zwykliśmy uważać, że to my nim rządymy. Wiesz, czego się dowiedziałam w ciągu tych ostatnich miesięcy? Że jeszcze możemy odnaleźć siebie. Czy to nie wspaniałe? My jednak wolimy stroić się w maski młodości, które do nas nie pasują, bo nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi co kiedyś. Działamy według przestarzałych wzorców.

- Może nadal jestem mężczyzną, w którym się zakochałaś?

- Rzeczywistość temu przeczy. Spójrz w lustro.

- Nie godzę się z tym, co widzę w lustrze, Saro. Wolę młodość, siłę, wigor, beztruską radość, szaleństwo. Tego potrzebuję.

- Łatwo powiedzieć. Na twoje nieszczęście droga, którą obrałeś, przyniesie ci same rozczarowania.

- Skąd wiesz?

- Jestem tego pewna. To ta sama droga, którą ja szłam. Czasami uczymy się czegoś nawet wtedy, kiedy sądzimy, że już wszystko wiemy.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Powiedziałem ci, że nie jestem jeszcze gotów. Od tego, co ty nazywasz dojrzałością, dzielą mnie lata świetlne i gwiazdę na to.

-Jesteś próżny. Aby poczuć prawdziwe szczęście, potrzebna jest pokora, Cadizie. To uczucie zupełnie ci nieznane.

Wyszedł bez pożegnania. Sara pozostała nieruchoma przed wielkim oknem, z kieliszkiem martini w dłoni.

Wiedziała, że nie będzie łatwo, ale już podjęła decyzję: zachowa się rozsądnie. Cokolwiek się stanie, nie opuści go.

Nie pozwoli, żeby zniszczyły go złudzenia.

Tej nocy członkowie Arts Amantis zbierali się w katakumbach. Mężczyzna o Zamglonych Oczach nie miał żadnego nowego śladu - próżny trud i daremny wysiłek. Zmęczony wypytywaniem o Pascala, o którym wiedział praktycznie wszystko, znudzony obserwowaniem dziewczyny - znał już na pamięć wszystkie ścieżki jej i antykwariusza, a także zamkniętego w swojej twierdzy Cadiza - doszedł do wniosku, że żadna z tych osób nic mu nie powie, ponieważ po prostu nie ma nic do powiedzenia. Piętnaście dni temu zaprzestał poszukiwań. Na poprzednich spotkaniach dało się zauważyć pewne rozluźnienie w szeregach i gnuśność. Bracia stracili zapał, przychodzili na zebrania chyba z przyzwyczajenia; zniechęceni, bez przyszłości, bez perspektyw, bezskutecznie próbowali podtrzymać płomień historii, który powoli gasł. Stopniowo, lecz nieuchronnie osuwali się w ciemność, w oczekiwaniu na koniec, jaki spotkał bezimiennych współwyznawców, spoczywających w wilgotnych korytarzach głęboko pod ziemią. Wiara słabła, a wraz z nią siła sztuki i miłości, jaka przyświecała im dawno temu.

Przekazanie wiedzy i filozofii zakonu przyszłym pokoleniom stało się nie-

osiągalnym marzeniem. Zakon Arts Amantis powoli przechodził do legendy. Taka była okrutna rzeczywistość i musieli się z tym pogodzić.

Po incydencie, jaki wywołał Flavien, nie mieli żadnego planu. Myśleli, że sławny twórca dualizmu wyuzdanego naprowadzi ich na jakiś trop związany ze zniknięciem ciała Świętej, ale zazdrosny malarz swoim zachowaniem w atelier zniweczył tę nadzieję.

Medalion, bosonoga dziewczyna, niepojęty wybuch talentu Cadiza - wszystko i nic. Nie mieli już żadnego punktu zaczepienia.

Tajne wejście do katakumb znajdowało się na skrzyżowaniu rue de la Tombe-Issoire z rue de l'Aude. W kafejce na rogu Arcadius i Mazarine niecierpliwie wyczekiwali nadejścia złotnika, który miał im przynieść szaty i udzielić ostatnich wskazówek. Zbliżała się północ i nic nie wskazywało na to, że właśnie tu ma się odbyć sekretne zebranie. Na ulicy nie było żywej duszy. Minuty upływały w gęstej ciszy. A jeśli się pomylili i byli umówieni w zupełnie innym miejscu?

Niespodziewanie, kilka metrów od kafejki, zatrzymało się eleganckie auto z przyciemnionymi szybami. Wysiadło z niego dwóch osiłków, a za nimi wysunął się z wnętrza limuzyny wytwornie ubrany mężczyzna. Rozejrzał się na boki, sprawdzając, czy nie jest śledzony, i zniknął w mrocznej bramie. Po chwili nadjechał następny samochód, a po nim kolejne. Pasażerowie rozwiewali się jak duchy w ciemnościach zaułka. Tymczasem Arcadius i Mazarine ciągle czekali na złotnika w narożnej kafejce.

- Arcadiusie, jesteś pewny, że właśnie tu się z nim umówiłeś? - spytała zaniepokojona Mazarine.

- Bez wątpienia. - Dostrzegł medalion na jej piersi. - Mówiłem, żebyś go nie wkładała - fuknął.

- Nie rozstaję się z nim. To mój amulet, Arcadiusie. Z nim nic mi nie grozi.

- Schowaj go, na miłość boską! - Spojrzał na jej stopy. - Nie włożyłaś butów!

Doigrasz się, panienko! Co ja z tobą mam!

Do kafejki wszedł złotnik.

- Nareszcie! - wykrzyknął Arcadius.

Mazarine pospiesznie wsunęła medalion pod ubranie.

- Nie powiedziałaś mi, że przyjdiesz z kobietą, w dodatku taką młodą.

- To moja wnuczka. Ma szósty zmysł w tropieniu relikwii.

- W porządku... Musimy się pośpieszyć. Moja żona kończyła szyć uroczyste szaty dla was, dlatego tak się nieprzyzwoicie spóźniłem. Pewnie wszyscy już są.

Wyciągnął z torby szatę i wręczył Mazarine.

- Musi się pani dokładnie zakryć. Pani uroda przyciąga uwagę. - Mazarine chciała rozłożyć szatę, ale złotnik ją powstrzymał. - Nie tu. Włóży ją pani w katakumbach. I przede wszystkim proszę milczeć.

Podał im ostatnie wskazówki, hasło i odzew.

Arcadius zostawił banknot na stole i wszyscy troje opuścili bistro. Przecięli ulicę i weszli do bramy. Złotnik otworzył wąskie metalowe drzwiczki. W środku panowała całkowita ciemność. Zapalił pochodnię i oświetlił wiodące w dół spiralne schodki.

- Tędy - powiedział. - Obowiązuje bezwzględna dyskrecja - dodał ściszym głosem. - Gdy stąd wyjdziecie, zapomnicie o wszystkim.

- Masz na to moje słowo - przyrzekł antykwariusz.

Stopnie były strome i niewygodne. Wąską sztolnię wypełniał odór zgniłej wilgoci. Z nisko zawieszonego stropu skąpy wały krople wody; spiczaste jak ostrza noży stalaktyty zagrażały życiu przechodzącym pod nimi śmiałkom. Arcadiusowi szybciej zabiło serce. Ciasne, zamknięte pomieszczenia zawsze budziły w nim niepokój. Mazarine też się bała.

Dotarli do końca schodów. Zanim ruszyli w dalszą drogę, staruszek przez chwilę odpoczywał. Pocił się obficie i pulsowało mu w skroniach.

- Dobrze się czujesz, Ar... dziadku?

- Daj mi złapać oddech.

Odczekawszy kilka minut, złotnik nakazał im się przebrać. Mazarine, dygocząc, pomogła antykwariuszowi wdziać odświętną szatę, a potem narzuciła na siebie swoją.

Schody zostały w tyle. Teraz przeciskali się ciemnym korytarzem z widniejącymi na ścianach napisami po łacinie: *Hie in somno pacis requiescunt. Majores principium et finis. Toute vie a sa mort, toute mort a sa vie. Homo sicut foenum dies ejus; tamquam flos agri, sic effloreat: quoniam spiritus pertransibit in illo, et non subsistet et non cognescet amplius locum suum...*

Po przejściu dwóch tysięcy metrów ciasnym korytarzem Arcadius nadal czuł ucisk w klatce piersiowej. Nie skarżył się, ale zdradził go przyspieszony oddech.

- Chcesz zawrócić? - spytał złotnik.

Arcadius pokręcił głową.

- Zaraz mi przejdzie. Idźcie, dogonię was.

- Nie, dziadku. Ja się stąd bez ciebie nie ruszę - oświadczyła stanowczo Mazarine.

- To już niedaleko. Widzicie ten wielki głaz w głębi korytarza?

Arcadius poderwał się ostatkiem sił i z trudem dotarł do wskazanego miejsca. Tam złotnik nacisnął ukryty przycisk i głaz się przesunął. Znaleźli się w ogromnej sali przypominającej podziemną katedrę. Wewnątrz dziesiątki mężczyzn ubranych w haftowane szaty rozmawiało szeptem. Słyszając kroki nowo przybyłych, umilkli.

- *Mon energie, c'est l'amour* - powiedzieli wszyscy troje, podchodząc z rękoma uniesionymi w górę.

- *Je l'accepte. Je te le donne* - odpowiedzieli chórem członkowie Arts Amantis.

Ppwole serce Arcadiusa zaczęło bić miarowo.

Słyszał i czytał o bractwach i tajnych lożach, ale to, co zobaczył, wstrząsnęło nim. Ludzie w białych szatach, zebrani w tym makabrycznym miejscu, otaczający postument pełniący funkcje ołtarza, przypominali średniowiecznych mnichów. Twarze mieli ukryte pod przepastnymi kapturami. Spojrzał na dziewczynę. Bez problemu mogła się wmieszać w tłum. Sprzymierzeńcami były upiorne ciemności, pogłębione przez światło pochodni i świec. Mogły ją zdradzić jedynie odkryte delikatne stopy.

Ten przedziwny spektakl, odgrywany w szczególnej scenerii wśród ułożonych w równe stosy puszczeli i czaszek, stworzony przez braci ukrywających twarze pod kapturami peleryn, tajemnicze szepty i upiorne cienie przerażyły Mazarine. Na piersi wszystkich tych bezimiennych ludzi widniał wyhaftowany taki sam symbol jak na jej ukochanym medalionie. Czyżby Święta wywodziła się z tej dziwnej sekty?

-Bracia... - zaczął wielki mistrz. - Przez długie miesiące karmiliśmy się marzeniem. Marzeniem, że odnajdziemy naszą Siennę. Marzeniem, że odrodzi się nasza czysta i piękna doktryna, dzięki której przez wieki dokonano tyle cudów. Wielka szkoda, że zmarnowaliśmy okazję i nie wyjaśniliśmy, co łączy tę dziewczynę i sławnego malarza. Zawieść naszego brata Flaviana - bezskutecznie poszukiwał wśród zamaskowanych postaci jego twarzy - uniemożliwiła zbliżenie się do Cadiza, tak jak mu poleciliśmy. Gdyby zachował się inaczej, dziś pewnie mielibyśmy powód do radości. Spróbuję skontaktować się z nim osobiście, ale ze względu na moją funkcję pragnąłbym zachować anonimowość. Spotkanie twarzą w twarz mogłoby zaszkodzić sprawie, oznaczałoby bowiem konieczność ujawnienia naszej tajemnicy. Istnieją jednak inne sposoby. Do nich należy stwarzanie stopniowej zażyłości i choć jesteśmy nastawieni pokojowo, co podkreślam, możemy wywrzeć pewien nacisk. Wiemy, że dziewczyna ma medalion, który należał do Świętej. - Na te słowa Mazarine drgnęła. Mistrz mówił o niej. Włożyła rękę pod pelerynę i zacisnęła palce na me-

dalonie. - Poprosimy ją o wyjaśnienie, jak weszła w jego posiadanie.

- Mistrzu, za pozwoleniem... - przerwał mu Mężczyzna o Zamglonych Oczach. - Obawiam się, że uciekłyby się do kłamstwa.

- Nie sędzę, Jeremie. Być może nie wie, jakie to ważne.

- A jeśli to wcale nie ona opiekuje się Świętą, a medalion podarował jej malarz? - wtrącił Flavien.

-Milcz, nie udzieliłem ci głosu. - Mistrz mówił dalej, ignorując go. - Wątpię, żeby taka młoda dziewczyna zdawała sobie sprawę, że popełniła przestępstwo, jakim jest zawłaszczenie średniowiecznej relikwii. Kłopot w tym, że my też nie mamy dokumentów uprawniających do zatrzymania ciała Świętej.

- Ale ona tego nie wie - rzucił Mężczyzna o Zamglonych Oczach.

Arcadius spojrzał badawczo na Mazarine, która pokręciła przecząco głową.

- Mistrzu... - Złotnik podniósł rękę. - Dotychczas podczas naszych zgromadzeń nie rozważaliśmy innego rozwiązania. Zamiast działać opłakiwaliśmy stratę. Od wieków na całym świecie kwitł handel relikwiami. Podobnie jak w przypadku skradzionych dzieł sztuki kupczenie szczątkami świętych odbywa się w absolutnej tajemnicy. Możliwe, że ciało Sienny zostało rozkawałkowane i rozprzedane na aukcjach.

- Nie sędzę. Natrafilibyśmy na jakiś trop. Mów dalej, Sebastienie.

- Dzisiaj jest z nami mój kuzyn - złotnik wskazał Arcadiusa - członek naszego bractwa, który wczoraj wieczorem przybył z Tuluzy. Kolekcjonuje dzieła sztuki i zalicza się do najlepszych antykwariuszy w kraju.

Arcadius skłonił się lekko.

-I cóż masz nam do powiedzenia, bracie?

- Z całym szacunkiem, myślę, że mylicie się co do dziewczyny. Powinniśmy zmienić kierunek poszukiwań i skupić się na handlarzach relikwiami.

- Czyli szukać igły w stogu siana.

-Być może. Chociaż... Nie przypuszczam, żeby istniało więcej takich relikwii

jak nasza Święta.

-Oczywiście, że istnieją. Zapominasz o tysiącach męczenników za wiarę katolicką, których szczątki są rozsiane po całym świecie. Według sekretnych zapisków naszych przodków ciało Świętej zaginęło podczas pierwszej wojny światowej. Od tej pory minęło wiele lat.

- Pomimo to odnalezienie jej wcale nie jest przedsięwzięciem niemożliwym do zrealizowania - stwierdził kategorycznie Arcadius.

Zebrani z uwagą przysłuchiwali się jego słowom. Po Sali rozszedł się szmer. Mazarine z przerażeniem rozpoznała wśród zamaskowanych postaci Mężczyznę o Zamglonych Oczach, który tak ją prześladował. Przesuwając się powoli, ukryła się za kolumną.

Mistrz uciszył braci i ponownie zabrał głos.

-Musimy przyznać, że poszukiwania, które rozpoczął nasz kochany Jeremie, nie przyniosły spodziewanych rezultatów. Prosta strategia okazała się niewystarczająca i nieskuteczna. Zresztą nie powinniśmy zbyt wiele oczekiwać w sprawie opartej jedynie na przypuszczeniach. Weźmy więc pod uwagę propozycję Sebastiana. Powierzam wam - wskazał na Arcadiusa i złotnika - wszczęcie poszukiwań wśród handlarzy szczątkami świętych męczenników. Chyba nie muszę przypominać o poufnym charakterze tej misji. Ty - poszukał wzrokiem Flaviena - masz zakaz zbliżania się do malarza. Zabraniam ci też podejmowania jakichkolwiek działań, które mogłyby go spłoszyć. A jeśli chodzi o dziewczynę - zwrócił się do Mężczyzny o Zamglonych Oczach – sam się nią zajmę. Zrobię to tak dyskretnie, że się nie zorientuje.

czasu na zastanowienie? Jej milczenie doprowadzało go do szału i sprawiało, że usychał z miłości i tęsknoty.

Tajemnica w jej oczach, emanujący od niej magnetyzm, świetlistość okaleczonej duszy, osamotnienie, delikatność i siła, jakby nie z tego świata, powstrzymywana pasja w gestach - wszystko w niej niepokoiło go aż do bólu. Wszechogarniający chaos wątpliwości i niedopowiedzeń całkowicie nim zawładnął.

Od romantycznej kolacji w hotelu Costes nie miał od niej żadnej wiadomości. Nie odbierała telefonów od niego. Tak jakby zerwała wszelkie więzi. Po dwóch dniach ciągłego wydzwaniania automatyczna sekretarka oznajmiła sucho, że skrzynka głosowa jest zapełniona. Nie mógł już zostawić kolejnej wiadomości.

Chociaż nie domagał się natychmiastowej odpowiedzi, uznał, że skoro przyjęła pierścionek, zaręczyny stały się faktem. Brylant jak symbol stał się jego orężem w walce z nieznanym rywalem.

Był absolutnie pewny, że jego narzeczona zмага się teraz z wątpliwościami i toczy wewnętrzną walkę, którego z nich wybrać. Pewnie teraz z nim jest. Cierpiał na samą myśl o tym.

Tymczasem matka, wielka nieobecna, nadal nie dawała znaku życia. Nie zamierzał jej szukać. Nigdy jej nie było, kiedy jej najbardziej potrzebował...

Na Cadiza w ogóle nie liczył.

Przed gabinetem czekali pacjenci. Wśród nich, przeglądając gazetę, siedziała Sara Miller. Chciała zrobić synowi niespodziankę. Po paru minutach sekretarka - cicha współpracowniczka - zaprosiła ją do gabinetu.

- Wróciłaś! - zawołał i przytulił matkę. Bardzo za nią tęsknił. - Właśnie o tobie myślałem.

- Nie dzwoniłam, bo... Nie wiesz, jak mi przykro!

- Mamo, przez całe życie w kółko powtarzasz, że ci przykro, i co z tego? Nic

cię nie usprawiedliwia. Odkąd pamiętam, zawsze na ciebie czekałem. - Wskazał matce kozetkę dla pacjentów i ciągnął dalej. - Nie patrz tak na mnie, Saro. To nie zarzut, tylko stwierdzenie faktu. Nie mówmy już o tym. Cieszę się, że jesteś. - Ujął jej dłoń w swoje ręce. - Opowiadaj... Kiedy wróciłaś? I co na to Cadiz? Wiesz, że któregoś dnia zadzwonił do mnie i pytał, czy nie wiem, dokąd wyjechałaś.

Oczywiście nic mu nie powiedziałem... Jak było w Kolumbii?

Sara Miller nie przyszła tu, żeby opowiadać o sobie.

-Zaintrygowałaś mnie. Gdy zadzwoniłam do ciebie z Nowego Jorku, powiedziałaś, że masz mi coś ważnego do przekazania, ale zrobisz to osobiście.

- Ach... to. - Pascal nagle posmutniał. - No cóż, wszystko tak szybko się zmienia...

- Synku, dobrze się czujesz? Masz taką niewyraźną minę.

- Doprawdy? Obchodzi cię to? - ironizował Pascal. Otworzyła się stara rana. Tak, był smutny, samotny i zły. Wściekły na nią, na ojca, na Mazarine, na cały świat. - Nareszcie dostrzegasz, że ja też coś czuję. Myślisz, że skoro zajmuję się problemami psychicznymi pacjentów, potrafię poradzić sobie z własnymi? Ja też jestem człowiekiem, mam, pamiętaj o tym. Mam uczucia. - Spojrzał na nią zrezygnowany. - Gdy byłem dzieckiem, potrzebowałem ciebie. - Sara zamierzała coś powiedzieć, ale nie dopuścił jej do głosu. - Samotność, zagubienie, pustka uczuciowa odcisnęły na mnie swoje piętno. Emocje, które teraz odczuwam, to zaledwie echo przeszłości. Myślałem, że się z tego wyleczyłem, że uratował mnie mój zawód, ale... trudno się z tym uporać, mam, bardzo trudno. W dzieciństwie brakowało mi matki i kładzie się to cieniem na moje związki z kobietami; boję się, że żadna mnie nie pokocha.

- Przykro mi, synku. Nie wiedziałam... Myślałam, że byłeś szczęśliwym dzieckiem. Nigdy się nie skarżyłeś.

- Można wołać o pomoc bezgłośnie. Gdyby rodzice mieli świadomość, że ich czyny, nawet te z pozoru błahе, mogą wywołać u dzieci tak głębokie urazy, za-

pewniam cię, że postępowaliby inaczej. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile cudzego bólu i cierpienia unosi się wśród tych czterech ścian.

- A co ciebie boli, synku?

Milczał.

- Chodzi o tę dziewczynę, z którą widziałeś się w Boże Narodzenie.

- Skąd wiesz?

- Pamiętaj, że my, matki, chociaż czasem nie robimy czegoś jak należy, mamy szósty zmysł. Miny, gesty, nawet milczenie mówią nam więcej niż słowa. Opowiedz mi o niej.

W pamięci pojawił się obraz tamtej śnieżnej nocy i bosych stóp Mazarine.

- Jest cudowna! - Wykrzyknął z entuzjazmem. - Inteligentna, piękna i... tajemnicza.

-Boże! Dzieciaku, ty się zakochałeś! Nie potrafisz być obiektywny.

- Czy miłość może być obiektywna, Saro?

- Masz rację. Miłość nie jest ani obiektywna, ani subiektywna. Ona po prostu jest. Nikt nie potrafi jej opisać, chociaż wielu próbowało. Gdy przychodzi, masz pewność, że to ona, bo swoją obecnością naznacza wszystko. Czy twoja ukochana odwzajemnia to uczucie?

- Oświadczyłem się jej...

- Właśnie to chciałeś mi powiedzieć? To cudowne, synku. Czy to znaczy, że się żenisz?

- Jeszcze nie wiem.

- Jak to, nie wiesz?

- Ona musi to przemyśleć.

- To niedobrze, Pascalu. O tym się nie myśli, to przychodzi samo.

- Ale nie w tym przypadku. Nie znasz jej, jest wyjątkowa.

W kieszeni fartucha Pascala zaczęła wibrować komórka.

Wyświetlił się numer Mazarine. Serce podskoczyło mu do gardła. Dziew-

czyna o zbuntowanym głosie dzwoni, aby dać mu odpowiedź. Gestem dał matce do zrozumienia, żeby zostawiła go samego. Widząc po twarzy syna, że sprawa jest poufna, Sara wyszła do pokoju obok gabinetu i stanęła przed regałem z książkami.

Mazarine przeprosiła za przedłużające się milczenie.

Wyjaśniła, że nie miało to związku z zaręczynami tylko z pracą i powiedziała „tak”. Kategoriecznie, zdecydowanie „tak”. Wszystko sobie przemyślała i chce za niego-wyjść, ale dopiero za rok, bo teraz nie ma do tego głowy. Jest pochłonięta czym innym. Będzie musiał pomóc jej wylizać się z ran. Ostrzegła, że nie zna i może nigdy nie pozna mrocznych stron psychiki przyszłej żony, lecz jeśli zaakceptuje ją taką, jaka jest, jeśli potrafi czekać, uszanować jej milczenie i zrozumie, że są tajemnice, których nie może mu wyznać... Jeśli, jeśli... Same warunki.

Pascal jak nastolatek zadowolił się słowem „tak”.

- Chciałbym przedstawić cię rodzicom - obwieścił.

- Na moich nie licz.

Pożegnali się cmoknięciem do słuchawki i banalnym „do zobaczenia, *mon amour*”. Wieczorem się spotkają, jak zwykle w kafejce La Palette przy rue de Seine.

- Mamo! - zawołał rozradowany. - Dzwoń do Cadiza. Mam dla was wspaniałą nowinę.

Ostatecznie plany uległy zmianie. Kolacja w La Closerie des Lilas nie doszła do skutku. Sara, korzystając z tego, że zrobiło się ciepło, postanowiła urządzić wykwintniejsze przyjęcie na tarasie apartamentu przy rue de la Pompe i zaprosić na nie narzeczoną Pascala. Dom został odświeżnie przystrojony, stół nakryty

białym, płóciennym obrusem, w wazonach rozkwitały nieskazitelnie białe lilie, na stolikach zalegało dziesiątki albumów z fotografiami z dzieciństwa Pascala.

Wszystko było przygotowane na przybycie młodych. Mimo że przyjęcie miało skromny charakter, służba przywdziała, jak dawniej bywało, liberię i rękawiczki. Pokojówka sprawdziła zgodną z zasadami *savoir-vivre'u* kolejność ustawienia talerzy, kieliszków i sztuców. Szampan mroził się w lodówce. Kuchnia pachniała sosem truflowym do homarów. Z piekarnika dochodziła słodka woń szarlotki. Juliette była szczęśliwa, że tego wieczoru zapanuje tu tradycyjna, rodzinna atmosfera.

W domu brakowało przede wszystkim życia, a jej ukochanym *madame* i *monsieur* - wnuków. Pascal, którego z takim oddaniem i miłością wychowywała, przybywa z ważną wiadomością: żeni się. Dziś pozna wybranekę jego serca. Za kilka lat, w niedziele, długi, pusty teraz hol będzie rozbrzmiewał dziecięcym śmiechem.

Sara spojrzała na zegarek. Za godzinę syn przyprowadzi swoją narzeczoną, a Cadiz jeszcze nie wrócił z La Ruche.

Mazarine była niespokojna. Uprzedziła Cadiza, że na wieczór ma inne plany i nie może dłużej zostać w pracowni, ale on nalegał. Termin otwarcia wystawy zbliżał się wielkimi krokami, a tymczasem dwa ostatnie obrazy nie były jeszcze skończone.

- Bardzo mi przykro, Cadizie, ale dziś naprawdę nie mogę.

- Nie chcę o tym słyszeć. Musisz zostać.

- Mam swoje życie.

-Maleńka... chcesz, żebym dla ciebie rozwalił cały mój świat? Czy kiedykolwiek pomyślałaś, do czego prowadzi szarość powszedniego dnia, której tak bardzo pragniesz?

- Mylisz się. Ja już niczego nie pragnę.

-Powiedz temu, który się wcisnął między nas, że nie możesz się z nim spotkać. Powiedz mu!

- Wychodzę.

- Ostrzegam cię, jeśli teraz wyjdiesz, nigdy więcej nie przekroczysz progu mojego atelier.

Schwyciła plecak i wyszła bez słowa.

- Nigdy więcej! - powtórzył w desperackiej próbie zatrzymania Mazarine.

Trzasnęły drzwi. Malarz zrozumiał, co się właśnie stało.

- Idiotko! Jeszcze pożałujesz!

Krzyk wściekłości wstrząsnął murami La Ruche.

Zamek w bramie zaciął się. Przerazona Mazarine na próżno szarpała za pręty. Żelazna przegroda nie ustępowała. W pasażu de Danzig nie było widać żywej duszy. Znikąd pomocy.

Wściekłość mistrza rosła.

Drzewa w ogrodzie La Ruche miały gałęziami jak oszalałe. Korzenie budziły się z trzaskiem pękającej ziemi.

Porzucone na trawniku głowy i tułowia marmurowych rzeźb zmieniły się w powstałe z grobów okaleczone potwory i w *danse macabre* zmierzały ku niej.

Zdawało się, że rozwarte gardziele okien zaraz wchłoną ją do wnętrza domu.

Kariatydy przy wejściu opuściły swoje miejsca na postumentach i groźnie kroczyły w jej stronę. Pragnące pożreć ją monstra były coraz bliżej. Znajome miejsce przeobraziło się w straszliwy las pełen zmij. Pnącza winorośli i powoju ześlizgiwały się w dół, ciągnęły po ziemi, podpełzały do stóp, wspinały się po nogach, osaczały i dusiły. Powrócił strach z dzieciństwa. Stała jak sparaliżowana.

Cadiz rzucił się na nią, schwycił za nadgarstki, uniósł w górę i przyparł Mazarine do muru. Zraniony lew dyszał z wściekłości. Celowo sprawiał jej ból.

W szaleńczym pożądaniu poszukiwał wargami jej ust. Szorstki język kaleczył twarz, powieki i końce uszu. Oddech palił szyję. Lizał ją łapczywie. Desperacko

wpijał się w jej usta, chciał ją zabić tym pocałunkiem. I wcale nie było to takie dalekie od prawdy. Pragnął tym pocałunkiem wycisnąć swoje piętno. Ogień, który pożerał usta, wdzierał się w podświadomość, rozbijał duszę na tysiące cząsteczek. Całował ją raz po raz, aż wypełnił jej usta pustką. Aż przepełnił jej usta żalem. Wtedy rozwścieczona bestia ucicha i zastyga w bezruchu.

Ciągle jeszcze pogrążony w szaleństwie, Cadiz otworzył bramę.

- Teraz możesz odejść - powiedział załamującym się głosem.

Mazarine uciekła z płaczem.

54

Spóźniona dziesięć minut, bosonoga Mazarine wpadła na rue de la Pompe, powiewając połami czarnego płaszcza. Pascal patrzył, jak idzie, i zastanawiał się, co by na jej widok pomyślała matka. Pewnie by się jej spodobała. Sara była otwarta i we wspomnieniach z młodości przechowywała jeszcze szaleństwa artystycznej bohemy czasów buntu. Mazarine była jedną z nich. Istotą jakby z tamtej epoki.

Spojrząwszy jej w oczy, dostrzegł w nich lęk.

- *Mon petit chou* - powiedział z czułością i pocałował ją. - Nie ma się czego bać. Zobaczysz, będą tobą zachwyceni, a jeśli nie, nigdy tam nie wrócimy i koniec.

Ale Mazarine nie o tym myślała. Usta jeszcze ją paliły od pocałunku Cadiza. Dlaczego jej to zrobił, i to właśnie w takiej chwili?

Pascal dostrzegł czerwone ślady na nadgarstkach narzeczonej.

- Co ci się stało?

- Och... - Spojrzała na swoje ręce. - To nic takiego.

-Nic?

- Nie pytaj - poprosiła. - Obejmij mnie.

Przytulił ją, a Mazarine położyła głowę na jego piersi, tchnącej spokojem i

bezpieczeństwem.

- Chodźmy - wyszeptała w jego ramię. - Rodzice czekają.

Młodzi przywitali się z portierem i z ochroniarzami, którzy pilnowali wejścia, odkąd w tym domu zamieszkał syn arabskiego szejka, i poszli do windy. Niemal królewski luksus, panujący w całym budynku i w eleganckim holu, onieśmielał. Mazarine bała się, że podczas uroczystej kolacji popełni jakąś gafę albo zachowa się niestosownie. Pohamowała chęć ucieczki; łatwo jej to przyszło, bo Pascal mocno obejmował ją ramieniem. Nie zrobi mu tego. Spojrzała na niego i odwzajemniła uśmiech.

Dzwonek obwieścił, że dotarli na ósme piętro. Winda zatrzymała się.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Pascal i wziął Mazarine za rękę, wilgotną od potu. - Kochanie, nie denerwuj się tak. Nie bój się, *mon amour*. Oni nie gryzą.

Wpatrywała się w niego bez słowa. W bursztynowych oczach widać było ogromne znużenie. Wszystkie siły wyssał z niej Cadiz zachłannym pocałunkiem.

- Poznasz pewną uroczą staruszkę - mówił dalej Pascal - która opiekowała się mną w dzieciństwie. Ma na imię Juliette. Jest dla mnie prawie jak matka. Gdybyś chciała się czegoś dowiedzieć o moich chłopięcych psotach i wybrykach, spytaj o to ją. Hej, spójrz na mnie! - Łagodnie uniósł jej brodę. - I nie staraj się przypodobać moim rodzicom, to oni muszą cię oczarować. Polubicie się, jestem o tym przekonany. Są artystami, tak jak ty.

Nie użył klucza, choć nadal nosił go w kieszeni. Wolał zadzwonić do drzwi.

- Ja otworzę! - krzyknął Cadiz z sypialni.

Właśnie przyszedł. Zdążył przemyć twarz, przebrać się szybko i skropić wodą kolońską. Jeszcze nie ochłonał po tym, co się wydarzyło w bramie La Ruche.

- Poczekaj - powiedziała Sara i poprawiła sobie bluzkę przed lustrem. - Chcę pierwsza się przywitać.

Cadiz otworzył drzwi i zamarł. Nie wierzył własnym oczom. Rozpromieniony

Pascal obejmował jego małą.

Co to, do jasnej cholery, ma znaczyć?

Słyszał głos syna jak przez mgłę. Docierały do niego pojedyncze sylaby.

-Sa-a...

Cad-z...

Prze-aw-am...

Pustka - pustka - pustka.

Widział poruszające się usta syna, ale nie słyszał słów.

-moją na...

czo...

na...

Ma-rine...

Mazarine zbladła, twarz przybrała kredowobiały odcień.

Nie spodziewała się tego. Przed nią stał mistrz - jej niedawny dręczyciel... Jej radość, smutek i ból. Jej miłość.

Cadiz

miął syna.

Cadiz -

ojciec tego, który miał ją ocalić.

Cadiz -

mężczyzna, który rozbudził w niej namiętność.

Cadiz -

jej sztuka.

Cadiz -

jej życie.

Sara Miller, niczego nieświadoma, cmoknęła Pascala w policzek, podeszła do

Mazarine i objęła, wydobywając ją z odrętwienia.

- Co tak stoisz jak słup? - szturchnęła męża. - Tak jak prosiłeś - odwróciła się do syna - nic nie mówiłam ojcu. Tym większą miał niespodziankę.

- To prawda - wydukał Cadiz, próbując zapanować nad sobą. - Jak masz na imię?

Władczy wzrok profesora wbił się w zagubione źrenice uczennicy i podporządkował ją sobie.

Mazarine, zmieszana i zaskoczona, nie wiedziała, jak się ma zachować w tej sytuacji. Uwielbiany mistrz teściem? Pyta ją o imię... Czy to pierwszy akt jakiejś komedii? Co robić? Grać swoją rolę? Jej głos wyprzedził myśl. Była silna i jako narzeczona Pascala miała nad Cadizem przewagę.

- Mazarine - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Cadiz pragnął ją upokorzyć.

- Mazarine... i co dalej? Nie masz nazwiska?

-Mazarine i koniec - wtrącił się Pascal, próbując ją chronić.

- Nie musisz mnie bronić, *mon amour*. Twój ojciec też nie nazywa się Cadiz, prawda? - powiedziała, obserwując reakcję profesora. - My, artyści, lubimy chować się za pseudonimami, prawda, proszę pana? - zakpiła. - A swoją drogą, jak pan się naprawdę nazywa?

- Wchodzimy, czy cały wieczór przestoimy w progu? - spytała Sara, by złagodzić napiętą sytuację.

- Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani - powiedział Pascal, obejmując Mazarine.

- Niecodziennie syn przedstawia nam swoją narzeczoną - skomentowała Sara, patrząc znacząco na przyszłą synową. - Musisz nam wybaczyć pewne...

Cadiz nie dał żonie dokończyć.

- Przepraszam, Mazarine. Nie miałem zamiaru...

- Nieważne - przerwała mu beztrąsko. - To było nawet zabawne.

Malarz, jeszcze porażony widokiem swojej uczennicy, otworzył szeroko drzwi i nowo przybyłych powitały dwa jego monumentalne obrazy. Długi korytarz oświetlały delikatnym, zwiewnym, złotawym światłem świece zapachowe w wielkich kandelabrach. W głębi pojawiła się zawstydzona i zarazem zaciekawiona Juliette.

- Chodź! - zawołał Pascal. - Chcę ci przedstawić moją narzeczoną.

Niania podeszła bliżej i, zachęcona spojrzeniem Sary, przywitała się z Mazarine.

- *Bonsoir, mademoiselle.*

- Księżniczka, prawda? - spytał retorycznie Pascal.

- Oczywiście, *monsieur.*

Do Cadiza słowa docierały jakby z oddali. Dłużej tego nie wytrzyma. Ten koszmar nie powinien był się zdarzyć. Potrzebował natychmiastowego zastrzyku alkoholu. Musi się znieczulić. Podeszedł do barku, wyjął butelkę trzydzie- stoletniej whisky Macallan i napił się.

- *Trop tard pour moi* - wycedził przez zęby. - *C'est tout, mon petit idiot. La grandeur est insignifiante.*

Gadał do siebie i pił zimną whisky, jakby to była woda, którą lokaj przyniósł mu z lodówki. Obserwował z daleka, jak młodzi śmieją się razem z jego żoną.

- *La mort, c'est la propre vie. Merde!*

Butelka pusta, a cierpienie nie minęło. Ból jakby się nawet spotęgował.

Następna butelka.

Chlup - chlup - chlup.

Nie tylko Mazarine kłuła go w oczy swoją wyzywającą młodością, teraz do szyderców dołączył również syn i uświadomił mu jego nieodwołalne niedołęstwo

i groteskowy koniec.

Chlup - chlup - chlup.

Co z jego pragnieniem? Z żądzami? Mięśnie zwiotczały ze starości, na nie-skazitelny wizerunku pojawiły się pęknięcia. Czy może egzystować jako żywy trup? Ze świadomością, że skarb nigdy nie będzie należał do niego? Jak żyć, wiedząc, że syn rozkoszuje się owocem należącym do niego?

Chlup - chlup - chlup.

Płynny ból.

Do oczu napływały mu łzy, ogarniała go mdląca wściekłość, nad którą nie potrafił zapanować.

Jego ciało: martwa natura.

Wywołujący niesmak obraz rozkładu. Okruchy minionej chwały. Świeca bez knota; sen bez nadziei. Pokawałkowane fragmenty raniły zbolałą duszę.

- Cadiz... - Żona go wzywała. - Chodź do nas.

Nikt nie może się dowiedzieć. Rodzina. Co to właściwie jest? Nie chciał założyć rodziny; to był zwykły przypadek.

Jego życie było ciągłym poszukiwaniem wolności. Myślał o sobie, wyłącznie o sobie. Był wierny swoim pragnieniom, najgłębiej pojmowanemu dualizmowi. Kochał piękno, estetykę, sztukę. Miła mu była świadomość, że wielbi go cały świat. Zaskoczyć śmierć, zanim ona zaskoczy jego.

Chlup - chlup - chlup.

Rodzina: sejsmograf przykrości. Żadnej wdzięczności. Wysilek bez nagrody. Pascal? Pęknięta prezerwatywa i nieudana skrobanka w Londynie. Kochał go?

Kiedyś może tak, ale teraz, gdy zobaczył go ze swoją małą, już nie. Co to za brednie o miłości ojcowskiej?

Chlup - chlup - chlup

- Cadiz! - niecierpliwiła się Sara.

- Daj mu spokój, mamo. - Syn jakby go usprawiedliwiał.

- Już idę! - wrzasnął, widząc że Mazarine wstaje i kieruje się do toalety.

Z butelką w ręku przemknął przez hol, tak żeby nikt go nie widział, i skrył się w ciemnej bibliotece. Czujny jak lew, zaczął się na swoją ofiarę. Gdy Mazarine wyszła z toalety, dopadł ją jednym susem, złapał za rękę, wciągnął do biblioteki i przekręcił klucz w zamku.

- Pij - powiedział, przystawiając jej butelkę do ust. - Potrzebujesz tego.

Mazarine odmówiła.

- Jak śmiałaś? Czy ty nie rozumiesz, co mi robisz, okrutna?

- Puść mnie! Jesteś...

Zamknął jej usta pocałunkiem - wprost pożerał ją pocałunkami. Należała do niego. Pascal nie odbierze mu jego skarbu.

- Jesteś szalony... - odepchnęła go - .. i pijany.

- I zakochany - dodał, rozchylając połę jej płaszcza.

- Za późno, mistrzu.

- Przecież mnie pragniesz, mała. Ja to wiem. Nie kochałem się z tobą, bo chciałem cię chronić, rozumiesz.

- Kłamiesz. Posłużyłaś się mną. Wykorzystałaś mnie. Teraz sama będę się „chronić”.

- Mazarine, nie doprowadzaj mnie do sza...

- Co? Chcesz mnie ośmieszyć przed swoją rodziną? No to się dowiedzą o twoim szaleństwie.

Cadiz znowu zaczął ją całować. Mazarine miękła w jego ramionach. Krew

żywiej krążyła w żyłach. Na swoje nieszczęście - czuła to w głębi serca - kochała go dziko i namiętnie.

Korytarzem zbliżał się Pascal.

- Mazarine... dobrze się czujesz? - zapytał, zatrzymując się pod drzwiami toalety.

- Daj spokój, synku! - krzyknęła Sara. - Ona zaraz przyjdzie.

Cadiz i Mazarine siedzieli cicho jak trusie, póki nie ucichły kroki Pascala.

- Puść mnie, muszę już iść - wyszeptała.

- Powiedz, że mnie kochasz, że jesteś z nim tylko z rozsądku...

- To twój syn, Cadiz. Pamiętaj o tym.

Wyswobodziła się z żelaznego uścisku jego ramion, przekręciła klucz i wyknęła się z biblioteki. Nikt jej nie zauważył.

- Zgubiłam się - usprawiedliwiała się, wróciwszy na taras. - Mieszkanie jest takie duże, a w holu tyle drzwi, że...

- Nie przejmuj się, kochanie. Wkrótce dobrze poznasz to miejsce. - Sara spojrzała na nią uważnie. - Mam wrażenie, że skądś cię znam. Mam fotograficzną pamięć do twarzy. Skrzywienie zawodowe. - Przyjrzała się Mazarine. - Już wiem, gdzie cię widziałam! - wykrzyknęła z ulgą. - Na Champs Elysees w dniu otwarcia mojej wystawy. Byłaś tam, prawda? Pamiętam, pomyślałam wtedy, że jesteś bardzo fotogeniczna. Na pewno dobrze wychodzisz na zdjęciach. Masz w sobie niesamowity urok. Wydajesz się taka bezbronna. Nie bierz mi, proszę, za złe tego, co powiem.

- Mamo, nie przesadzaj.

- Rozumiesz mnie, prawda, Mazarine?

Sara rzuciła jej porozumiewawcze spojrzenie. Mazarine zdobyła się jedynie na uśmiech. W brzuchu czuła jeszcze trzepoczące się motyle.

- Siadamy do stołu - zarządziła Sara, gdy dołączył do nich Cadiz.

- Jaki piękny zapach! - zachwyciła się Mazarine, wciągając powietrze w

nozdrza.

- Kwitną drzewa pomarańczy, które Cadiz zasadził kilka lat temu. Ciotka przysłała mu z Sewilli nasiona. Dbalność o rośliny to chyba jedyne, co wyniósł z rodzinnej Andaluzji. Nie uwierzysz, ale mój mąż jest wspaniałym ogrodnikiem. Widzisz te donice na tarasie? Własnymi rękami sadił w nich kwiaty. Podobno artystyczny talent objawia się na różne sposoby. Twórca z prawdziwego zdarzenia działa na wielu polach.

Malarz zerwał kilka ukwieconych gałązek i powąchał.

Wciągnął głęboko zapach do płuc.

-Mogę? - spytał syna, gestem pokazując, że chciałby przystroić nimi włosy Mazarine.

- Oczywiście - odpowiedział Pascal. - Chcesz?

Mazarine skinęła głową. Z kwiatami pomarańczy we włosach przypominała tradycyjną narzeczoną.

- Wyglądasz tak niewinnie...

- Po prostu prześlicznie - dodał Pascal, i pocałował ją w policzek.

- Powinniśmy pojechać do Andaluzji... wszyscy razem - stwierdził Cadiz, rzucając pożądliwe spojrzenia na swoją uczennicę.

- Mamy na to czas. - Sara studziła zapal męża. Jeszcze nie zauważyła, że on nie spuszcza wzroku ze swojej przyszłej synowej. - Siadamy? - spytała, wskazując każdemu z osobna jego miejsce przy stole.

Cadiz usiadł obok Mazarine, Sara i Pascal zajęli miejsca naprzeciwko.

Noc spowijała wszystko niebieską poświatą. W ciemnościach błyszcząły tylko twarze. Płomienie świec falowały na wietrze i tworzyły drżącą grę światłocieni na wykrochmalonym obrusie. Mazarine bawiła się kieliszkiem z winem, w którym odbijał się księżyc. Podniosła wzrok i napotkała ciepły uśmiech Pascala. Powiew wiatru zdmuchnął kwiaty z jej włosów wprost na talerz Cadiza.

- Dziewica straciła swój kwiat - skomentował z dwuznaczną miną. - Nie

martw się, maleńka. Drzewa pomarańczy zawsze będą dla ciebie kwitły.

Na dźwięk słowa „maleńka” przed oczami Mazarine stanęła scena w bibliotece i znowu poczuła trzepotanie motyli w brzuchu.

W ciszy przesyconej zapachem pomarańczy przedefilowała służba z tacami pełnymi wykwintnych dań. Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat - od sztuki, malarstwa i marszandów do podróży, od filmów i aktorów do literatury i pisarzy. Przeszłość i terażniejszość, miłość i zobowiązania. W pewnej chwili Mazarine spytała Sarę, jak poznała Cadiza.

- Są historie, które gdy się je opowiada, tracą całą magię. Nie chcę się na ten temat rozwodzić - spojrzała na męża. - Powiem tylko tyle, że było... wspaniale.

Zamyśliła się. Wspomniała ten dzień, gdy całowali się z Cadizem na środku ulicy, pośród demonstrującego tłumu, głusi na wrzaski policji, świst pałek i kamieni, hasła buntowników.

-Mamo... - Pascal przywołał ją do rzeczywistości - Może zdradzisz nam jakieś szczegóły?

Sara machnięciem ręki odpędziła obrazy z przeszłości.

- Nie ma mowy. Dziś jest wasz dzień. Opowiedzcie, jak wy się poznaliście.

Pod stołem dłoni Cadiza spoczęła delikatnie na kolanie uczennicy. Mazarine zeszywniała.

- Przykro mi, mamo - powiedział Pascal. – Całkowicie się z tobą zgadzam, że opowiedziana historia traci całą magię. Zachowamy to dla siebie, prawda, *mon amour*?

Dłoni sunie pod płaszczem w górę, w poszukiwaniu nagiego ciała...

- *Oui* - odpowiedziała Mazarine ściszym głosem.

.. .pieści delikatnie wewnątrz uda

- No to może porozmawiamy o twojej wystawie? - zaproponowała Sara. - Chyba jest już gotowa?

...przesuwa się niespiesznie wyżej. Mazarine nie potrafi tego przerwać. Za-

marła w bezruchu.

- Niech to będzie niespodzianka. Dobrze wiesz - spojrział na Sarę - że przed inauguracją nigdy nie opowiadam o wystawionych obrazach.

Wspina się coraz wyżej i wyżej. Wdziera pod figi, szuka wilgotnego zakamarka i zagłębia w nim palec.

Homar stygł cierpliwie na talerzu.

Dość! Nie może tego zrobić Pascalowi. On ją kocha.

Wpatruje się w nią z taką miłością. Odepchnęła dłoń Cadiza, przez stół ujęła dłoń Pascala i mocno uścisnęła.

- Nie jesteś głodna? - spytała Sara, patrząc na nietkniętego homara na talerzu Mazarine.

-Ja...

- Może podać ci coś innego?

Pascal spojrział czule na Mazarine.

- Na co masz ochotę, skarbie?

Cadiz milczał, jakby nieobecny. Smakował jeszcze chwilę namiętności.

Siorbnął ze szklanki łyk zmrożonej whisky i wypalił:

- Powinniśmy pojechać do Andaluzji.

- Niezła myśl - podchwycił Pascal. - Wszystkim nam przydałaby się taka podróż. Dawno razem nie wyjeżdżaliśmy. O ile dobrze pamiętam, zdarzyło się to w moim dzieciństwie. Potem już zawsze wyjeżdżaliście sami.

-Pascal... - powiedziała błagalnym głosem Sara. – Nie zaczynaj.

- Spokojnie, mamo.

- Oczywiście, że wybierzemy się w podróż. Marzę o tym, ale po inauguracji wystawy ojca.

- Może w lecie?

- A ślub? Kiedy zamierzacie się pobrać? - spytała z ożywieniem Sara. - Mam nadzieję, że przedtem poznamy twoich rodziców, prawda?

- W lecie może być za gorąco - wtrącił malarz.

- O czym teraz mówisz, Cadiz?

-O podróży. Bo... - odwrócił się do Mazarine - ze ślubem chyba jeszcze trochę poczekacie, prawda, maleńka?

Mazarine powoli odzyskiwała siły. Musiała przyznać, że to igranie z namiętnością, jaką wzbudzał w niej mistrz, podporządkowanie go sobie i prowokowanie scen dzikiej zazdrości podniecało ją i bawiło.

- Nie wiemy. Możliwe, że... - spojrzała na Pascala - zrobimy wam niespodziankę.

Cadiz opróżnił szklanę jednym haustem.

-Andaluzja...? - Zamyślił się i nagle, jakby pod wpływem whisky, doznał olśnienia. - Może niekoniecznie Andaluzja. Wybierzmy się jeszcze dalej na południe... na pustynię.

55

Od powrotu z Pragi Rene bezskutecznie próbował skontaktować się z Mazarine. Zwątpił, czy nadal mieszka w Zielonym Domu, bo przez kilka dni po przyjeździe dzwonił i walił w drzwi, ale nikt nie otwierał.

Wrócił do Paryża skruszony. Decyzję o wyjeździe podjął nagle. Pchnęła go do tego zraniona duma. W mieście setek kopuł, pomimo nocy spędzanych w pubach, klubach i na koncertach jazzowych, nie potrafił jednak wymazać z pamięci obrazu tej, która od czasów liceum była jego wielką miłością; ciągle był w niej zakochany jak sztubak. Zakochany... i zły na siebie. Tyle razy go upokorzyła, gdy wycierała

usta po pocałunku, nie pozwalając na czule gesty, wyśmiewała miłosne wyznania. Najbardziej zaś wtedy, gdy zaproponowała mu przyjaźń, a on się na to zgodził,

byle tylko jej nie stracić. Udał, że nic go to nie obeszło.

Przyjaciel.

Przyjaciel, który z czasem stał się „złotą rączką” od wszystkiego: przetykał zlew, ścierał wodę z podłogi, oliwił zawiasy, ocierał łyzy. Takie popychadło bez krzty ambicji. Zjawiał się na każde zawołanie, szczęśliwy, gdy zdołał wywołać uśmiech na jej twarzy. Piękna dziewczyna z akademii i on - krostowaty wyrostek, dyżurny błazen z Lycee Fenelon, księżniczka i żebrak.

Uciekł, zanim spostrzegła, że jest zmęczony odgrywaniem roli pocziwego chłopca; zanim wściekłość zmusiłaby go do zrobienia jej krzywdy. Pocziwy Rene miał już tego dość.

Sympatia.

Czuje do niego sympatię - tak powiedziała. Sympatię, przyjaźń, koleżeństwo. Jakie to idiotyczne i dziecinne! Powtarzała, że jest jej najlepszym przyjacielem. A prawdziwy przyjaciel nie powinien niczego oczekiwać w zamian. Przyjaźń jest jednak bezinteresowna. I takie tam ble, ble, ble... Nic dla niego nie zrobiła, za to ciągle o coś prosiła. Nie, nie prosiła. Żądała! Rene, zrób to, przynieś tamto, i jeszcze pozamiataj. Pociesz mnie, bo obudziłam się smutna. Chlip, chlip, chlip... Krokodyle łyzy. Dla niej gotów był poruszyć niebo, ukraść księżyc i rzucić jej do stóp.

Z tym już koniec. Żadnego księżycy, żadnych gwiazdek. Całkowite zaćmienie.

Nienawiść.

Zaczyna rozumieć, czym jest nienawiść.

Od tamtej nocy, gdy zobaczył ją w La Guillotine, mizdrzącą się do jakiegoś starucha, nie przestawał myśleć o zemście. Pokaże jej, co to znaczy znieważać go. Rene, którego znała, zniknął. Na jego miejscu pojawił się dorosły mężczyzna z poczuciem własnej godności.

Będzie czekał.

Będzie siedział w La Friterie tak długo, aż się doczeka. Chciał tylko zobaczyć, jaką zrobi minę na jego widok. Ciekawe, jakie kłamstwo wymyśli, gdy się dowie, że widział ją z jakimś obleśnym starcem.

- Rene!

Wpadła na niego. Po nocach czuwania w bramie domu przy rue Galande 75 zobaczył ją, jak nadchodzi - z szeroko otwartymi ramionami, roześmiana i szczęśliwa.

- *Oh la la! Mon Dieu! Wróciłeś!*

Była prześliczna, jak zawsze zresztą, i chyba ucieszyła się na jego widok.

- Co tu robisz? Pytałam o ciebie w La Guillotine, powiedzieli, że wyjechałeś do Pragi. Jak było? Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że wyjeżdżasz? Pokaż się. Świetnie wyglądasz.

To ona ślicznie wyglądała, nie on... Czyżby z niego kpiła?

- Nic mi nie powiesz?

Jak zwykle przeszła mu złość na nią, znowu był oczarowany i onieśmielony.

- Cie... cieszę się, że cię widzę - wyjąkał.

- Chodź, nie wstydź się. Pocałuj mnie.

Podsunęła mu policzek.

- Grasz?

Skinał głową.

- A ty malujesz?

- Więcej niż kiedykolwiek. Praktycznie codziennie. Niedługo odbędzie się wystawa moich prac. Zobacysz, będziesz dumny ze swojej przyjaciółki.

- A co nowego poza tym?

Mazarine spojrzała na niego rozpromieniona, objęła go czule i szepnęła do ucha:

- Wychodzę za mąż.

Rene gwałtownie stracił dłoń Mazarine ze swojego ramienia.

- Oj, Rene, Rene... Ciągle jeszcze nie wybiłeś sobie z głowy tych dzieciennych rojeń, że mnie kochasz? Wybacz, przecież jesteśmy prawie jak rodzeństwo. Pamiętaj, rozmawialiśmy o tym? Myślałam, że już dałeś sobie spokój z tymi bzdurami.

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

Kpiła sobie z niego. Upokarzała go. Zrobiła minę niewinnego aniołeczka - „to nie ja” - która sprawiała, że wybaczał jej wszystko. Ale tym razem naprawdę przesadziła. Zemsta osłodzi gorycz. Tylko to mu pozostało.

Zemścić się.

56

Po kolacji na rue de la Pompe czuła się zagubiona. Jej życie uczuciowe przypominało węzeł gordyjski. Ta świadomość wywoływała u niej zmienne nastroje: od strachu do brawury, od euforii do paniki, i to w tak zawrotnym tempie, że nie mogła się w tym rozeznać. Zwariowana karuzela w jej głowie krążyła i wirowała. Bała się, że kruchy patyczek, którego kurczowo się trzymała, w każdej chwili może pęknąć i siła odśrodkowa wyrzuci ją w powietrze. To, czego tak bardzo pragnęła, miała teraz podane jak na tacy: mistrz marzył, aby wziąć ją w ramiona. Tylko że jej już na tym nie zależało. Otwierało się przed nią wiele możliwości. Czuła, że nie panuje nad swoim życiem. Stała się zarzewiem kataklizmu, który zbliżał się nieuchronnie. Rozterki koło jedynie przebywanie z Sienną.

Gdy była blisko niej, ogarniał ją spokój i poczucie bezpieczeństwa. Lutnia zaś stawała się pomostem, łączącym ją ze Świętą. Dźwięki melodii, która sama wychodziła spod jej palców, i słowa pieśni w nieznanym języku działały na nią dziwnie kojąco.

Więź łącząca ją z dziewczyną o anielskich rysach z dnia na dzień stawała się głębsza i silniejsza. Święta wzbudzała w niej ogromną miłość. Gdy lutnia milkła, zamierała też Śpiąca Królewna.

- Sienno - powiedziała, głaszcząc jej włosy - mogę ci coś powiedzieć?

Miała wrażenie, że Święta słucha.

- Czuję się zagubiona, jakbym poruszała się w gęstej mgłę. Nie pozwól mi zbłądzić, Sienno. Chcą nas rozdzielić. Nie wiedzą, że ty i ja jesteśmy jednością... że cię potrzebuję. Nic o nas nie wiedzą. Czasami wydaje mi się, że tak naprawdę nie istnieję. Zapalam się i gasnę jak lampka po naciśnięciu przycisku. Nie mam nad tym kontroli. Powiedz, Sienno, myślisz, że jestem snem szaleńca? Na jakim świecie ja żyję? Otwórz oczy i spójrz na mnie. Potrzebuję kogoś, kto wskaże mi wyjście z labiryntu. Wyglądam na szczęśliwą? Nie, nie wierz w to. Dobrze wiesz, że tak nie jest. Ludzie oszukują, ukrywają się pod maską, grają jakieś role w teatrze życia przed publicznością, która udaje zrozumienie. Gdybyś mogła mnie zobaczyć, powiedziałaabyś: Mazarine odnalazła szczęście! Ups! Dałaś się nabrać. Nie będę cię okłamywać, Sienno. Jestem bardziej samotna niż samotność. Prawdę mówiąc, my, ludzie, niewiele znaczymy. Żyjemy, bo nie mamy innego wyjścia. Wpadamy w pułapkę, jak w paszczę głodnego lwa. Wszyscy coś od siebie dla siebie chcą. Wyrwać coś... chwilę namiętności, czułość, uwagę, jakieś zobowiązanie, dzielić ze sobą sławę, milczenie, radość... nawet myśli i przyszłość, choć sami nie wiedzą, czy ich jakaś czeka. Wszystko dla wszystkich. Rozmieniamy się na drobne.

Prawdziwy altruizm to dawać i nie oczekiwać niczego w zamian. Chcemy być silni, a stajemy się ulegli. Pragniemy być inteligentni, a gubimy się w dżungli życia. Gra pozorów, bo nie wiemy, co to znaczy naprawdę być. Sienno, jakie było twoje życie? Twoje czasy różniły się od moich. Pewnie nigdy nie byłaś taka rozdarta jak ja. Nie musiałaś zbierać co wieczór rozsypanych okruchów życia i sklejać ich, by rano znowu zmierzyć się z całym światem.

A teraz... co robić, Sienna? Znasz odpowiedź? Jestem zła czy dobra? Jaka kara czeka mnie za to, że chciałam być szczęśliwa? Namalowałam cię. Pięknie wyglądasz na moich obrazach! Wprawiłam Wielkiego Malarza w osłupienie. Wielki guru płakał z zazdrości, a ja, oddana uczennica, udałam, że nie mam pojęcia, dlaczego płacze. Łatwo było ciebie namalować, jakby moją dłoń prowadziła nieznana istota, która we mnie mieszka. Ona mnie osacza i pozbawia woli... Muszę już iść, wiesz? Coś mi każe zostawić cię teraz samą.

Zamknęła wieko, pociągnęła za dźwignię i kryształowa skrzynia z ciałem Świętej zjechała w dół.

Zamknęła szafę na klucz i przed wyjściem z domu sprawdziła, czy żadne okno nie pozostało otwarte, tak na wszelki wypadek, gdyby któryś z członków Arts Amantis próbował złożyć jej nieproszoną wizytę.

Szła do La Ruche zalekniona, że znowu będzie się musiała zmierzyć z namiętnością Cadiza. Jego czarodziejskie ręce zadawały ból i jednocześnie pieściły, łamały opór i odbierały siłę. Pragnęła go zobaczyć, ale nie wiedziała, jak się zachować po tym nieszczęsnym spotkaniu na rue de la Pompe.

Wkrótce miała nastąpić inauguracja wystawy geniusza malarstwa dualistycznego. Zapowiadało ją setki plakatów na ulicach.

Szła bulwarem Montparnasse, gdy z zamyślenia wyrwał ją głos Sary.

- Mazarine! - zawołała, stojąc po drugiej stronie ulicy.

Po zmianie świateł szybko przebiegła przez jezdnię. - Co za niespodzianka, skarbie! Dokąd idziesz?

- Do pracy.

- To gdzieś w pobliżu? Jesteśmy więc sąsiadkami.

- Prawdę mówiąc, dość daleko stąd, ale... lubię chodzić, czuć ziemię pod stopami.

Sara spojrzała na bose nogi dziewczyny.

- Właśnie widzę. W młodości też chodziłam boso, szalona! W hołdzie wol-

ności, pokojowi, miłości i pięknu. Uprawiałam kult pierwotnego hedonizmu. Nigdy nie byłam hipiską, nie miałam na to czasu. Wcześniej musiałam ciężko pracować, ale wiele spraw odbierałam tak jak oni. Powiedzmy, że byłam taką sfrustrowaną hipiską.

Mazarine patrzyła na nią z czułością. Matka Pascala wydawała się bardzo miła, na pewno była dobrym człowiekiem. Przypomniła sobie sytuację przy stole na rue de la Pompe i zrobiło jej się wstyd.

- Masz parę minut? Może wpadniesz na chwilę do mojej pracowni? Mieści się dokładnie naprzeciwko. – Wskazała małą uliczkę, wychodzącą na aleję. - Nawet nie wiesz, jak trudno było zdobyć to miejsce. To wspaniały gmach i ma dla mnie wielkie znaczenie. Tu znajdowało się studio Mana Raya, amerykańskiego fotografa i reżysera, wielkiego idola z czasów mojej młodości.

- Saro, chciałabym pani podziękować za zaproszenie na kolację.

- Nie ma za co. - Wzięła Mazarine pod rękę. – Pragnę tylko, żebyś uszczęśliwiła mojego syna. To wspaniały chłopak.

- Wiem - odpowiedziała Mazarine i jednocześnie w głębi duszy poczuła się winna.

Przeszły bulwarem do rue Champagne-Premiere, gdzie pod numerem 31. wznosił się imponujący gmach, zaprojektowany przez Arfvidsona. W latach dwudziestych ubiegłego wieku jego styl, z charakterystycznymi ogromnymi oknami i modernistycznym wystrojem opartym na motywach roślinnych, zainspirował wielu architektów.

W studiu fotografii z wystawy *Tożsamość* tworzyły niewyobrażalny chaos.

- Podobała mi się pani ostatnia wystawa.

-Ach! No pomyśl. Już jej nie ma. Wszystko przemija! Gdzie się podziały te wszystkie osoby?

Z fotografii wpatrywał się w Mazarine Mężczyzna o Zamglonych Oczach.

- Zna go pani? - spytała, wskazując zdjęcie tego, który ją śledził i którego

zobaczyła tamtej pamiętnej nocy w katakumbach.

- Skądże! Jest z łapanki. Wygląda przerażająco, prawda?

Może wcale taki nie jest. Pozory mylą. - Wyraz twarzy Mazarine wpatrującej się w fotografię zainspirował Sarę. – Nie ruszaj się.

Fotografka chwyciła aparat i pstryknęła nie jedno, ale ze dwadzieścia zdjęć w różnych ujęciach. Stopy, dłonie, usta. Od tyłu, w długim czarnym płaszczu ciągnącym się po ziemi. Z boku: szyja, profil, długie rzęsy rzucające cień na policzki. *En face*, urocze wgłębienie między piersiami, widoczne pod rozpiętym płaszczem. Klik, klik, klik... Zbliżenie na medalion.

Taki sam symbol miał wytatuowany mężczyzna, któremu robiła zdjęcie na wystawę. Widziała ten znak po raz trzeci. Pierwszy raz zobaczyła go... nie mogła sobie przypomnieć, gdzie. Teraz, gdy się w niego wpatrywała, była pewna, że widziała ten znak jeszcze na kimś albo... na czymś.

57

Cadiz przyjął ją jakby nigdy nic. Jakby podczas zaręczynowej kolacji nic się nie wydarzyło. Uczennica przyszła dokończyć swój obraz, a on przywitał ją swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- W porządku, maleńka. Już prawie gotowe - powiedział, gdy stanęła przed nim w wyświechtanym, ubrudzonym farbami kitlu. Traktował ją inaczej niż zwykle: delikatnie i ciepło.

Mazarine poczuła się zupełnie zdezorientowana.

- Podaj mi purpurę.

- Co chcesz zrobić? - spytała nieufnie, podając mu słoiczek z farbą.

- Tym obrazom - przyjrzał się płótnom z namalowaną Sienną - czegoś brakuje.

- Nie! Nie dotykaj ich! Są doskonałe!

- Nie bój się, nie zrobię krzywdy twojej świętej. Te obrazy mają inną atmosferę niż moje. Rozumiesz? Chcesz, żebym włączył je do mojej wystawy, pragniesz tego, prawda? Zaufaj mi.

- Nie! Jak mogę ci ufać, skoro mi to robisz?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O tym, co zaszło wczoraj wieczorem.

- Nadal nie wiem, o czym mówisz.

Rozmieszał trochę farby na palecie i jakby w porywie szaleństwa ochlapał nią obraz. Krople czerwonej jak krew farby spływały po płótnie i profanowały wizerunek Świętej.

- Przestań! - krzyknęła Mazarine z płaczem. - Zabijasz ją!

Malarzem zawładnęła niepoohamowana żądza: zbrukać obraz uczennicy oznaczało zbrukać i posiąść ją samą.

- Mówię ci, przestań!

Złapała go za rękę.

-Puść! Jak śmiesz! Nie rozumiesz, co się w tej chwili dzieje? Nadaję twoim obrazom moc, której im brakowało. Na płótnie siła zmienia się w przemoc, zniszczenie, w zwycięstwo. Twoje subtelne pociągnięcia pędzlem potrzebowały siły mojej wściekłości.

Może miał rację? Może to, co robił, nie było zemstą, lecz próbą uwznioślenia jej obrazów? Gubiła się w domysłach.

- Straciły czystość, Cadiz. To czystość przez nie przemawiała.

- Posłuchaj, maleńka. Picasso mawiał, że malarz godzi w czystość tylko wtedy, gdy nie ma w sobie tego, co powinien mieć. Ciesz się, że chcę włączyć twoje obrazy do ekspozycji. Patrz, milcz i ucz się.

- Ja od ciebie? A może uczyliśmy się od siebie nawzajem? Jesteś cyniczny.

-Oj, moja mała buntowniczo. Widzę, że jesteś dziś w bojowym nastroju...

Podoba mi się ten błysk wściekłości w twoich oczach.

Kpił sobie z niej.

- Postanowiliśmy z Pascalem przyspieszyć datę ślubu - powiedziała, żeby mu dokuczyć.

Nie zareagował.

- Wróćmy do pracy. Musimy jeszcze uzewnętrznić życie pulsujące w tych obrazach... Dotarliśmy do końca. To koniec - powtórzył.

Usłyszawszy to, Mazarine poczuła przejmujący ból. Czyżby żegnał się z nią? A więc nie będzie już widywała mistrza. Co się z nią stanie? Cadiz ją stworzył, był panem jej życia, wielką miłością. Jeśli go straci, umrze.

Mgła przysłoniła jej wzrok. Łzy spływały po policzkach.

Otarła je ze złością. Nie chciała, aby widział, że płacze, ale nie potrafiła się opanować.

- Nie smuć się, maleńka. - Poważny głos Cadiza rozdarł jej serce. - Będziemy się spotykać. Jesteś częścią mojego życia... Los tak chciał. Miłość jest ponadczasowa i nie kieruje się rozumem. Tak chce przeznaczenie. Przedstawienie trwa, a ja będę je oklaskiwać z widowni.

- A to, co zaszło między nami tamtego wieczoru?

- Przykro mi, maleńka, nic nie pamiętam. Musisz zrozumieć, że ludziom w moim wieku to się zdarza. Zapominają, co było wczoraj. Czy coś się stało?

Mazarine poderwała się wściekła, uciekła do łazienki i zamknęła się tam. Zapomniał, co robił pod stołem? To wspomnienie nie dawało jej spokoju.

Cadiz pamiętał o wszystkim, ale nie miał zamiaru się do tego przyznać. Gra się dopiero zaczynała. Jego plan był dalekosiężny. Własny syn nie odbierze jego maleńkiej.

Poszukiwania powoli posuwały się naprzód. Stopniowo Arcadius poznawał świat podziemia, gdzie, choć brzmiało to niewiarygodnie, nadal istniał handel „relikwiami cielesnymi”, jak w przestępczym żargonie nazywano szczątki świętych i męczenników za wiarę.

Od wieków popyt na relikwie nie malał. Zapewniały rzekomo spokój ducha, wieczny odpoczynek, wywoływały więc prawdziwe emocje, rozbudzały najniższe instynkty, powodowały kłótnie, zatargi, a nawet wojny.

Potrzeba posiadania relikwii rozniecała w wiernych raczej nienawiść i zazdrość, a nie dobroć i szlachetność. Ta obsesyjna pasja wywodziła się z czasów średniowiecza, podsycana kolejnymi krucjatami i zwycięskimi bataliami krzyżowców na Ziemi Świętej. Nie ograniczała się jedynie do prostego, ciemnego ludu. Wielkimi miłośnikami takich „talizmanów” byli także szlachetnie urodzeni oraz feudalni władcy, gotowi narazić życie, żeby zdobić „eksponaty” do swojej kolekcji. Wszyscy, niezależnie od pochodzenia, doszukiwali się w nich nadprzyrodzonych właściwości, chroniących od wszelkich nieszczęść i konsekwencji życia w grzechu. Bojaźń przed karą boską stanowiła nieodłączną część egzystencji każdego śmiertelnika.

Arcadius dowiedział się, że są relikwie organiczne i nieorganiczne, ziemskie i boskie; w zależności od tego podziału szacowano ich wartość. Najbardziej fanatyczni wierni mieli do wyboru nadzwyczaj różnorodny asortyment relikwii: krew i łzy, zęby, włosy, kość, paznokcie, palce, strzępy habitów i szat, drzazgi z krzyża, kamienie z grotty, a nawet... święty napastrzek.

Siostra Agnes Blannbekin, zmarła w Wiedniu zakonnica często popadająca w trans i stany mistyczne, po przełknięciu komunikantu ze „świętym napletkiem Jezusa Chrystusa” odczuwała spokój i radość. Na świecie zaczęły się w cudow-

ny sposób mnożyć „święte napletki”; we francuskim mieście Charroux powstało nawet bractwo świętego napletka.

Wśród natłoku informacji jedna wiadomość żywo zainteresowała antykwariusza. Na aukcji w Internecie anonimowi nabywcy licytowali się o ciało świętej, młodej dziewczyny, pochodzące z czasów, w których żyła Sienna. Kwota dorównywała niemal cenie Świętego Całunu. Podobno ciało, którego nikt nigdy nie widział, ukrywane jest w starym katalońskim majątku ziemskim w pobliżu Barcelony. Mimo częstych przenosin zachowało się w doskonałym stanie.

Imię świętej było utrzymywane w tajemnicy, a jej doczesne szczątki pilnie strzeżone przed grabieżą - domyślnie mafii z Europy Wschodniej. Ustny przekaz, właściwie legenda, głosił, że Watykan podarował ciało Świętej pewnemu dzielnemu szlachcicowi jako nagrodę za niebywałe męstwo w walkach toczonych z niewiernymi podczas trzeciej krucjaty. Ponoć jego odwaga była tak wyjątkowa i przykładna, że zasłużył sobie nie na jeden palec, ale na całe, nieskalane grzechem ciało dziewicy. Dołączony do relikwii, spisany po łacinie dokument poświadczał jej autentyczność i nienaruszoność ciała Świętej po ukamienowaniu.

Arcadius, mimo że zdrowie zaczynało mu szwankować, szedł tym śladem przez wiele tygodni. Pasjonowała go mentalność religijnych fanatyków, niczym ścierwojady, walczących o szczątki nieszczęsnych śmiertelników, którzy za życia dali z siebie to, co mieli najlepszego, a po męczeńskiej śmierci błakali się po ziemskim padole, pozbawieni prawa do wiecznego spoczynku na cmentarzu.

Antykwariusz oznajmił złotnikowi, że tropem swoich poszukiwań, zbieżnych zresztą ze śledztwem prowadzonym przez zakon, udaje się do Barcelony. Niestety, wszyscy informatorzy, osoby na ogół w podeszłym wieku, nie wniesli do sprawy niczego nowego. Z zasłyszanych przekazów, od tych najdziwaczniejszych po najwyklesze, wybrał najbardziej spójny i logiczny. W oczekiwaniu na szczegóły, które dawkowano mu oszczędnie, i nowe kontakty, popołudniami zwiedzał Ciutat

Comtal, jak nazywa się to niezwykle miasto. Napawał się jego urokami, zachwycony architekturą, śródziemnomorskim klimatem, kuchnią i kulturą.

Fotografował perełki modernizmu i budynki o awangardowym wystroju. W każdym zaułku, niemal na każdej ulicy znajdował się jakiś ciekawy obiekt. Z młodzieńczą werwą wędrował malowniczymi uliczkami Dzielnicy Gotyckiej, pełnymi antykwariatów i historycznych pamiątek, zachodził do romańskich kościołów, krętymi, brukowanymi zaułkami zapuszczał się na jarmark staroci. Podziwiał witalność tego miasta i błękit morza.

A gdy już się przyzwyczaił do zabijania w ten sposób czasu, zadzwonił telefon z zaproszeniem do pewnego starego domu na wsi pod Barceloną, gdzie w rodzinnej krypcie przez wiele lat spoczywała tajemnicza Święta. Ostatnią z rodu była żyjąca samotnie kobieta, cierpiąca co prawda na rozmaite starcze dolegliwości, mimo to zgodziła się go przyjąć i opowiedzieć wszystko, co wie.

Z placu Catalunya pojechał pociągiem do Manresy, a stamtąd taksówką na miejsce. Długo kołatał do drzwi starego, popadającego w ruinę domostwa, nim wreszcie usłyszał człapanie.

- *Ara, vaig* - zrzędziła po katalońsku. - *Que s'haura cregut aquest franchute amb tanta pressa.*

W końcu otworzyła drzwi. Na widok gościa zgorzkniała twarz staruszki rozjaśnił uśmiech. Podstarzały Francuzik robił całkiem niezłe wrażenie.

- *Perdoni.* Rzadko kto mnie odwiedza...

- Rozumiem.

Wpuściła go do środka. Jej ubranie przesiąkło duszącą wilgocią mokrych kamieni. Nalała mu szklankę wody z kranu i wskazała krzesło.

- Już dawno chciałam opowiedzieć historię Świętej komuś takiemu jak pan. Mam przecucie, że pan mi uwierzy. Zmęczyły mnie te ciągle kpiny i szyderstwa. Sąsiedzi biorą mnie za wariatkę. - Arcadius spojrział na nią z szacunkiem i gestem zachęcił do dalszej opowieści. - Dawniej, gdy w krypcie pod domem znajdowało

się ciało Świętej, ustawiały się do niej długie kolejki. Wszyscy chcieli ją zobaczyć i doznać łaski. Powiadają, że oprócz uzdrawiania chorych i inspirowania artystów leczyła też zawody miłosne. Proszę za mną.

Zaprowadziła go do ciemnego pokoju, z aksamitnymi zasłonami w oknach i resztkami mebli, które w swoim czasie musiały być zbyt kosztowne. W innych warunkach - pomyślał antykwariusz - te wszystkie cacka mogłyby trafić do mojego sklepu.

Zbliżywszy się do imponującej dębowej szafy w głębi salonu, na jednym z zardzewiałych okuć rozpoznał symbol Arts Amantis.

Za drzwiami, które pociągnięte za uchwyt otworzyły się ze skrzypieniem, znajdował się wąski korytarzyk, prowadzący do kaplicy z ołtarzem pośrodku.

- Tu oddawano jej cześć.

Taki sam ołtarz widział parę tygodni temu w paryskich katakumbach podczas nocnych obrzędów. Na ścianie krypty widniało napisane po łacinie to samo zdanie, co tam: *Toute vie a sa mort, toute mort a sa vie*. Dreszcz przeszedł mu po plecach, serce zadrżało z radości. Nie miał wątpliwości.

Był na właściwym tropie!

- Wie pani... jak miała na imię?

Staruszka skinęła głową.

Prawda najintymniejszych przeżyć wyrażona na setkach płócien porażała i ścinała z nóg jak seria z karabinu. Tak nie malował żaden współczesny artysta.

Komisarz wystawy był zafascynowany i zachwycony. Załatwił wszelkie niezbędne zezwolenia, przekonał decydentów i uzyskał zgodę na pokazanie tych

niezwykłych i nierzadko szokujących dzieł.

Na miejsce wystawy, tak jak życzył sobie Cadiz, został wybrany Łuk Triumfalny, dosłownie obwieszony obrazami zapowiadającymi otwarcie ekspozycji. Od strony Champs Elysees zawisła powiększona *Żywa Święta*, namalowana przez Mazarine, od avenue de la Grande Armee – *Śpiąca Święta*: dualizm, dzielący Miasto Światła na pół. Po jednej stronie Łuku - obelisk egipski, symbol przeszłości; po drugiej - L'Arche de la Defense, przyszłość. Dwa oblicza zwycięskiego Paryża.

Po zabiegach Cadiza oba obrazy emanowały porażającym erotyzmem. Komisarz wystawy był pewny, że bijąca od nich zmysłowa siła i prawda psychologiczna nie pozostawi obojętnym żadnego widza. Sam fakt, że wystawa odbywa się na tarasie Łuku Triumfalnego, gwarantował jej międzynarodowy rozgłos. W wyniku usilnych starań, po wykorzystaniu wszelkich możliwych wpływów, ekipa techniczna zabrała się do działania.

Lato rozświetlało radością paryskie aleje, parki i ulice. W całym mieście powiewały flagi, zapowiadające na siedemnasty dzień lipca inaugurację najnowszej wystawy Cadiza, zatytułowanej *U twoich stóp*. Stojąca na rogu bosonoga dziewczyna ze smutkiem przypatrywała się oświetlonej reklamie ze zdjęciem malarza, który spozierał zza kłębow dymu i zdawał się z niej szydzić. Taka sama fotografia, wycięta z albumu w księgarni, wisiała na ścianie jej sypialni.

Mazarine nie miała wiadomości od Cadiza.

Nie odezwał się od dnia, gdy naznaczył jej obrazy swoją złością, a sam doznał nagłej amnezji - udawał, że nic nie pamięta z uroczystej kolacji na rue de la Pompe. Wspomnienie tego zdarzenia bolało. Straciła go, pożegnana pośród rozłożonych chaotycznie na podłodze atelier obrazów chłodno i wyniośle: „Nie musisz jutro przychodzić. Zadzwoń... jeśli będę cię potrzebował”. Nie zadzwonił, nie była mu potrzebna.

Poczucie odrzucenia nie dawało jej żyć.

Wstawiała rano i nie wiedziała, czym wypełnić pustkę. Nie była na to przygotowana. Prysłły złudzenia, plany zostały obrócone wniwecz. Nieświadomie i bezwiednie stworzyła sobie świat, w którym wszystko kręciło się wokół Cadiza. Był ośrodkiem jej istnienia. Życiem i śmiercią. Przyczyną wszystkiego i jedynym sensem jej egzystencji.

Zamknięta w kokonie rozpacz, całe ranki spędzała w szafie ze Sienną; płakała i krzyczała na przemian, w nadziei, że w ten sposób skruszy samotność i Cadiz choć raz do niej zadzwoni. Chciała zerwać z siebie ubranie, spłonąć na stosie, obrócić się w dym i popiół, sczeznąć razem ze swoim bólem i cierpieniem. Zasnąć i spać bez snów. Umrzeć. Nikt nie potrafił jej zrozumieć, nawet ukochana Święta, obojętna i odległa.

- Siieenno! Zostawił mnie. Porzucił. Słyszysz? Nic cię to nie obchodzi? Nie dostrzegasz pustki, jaka mnie otacza? Co mam począć z tą udręką? Nie wytrzymam tego dłużej. Pomóż mi! Boli... tak bardzo boli. Odebrał mi wszystko. Wymyśliłam sobie świat, który miał mnie uwolnić od śmierci na raty, ale to też mi odebrał, tak jak obrazy. Zbrukał je swoją złością. Ciebie także. Porzucił, tak jak inni, splamioną krwią. A ja pragnęłam widzieć cię czystą i żywą... Nienawidzę go!

- Szloch Mazarine odbijał się echem od ścian. - Nienawidzę go i kocham. Nie rozumiem siebie, nie rozumiem tego cholernego życia. Czy ty coś pojmowałaś, kiedy żyłaś? – Łzy w oczach Mazarine wzbierały i spływały po policzkach jak krople dżdżu. - Muszę odpocząć. Szukam powodu, dla którego powinnam żyć, i nie znajduję. Czy ktoś na tej przeklętej ziemi wie, gdzie jest prawdziwe światło? Zniszczyła mnie miłość, Sienna. Zabiła we mnie chęć życia!

Tego wieczoru zadzwonił Pascal z zaproszeniem na wystawę obrazów ojca.

-*Mon petit chou*, od lat nie byłem na żadnej wystawie Cadiza i bardzo chciałbym ją zobaczyć. Mama mnie o to poprosiła. Bardzo jej na tym zależy.

Pójdiesz ze mną?

Mazarine zastanawiała się. Powiedzieć mu, że czuje się zdruzgotana i spotkanie z mistrzem oznaczałoby dla niej totalny rozpad? Jej rozsądek i rozum przypominały filiżankę z kruchej porcelany, która mogła pęknąć pod dotykiem.

Milczała.

- Jesteś tam?

- Nie wiem, czy mogę - odpowiedziała z wahaniem.

- Oczywiście, że tak. Czyż nie jesteś wspaniałą malarką?

- Ty to powiedziałaś.

- Powinnaś pójść - przekonywał. - Wszyscy, którzy ją widzieli, twierdzą, że jest nadzwyczajna i wprost emanuje erotyzmem.

Po co jej o tym mówi? Przecież ona doskonale wie, co jest na tych obrazach. Coś więcej niż zwykła zmysłowość. Ukazują siłę i dominację połączoną z łagodnością i świeżością. Wśród linii, zarysów i pociągnięć pędzla kryją się utajone pragnienia; jedyne chwile, kiedy czuła się naprawdę szczęśliwa.

- Jeśli chcesz - nalegał, nie doczekawszy się odpowiedzi - powiem Cadizowi, żeby zaprosił cię osobiście.

- Nie ma mowy.

- W takim razie nie zmuszaj mnie do tego, *mon amour* - powiedział łagodnym, niemal pieszczotliwym tonem.

- No nie wiem... Teraz wolę być sama.

- Nic z tego. Samotność to zły doradca. Zniekształca odbiór rzeczywistości i wciąga w tunel bez wyjścia. Choć to nie jest zgodne z etyką lekarską, namawiam cię na terapię u mnie w gabinecie. Wcale nie żartuję. Od dłuższego czasu jesteś smutna. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyrwała się z tego swojego kokonu. Zresztą, do diabła! Po prostu chcę być z tobą. Wiesz, że miłość jest lekarstwem na wszystko. Kocham cię i bardzo mi cię brak. I co ty na to?

Milczenie.

- Przyjdiesz?

Milczenie.

Co robić? Nie zasługiwała na miłość Pascala.

- Powiedz, że się zgadzasz.

Pomyślała o dłoniach malarza sunących po jej udzie i zadrżała. Musiała go zobaczyć.

- Dobrze. Przyjdę.

60

Nadszedł wreszcie ten wielki dzień. Siedemnastego lipca gorące słońce rozświetlało czerwonym blaskiem zwycięski łuk, rozpalało nieskończenie błękitną przestrzeń nieba.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach, poruszony pięknem *Żywej Świętej*, wpatrywał się z alei w to niezwykle płótno zakrywające Łuk Triumfalny.

Podczas ostatniego spotkania w katakumbach mistrz dał mu wyraźnie do zrozumienia, żeby nie zbliżał się do Mazarine i malarza, ale go nie posłuchał. Marzył, że odnajdzie relikwię, wzbudzi tym podziw i szacunek braci, stanie się zbawcą zakonu. Miał dość kpiny i poniżania, poczuł się niedoceniany i traktowany protekcjonalnie. Zgoda, wyglądał odrażająco, ale nie był głupi. To, czego inni nie potrafili dostrzec zdrowymi oczami, on wykrył swoimi zamglonymi.

Nikt go nie oszuka. Powiększony obraz z całą pewnością przedstawiał Świętą. Musi ją odnaleźć za wszelką cenę, nawet gdyby w tym celu trzeba było użyć siły.

Porwać dziewczynę i szantażować malarza zdjęciami, na których kotłują się w śniegu na tarasie Łuku? Teraz, gdy wiedział, że chłopak Mazarine jest ni mniej, ni więcej tylko synem dualisty, te fotografie mogły okazać się ważne. Wziąć go na litość i wzbudzić w nim współczucie? Zaszachować i zmusić do wyznania

prawdy, zadając druzgoczące pytanie w kulminacyjnym momencie konferencji prasowej w obecności dziennikarzy? A gdyby tak... ? Był bardzo inteligentny. Jeremie Cabiról był naprawdę genialny. Miał mnóstwo pomysłów, jeden lepszy od drugiego. Prawdę mówiąc, zasługiwał na to, aby pokierować Arts Amantis. Odnajdzie ciało Świętej i wszystko się zmieni.

Przed wejściem tłoczyło się bezładnie setki gapiów i pismaków. Próbował dostać się do środka, udając jednego z reporterów, i choć odegrał niezłe przedstawienie, bez akredytacji nie miał szans przedrzeć się przez kordon ochroniarzy.

Jednak nie zrezygnował. Czekał.

Niezwykłe widowisko już się rozpoczęło. Taras Łuku dostosowano do potrzeb wystawy. Podziwianie kompozycji wizualnej umożliwiał skomplikowany mechanizm krążków i stalowych lin. Zawieszane na nich obrazy, połączone rewersami po dwa, obracały się wokół własnej osi. Dzięki temu widz mógł z każdego miejsca dostrzec ich dualizm.

Stojący pośrodku tarasu artysta, otoczony tłumem kłębiących się VIP-ów, niemal władca świata, zdawał się unosić w powietrzu niczym jego obrazy. Starając się, aby nikt tego nie zauważył, wypatrywał wśród gości swojej uczennicy. Jego wzrok przykuły bose stopy, z namalowanymi na nich kreskami. Podniósł wzrok. Przed nim stała ona - piękna i blada, uczepiona ramienia Pascala.

- Dziękuję, synu. Myślałem, że już nie przyjdiesz.

- Przecież obiecałem, że tym razem nie nawalę. Zresztą chciałem pokazać Mazarine, do czego jesteś zdolny.

Cadiz uśmiechnął się, unikając badawczego wzroku swojej uczennicy.

- Gdzie Sara? - spytał Pascal.

- Pewnie odpowiada na idiotyczne pytania. Sam wiesz, jesteśmy na targowisku próżności.

- Mimo że cię to drażni, lubisz tę atmosferę, nie zaprzeczysz - skomentował syn sarkastycznie.

- Daj spokój, Pascalu. Wszyscy jesteśmy aktorami w te-atrze życia, prawda Mazarine?

- Skoro pan tak twierdzi - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Mistrz też unikał jej wzroku.

- Jak ci się podoba wystawa, Mazarine? - spytał, zataczając ręką krąg.

-Naprawdę interesuje pana zdanie początkującej malarki?

Podeszła do nich Sara i podała Cadizowi szklanę whisky.

-Masz tu tę swoją wielką „miłość” - powiedziała. - Wiem, że nie potrafisz bez niej żyć. Chyba tylko ją kochasz naprawdę.

Opróżnił szklanę jednym haustem; nie zamierzał wdawać się teraz w niepotrzebne spory.

Podczas gdy żona witała się z przyszłą synową i z synem, komisarz wystawy już z daleka wykrzykiwał manierycznym, zblazowanym głosem:

- Czyż nie jest im-po-nu-ją-ca?

Nie czekając na odpowiedź, złapał Cadiza za łokieć, szepnął mu coś na ucho i odeszli gdzieś razem. Na pytające spojrzenie Mazarine Pascal wyjaśnił jej, że piętro niżej rozpoczyna się konferencja prasowa; ojciec będzie rozmawiał z dziennikarzami.

Serce szybciej jej zabiło. Zbliżała się właśnie ta chwila.

Tak jak obiecał w Le Dome, gdzie jedli obiad, będzie mówił o niej. Przedstawi ją całemu światu jako współautorkę i niekwestionowaną inspiratorkę tych wspa-
niałych dzieł.

Po długiej przemowie naszpikowanej intelektualnymi frazesami i prowoka-
cyjnymi banałami w rodzaju: „Cud absurdu tkwi w tym, że pozostaje absurdem”;
„Płótno twoim najbardziej intymnym zwierciadłem”; „Trzeba malować absolut,
połowiczne prawdy w malarstwie nie istnieją”, zakończonej brawurowym
stwierdzeniem - „Uwodzenie to zaledwie projekcja namiętności”, które wywołały

ogólny aplauz i aprobatę, dziennikarze nagrodzili wystąpienie malarza brawami.

A więc tym dla niego była: czterema kreskami, zamierzeniem bez celu...

Projekcją.

Najmniejszej wzmianki.

Przypisał sobie autorstwo wszystkich obrazów, nawet tych, na których pojawiała się Sienna! Powiedział, że wyszły spod jego pędzla w chwili mistycznego uniesienia.

Wstrętny, odrażający, brudny i zły... Nikczemny!

Zbiegła pospiesznie po schodach. Uciekała od tej nędznej farsy, żeby nikt nie zobaczył łez, które już zbierały się w kącikach oczu i zaczęły spływać po policzkach; szloch łapał za gardło swym lepkiem uściskiem.

Ileż egoizmu, ileż manipulacji, ile upokorzenia! Pokonana szła ulicami, ogarnięta jednym pragnieniem: rozpląnąć się w niebycie. Zabić w sobie tę miłość, uwolnić się raz na zawsze od tego nędznego, próżnego człowieka.

Komórka dzwoniła bez przerwy. Nie odbierała. Przechodnie mijali ją obojętnie. W miarę jak szła, w głowie zakiełkował jej pewien pomysł. Teraz pragnęła niczego nie pragnąć. Tak, zemści się na nim... Zniknie na zawsze.

Była zmęczona. Ta miłość powoli ją niszczyła, zmuszając do życia w cierpieniu, w samotności. Znużyło ją oczekiwanie na odwzajemnienie uczucia. Czytała w jego zmęczonych życiem oczach obietnice, które nie znajdowały pokrycia w rzeczywistości. Oddałaby wszystko, co namalowała, by w końcu okrył się chwałą i upoił sukcesem. Noc zacieśniała się wokół niej. Duszą zawładnął smutek i poczucie całkowitego opuszczenia.

Pod filarem Pont Neuf czekał na nią ciemny nurt Sekwany i... Mężczyzna o Zamglonych Oczach.

Dzwony Notre Dame wybiły posępny melodię, jakby zwiastowały nie-
szczęście. Mazarine wspięła się na balustradę mostu. W oczach miała śmierć. Z
jednej strony wznosiła się imponująca bryła Pałacu Sprawiedliwości. Z drugiej -
Muzeum Luwru z największymi skarbami sztuki. Sprawiedliwość i sztuka?

*La justice n'existe pas... l'art, komedia wygłodniałych żmij... l'amour... Je
suis unegoutte absente de rien.* Och, Cadiz, bądź przeklęty! Chlusnę ci w twarz
rozpuszczalnikiem i wypalę pożądliwość w oczach. Przywłaszczyłeś sobie
wszystko, co należało do mnie, także to, co nie należało, ale było moje... Malo-
wałam Sienkę jako lustrzane odbicie mnie samej. W tych obrazach było moje
odrodzenie... Nie wiedziałeś? Ukradłeś mi je. Zabrałeś mi duszę. Śmiertelnie mnie
zraniłeś, pieszcząc moje ciało swoimi zwodniczymi dłońmi, i biorąc je w posia-
danie. Nie wiem, gdzie się schronić przed samotnością, która ściga mnie jak hiena
i zawsze dopada. Poddaję się... Niech woda zmyje ślady twoich rąk z mego ciała.
Wysłałeś ze mnie wszystkie siły. Nie ma mnie. Nic mi już nie zostało. Szukam
siebie wśród okruchów wspomnień i też mnie tam nie ma. To koniec.

-Mazarine...

Nie usłyszała cichego nawoływania.

To, co istotne, znajduje się w głębi. Spadać, spadać, spadać i już nie wznieść
się w górę. Niech moje stopy zatoną w błocie, niech mnie ziemia pochłonie. To
jest mój pogrzeb.

- Błagam... niech pani tego nie robi...

Wszystko się wymykało. Udręki przestały dręczyć, ból
już nie sprawiał bólu, nadzieja nie dawała nadziei. Po raz pierwszy samotność była
czymś pięknym. Strach przewyciężył strach.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach zbliżał się do niej powoli.

- Jest pani zbyt wspaniała, żeby tak łatwo się poddać...

Stojąc na balustradzie mostu, Mazarine chybotwała się niepewnie.

Skoczyć, tylko tyle i wszystkie udreki utoną razem z nią. Jeden krok i znajdzie spokój; akt odwagi czy dowód tchórzostwa? To, co najważniejsze, znajdowało się w środku, w otchłani, dzielącej ją od wszystkiego.

„Kto nie umie żyć, nie zasługuje na to, żeby żyć”.

- Chcę pani pomóc...

Jedna noga w powietrzu, druga... czarny płaszcz rozpostarty jak skrzydła feniksa... i upragniony lot.

62

Woda i ciało. Mokre plaśnięcie i urwana w pół słowa pieśń. Toń rzeki w mgnieniu oka wchłonęła ciało Mazarine.

Na mętnych wodach unosiła się tylko falująca czarna plama: jej płaszcz.

Przy balustradzie tłoczyli się młodzi ludzie, którzy właśnie przechodzili przez Pont Neuf.

- Dziewczyna wpadła do wody! - krzyknął jeden z nich.

- Nie wpadła, tylko wskoczyła - sprostował drugi.

- Albo ktoś ją zrzucił. Widziałam, jak się z kimś kłóciła.

- Zepchnął ją. Jestem pewny.

-Kto?

- Tamten mężczyzna.

Chłopak wskazał nieznanego, który przechylony przez poręcz wpatrywał się w nurt.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach usłyszał te oskarżenia. Stwierdziwszy, że Mazarine nie wypływa, wspiął się błyskawicznie na poręcz i zanim ktokolwiek zdołał zareagować, skoczył w dół.

Lotowi ku wodom Sekwany towarzyszył zbiorowy krzyk.

Na brzegu zapanował zamęt. Kapitan statku spacerowego, który właśnie odbywał rejs turystyczny połączony z uroczystą kolacją, spostrzegł dwie osoby wpadające jedna po drugiej do wody i natychmiast powiadomił pogotowie wodne.

Patrol dotarł na miejsce po kilku minutach. Dwie łodzie motorowe z potężnymi reflektorami kursowały tam i z powrotem.

Akcja ratunkowa trwała całą noc. O świcie sprowadzono ekipę pływunurków.

Nadaremnie. Poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

63

Pascal nie zauważył zniknięcia narzeczonej. Spostrzegł, że jej nie ma dopiero wtedy, gdy pogratulowawszy ojcu, odwrócił się. Początkowo myślał, że poszła do toalety. Długo nie wracała, więc zaczął jej szukać. Roztrącając gości, przemierzył taras wzdłuż i wszerz, zszedł po schodach na dół i wrócił na górę. Zajrzał w każdy kąt. Pomyślał, że może wdała się w pogawędkę z jednym z wielu artystów, walesających się po terenie wystawy, ale nigdzie jej nie było. Zaskoczony poprosił Sarę, by pomogła mu odszukać Mazarine wśród grupki i koterii, które już zdążyły się zawiązać. Nikt jej nie widział.

Podszedł do niego Cadiz.

- A gdzie twoja narzeczona?

- Nie wiesz, gdzie jest? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Przecież była z tobą.

- Była, ale gdzieś przepadła. Poszła ci złożyć gratulacje po konferencji pra-

sowej.

- Może nie lubi tłumów - zgadywała Sara.

- Mamo, nie przypisuj jej jakichś fobii.

- Nie twierdzą, że to objaw szaleństwa. Ja też kiedyś nie znosiłam tłumów.

Pewnie wyszła, nic ci nie mówiąc, bo nie chciała nam popsuć wieczoru.

- Niemożliwe, przecież umówiliśmy się na kolację.

Wśród sandałów i odświętnych pantofli Cadiz wypatrywał bosych stóp.

Najpierw spokojnie, niespiesznie, potem nerwowo i rozpaczliwie.

Nie było jej. Uciekła, zawiedziona, że nie wspomniał o niej w swoim wystąpieniu. Znał ją. Niepokorna, nieprzewidywalna.

Gdy rozpoczął swoją przemowę, pomyślał, że ładnie by było napomknąć o wkładzie Mazarine w tę tytaniczną pracę, ale wtedy odkryłby karty przed synem i żoną. Skończyło się na szlachetnym zamiarze. Nie zdobył się na wyznanie prawdy z próżności i dla własnego bezpieczeństwa. Nie dopuszczał do siebie myśli, że świat mógłby go postrzegać jako słabeusza, zdającego się na debiutantkę.

Mazarine powinna zrozumieć, że nauka kosztuje, że na ołtarzu wiedzy i niedościgłej techniki malarskiej musi złożyć swoje pierwsze prace. W początkach kariery tak czyniło wielu malarzy i rzeźbiarzy: Modigliani, Chagall, Soutine, Kikoine, Leger, Pascin płacili obrazami za talerz ciepłej stawy. On *też* z pokorą godził się na to, żeby pod jego pracami podpisywali się inni, kopiował w Luwrze dzieła wielkich mistrzów, które następnie sprzedawał i za uzyskane pieniądze kupował farby, płótna i pędzle. Każdy debiut ma swoją cenę. Trzeba ponieść jakieś koszty. Czyż nie taki jest porządek rzeczy?

Odchodził pospiesznie, uciekając przed aplauzem i słowami zachwyty gości, którzy próbowali się ogrzać w blasku jego sławy, upolować błysk flesza roztagonionego fotoreportera i znaleźć się w kadrze z mistrzem.

Mazarine nigdzie nie było. Gorąco pragnął ją odnaleźć i wszystko wyjaśnić. Wybrał numer jej komórki raz, drugi i trzeci... Wydzwaniał do niej uporczywie, z

wściekłością, niepokojem, rozpaczą. Co innego, gdy on do niej nie dzwonił, a co innego, gdy ona nie odbierała. Potrzebował jej. Odbierz, do jasnej cholery! - złościł się. Co ona sobie myśli? Naprawdę był na nią wściekły. Jak mogła mu zrobić coś takiego w tak ważnym dniu?

Na drugim końcu tarasu Pascal robił dokładnie to samo, co jego ojciec.

Tej nocy żaden z nich nie spał. Wydzwaniali do niej bezustannie: Pascal z pasażu Dauphin, Cadiz z rue de la Pompe

*

Pozostawiony na Pont Neuf plecak znalazł jakiś kloszard. Wytrząsnął jego zawartość na chodnik. Rozpaczliwie poszukiwał pieniędzy, paru groszy na butelkę najtańszego wina.

Ekran porzuconej na chodniku komórki rozświetlił się kolejny raz.

Zabrać ją? A może zażądać kasy za zwrot plecaka? Tak czy siak, on go nie ukradł. Wziął go sobie, zanim zrobiłby to ktoś inny.

Ekran komórki rozbłysnął ponownie. A może ją sprzedać? Uważnie obejrzał aparat. Stary i dość zniszczony gruchot był niewiele wart.

Wyjął z portfela dowód osobisty. Właścicielka plecaka była piękną dziewczyną. W złotawych oczach spoglądających ze zdjęcia dostrzegł magię, uwodzicielski urok i obietnicę czegoś nieokreślonego. Wspaniale byłoby spędzić noc z taką ślicznotką.

Poszukał adresu: rue Galande 75. Trzy przecznice stąd. Oprócz dokumentów znalazł chusteczkę, notesik ze szkicami jakichś golasów, okulary przeciwsłoneczne i... pęk kluczy.

Arcadius wrócił do Paryża zadowolony z rezultatów wyprawy do Katalonii i jeszcze bardziej zaintrygowany. Wprawdzie miejsce spoczynku Świętej nadal było nieznane, to pasjonująca historia, jaką usłyszał od staruszki z Manresy, rzucała pewne światło na najbardziej fantastyczne hipotezy handlarzy relikwiami. Nie tylko sam uległ urokowi nieznanym dziewczyny, zrozumiał także obsesyjne dążenia członków Ars Amantis do znalezienia jej ciała. Teraz on także chciał zobaczyć Świętą, żeby zrozumieć niepojęte.

Przedwczesną śmierć młodej osoby zawsze okrywa jakaś tajemnica. Jakby w takiej chwili opuszczała się zasłona i oddzielała żywych od umarłych. Światło i cień. Pochodnia gasła i następowała nieprzenikniona ciemność. Coś eterycznego, niewidzialnego, z magnetyczną siłą przyciągało to, co nieuniknione. Ci, co odeszli, nadal istnieją w pamięci bliskich. Śmierć nie odbiera wspomnień.

Właśnie to przydarzyło się Arcadiusowi. Nie znał Sienny, nie była mu jednak obojętna. Przyciągała go swoją nieuchwytną obecnością.

A jeśli to prawda, że Święta miała wszystkie przypisywane relikwiom przymioty? Dar łaski? Nawet największa bzdura staje się prawdą z chwilą, gdy się w nią uwierzy. A w Siennę wierzyło wielu.

Nie dawała mu spokoju jedna sprawa: medalion. Jak to się stało, że tę bezcenną rzecz, która bez wątplenia należała do Sienny, nosiła na szyi Mazarine?

Od powrotu z Barcelony nie miał od niej żadnych wiadomości. Postanowił zaprosić ją na kolację i opowiedzieć o postępach w śledztwie.

Cały dzień spędził w antykwariacie: czytał, sprawdzał postawione hipotezy, snuł domysły i rozważał każdą ewentualność, ale nie posunął się ani o krok do przodu. O miejscu ukrycia ciała Świętej wiedział tyle samo co na początku. Pod wieczór opuścił kratę w oknie wystawowym, założył kłódkę na drzwiach i udał się do Zielonego Domu.

Jak każdego roku o tej porze, ulicę wypełniały tłumy niezamożnych turystów

w sandałach, szortach, z planem miasta w ręku. Nie trwonili ani jednego euro na starocie - nie były dla nich nic warte. Nie doceniali wartości przedmiotów, które wiele przeżyły. Aż trudno uwierzyć - pomyślał Arcadius - ale lato to najgorsza pora dla antykwariusza. Idąc, robił remanent: od wielu tygodni nie udało mu się nic sprzedać. Jak tak dalej pójdzie, nie dociągnie do końca roku. Zamknie interes, a sam trafi do domu zapomnienia, jak nazywał dom spokojnej starości. Nie miał bowiem wątpliwości, że bez ukochanego zajęcia dopadnie go starość i szybko zniedołężnieje.

Dlatego tak ważna stała się dla niego Mazarine - powód, dla którego warto było żyć. Mazarine... a teraz Święta.

Przed Zielonym Domem stanął jak wryty. Krzaczki lawendy znowu zarosły ścieżkę, jak wtedy, gdy Mazarine zachorowała i poszła do szpitala. Lawenda rozrastała się i rozkrzewiała w niepojęty sposób. Opanowała nie tylko chodnik, ale także wejście do kościoła Saint-Julien-le-Pauvre z zabytkowymi drzwiami i skwer Rene Vivianiego.

Szedł do wejścia, mozolnie rozsuwając pachnące kwiaty. W gąszczu zieleni dom wyglądał na wymarły. Zadzwoił do drzwi, nikt nie otwierał. Niewiadomo skąd pojawiła się kotka Mademoiselle i zaczęła się ocierać o jego nogi. Zadzwoił na komórkę Mazarine, zgłosiła się poczta głosowa.

-Niedobra ta twoja pani, Mademoiselle. Porzuciła nas bez słowa - powiedział i wziął kotkę na ręce. - Pewnie nie jadłaś od kilku dni, co? Chodź ze mną.

Zostawił w drzwiach kartkę dla Mazarine z prośbą, żeby się z nim skontaktowała, i wrócił z kotką do siebie.

Tymczasem Pascal nie wiedział, co robić: powiadomić policję o zaginięciu narzeczonej, czy jeszcze poczekać. Minęły trzy dni, a ona ciągle nie dawała znaku życia. Jedyne dane, jakie mógł podać w komisariacie, to imię i z grubsza wiek zaginionej. Nie znał jej nazwiska, adresu, rodziny. Pomyślał, że zwariował. Nie-

znajomość podstawowych faktów z życia narzeczonej nie dodawała mu wiarygodności i mogła nawet uczynić pierwszym podejrzanym: zawiedziony facet nie może przeżyć tego, że ukochana go porzuciła.

A może Mazarine milczy spowodowana pragnieniem odizolowania się od świata, nie pierwszy zresztą raz, a on zniweczy jej zamiar, niepotrzebnie rozpętując aferę? A może zachorowała albo coś jej się stało? Był zdezorientowany, zrozpaczony i wściekły na siebie za bezmyślność. Jak to się stało, że będąc oficjalnym narzeczoną Mazarine, nic o niej nie wiedział. Czy ma rodzinę? Przyjaciół? Dlaczego był wobec niej taki uległy? Jest przecież człowiekiem silnym, potrafiącym walczyć i rozwiązywać cudze problemy. Ze strachu, że go porzuci?

Nie miał wyboru. Mógł tylko czekać i zdać się na łaskę losu. Mazarine zniknęła jak zjawą.

65

Mężczyzna o Zamglonych Oczach o mało się nie utopił podczas długich, wyczerpujących poszukiwań Mazarine na powierzchni wody i na szlamowatym dnie. W końcu natrafił na bezwładne ciało. Pragnął ją mieć tylko dla siebie.

Płynął bezszelestnie, holując nieprzytomną dziewczynę, z dala od ciekawskich spojrzeń gapiów na moście i reflektorów łodzi ratunkowych. W całkowitych ciemnościach dotarł w końcu do brzegu. Siła zawsze była jego atutem i powodem do dumy. Teraz mógł ją wykorzystać. Bez trudu wyciągnął bezwładną Mazarine na skrawek suchego lądu. Brzeg był w tym miejscu urwisty i niedostępny. Rozejrzał się rozpaczliwie na boki, wypatrzył jakąś ścieżynę, ze słodkim ciężarem w ramionach wdrapał się na górę i ciężko dysząc, padł na trawę.

Na widok złożonego na ziemi nagiego, bladego ciała poczuł bezmierny ból. Serce tej ślicznej istoty nie biło. Zaraz, zaraz, widział na filmach, jak się robi

sztuczne oddychanie. Zatkanął jej nos, przyłożył zajęcze wargi do ust Mazarine, i tchnął w jej płuca powietrze. Powtarzał tę czynność wiele razy,.. Na próżno. Była lodowata, wyglądała, jakby spała. Spróbował znowu - a to delikatnie, a to energicznie wtłaczał w nią powietrze. Oddałby wszystko, żeby tylko otworzyła oczy. Zmęczenie i zniechęcenie wzięły górę.

Nie potrafił przywrócić jej do życia.

Przypomniawszy sobie te dwie noce, gdy leżał obok Mazarine w łóżku, czuł bijące od niej ciepło. Na to wspomnienie przeszył go dreszcz. Doznał wtedy nieznanego, bardzo przyjemnego uczucia - szczęścia? ukojenia? Rozpląkał się.

Czy na pewno to, co spływało z jego pokrytych bielmem oczu, to były łzy? Nagle usłyszał cichy jęk.

Żyła!

Wziął ją w ramiona i nacierał skórę dopóty, dopóki nie poczerwieniała. Dziewczyna nadal była nieprzytomna, ale oddychała. Okrył jej nagość mokrą koszulą, wziął na ręce i pobiegł bulwarem Sewastopolskim, nie zważając na zdziwione spojrzenia przechodniów. Skreślił w wąski zaułek i zatrzymał się przed kramem z taną odzieżą. Właściciel, Pakistańczyk, choć miał prawo podejrzewać, że mężczyzna o groźnym wyglądzie wyrządził dziewczynie jakąś krzywdę, bez gadania sprzedał mu hinduskie sari. Prawdę mówiąc, zrezygnował z zapłaty w obawie przed problemami z policją. Pragnął tylko, aby ten dziwny klient jak najprędzej sobie poszedł.

Ułożona na łóżku w domu Mężczyzny o Zamglonych Oczach i otulona dwoma grubymi kocami, Mazarine śniła o wystawie na tarasie Łuku Triumfalnego. Obrazy unosiły się w powietrzu porwane wiatrem. Ona też frunęła ucze-piona obrazu Świętej. Bała się go stracić. Skapywał z niego jakiś gęsty czerwony płyn cuchnący rdzą i śmiercią, zalewał jej oczy i zaciemniał widok. Płótno unosiło się wyżej i wyżej. Święta wyszła z ram. Idąc, zostawiała ślady bosych stóp. Oderwane od ciała, pozostawały zawieszony w powietrzu. Kolejne obrazy uwal-

niały się ze stalowych lin i ulatywały w górę. Gonili je zdezorientowani ludzie. Krzyczała, ale nikt jej nie słyszał. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Widziała swoje nagie ciało. Z otwartej rany na piersi sączyła się coraz obficie krew. Strumyczek zmienił się w lepłą rzekę, która spływała po nogach i plamiła jej idealne stopy. Cadiz obserwował ją z daleka, spowity smugą dymu i w szakalim uśmiechu pokazywał ostre kły bestii gotowej ją pożreć. Ukąszenie w pierś. Cadiz wyrwał jej zębami serce. Potworny ból. Szloch.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach zauważył łzy ściekające po policzkach dziewczyny.

Mazarine przyglądała się swojemu ciału. Czyjaś troskliwa dłoń kładzie gałązkę leczniczej lawendy na wyszarpaną dziurę - w miejscu, gdzie było serce. Boli.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach ocierał łzy zalewające twarz Mazarine. Może próbował ją obudzić?

- Mazarine... - powiedział, potrząsając nią łagodnie.

Cadiz znowu malował kreski na jej stopach, a ona czuła się szczęśliwa. Łuk Triumfalny należał tylko do nich, ich ciała wiły się po śniegu. Nie czuli zimna. Rozgrzewała ich rozkosz.

Przez pięć dni Mężczyzna o Zamglonych Oczach troskliwie ją pielęgnował.

Mazarine, nie otwierając oczu, posłusznie wypijała małymi łykami lecznicze mikstury i pożywny rosół, które bez słowa podawały jej czyjeś oddane dłonie. Pozwalała sobie nacierać stopy olejkiem migdałowym, kłaść na powieki kompresy z naparu z rumianku, obmywać ciało perfumowanym mydłem i osuszać nagrzanym ręcznikiem, czesać włosy i przebierać w suchą koszulę z delikatnej bawełny. Ktoś głosem przypominającym brzmienie wiolonczeli opowiadał jej baśnie o smokach i księżniczkach.

To Cadiz troszczył się o nią. Wlewał do ust odżywcze płyny, a uściskiem dłoni dodawał otuchy. Nikt jej nie skrzywdzi. W jego łóżku czuła się bezpiecznie.

Sienna w końcu przebudzi się z wiecznego snu i pomoże jej wyzdrowieć.

Wszystko dobrze się skończy.

Tego dnia, gdy otworzyła oczy, jej spojrzenie padło na odrażające oblicze mężczyzny, wpatrującego się w nią z uwielbieniem. Serce zamarło jej w piersi.

- Niech pan mnie nie dotyka!

- Witam wśród żywych, panienko.

- Co pan tu robi? Niech pan stąd wyjdzie... Precz!

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy. Nie mogę stąd wyjść, bo to moje mieszkanie.

Mazarine usiadła i rozejrzała się w koło. Mówił prawdę. Ten ciemny i ponury pokój o nisko zawieszonym suficie, klaustrofobiczny i bez ozdób, nie był jej sypialnią. Podniosła się. Zakręciło się jej w głowie. Gdy Mężczyzna o Zamglonych Oczach chciał ją podtrzymać, odsunęła się gwałtownie i skuliła w rogu łóżka.

- Nie wstawaj - powiedział ojcowskim tonem. – Przez wiele dni byłaś nieprzytomna. Stąd te zawroty głowy.

- Proszę się do mnie nie zbliżać.

- Nie bój się - powtórzył. - Nie zrobię ci krzywdy. Gdybym chciał twojej śmierci, zostawiłbym cię na dnie rzeki.

- Czy ktoś pana o to prosił? Co ja, do jasnej cholery, tu robię?!

- Chyba lepiej być tu, niż gnić w mule, prawda?

Nie odpowiedziała. Coraz mocniej opierała się o ścianę.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- A co panu do tego? Nikogo to nie obchodzi.

- Nieprawda. Dla mnie jesteś bardzo ważna.

- Ważna? Proszę mnie nie rozśmieszać.

Machinalnie sięgnęła po medalion. Zniknął!

- Gdzie on jest?

- O co chodzi?

- O medalion. Miałam go na szyi.

Milczał.

- O mój Boże! - Mazarine wybuchnęła płaczem.

Jeremie zerwał się i wrócił z ozdobą w ręku.

- Skoro jest on dla ciebie taki cenny, zwracam ci go.

Mazarine chciała uciec z tego okropnego miejsca, znaleźć się jak najdalej od przerażającego człowieka.

- Proszę mi go dać.

- Nawet nie wiesz, jak trudno było go wyciągnąć z wody - wycodził powoli mężczyzna. - Trudniej niż uratować ciebie.

- Bardzo dziękuję. - Starła się być uprzejma.

- A teraz proszę mi go dać - dodała nieco ostrzej i wyciągnęła rękę.

- Skąd go masz?

Znowu zakręciło jej się w głowie.

- Źle się czuję.

- Powiedziałem już: leż i odpoczywaj. Zaraz przyniosę ci wody.

- Musi mi go pan zwrócić. Chcę iść do domu. Rodzice na mnie czekają.

- Przecież nie masz rodziców.

A więc odkrył jej tajemnicę.

- Co jeszcze pan o mnie wie?

- Wszystko.

- To znaczy?

- O twoim związku z malarzem... i z jego synem. Biedny chłopak. Dlaczego mu to robisz?

- Nie rozumiem.

- Okłamujesz go.

- Nie pańska sprawa.

- Mazarine, przecież dobra z ciebie dziewczyna.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Nikt nie jest całkiem zły. Choć mamy świadomość, jak niewiele znaczymy, zdarzają się chwile, gdy czujemy się coś warci... A to jest właśnie dla ciebie ten moment. Rzuć tego starca. Nie pasuje do ciebie.

- Proszę nie prawić mi morałów. Czego pan ode mnie chce?

Mężczyzna o Zamglonych Oczach spojrzał na nią lodowato.

- Świętej.

Mazarine przestraszyła się, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Możemy o tym porozmawiać.

Zamierzała uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Rozejrzała się wokoło.

- Porozmawiamy później. Teraz odpoczywaj i nabieraj sił. Jesteś bardzo osłabiona.

- Czy jestem może pańskim... więźniem?

Nie odpowiedział.

Cadiz znowu zamknął się w nieprzeniknionej ciszy La Ruche. Niewiele go obeszło, że krytycy z zachwytem przyjęli wystawę. Jednogłośnie stwierdzili, że ostatecznie rozprawił się z hipokryzją i zakłamaniem. W duszy malarza ciągle kipiały głęboko skrywane rozczarowanie i zawiedzione nadzieje. Obsesyjnie wracał pamięcią do chwil spędzonych z Mazarine, widział jej delikatne stopy oddane jego dłoniom, twarz rozpaloną pożądaniem, oczy płonące skupieniem albo złością, dziewicze plecy z refleksami światła, rozbawioną albo zasmuconą minę - młodość w zuchwałym wydaniu.

Nigdy jeszcze nie odczuwał tak dojmującego bólu jak teraz. Mając prawie wszystko, nie miał absolutnie nic. Opanowało go poczucie straty i całkowitego opuszczenia, niepodobne jednak do tego, które ogarniało go po długim wysiłku twórczym i zamknięciu szczególnie płodnego etapu. Nie, to nie było to. Wraz z narodzinami nowego dzieła ulatniała się cała jego siła i artystyczny potencjał. Tracił ochotę do działania. Przed uczennicą grał rolę człowieka wszechmocnego, a w gruncie rzeczy był skończonym kretynem. Najgorsze, że nie miał z kim o tym porozmawiać, bo wtedy musiałby przyznać, że jest zwykłym zakochanym śmiertelnikiem. Właściwie powinien pogodzić się z tym, uznać swoją pomyłkę, ale nie zamierzał tego uczynić, nawet w ostatniej chwili swojego życia. Zbyt wiele wysiłku włożył w stworzenie swojego wizerunku. Nie pozwoli go zniszczyć. Miłość to takie banalne uczucie.

Ta dziewczyna wyzwoliła w nim gwałtowne emocje, oczarowała go i zniknęła. Ona, z pozoru taka krucha, poraziła go jadem jak modliszka i pozostawiła swoją ofiarę zarażoną wirusem śmierci.

Ustawicznie wydzwaniał do syna, udając zmartwionego stanem jego ducha, podczas gdy tak naprawdę chciał się dowiedzieć, czy są jakieś wiadomości o Mazarine.

Sara bardzo się starała wyciszyć nastroje, próbowała obiektywnie podejść do sprawy zniknięcia Mazarine, zrozumieć jej zaskakujące zachowanie i w ten sposób ulżyć synowi w cierpieniu.

Postępowanie dziewczyny było w jej ocenie dziwaczne i pozostawiało wiele do życzenia. Ekscentryczny sposób bycia, przejawiający się na przykład w niechęci do zakładania butów i hołdowania staroświeckiej modzie, mogła jeszcze zaakceptować, ale czy to normalne, żeby przyszły mąż nie znał żadnych szczegółów z życia narzeczonej i nawet nie wiedział, gdzie jej szukać? Międlenie w kółko o tym samym nie pomagało Pascalowi.

- Nie wiem, gdzie ona mieszka - przyznał się ojcu podczas ostatniej rozmowy telefonicznej. - Chyba nie wątpisz w to, że gdybym miał jakikolwiek ślad, poruszyłbym niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć. Przypuszczam, że mieszka w Dzielnicy Łacińskiej.

- Dlaczego tak myślisz?

- Zawsze umawialiśmy się w kafejce na Saint-Germain.

Mówiła, że to parę kroków od niej.

- Zapomnij o tej dziewczynie. Nie podoba mi się. Mógłbyś... - Cadiz ważył słowa - ...mógłbyś mieć każdą kobietę, jakiej pragniesz... Nie rozumiem, co cię opętało. Jest naprawdę bardzo dziwna. Jesteśmy w tym zgodni z matką. Nic ci nie mówiła?

- Jeśli chcesz mnie uspokoić, to nie w ten sposób. Słowa na niewiele się zdadzą. Kocham ją i podoba mi się razem ze wszystkimi swoimi sekretami.

- A nie przyszło ci do głowy, że może jednym z jej sekretów jest to, że ma innego faceta?

Pascal miał wrażenie, że ojciec celowo jątrzy jego ranę.

- Nie waż się jej obrażać, tato. I, proszę, nie dzwoń do mnie tylko po to, żeby mówić takie rzeczy. Lepiej w ogóle się nie odzywaj. Mam wrażenie, że moje cierpienie sprawia ci radość. Cieszysz się... czy tylko tak mi się wydaje?

- Jesteś naiwny i niedoświadczony, dlatego tak mówisz.

- A ty dzięki swojemu doświadczeniu czujesz się szczęśliwszy? Zdobyłeś to, co pragnąłeś, ojcze? Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że wszystkich oszukujesz. Twoje artystyczne dokonania, które wiszą teraz w muzeach, galeriach i prywatnych domach, najlepiej pokazują egoizm i niegodziwość twórcy.

- Tak bardzo mnie nienawidzisz, synu?

- Mylisz się. To wcale nie jest nienawiść, tylko litość. Nawet sobie nie wyobrażasz jak wielka. Czy ty wiesz, kim jesteś? Czy dualizm to w twoim pojęciu rozdarcie między najgłębiej ukrytym ego a sobą samym? Czy ty w ogóle masz

jakieś ja? Rozgrywasz swoje życie w dwóch wersjach. Nie licząc tego, co malujesz...

-Twierdzisz, że moje obrazy uzewnętrzniają rozkład i gnicie?

-Tego nie powiedziałem. Sam sobie wmawiasz takie rzeczy.

- Co ja ci takiego zrobiłem, Pascalu?

- Jesteś tchórzem. Przez te wszystkie lata zabrakło ci odwagi, aby stanąć przede mną i przyznać się, że nigdy mnie nie chciałeś.

- Sara ci to powiedziała?

Pascal rozłączył się.

67

Tym razem naprawdę wszystko schrzaniłem - pomyślał.

Ciągle trzymał słuchawkę w dłoni. Pragnął być blisko syna, żeby mieć oko na Mazarine, i wszystko popsuł swoim głupim komentarzem. Zadzwoił ponownie.

- Czego chcesz? - warknął Pascal.

- Przeprosić cię.

- Ty?

-Dlaczego nie? Potrafisz być wyrozumiały wobec pacjentów. Mógłbyś więc okazać trochę wielkoduszności własnemu ojcu.

- W porządku... mów.

- Przepraszam cię za to, co powiedziałem o Mazarine... Nie bierz sobie do serca głędzenia starego męskiego szowinisty. - Zamilkł, czekając na reakcję syna. Po chwili mówił dalej. - Nie martw się, wróci.

- Skąd wiesz?

-Nie zapominaj, że między artystami istnieje tajemny kod, którym się porozumiewamy. Gdy tylko ją zobaczyłem, od razu wiedziałem, że jest bardzo wraź-

liwa, a przy tym silna. Potrafi wybuchnąć jak wulkan. Ma w sobie charakter i pasję - ten szczególny rys malarza, i to właśnie sprawia, że jest taka wyjątkowa. Kiedyś ten nieoszlifowany diament rozbłyśnie.

Ojciec miał rację. Za wyniosłością Mazarine kryła się jakaś tajemnica. Jej serce nie wytrzyma tego ciągłego napięcia i pęknie. Jest taka krucha i delikatna. A on pragnął być obok niej, zatonać w niezmierzonej rzece uczuć i dać się unieść...

- Pascal...

-Tak?

- Pamiętasz mój pomysł, żebyśmy wybrali się w czwórkę na południe?

- Oszalałeś? Jak możesz o tym myśleć, skoro nawet nie wiemy, czy Mazarine wróci?

- Bo nie mam żadnych wątpliwości, że tak się stanie.

- Chciałbym w to wierzyć.

- Czy kiedyś już coś takiego zrobiła?

-Co?

- Przepadła bez słowa.

-Tak.

- A widzisz?

- Cadiz... dziękuję. I przepraszam...

- Za co?

- Za to, co ci powiedziałem.

- Nie mówmy już o tym więcej, dobrze?

Upał panujący w tym ponurym pokoiku na poddaszu dusił ją. W rogach pod sufitem pająki usnuły sieci na nieostrożne ofiary. Byle jak ochlapane farbą ściany,

obwieszane pejzażami wyciętymi ze starych czasopism, wyblakłymi zdjęciami dziewcząt o niewinnym wyglądzie, zdawały się zacieśniać wokół niej. Badała wzrokiem każdy centymetr mansardy, każdy kąt, próbując znaleźć jakiś sposób wydostania się z tej pułapki.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach dobrze ją traktował i okazywał troskę, ale wypuścić jej nie chciał.

Codziennie rano podawał jej na śniadanie *palmier Au beurre*, które tak bardzo lubiła, świeże pokrojone truskawki, śliwki i jabłka polane jogurtem. Przyrządzał dla niej wszystko, o co poprosiła, i robił, co mógł, żeby czuła się dobrze, a nawet komfortowo. Miewał czasem napady złego humoru, jednak Mazarine wiedziała, że wcale nie jest taki odpychający, jakby się mogło wydawać.

Nie potrafiła go nienawidzić. Za odrażającym wyglądem, jak za tarczą, kryło się bojaźliwe, smutne dziecko, porzucone przez matkę. Był potwornie brzydki, ale w gruncie rzeczy była pewna, że wcale nie jest taki zły, ale mogła się mylić.

Podczas jednej z pogawędek opowiedział jej swoją historię. Owiniętego w gazetę noworodka, fioletowego z zimna (panował wtedy ostry mróz), ledwie żywego, znalazł na wysypisku śmieci pewien mężczyzna. Ulitował się nad nim, a potem dbał przez całe lata. Temu człowiekowi zawdzięczał życie i rodzinę - jedyną, jaką znał: Arts Amantis.

Od niego dowiedziała się wszystkiego o pochodzeniu i głównym celu istnienia tej dziwnej grupy artystów, wielbicieli sztuki i miłości. Opowiadał jej o tym z prawdziwą przyjemnością podczas wspólnych posiłków.

Powoli zaczynała rozumieć, dlaczego z takim uporem poszukiwali Sienny. Stopniowo pojmowała ich romantyczną ideę odzyskania Świętej i poprzez adorację jej ciała wielbić pamięć o niej.

Przywołała w wyobraźni obraz urodziwego dziewczęcia i Langwedocji - żywej krainy, prawdziwego rajy dla ludzi sztuki, kultury i nauki - gdzie powstawały pieśni o rycerzach, misteria teatralne i miłosne strofy trubadurów. Żyła

w zamkowych komnatach, otoczona malarzami i muzykami, ale nie gardziła prostym ludem. Zawsze pełna radości, nie przeczuwała swego tragicznego losu.

Od Mężczyzny o Zamglonych Oczach nauczyła się więcej niż przez wszystkie popołudnia spędzone z Arcadiusem.

Nigdy nie interesowała się historią. Uważała się za ignorantkę we wszystkim, co wiązało się z przeszłością, teraz dowiadywała się o albignensach i znaczeniu kobiet w średniowieczu, o światłej Europie, otwartej na szczytne ideały ruchów religijnych, w których aktywnie uczestniczyła słaba - tylko z nazwy - płeć; młódki i białogłowy wstępowały do „męskiej armii”, by walczyć u boku mężów, ojców i braci z wojskami krucjaty. Rycerze zakuci w stalowe zbroje, podżegani z Rzymu przez papieża Innocentego III, wyruszyli pod wodzą Szymona z Montfortu, aby ich zniszczyć.

Zgodnie z legendą podczas krwawej i nierównej walki, zakończonej niemal totalną zagładą tak zwanych heretyków, kobiety z Tuluzy swoją waleczną postawą spowodowały *śmierć* okrutnego możnowładcy; głaz zrzucony przez nie z murów obronnych roztrzaskał mu głowę.

Choć katarowie i Arts Amantis wyznawali odmienne poglądy, w obronie pryncypiów stworzyli jedną armię.

Jeremie był nieszczęsnym mędrcom.

Żałosny wygląd tego biedaka wzbudzał litość, jednak imponował inteligencją i odczytaniem. Jego księgozbiór - setki książek nadjedzonych przez mole - piętrzył się w stosach na podłodze i zmieniał niewielką mansardę w widmowe miasto drapaczy chmur.

W każdej starej księdze, do której zajrzała, odkrywała coś zaskakującego.

Za doktryną katarów i ruchem Arts Amantis stała wielka filozofia i nadzwyczajne bogactwo symboli i ikonografii, wywodzące się z celtyckich sag, z judaizmu i gnostycznej wiedzy Wschodu. W warstwie symbolicznej wiele łączyło ich

z zakonem templariuszy.

Z lektury tych ksiąg dowiedziała się, że znak, który Cadiz namalował na jej piersi, nie był krzyżem bizantyjskim, jak przypuszczała, lecz krzyżem oksytańskim, z zaznaczonymi dwunastoma punktami. Istniały też inne symbole o podobnej wymowie, wykorzystywane przez rozsiane po świecie rozmaite ruchy i grupy malarskie, muzyczne i literackie, odwołujące się między innymi do kultu boga słońca i ognia, do tajemnego języka tarota, do przesilenia wiosennego i zimowego, do obelisków, świętych drzew, pentagramu, świętego Graala, do gołębia jako alegorii miłości i pokoju między narodami, do dualizmu dobra i zła, do ryby...

Odkryła fascynujący świat, który w niezrozumiały sposób był jej bliski. W oceanie wiadomości, który nagle rozpostarł się przed jej oczami, rozplynęły się niepokoje i rozterki. Przedtem pragnęła zniknąć ze świata, teraz odkrywała, że istnieje inny rodzaj ludzkiej egzystencji, niemający nic wspólnego ze sławą. Proste cele mogą nadać sens życiu. Ze świeżo zdobytą wiedzą stworzy jeszcze bardziej porywające obrazy o niewyobrażalnej sile. Cadiz zblednie na ich widok. Już do niczego nie był jej potrzebny. Może powinna poświęcić się malowaniu obrazów przedstawiających jej marzenia i odrzucić miłość?

- Muszę wrócić do świata - powiedziała, odrywając się od lektury. - Zrozumiałam, że moim powołaniem jest sztuka. Nie mogę utkwic wśród książek, choćby najwspanialszych. Umrę bez malowania.

- Umrzesz? Przecież szukałaś śmierci, rzucając się z mostu. Jaka to różnica? Co lepsze: utonąć w mętnych wodach Sekwany, tak jak chciałaś, czy w wiedzy?

Domyśliła się, że Jeremie chce ją zmusić do refleksji.

- Tamtej nocy na moście chciałam nie tyle umrzeć, ile uciec. Sama nie wiem, od czego. Co powinno się zrobić, gdy ktoś nas niszczy? Ściera na proch? Co począć z tym strasznym wrażeniem, że jest się nikim? Ludzie nic nie wiedzą o życiu. Chyba nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach pozostał niewzruszony.

-Przykro mi, Mazarine. Nie mogę pozwolić ci stąd odejść.

- Dlaczego? Teraz, gdy odnalazłam sens tego całego absurdu, jakim jest życie, chcesz mnie zabić, przetrzymując mnie tu? Uratowałeś mnie po to, aby uwięzić?

-Nie chcesz mi powiedzieć, gdzie jest ciało Świętej. Nie chcesz się przyznać, że ten malarz cię skrzywdził. Nie chcesz powiedzieć, co ci się przydarzyło. Muszę cię chronić.

- Przed czym?

- Gdzie jest ciało?

- Nie mogę zrozumieć tej twojej obsesji. Ja go nie ukrywam. Po co miałabym to robić?

- W takim razie skąd masz święty medalion? Jak to wytłumaczysz? Ty wiesz, gdzie jest ciało.

Milczała.

- Nieważne, wcześniej czy później sam je znajdę - stwierdził sucho.

Zirytowany wstał bez słowa i wyszedł. Ledwie ucichł chrobot klucza w zamku, Mazarine podbiegła do drzwi, zaczęła walić w nie pięściami i rozpaczliwie krzyczeć.

- Błagam, Jeremie, nie rób mi tego! Pozwól mi stąd wyjść! Chcę iść z tobą!
Kroki oddalały się, aż zupełnie ucichły.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach nie wrócił na noc do domu.

Mazarine obudziła się owładnięta lękiem i z jasno sprecyzowaną myślą w głowie: musi się stąd wydostać. Wykorzystać nieobecność gospodarza i uciec.

Jeremie potrafił być miły, ale zachowywał się dość dziwnie. Podejrzewała, że nawet gdyby wskazała miejsce ukrycia Sienny, czego wcale nie zamierzała zrobić, i tak nie pozwoliłby jej odejść. Ta jego mania dbania o nią, troszczenia się, chronienia jej... Wieczorem kładł się obok niej na łóżku i patrzył, jak zamyka oczy i pogrąża się we śnie. Zaczynało jej to ciążyć. Gdyby jej coś zrobił, nikt by się

nawet nie dowiedział. Właśnie zrozumiała, że w tym zrujnowanym budynku nikt poza nim nie mieszka!

Dziesiąta rano, jedenasta, dwunasta, pierwsza, druga, trzecia... Mężczyzna o Zamglonych Oczach nie wracał, a Mazarine, jak do tej pory, nie znalazła drogi ucieczki. Coraz mocniej osaczała ją uczucie klaustrofobii. Gdzieś w środku czuła dziwny niepokój. Pod jego wpływem szybciej biło serce, pociły się ręce i robiło się jej niedobrze. Drzwi uciekały przed nią, ściany krążyły w nieopisanym chaosie. Panika!

Miała atak paniki.

Pobiegła do łazienki i zmoczyła sobie twarz, a gdy otwo-rzyła oczy, dostrze-gła w lustrze odbicie świetlika. Odwróciła się. Znajdował się nad wanną. Serce podskoczyło jej do gardła.

Błyskawicznie wspięła się na stół. Przez matową szybkę przebijało światło. Był tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się, co za nią jest: rozbić ją.

Złapała coś, co wpadło jej w ręce, i z całej siły uderzyła dwa razy w okienko. Szybka rozprysła się na kawałki. Przewody wentylacyjne wychodzą na zewnątrz budynku - kombinowała. Jeśli głowa się zmieści, przecięnie się i reszta. Tak sły-szała. Już miała wcisnąć głowę w otwór, gdy ujrzała błyszczące, wpatrzone w nią oczy szczura.

- Wynoś się! - krzyknęła przestraszona.

Spróbowała ponownie wspiąć się. Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Wracał Mężczyzna o Zamglonych Oczach.

Wystawiła głowę z otworu w gładkiej ścianie, na tyłach zrujnowanego domu. Spojrzała w dół i szybko oceniła wysokość: jakieś sześć metrów. Skoczyć? Nie miała innego wyjścia: jeśli tego nie zrobi, Mężczyzna o Zamglonych Oczach ją złapie. Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi i nie namyślając się wiele, skoczyła. Wylądowała na workach ze śmieciami i odpadkami, które złagodziły upadek. Miała obtarte, zakrwawione kolana; paliła ją zarumieniona ze zdenerwowania twarz, bolało całe ciało, ale mogła chodzić.

Rzuciła się biegiem, nie oglądając się za siebie. Pędziła ulicami, przebiegała przez skrzyżowania, skręcała w zaułki, wreszcie wpadła na rue de Rivoli. Była uratowana! Zaledwie parę kroków dzieliło ją od bulwaru Sewastopolskiego.

Wokół panował spokój. Przechodnie rozkoszowali się ciepłym tchnieniem letniego popołudnia. Znowu zobaczyła rozjątrzone światłem niebo, poczuła pieśczętę promieni słonecznych na zmęczonej skórze, usłyszała piski dzieciarni uganiającej się za gołębiami. Zakochani spotykali się po długim dniu pracy, spacerowali objęci i opowiadali sobie o trudach i sukcesach. Żadnych poważnych dyskusji; szczęście nie jest dla myślicieli. Prostota codziennych spraw nie wywołuje uśmiechu na twarzach intelektualistów. Młodzi spierali się jedynie o to, na jaki film wybrać się do kina, w którym ogródku kawiarnianym przysiąść i gdzie zjeść kolację. Świat się nie zawalił. Życie toczyło się dalej podczas jej przymusowego odosobnienia.

Co się dzieje z Cadizem? i Pascalem? Czy bardzo za nią tęsknią?... Czy ona za nimi zatęskniła?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zostawiła plecak na Pont Neuf. Z kluczami, portfelem, komórką... Ale czy to ważne?

Nie była już tą samą dziewczyną co wtedy, gdy pragnęła zniknąć. Odczuwała smutek i zarazem szczęście. Przejścia w domu tego człowieka miały głębszy sens: przywróciły jej chęć do życia; doceniła wolność. Gdyby nie on, nie pogodziłaby się jeszcze ze swoim przeznaczeniem. Niespodziewane wydarzenie stanowiło dowód na to, że losem rządzi przypadek; mądrość polega na tym, żeby ze splotu okoliczności przewidzieć zakończenie. Ile osób, które w przyływie rozpaczy popełniły samobójstwo, żyłoby do dziś, gdyby jakiś Jeremie zdołał je uratować? W końcu pojęła, że wszystko ma swój czas i porządek. Po jesieni następuje zima. Po burzy świeci słońce. Poranna mgła ustępuje, deszcz przestaje padać, z wiosną zimne dni stają się coraz cieplejsze, w lecie - wręcz upalne. Powracała do życia pełna dobrej woli i chęci działania, choć jeszcze nie wiedziała, co chce robić; przyszłość jawiła się na razie nieokreślona, niejasna.

Czy cierpienie zniknęło?

Nie.

Zrozumiała to na wybrzeżu Saint-Michel, gdzie zobaczyła przyklejony na słupie plakat, zapowiadający wystawę Cadiza. Nagłe ukłucie złości i smutku przeszło jej duszę.

Dlaczego jej to zrobił? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego nie odczuwała takiej szalonej miłości do Pascala? Co takiego miał w sobie ten mężczyzna, że doprowadził ją niemal do śmierci?

Nie potrafiła o nim zapomnieć, choć bardzo tego pragnęła. Jej skóra była splamiona dłońmi mistrza. Każdy skrawek ciała został zbrukany pociągnięciami pędzlem, naznaczony jego pożądaniem, wściekłością i... zazdrością. Nie mogła nawet o nim myśleć, bo od razu krew się w niej burzyła, niepokój wręcz obezwładniał. Była na siebie zła, bo musiała przyznać, że pieszczoty Cadiza pod stołem podczas uroczystej kolacji sprawiały jej przyjemność. Niech to szlag trafi!

Skoro wszystkie jej pragnienia wiązały się z mistrzem, jakie miejsce wy-

znaczyła Pascalowi? Czy można pożądać dwóch mężczyzn jednocześnie? A jeśli w jej przypadku tak było? Nie wiedziała. Przedtem nikogo nie kochała. Czy są szkoły uczące miłości? Czy można nauczyć się sztuki ofiarowywania i brania? Obdarzania pieścizotami? A może pieścizoty brała za miłość? Od Cadiza doświadczała czułości, Pascal pozostawał bezczynny. Cadiz lizał ją, Pascal nawet nie musnął jej ust. Co zrobić, żeby nie stracić żadnego z nich?

Jednego z nich kocha i nienawidzi, drugiego tylko lubi. Wyzbyć się nienawiści? Jak pokochać tego, do którego żywi jedynie przyjacielskie uczucia?

Szła brzegiem Sekwany, patrząc na przepływające statki. Uliczni bukiniści oferowali książki z drugiej ręki, pomarszczone od zawartej w nich wiedzy. Nikt ich nie przeglądał. Teraz знаła już wartość słowa pisanego i fascynujący świat, jaki się przed nią otwierał i dawał poczucie wolności. Przystanęła, wzięła do ręki księgę pozbawioną strony tytułowej. Po chwili zorientowała się, że jest to historia templariuszy. Nie mogła jej kupić, nie miała przy sobie ani grosza.

Nagle poczuła się zmęczona, obolałe ciało zdawało się krzyczeć, domagać odpoczynku. Zapragnęła znaleźć się w domu, zobaczyć Siemię i opowiedzieć jej swoją odyseję... A jeśli Mężczyzna o Zamglonych Oczach już tam na nią czeka? No to zacznij krzyczeć wniebogłosy, wołać o ratunek. Nie pozwoli znowu się zamknąć.

Im bardziej zbliżała się do swojej dzielnicy, tym większy ogarniał ją niepokój. W powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna woń spalenizny.

Na rue Saint-Julien-le-Pauvre zastała straszliwy widok. Gąszcz lawendy, który kiedyś opadał z okien, spływał kaskadami po fasadzie Zielonego Domu, wypełniał ulicę świeżym zapachem fioletowych kwiatuśzków, zmienił się w wypalone chaszczce. Nie ocalała ani jedna zielona gałązka, ani jeden kwiat.

Pobiegła do drzwi, spoglądając na ściany domu: wszystko wydawało się w porządku. Pożar, lub jakiś inny kataklizm, zniszczył tylko pole lawendy. Przypomniała sobie o Mademoiselle. Pewnie zdechła z głodu...

Poszukała pod doniczką zapasowego klucza; tak jak uczyła ją matka, zawsze chowała go w tym miejscu. Był tam. Podeszła do drzwi i serce podskoczyło jej do gardła: były otwarte.

Nie chciała w to uwierzyć, choć w głębi duszy przeczuwała nieszczęście.
- Siiiiieenna! - krzyknęła rozdzierająco.

Oszalała z niepokoju wbiegła po schodach i wpadła do pokoju Świętej. Drzwi szafy były otwarte na oścież. Kryształowa trumna zniknęła.

71

Gdzie jest Mazarine?

Od jej zniknięcia dni upływały powoli, czas dłużył się niemiłosiernie. Na początku sierpnia Paryż jak zwykle opustoszał. Lekarz psychiatra sam nie wiedział, jaką terapię zastosować wobec siebie. Zawsze taki rozważny, tracił rozsądek, gdy wyobrażał ją sobie w ramionach innego mężczyzny. Nie miał zbyt wiele zajęć.

Pacjenci wyjechali na wakacje z nadzieją, że podróż uzdrowi ich dusze... Nawet udręki i cierpienia marzyły o krótkim choćby wypoczynku. Podczas sierpniowej kanikuły niepokoje, rozterki i smutki ukrywały się za wielkimi okularami słonecznymi; drzemały na plaży, w cieniu rozłożystej palmy albo topiły się w morzu. Niektóre upijały się i przez chwilę czuły się szczęśliwe. Alkohol spływał przelykiem, wypełniał najbardziej bolesną pustkę, aż do zupełnego znieczulenia. Inne z kolei pokrywały siniaki rozpacz i guzy porażek idealną opalenizną. Po wakacjach wszystkie rozterki i troski wracały odczuwane jeszcze boleśniej.

Ukochaną jakby pochłonał jakiś żywioł: ziemia, powietrze, woda albo ogień. Zmęczony przemierzaniem ulic, uznał, że jedyne, co mu pozostało, to czekać. Czekać nie wiadomo na co. Może ona już nigdy nie wróci. Może rozwiała się w

delikatną mgiełkę na horyzoncie nicości?

Nie potrafił wskazać sensownego powodu jej nagłego zniknięcia. Trwał w zawieszeniu i to okropne uczucie nie opuszczało go ani na chwilę.

Tak czy nie?

Niepewność jątrzyła i nie dawała spokoju. Żałował, że żywił się złudzeniami. On, który tyle rozprawiał, że należy skupić się na teraźniejszości, nie odcinając się jednak od przeszłości, zaplanował swoją przyszłość u boku kogoś, kto równie dobrze mógł być zjawą.

Spojrzał na zegarek. Zapadał zmierzch. Poczekalnia przed gabinetem była pusta. Sekretarka już wyszła, życząc mu *bonnes vacances*. Miłych wakaqi? Gdzie? Nigdzie nie wyjedzie. Urlop w tym roku to nie wypoczynek, lecz żmudne szukanie i udręka oczekiwania. Nie zamierzał nikomu o tym mówić, nawet rodzicom. Już dość najadł się wstydu, porzucony bez słowa wyjaśnienia. Z Cadizem i z Sarą nie rozmawiali na ten temat. Matka bezskutecznie starała się go rozerwać, podsuwając coraz to inny pomysł na spędzenie wakacji. Nic go nie cieszyło. Miał wrażenie, że rodzice chcą, żeby jak najszybciej zapomniał o zaręczynach, i próbują mu wmówić, że Mazarine była wytworem jego wyobraźni. Z kim innym pewnie by im się udało, ale on wiedział swoje.

Tego wieczoru postanowił dla odmiany przejść się ulicami Saint-Germain.

Włożył karty pacjentów do szafy, zgasił światło, wyłączył klimatyzację, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, i zamknął gabinet na cały miesiąc. Już miał wejść do windy, gdy usłyszał stłumiony szloch. Odwrócił się.

Jego dziewczyna! Siedziała w kącie na podłodze i płakała.

- *Boże!*

Nie mógł wprost uwierzyć w to, co widzi. To była ona, z bosymi stopami w kałuży łez. Nieskończenie smutna, ale żywa. Podbiegł i przytulił ją.

- Gdzie byłaś? Co się z tobą działo?

Szloch.

- Dlaczego płaczesz?

Cisza.

Wziął ją na ręce. Objęła go za szyję jak bezbronne dziecko. Zaniósł ją do gabinetu i chciał położyć na sofie, ale nie rozluźniła uścisku.

-Już dobrze - powiedział łagodnie. - Zostań tu, przy moim sercu.

Kołysał ją czule i o nic nie pytał. Pozwolił spływać łzom. Tak przesiedzieli do północy, otuleni mrokiem, w ciszy przerywanej łkaniem.

- Nie proszę o wyjaśnienia, musisz jednak wiedzieć, że przemilczane cierpienia zostają w nas na zawsze. Korzenie drzew posadzonych zbyt blisko domu mogą z czasem rozsadzić fundamenty i zniszczyć fasadę. Pamiętaj, *mon petit chou*, nie przestaniesz cierpieć dopóty, dopóki nie postanowisz czegoś zmienić.

Mazarine nie mogła mówić. Po odkryciu kradzieży ciała Sienny straciła głos.

- Pójdziemy do mnie? - spytał, głaszcząc ją po włosach.

Pokręciła głową.

- Jeśli to cię niepokoi, nie będę cię dotykał.

Patrzyła na niego oczami przepelnionymi smutkiem.

- Dlaczego nic nie mówisz?

Znowu objęła go za szyję.

- Ten, kto ci to zrobił, będzie miał ze mną do czynienia. Możesz chodzić?

Skinęła głową.

- Więc chodźmy.

W mieszkaniu w pasażu Dauphine przygotował ciepłą kąpiel z solami i olejkami. Miłe i relaksujące doznania powinny wyrwać ją ze stanu odrętwienia. Rozebrał ją delikatnie i jak małe dziecko włożył do wanny z wodą. Potulnie się na to zgodziła, daleka, z nieobecny spojrzaniem... Bezbronność ukochanej wzbudzała w nim niezmierną czułość.

- Chcesz posłuchać muzyki? - zapytał.

Nie odpowiedziała.

- Chcesz, żebym został z tobą?

Nic. Ani jednego gestu.

-Przygotuję ci napar z rumianku. Zostawię otwarte drzwi, *d'accord*?

Cisza. Mazarine całkowicie straciła głos. Nagła afonia została prawdopodobnie spowodowana bardzo silnym stresem.

Podczas całej swojej praktyki lekarskiej nigdy nie spotkał się z takim przypadkiem, ale gdy był na stażu w szpitalu psychiatrycznym w Buenos Aires, podobny symptom wystąpił u młodej dziewczyny, przyjętej na jego oddział: straciła głos po usłyszeniu rodzinnej tajemnicy. Nie wiedział, jak przebiegało leczenie tej choroby i czy pacjentka odzyskała głos, ponieważ po kilku dniach została przeniesiona do innego pawilonu.

Jak miał pomóc Mazarine, skoro nie znał przyczyny jej przypadłości?

Musi mieć więcej informacji o jej rodzinie i o niej samej.

A gdyby poprosił, żeby napisała na kartce, co się jej przytrafiło?

Wszedł do łazienki. Mazarine zasnęła w wannie. Wziął ją na ręce i ostrożnie zaniósł do łóżka. Osuszył ręcznikiem, założył swoją piżamę i otulił kocem. Czuwał przy niej całą noc, łudząc się, że brzask przywróci jej głos, ale gdy rano otworzyła oczy, zdawało się, że duchem znajduje się gdzie indziej. Jej stan wyraźnie się pogorszył. Nie odwracała głowy w jego stronę, nie reagowała na żadne bodźce wzrokowe i dźwiękowe. Przeprowadził rutynowe badanie ogólne i choć na pozór wszystko było w porządku, wiedział, że w psychice dziewczyny coś pękło. Przeszła mu przez głowę myśl, żeby zawieźć ją do szpitala, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Hospitalizacja nie wchodziła w grę. Miał tylko jedno wyjście: zatrzymać ją u siebie i bacznie obserwować. Postanowił całkowicie się temu poświęcić, byle tylko wyrwać ją z tej otchłani. Nawet gdyby przyszło mu wyrzec się wszystkiego.

O powrocie Mazarine Cadiz dowiedział się dopiero po piętnastu dniach. Sara mu powiedziała, że Pascal nie chce jechać z nimi na wakacje, i w tej sprawie zadzwonił do syna. Pascal, bombardowany pytaniami, w końcu wyznał, że nie może się ruszyć z domu, bo Mazarine wróciła, mieszka u niego i cierpi na coś w rodzaju autyzmu, pograżyła się bowiem w absolutnym milczeniu. Podczas rozmowy z ojcem nie spuszczał ukochanej z oka, siedzącej nieruchomo przy oknie.

-Nie wyjedziemy bez ciebie... i oczywiście bez niej. - Cadiz starał się, by głos nie zdradził, jak bardzo pragnie zobaczyć Mazarine.

Od wielu dni tkwił w atelier i szklankami whisky zagłuszał rozpacz z powodu zniknięcia Mazarine.

- Pozwól, że ja z nią porozmawiam - włączyła się Sara przez głośno mówiący telefon. - Czasami my, kobiety, lepiej się rozumiemy.

- Mamo... to nie jest takie proste. Mam wrażenie, że ona nikogo nie poznaje.

- Powinieneś skonsultować się z jakimś lekarzem - zasugerował Cadiz.

- Zapominasz, że to ja jestem lekarzem? – odpowiedział poirytowany.

- Nie chodzi o to, że nie potrafisz zająć się jej przypadkiem, synu. Po prostu jesteś zbyt osobiście zaangażowany. A może pozwolisz działać mnie?

- Tobie?

- Czemu nie? Może przeszła kryzys twórczy... My, artyści, miewamy problemy, że tak powiem, wyższej natury. Może przy mnie się otworzy.

- Po co ja wam to powiedziałem - rozżłościł się.

- Jesteśmy twoimi rodzicami, Pascalu. Nieważne, dobrymi czy złymi... - Matka usprawiedliwiała się nerwowo. - Zachowywaliśmy się wobec ciebie tak, jak nam na to pozwalały okoliczności, ale kochamy cię i chcemy ci pomóc.

- Najbardziej mi pomożecie, jeśli wyjedziecie na wakacje beze mnie.

Cadiz nie mógł wyjechać, wiedząc, że Mazarine mieszka u syna. To było dla niego za trudne. Pragnął być blisko niej, chronić ją.

- Wiem, że to nie jest najlepszy moment, ale rozmawialiśmy o wspólnej wyprawie i sądziłem, że... - nalegał ojciec.

- Mazarine nie nadaje się do podróży - przerwał Pascal.

- Dlaczego? - spytała Sara. - Może zmiana otoczenia dobrze jej zrobi.

- To nic nie da, mammo.

- Któż z nas nie miał takich problemów? Dlaczego traktujesz ją, jakby była chora? Okaż jej miłość, niech poczuje się kochana. Zawsze wydawała się bardzo samotna. Gdzie się podziała jej rodzina?

- Nie ma rodziny. Jest całkiem sama na świecie.

- Ma nas. To jeszcze jeden powód, żeby wyjechać razem. Ten pomysł wcale nie jest taki bezsensowny. Ja go popieram.

- Możemy pojechać do Maroka i rozbić obóz na pustyni - zaproponował Cadiz.

- To chyba nie jest najlepsze rozwiązanie – powiedział zniechęcony Pascal.

- Nie wiesz, co jest dla niej dobre. Pozwól sobie i jej pomóc - nalegała Sara. - Pustynia ma w sobie magię. Ty jeszcze tego nie doświadczyłeś, ale ja tak. Wiem, o czym mówię. Mazarine jest bardzo wrażliwa. Odnajdzie w tym wielkim oceanie piasku spokój. Potrzebuje tego. Światło, barwy, zapachy rozbudzą jej zmysły, zobaczysz.

Milczał, zagubiony. Zbyt mocno kochał Mazarine, może dlatego nie potrafił znaleźć wyjścia z tej sytuacji. Teraz rozumiał, dlaczego chirurdzy nie operują swoich bliskich. Nie należy mieszać uczuć ze sprawami zawodowymi.

-I co ty na to... Zgadzasz się?

Milczał.

- Pozwól mi z nią porozmawiać - nalegała Sara.

- Dobrze, czekam na ciebie wieczorem, mammo... Przyjdź sama.

- Ja wszystko zorganizuję - powiedział Cadiz, przybierając ojcowski ton. -
Wyjedźmy jak najszybciej.

Zarezerwował w Al-Hamra Maison, kompleksie hotelowym Amanjena, luksusowy *cottage*. Przed wyruszeniem na pustynię zamierzali zatrzymać się parę dni w Marrakeszu. Wzbraniał się przed zaakceptowaniem tego, co usłyszał od syna o Mazarine. Wydawało mu się niemożliwe, aby jej milczenie było przejawem choroby.

Zorganizował całą wyprawę w ciągu jednej doby, myśląc wyłącznie o swojej uczennicy. Mazarine nigdy nie wyjeżdżała z Paryża. Wyobrażał sobie, jakie wrażenie zrobi na niej tak egzotyczne miejsce jak Maroko. Oprowadzi ją po miejscowym suku; dziewczyna oszaleje na widok bogactwa barwników roślinnych na kramach. Kupi wszystkie i nauczy ją, jak je stosować. Wykorzystają nowe możliwości kolorystyczne w obrazach. Stworzą nową technikę malarską. Będą darli kartki, wyrzucali szkice, mieszały kolory... Znowu będzie ją miał tylko dla siebie. Pokaże swoje dzieła na wystawie jeszcze odważniejszej od poprzedniej. Sztuka i miłość zjednoczone. Tym razem powie o niej - swojej muzie - a potem ukryją się w jakimś odległym zakątku świata.

Jego czas dobiegał kresu.

Rzuci wszystko! Porozmawia z Pascalem, z Sarą... Zrozumieją. A jeśli nie, tym gorzej dla nich. Mazarine należy do niego. Syn pojawił się później. Nie pozwoli jej sobie odebrać.

Sprawiedliwość i wolność... Cóż za paradoks! Dwa wykluczające się koncepty. Słowa lądują na śmietniku, gdy próbuje się za wszelką cenę osiągnąć jakiś cel.

Ostatnia szansa, żeby zacząć wszystko od początku.

Nie chodziło mu o założenie nowej rodziny ani o rozsiewanie plemników, tworzenie nowych bytów przysparzających trosk, lecz o przeżywanie w pełni je-
sieni życia, otwarcia się na rozkosz, pożądanie, cielesność. Jeszcze głębiej od-
czuwać... Wznieść zmysłowość na sam szczyt, osiągnąć wyżyny natchnienia.
Rzucić wyzwanie przemijaniu, oprzeć się działaniu czasu, wygrać nierówną walkę
z tym drapieżcą. Zebrać okruchy rzucane w darze przez tego łaskawego bożka i
rzucić mu je w twarz. Definitywnie skończyć z uprawianym dotąd szalbierstwem.

Na koniec zrozumiał, w czym tkwi pułapka. Teraz pragnął wszystkiego.
Tylko po co, skoro zmysły powoli przestawały działać? Czyż nie po to są, aby
odczuwać? To była właśnie ta chwila, i jeśli wszyscy pomyślą, że oszalał, tym
lepiej. Szaleństwo to cecha twórców. Powiedzą: Cadiz oszalał! A dlaczego? Bo
próbował być szczęśliwy. Niech żyje szaleństwo, skoro tylko tak można osiągnąć
szczęście. W masce szaleńca spojrzy ludziom prosto w oczy, nie zważając na ich
opinię.

Do ilu jeszcze okruchów szczęścia miał prawo? A jeśli, jako istota ludzka,
miał ochotę na cały tort, na napełnienie się radością aż do przesyty? A gdyby sam
sobie przyznał to prawo? Tak. Będzie szczęśliwy i tym samym uszczęśliwi Ma-
zarine.

Cadiz, nakrecony przedziwną spiralą myśli, cały wibrował. Planował, roz-
myślał, marzył...

On i Mazarine zagubieni w labiryncie kramików na suku, wdychający nie-
znane wonie i aromaty... Odurzeni zapachem jaśminu, róż i drzewa sandałowego.

On i Mazarine żartujący ze sprzedawcą kameleonów; położy sobie jaszczurkę
na piersi, żeby zobaczyć, jak ona śmieje się i krzyczy ze strachu.

On i Mazarine, w arabskim sklepiku, spowici zapachem świeżo oheblowa-
nego cedru; ukryci wśród drewnianych skrzyń, bel lnu i arabskich papuci, kradną

sobie nawzajem pieszczoty i pocałunki.

On i Mazarine obserwujący cudowny chaos panujący na arabskich uliczkach, pełnych gwaru i harmidru.

O zachodzie słońca pokaże jej cienie ukazujące się na kilometrach splekanych murów, plac Dżamaa el-Fna z zaklinaczami węży, bazarzami tysiącletnich baśni i kobietami ukrywającymi przed spojrzeniami obcych ciało pokryte kunsztownymi zdobieniami wykonanymi henną...

Znowu wrócą do malowania, do rozmów o przemijaniu, tak jak to robili dawniej; podczas popołudni spędzanych na malowaniu.

Tak, podczas tej podróży Mazarine zrozumie, że pomimo jej głupiego uporu i wyniosłej dumy kocha ją do szaleństwa.

Właśnie studiował trasę podróży, przesłaną przez agendę turystyczną, gdy wróciła Sara, przygnębiona wizytą u syna.

-I co? - spytał, z trudem ukrywając niepokój. - Jak ona się czuje?

- Fatalnie. Myślę, że biedaczkę gnębi jakiś głębszy problem. Mówiłam do niej, ale nawet na mnie nie spojrzała. Tak jakby była zupełnie gdzie indziej. Nie wiem, czy ma sens podróżować z nią w takim stanie.

- Oczywiście, że ma sens, Saro. Odmiana dobrze jej robi. Wszyscy się o nią zatroszczymy, niczego jej nie zabraknie.

- Żal mi Pascala. Bardzo się o nią martwi. On ją naprawdę kocha.

Cadiz poderwał się raptownie i ruszył do drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała Sara.

Nie odpowiedział. A gdyby tak ją odwiedził?

Już na progu mieszkania syna pożałował swojej decyzji Martwił się, że gdy Mazarine go rozpozna, nie będzie chciała na niego patrzeć. Pragnął ją nie tylko zobaczyć, ale także przytulić i zabrać stamtąd.

- Stało się coś? - spytał Pascal, przytrzymując otwarte drzwi. - Nie wejdiesz?

- Gdzie ona jest?

- W salonie.

Na tle wielkiego okna w głębi salonu rysowała się postać uczennicy. Połyskliwa otoczka nadawała jej pozór nierealności. Siedziała twarzą do okna, otulona kokonem ciszy rozciągającej się na całe wnętrze, izolującej ją od świata. Białe stopy odbijały się białą plamą od ciemnego parkietu. Nie drgnęła na dźwięk otwieranych drzwi.

- Spędza tak całe dni. Nie wstaje nawet na posiłki. Dzisiaj wprowadziła jedną zmianę; przeszukała moją szafę i założyła czarny płaszcz, który tam znalazła.

- Weźmiemy ją ze sobą.

- Tak uważasz, tato?

- Jestem najzupełniej pewny.

- A jeśli nie wyzdrowieje?

- Na pewno dojdzie do siebie.

- Obyś miał rację.

- To malarka, nie znam artysty obojętnego na piękno. Jeśli szuka ciszy, damy jej najpiękniejszą ciszę, jaka istnieje. Nieskończoną ciszę światła i złocistego pyłu, zabarwionego słońcem i samotnością.

- A jeśli nie zacznie mówić?

- Przebudzi się.

Spotkali się na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Cadiz zobaczył ich z daleka, ale nie powiedział Sarze. Syn obejmował Mazarine i prowadził jak bezwolną istotę. Nie udało mu się zmusić jej do włożenia butów ani ubrać w nic innego, oprócz starego czarnego płaszcza. Wyglądała jak nie z tego świata. Widoczna niemota, nasilająca się *in crescendo*, obojętność marmuru i nieobecne spojrzenie przyciągały wzrok ludzi błakających się po hali odlotów. Patrzyli na nią urzeczeni posagową wyniosłością. W miarę jak kroczyła, ciągnąc za sobą długi płaszcz, hałas zamierał. Nikt nie śmiał naruszyć jej spokoju.

Ten tragiczny widok uświadomił Cadizowi, jak bardzo jest bezsilny. Zawsze dostawał to, czego chciał. Teraz pragnął jednego: przywrócić Mazarine do życia. Nie pozwoli jej zatracić się w mrocznym świecie. Podeszedł do niej, objął czule i szepnął „maleńka”. Nie zareagowała.

Sara również odniosła wrażenie, że od czasu, gdy widziała Mazarine w domu syna, jeszcze bardziej się oddaliła i jakby wypiękniała.

Wynajęli prywatny samolot i przez trzy długie godziny lotu nic nie mówili, jakby w obawie, że wypowiedzenie choćby jednego słowa zaszkodzi Mazarine.

Cztery samotne istnienia; wariacje na temat niemożności porozumienia się.

Cadiz topił strapienie w whisky z lodem, na próżno próbując zapomnieć. Bose stopy uczennicy przypominały mu lekcje malarstwa w La Ruche, chwile przesycone erotyzmem i wspólne wybuchy śmiechu.

Sara, aby zająć czymś myśli, czytała po raz enty *Sonatę Kreutzerowską* Tołstoja. Wspomnienie romansu z Germanem pozostawiło uczucie tęsknoty i pustki.

Pascal podtrzymywał ramieniem głowę Śpiącej Królowej i głaskał jej dłonie. Marzył, że znajdzie czarodziejskie zaklęcie i wybudzi ją ze snu.

Mazarine, wielka nieobecna, śniła, że jest uśpioną wśród krzewów lawendy

szlachcianką. Umarła i zapadła się w nicość.

Wylądowali w Warzazacie przed zapadnięciem zmroku. Po długiej dyskusji, co jest dobre dla Mazarine, a co nie, jednogłośnie postanowili nie zatrzymywać się przejazdem w Marrakeszu, ponieważ uznali, że w mieście jest zbyt gwarno.

Z lotniska pojechali taksówką do Skoury - bramy pustyni. Kierowca zatrzymał się pod hotelem Dar Ahlam - jednym z najbardziej luksusowych na świecie. Noc przed wyprawą na grzbietach wielbłądów przez nieskończone morze piasków spędzą w apartamencie z dwiema sypialniami, z widokiem na palmy, fontannę i kwietne rabaty.

Po lekkiej kolacji przy świecach zapachowych, w atmosferze tajemniczości potęgowanej ukradkowymi spojrzeniami i półmrokiem, udali się na spoczynek.

Cadiz nie mógł zasnąć. Przemknął w mroku korytarza, oświetlonego jedynie świecami w kandelabrach do sypialni Pascala i Mazarine. Przez uchylone drzwi bezszelestnie wsunął się do środka. Delikatne światło księżyca padało wprost na twarz uczennicy skulonej u boku jego syna. Przez chwilę obserwował oboje. Stanowili bardzo ładną parę. Czuł wściekłość i ból, frustrację i miłość. Patrzył na Pascala, walcząc ze sobą. Kochał tego chłopaka - krew z jego krwi, kość z kości. Czy mógł go skrzywdzić?

Potem spojrzał na nią. Jego maleńka, jego życie. Zapragnął wziąć ją na ręce i wynieść z sypialni. Czemu syn stanął między nimi?

Nie potrafił wybić jej sobie z głowy. Ta obsesja doprowadzała go do szaleństwa. Fizyczna więź z Sarą umarła śmiercią naturalną. Żadna siła jej nie wskrzesi. Cierpiał na impotencję, ale żar w nim jeszcze się tlił. Pożądał młodego ciała, pragnął posiąść Mazarine. Mieć ją przy sobie, choćby tylko po to, aby całować jej stopy, lizać i ssać palce, malować i pieścić.

Nagle Mazarine cicho jęknęła, co obudziło Pascala.

- Co ty tu robisz? - zapytał zaskoczony.

- Przepraszam, synku, nie mogłem zasnąć. Zobaczyłem otwarte drzwi i pomyślałem...

- Ciii... - przerwał mu Pascal. - Mów ciszej, obudzisz ją. Co pomyślałeś?

Zbiłeś mnie z pantałyku... - Cadiz zamilkł na chwilę. - O, już wiem. Pomyślałem, że gdybyśmy jej dali płótno i farby... gdyby zaczęła malować...

- Niezły pomysł. Nie rozumiem, dlaczego sam na to nie wpadłem. Możemy o tym porozmawiać rano?

Ale nie rozmawiali.

Pochłoneła ich codzienna krzątanina. Sara poszła na suk po ubranie dla Mazarine, która początkowo wzbraniała się przed zdjęciem czarnego płaszcza, w końcu jednak zgodziła się na czarną galabiję. Cadiz pobiegł do sklepiku z przyborami artystycznymi i wrócił obładowany farbami, barwnikami, pędzlami i płótnami.

Na grzbietach wielbłądów dotarli pod wieczór na pustynię. W obozowisku czekało już na nich płonące ognisko, a wokół niego muzykanci, którzy na ich widok zaczęli grać.

Donośne dźwięki *Krakesh* i *Tbel* wydobywane z berberyjskich *zghorit* stworzyły niepowtarzalny koncert, nadający magii ciemnościom.

Mazarine wodziła wzrokiem po niewyobrażalnie wysokim niebie i zdawała się reagować na koronkowe konstelacje gwiazd i mgławice. Przez chwilę Pascal miał wrażenie, że na ustach ukochanej pojawił się lekki uśmiech.

Stali się nomadami. Codziennie rano składali obozowisko i do nocy przemierzali bezkresną pustynię. Rankiem rozkoszowali się pejzażem, po południu zwiedzali oazy, a wieczorem objadali marokańskim tadżinem, daktylami i suszonymi owocami. W ciepłe ogniska i dźwiękach muzyki smakowali wyśmienite potrawy.

Dokądkolwiek się udawali, podążała za nimi karawana Arabów, którzy

wprost zgadywali ich życzenia.

Mazarine uczestniczyła w wyprawie nieobecna duchem.

Niemo wpatrywała się w ogień, jakby miał ozdrowieńczą moc.

Cadiz godzinami przesiadywał w osobnym namiocie, który służył mu za atelier. Wzmacniając się whisky, portretował berberyjskie kobiety; pośredni sposób realizacji niedorzecznego pomysłu namalowania Mazarine.

Pascal spokojnie czekał, aż stanie się cud i Mazarine przemówi.

Sara z aparatem w ręku fotografowała wszystko, co wydało się jej interesujące.

Pewnego dnia, w porywie twórczego szaleństwa, postanowiła wybrać się w głąb pustyni zrobić zdjęcia „niebieskim ludziom”, wśród miejscowych plemion wyróżniających się urodą. Nazywano ten lud wygnańcami bez ojczyzny. Wypędzeni dwa tysiące lat temu z Egiptu, zawędrowali na pustynię i choć niedobrowolnie, stali się dziedzicami rozległej przestrzeni, wtedy zielonej i żyznej. Chciała zrobić reportaż o świecie, którego już nie ma. Nadzy przedefilują przed obiektywem aparatu w bolesnym exodusie, stąpając niebieskimi stopami po żółtej, spalonej słońcem jałowej ziemi. Pragnęła pokazać prawdę o życiu koczowników.

W asyście dwóch pomocników wyruszyła do osady, gdzie podobno kultywuje się jeszcze stare obyczaje nomadzkie. Zamierzała zamieszkać tam, zaprzyjaźnić się z niebieskimi ludźmi i tym samym sprawić, że będą zachowywali się przy niej swobodnie.

Umówiła się z mężem, że wróci za parę dni.

Tej nocy, przy ognisku i dźwiękach pieśni *Houariat*, Cadiz poczuł na sobie wzrok Mazarine. Wpatrywała się w niego uporczywie płonącymi oczami.

Wróciła? Musiał to sprawdzić.

Dotarli do oazy, gdzie wśród palm stała stara kazba, przekształcona w miejsce uprawiania kultu ciała. Pałacowe sale, baseny z pachnącą kwiatami wodą, majolikowe kolumny, posadzki wykładane arabskimi mozaikami, tworzyły wyszukaną scenerię kuszącą wręcz do wypoczynku. W tym raju skóra odżywała, poddana masażom, aromaterapii, kąpielom, zabiegom złuszczenia naskórka, namaszczenia wonnymi olejkami.

By zachować ducha przygody, Cadiz kazał rozstawić namioty z dala od tego czarownego miejsca.

Przez całe popołudnie Mazarine siedziała pod palmą ze wzrokiem wbitym w wydmy albo szkicując w notatniku wymyślone pejzaże. Pascal studiował podręcznik psychiatrii, dociekając przyczyn zaburzeń u jednego ze swoich pacjentów. Cadiz ukradkiem obserwował dziewczynę. Od czasu do czasu odwracała głowę, jakby wyczuwając jego wzrok, i znowu pogrążała się w marzeniach.

Dłużej tego nie wytrzyma!

Był pewny, że Mazarine bawi się nimi dwoma. Bo niby dlaczego wpatrywała się w niego w taki sposób? Podczas kolacji to zasypywała stopy piaskiem, to je odkopywała. Czuł na sobie jej rozjarzony wzrok. Wyraźnie go prowokowała.

Dotknie ją, przesunie dłońmi po ciele, namaluje palcami, wydobędzie z niej jęk, westchnienie, poruszy nią aż do głębi i wyrwie z okowów milczenia.

Jednym haustem wypił szklanekę zmrożonej whisky, którą podał mu służący, i zniknął na parę godzin.

Wrócił przed północą. Mazarine leżała na piasku z rozpostartymi ramionami, z oczyma utkwionymi w rozgwieżdżonym niebie.

- Witaj, maleńka... Nadzwyczajny obraz, prawda? - powiedział, wpatrując się w nieboskłon.

Nie odwróciła głowy.

- Już ich nie ma. Większość gwiazd, które widzisz, zgasła tysiące lat temu. Pozostały tam wypalone. Co za poświęcenie i doskonałe wyczucie piękna!

Żadnej oznaki, że go słyszy.

- Gdzie jest Pascal?

Nawet na niego nie spojrziała.

- Może razem przenieśliśmy ten obraz na płótno? Co ty na to? - spytał, wskazując na niebo. Nie doczekał się odpowiedzi. Nie wierzył, że Mazarine go nie słyszy. - Poczekaj, maleńka. Zaraz wracam.

W namiocie zastał Pasicala śpiącego przy zapalanej lampce z podręcznikiem psychiatrii rozłożonym na piersi. Wszedł ostrożnie i zgasił światło. Gdy wrócił, Mazarine nie było. Zrozpaczony zaczął jej szukać wśród wydm. Kamienny spokój pustyni obezwładniał. W oddali, na tle ciemnego nieba, odcinał się wyraźnie kontur starych budowli. Nagle zobaczył ją. Biegła naga w stronę oazy. Czy były to nocne zwidy, czy fatamorgana?

Dogonił ją.

- Czego ty chcesz ode mnie? - spytał, chwytając ją za rękę.

Mazarine uwolniła się i nawet na niego nie spojrzawszy, szła w stronę kazby. Znowu chwycił ją za rękę, tym razem delikatniej, i poprowadził wprost do bramy pałacu, którą na jego prośbę pozostawiono otwartą.

Weszli.

Pałacowe westybule były puste. Echo ich kroków zakłócało panującą w środku ciszę, przesyconą zapachem mięty, ziół i piżma.

- Chodź...

Poprowadził ją do części, gdzie mieściły się łaźnie i baseny. Wątle światło lampek rozjaśniało zakamarki i nadawało temu miejscu wygląd sanktuarium.

Wielobarwne strumienie wypuszczane z fontann marszczyły powierzchnię wody. Panująca tu atmosfera była przesycona magią.

Minęli wielką salę i znaleźli się w hammanie. Gdy Cadiz otworzył drzwi, owiało ich wonne, wilgotne powietrze. W głębi, w otoczeniu flakoników z olejkami, ampułek z henną oraz kadzidełek, oczekiwała ich zjawiskowa postać kobiety w czarnym turbanie.

- *Vous pouvez partir, madame* - powiedział Cadiz.

- *Bonsoir, sidi. Bonsoir, lala* - odpowiedziała i zniknęła we mgle.

-Maleńka... Przygotuję cię do rytualnej kąpieli, jakiej w marokańskim hammanie zwyczajowo poddają się panny młode przed ceremonią zaślubin.

Mazarine wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym wyniosłej łagodności. Obnosiła się ze swoją nagością z gracją księżniczki.

- Stój i nie ruszaj się - nakazał.

Staneła bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w mistrza.

- A teraz rozstaw nogi.

Nie posłuchała.

- No dalej... rozstaw nogi. Nie bój się. - Ukląkł na podłodze. - Chcę cię umyć, maleńka.

Nagość ukochanej wywoływała w nim rozkoszne podniecenie. Zwierzęce pożądanie, odczuwane jeszcze niedawno, przemieniło się w łagodność. Pragnął ją pieścić powoli i łagodnie. Namydlił ją jak małe dziecko, a następnie splukał ciepłą wodą czerpaną miedzianym rondelkiem z cysterny.

Oblewał ją całą - od stóp do głów.

Sprawiało jej to widoczną przyjemność.

Woda wzbudzała w niej pierwotną rozkosz. Poprzez rytuał kąpieli stawała się częścią wodnego wszechświata. Czowała, jak rozszerzają się pory skóry. Woda ściekała stróżkami po spragnionym ciele, pieszcząc je wilgotnym ciepłem. Dłonie malarza namydlały ją płatkami pachnącymi różą i mokrą ziemią. Skóra powoli

ożywała.

Palce artysty zsuwały się delikatnie w dół, badały zakamarki ciała, linie, krągłości i zagłębienia. Wydobywały z niej nieme jęki, rozjarzyły blaskiem złote tęczówki oczu. Nie przestawał jej pieścić. Dłonie mistrza obrysowywały dziewczęce kształty, wdzierały się, penetrowały i umykały. Ona, zmieniona w żywe płótno, trwała z kamiennym, nieruchomym spojrzeniem, zatopiona w rozkoszy, pozwalająca na wszystko.

- A teraz oczyszczę cię.

Pomógł jej ułożyć się wygodnie na podeście z mokrych płytek. Bezwładne ciało poddawało się jego woli. Mazarine pragnęła przeżywać, czuć, doświadczać coraz więcej... Natarta szorstką rękawicą skóra zaróżowiła się, stała się gładka i lśniąca. Jak w pradawnym obrzędzie obmywał ją ceremonialnie i polewał z wyrafinowanym spokojem wodą. Świadomość, że jest mu powolna, uległa, uszczęśliwiała go. Wymyślne pieszczoty malowane na jej ciele budziły w nim mroczne pożądanie.

Mazarine wydawała się spragniona dotyku jego szorstkich dłoni.

- Wiesz, co to jest? - szepnął jej do ucha i wskazał misę, wypełnioną wonną masą. - To glinka. Pokryję cię nią.

Na ustach Mazarine pojawił się lekki uśmiech.

- Podoba ci się, co?

Nabrała pełną garść masy i rzuciła mu w twarz.

- Chcesz się bawić...

Poderwała się i wylała na swego mistrza zawartość misy.

- Już dobrze, poddaję się. Rób ze mną, co chcesz.

Usiadła na nim okrakiem i w milczeniu smarowała go glinką, aż zużyła całą.

- Jeszcze nie skończyliśmy, maleńka - powiedział. - To nie koniec zabawy, niegrzeczna dziewczynko. Teraz połóż się i zamknij oczy.

Mazarine nie spuszczała z niego wzroku.

- Bądź posłuszna, bo...

Znowu się uśmiechnęła. Spodobała jej się ta zabawa. Ułożyła się na posadzce i zamknęła oczy, tak jak kazał. Spadająca na nią kaskadami woda pozostawiała wrażenie świeżości, jak ssane w dzieciństwie pastylki miętowe.

- Nie ruszaj się i nie otwieraj oczu.

Z puzderka z drewna sandałowego wyjął bawełniane płatki, namoczył je w wodzie różanej i położył na powiekach Mazarine. Ręcznikiem, również nasączonym wodą różaną, wycierał kolejno palce jej stóp i całował.

Mazarine czuła język mistrza zadający jej gwałt, wnikaający w przestrzenie między palcami u stóp, nienasycone usta obejmujące każdy z nich z osobna. Jęczała bezgłośnie z rozkoszy.

Gdy przed świtem wychodzili z pałacu, wyglądała na bardzo szczęśliwą. Białe słońce wychyło się zza wydm, twarze owiewał delikatny wietrzyk. Cadiz okrył Mazarine białą galabiją i mocno przytulił. Kochał ją. Teraz był tego pewny. Nie może się z nią rozstać.

Po rytualnym myciu odżył. Jak w młodości, jego członek prężył się zwycięsko, stawał, rósł... Znowu czuł.

To ona dokonała tego cudu.

Gdzie ona się podziała?

W środku nocy Pascal jak szalony szukał Mazarine po całym obozowisku. Przebudził się raptownie ze snu i stwierdziwszy, że nie ma jej obok niego, wybiegł z namiotu. Nie dostrzegł jej pod palmami, gdzie spędziła całe popołudnie. Zajrzał do prowizorycznej łaźni i do położonych kilka metrów dalej namiotów pełniących funkcję salonu, gdzie miała zwyczaj objadać się daktylami, oraz atelier, dokąd

mogła się zapaść, wiedzona ciekawością. Była piąta nad ranem. Mazarine zniknęła.

Zrozpaczony, chciał poprosić ojca o pomoc, ale nie zastał go w namiocie.

Obozowisko powoli budziło się do życia. Ludzie w niebieskich galabijach karmili wielbłądy, służący szykowali śniadanie. Nie mógł się z nimi dogadać, bo nie znał arabskiego. W końcu jeden z nich wydukał w szkolnej francuszczyźnie, że widział dziewczynę w towarzystwie malarza.

Pascal się uspokoił. Z ojcem nic jej nie groziło.

Jakiś kilometr dalej przytuleni do siebie Cadiz i Mazarine podziwiali wschód słońca.

Pofałdowany wydmami krajobraz tchnął dostojną ciszą, jakby w oczekiwaniu na pierwsze promienie słońca.

- Przed tobą - powiedział Cadiz, rozkładając ramiona - rozciąga się przestwór suchego oceanu. Posłuchaj, maleńka... To miejsce mówi, oznajmia nam, że jesteśmy częścią nicości... zawieszeni w próżni... Rozkoszuj się tym.

Mazarine zamknęła oczy i położyła się na piasku. Cadiz nie spuszczał z niej wzroku. Galabija rozchyliła się i odkryła jej różową delikatną pierś. Wyglądała jak nierealny, przejrzysty, wilgotny pączek róży. Znowu rozbudziły się w nim zmysły. Podniecenie rozsadzało mu czaszkę.

- Jesteś piękna - powiedział, zataczając palcem krąg wokół otoczki piersi.

Słońce wyjrzało zza horyzontu i oblało Mazarine złotawą poświatą. Nieukończony morze piasku przybrało odcień bursztynu.

Cadiz rozsunął galabiję i obnażył obie piersi Mazarine. Dotyk jego dłoni sprawił jej niewysłowioną rozkosz.

W ciszy rozgrzanego pustkowia malarz nabierał pełne garści piasku i powoli posypywał nim całe ciało dziewczyny. Delikatna strużka zsuwała się po szyi, spływała jedwabście po piersiach, pokryła wgłębienie pępka i kreśląc geometryczne wzory, zatrzymała się na brzuchu. Pod wpływem tych doznań stwardniały

jej sutki.

Świtało.

Jeszcze więcej piasku. Złote cząsteczki opadały nieprzerwanym strumieniem na jej rozpalone łono. Chciała krzyczeć... Dlaczego nie mogła krzyczeć, skoro umierała z rozkoszy?

Cadiz powoli, bardzo powoli rozchyłał językiem jej wargi, wnikał do środka, nawilżał śliną. Pragnęła wykrzyczeć: „Niech to się nigdy nie skończy!”, ale słowa wymykały się, uciekały, jak piasek pod oddechem malarza. Jej czyste, namaszczone wonnościami ciało, malowane i modelowane dłońmi artysty, nie należało mąż do niej, lecz do tego, który je rozbudził. Nic już nie było ważne. Nic się nie liczyło. Dała się porwać namiętności. W uniesieniu pozwalała na wszystko, a on upajał się nią, gryzł i niszczył.

Nic nie mogło go powstrzymać. Nie tym razem.

Pożądanie szukało spełnienia.

Żadnych pieszczot, podziwiania, uprawiania sztuki dla sztuki.

Posiadzie ją, choćby miał potem umrzeć, zniknąć na zawsze z jej życia, zmienić się w proch.

Powiał wiatr. Promienie słońca padały wprost na plecy Cadiza. Rozsunął nogi Mazarine i jednym gwałtownym ruchem wszedł w nią.

W jej wnętrzu rozwarła się droga. Bariera pękła pod naporem. Ból i rozkosz przeszły Mazarine na wskroś. Ściekające po policzkach łzy mieszały się ze łzami mistrza.

Szlochali. Jedno pchnięcie, drugie, trzecie. Ból, rozkosz, ból, rozkosz, rozkosz, rozkosz... Mazarine krzyknęła i tym razem Cadiz ją usłyszał.

Wróciła do życia.

Widział ich z daleka. Na tle wschodzącego słońca rysowały się na wzgórzu dwa białe punkty. To byli oni, choć biała galabija nie pasowała do posępnej czerni, noszonej zazwyczaj przez Mazarine.

Ucieszył się. Próbował przyspieszyć kroku, ale nogi grzęzły w piasku, co spowalniało ruchy. Wiatr wznosił przed jego oczami welon z rozpylonych złotych drobinek, zasłaniający wyraźny widok. Brnął jednak z uporem.

- Mazariine... Cadiz... - zawołał z nadzieją, że usłyszą jego głos.

Nie odpowiadali. Co takiego robili? Zbliżał się mozolnie, parł niestrudzenie naprzód, mimo to odnosił wrażenie, że się od nich oddala. To słynna fatamorgana sprawiała, że na pustyni odległość zdawała się zwiększać i zmniejszać, niezależnie od rzeczywistego dystansu.

Po dziesięciu minutach miał ich przed sobą. Siedzieli odwróceny do niego plecami; ojciec otaczał ramieniem jego ukochaną. Rozmawiali czy się przesyłszali? Głos Mazarine brzmiał bardzo wyraźnie w zalegającej wokół ciszy.

Znowu wykrzyknął ich imiona i tym razem Cadiz odwrócił się.

Co robić?

Syn nadchodził szczęśliwy, radosny.

- *Mon amour...* - powiedział Pascal. Podszedł do Mazarine i mocno ją objął. - Nie mogę w to uwierzyć: ty mówisz. Wiesz, co to znaczy? Odzyskałaś głos. Jakiego czary zastosował mój ojciec, że w końcu przemówiłaś?

Zmieszana Mazarine pozwoliła się przytulić. Ciągle jeszcze drżała po wstrząsie, który przebudził ją do życia.

Cadiz podniósł się i ruszył w stronę obozu.

- Nie odchódź - poprosił Pascal. - Musisz zdradzić mi to magiczne zaklęcie.

- Jestem zmęczony, synku. Bardzo zmęczony. Jeśli nie sprawi ci to różnicy, porozmawiamy później... - Spojrzał na Mazarine. - Ty też powinnaś odpocząć, maleńka. To była długa noc.

Pascal popatrzył na ukochaną nieoczekiwanie posmutniałą.

- Chciałabym zostać sama.

- Mam wrażenie, że przerwałem wam coś ważnego wtrącił zdenerwowany Pascal.

Cadiz i Mazarine spojrzeli na siebie.

- Ona tylko odzyskała świadomość własnych zmysłów, Pascalu - wyjaśnił Cadiz, patrząc z czułością na swoją uczennicę. - Stał się cud, prawda, Mazarine? Natura dokonała reszty. Ten świt, przestrzeń... Być może to spowodowało, że przemówiła właśnie dzisiaj... - Słowa wypowiedane znużonym głosem rozwiewał wiatr. - Zostawiam was samych.

- Może wrócimy wszyscy troje? - spytał Pascal, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

- Ja zostaję - powiedziała Mazarine.

- Dobrze, kochanie. - Pascal przelotnie pocałował ją w usta. - Nie przysparzaj mi nowych cierpień. Nie zniknij znowu.

W obozowisku czekała już na nich Sara, szczęśliwa, obładowana naszyjnikami.

- Popatrzcie - powiedziała, pokazując dłonie przyozdobione malunkami henną. - Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki reportaż zrobiłam w wiosce nomadów... Co się dzieje?

Dwa dni mnie nie było, a wy jesteście jacyś inni, sama nie wiem, jakby odmienieni. Co z Mazarine?

Pascal podszedł do matki i przytulił ją.

- Zaczęła mówić.

- Naprawdę? To wspaniała wiadomość. Kiedy?

- Dzisiaj.

- Jak to się stało?

Pascal spojrział na ojca pytającym wzrokiem i Cadiz postanowił opowiedzieć:

- Spotkałem ją w nocy, spacerującą po wydmach - zaczął swoją opowieść. - Przyszło mi do głowy, że dobrze by jej zrobiła prawdziwa rytualna kąpiel w marokańskiej łaźni parowej, hammanie... Wiesz, jak to wspaniale działa. Zostawiłem ją tam. Jestem pewny, że właśnie kąpiel jej pomogła, bo gdy rano po nią wróciłem, przemówiła.

- Gdzie ona teraz jest?

- Zaraz przyjdzie, mammo.

- Musimy to jakoś uczcić. Co wy na to? - Sara popatrzyła z radością na męża i syna. - Napijemy się szampana!

79

Na nic zdała się troskliwość i czas poświęcony na tłumaczenie doktryny Arts Amantis. Dziewczyna uciekła przez przewód wentylacyjny w łazience. Opuściła go bez słowa i tą ucieczką pokrzyżowała mu plany.

- Niewdzięczna! - mamrotał Mężczyzna o Zamglonych Oczach, zbierając rozsypane na podłodze szkło ze zbitej szybki.

Znał na pamięć Zielony Dom. Może ją porwać? Koniec końców była równie samotna i bezbronna jak on. Dwoje zagubionych ludzi dotrzymywałoby sobie towarzystwa, zjednoczonych w nieufności wobec świata, co sprawiało, że życie mijало obok. Razem stawialiby czoło złudzeniu, że panują nad swoim losem. Zamieszkałby z nią. Energia emanująca z jej dziewiczego ciała dodawałaby mu siły, tak potrzebnej do udowodnienia członkom zakonu, że odrażający i budzący wstępną Jeremie jest więcej wart niż wszyscy oni razem wzięci.

Nie, teraz pozostało tylko cierpliwie czekać. Każdy ruch z jego strony mógłby wzbudzić podejrzenie. Jeśli to prawda, że mistrz zakonu chce się zbliżyć do Mazarine, lepiej, żeby go przy niej nie było; nie tak to sobie zamyślił. Podczas ostatniego zebrania przyrzekł trzymać się z dala od dziewczyny i nie dotrzymał słowa.

Nie zamierzał opowiadać braciom o tym, co się zdarzyło, więc nie pojawiał się na spotkaniach. Miał dosyć przynależności do grona słabeuszy. Odrodzona doktryna przekształci zakon w coś naprawdę wielkiego. Sztuka i miłość - oto genialna idea, która nagle mu się objawiła. Ludzie wzdychający do dawno minionej świetności są skazani na przegraną.

Połączył się z Internetem i długo szukał w sieci tropu prowadzącego do mafii handlującej relikwiami. Ciekawe, ile mu zapłacą za to, co ma im do zaoferowania...

Arcadius uwielbiał letni deszcz, ponieważ odświeżał nie tylko powietrze, ale i duszę. Burza, która właśnie rozpuściła się nad Paryżem, przesycała ulice zapachem dziegciu. Rue Sairit-Jacques spływały strugi wody. Miał przy sobie parasol, ale go nie otworzył. Zaskoczony ulewą, z przyjemnością wystawił twarz na spadające z nieba krople. Obojętność na takie chwile prowadzi do lekceważenia wszystkiego i wszystkich, a on miał jeszcze wiele rzeczy do zrobienia.

Bardzo tęsknił za Mazarine. To ona przywróciła mu chęć do życia, nauczyła chodzić w deszczu bez parasola. Teraz zrozumiał, dlaczego z uporem chodzi boso: to forma młodzieńczego buntu. Zrozumiał też, dlaczego ukrywa prawdę.

Odkąd widzieli się w katakumbach, minęły dwa miesiące.

Została mu po niej Mademoiselle, jego nieodłączna towarzyszka. Wygłaszał

przed nią swoje monologi, w domyśle skierowane do jej właścicielki.

- Wiesz co, Mademoiselle? - mówił. - My, ludzie, niepotrzebnie komplikujemy sobie życie i doszukujemy się w nim sensu. Pisarze opisują w swoich dziełach mroczną stronę własnego ja. Malarze próbują wyrazić kolorami i kształtami najbardziej skryte myśli i uczucia, których nie mają odwagi wypowiedzieć na głos. Ci, którzy strzegą sekretów, w głębi duszy pragną je komuś powierzyć. Ci, którzy nas uczą, w rzeczywistości sami są spragnieni wiedzy. Ci, którzy nienawidzą, po prostu potrzebują miłości. Ci, którzy nic nie mówią, chcą być wysłuchani. Krzykacze rozpaczliwie poszukują ciszy. Doprawdy, jesteśmy bardzo dziwni...

Kotka mrużyła oczy i odwracała łepkę.

Doszedłszy do rue Galande, spochmurniał. Bez Mazarine to miejsce już nie było takie samo, jak przedtem.

Przed miesiącem zastał u Mazarine jakiegoś pomyłonego, zaślinionego włóczęgę, który utrzymywał, że jest jej wujkiem, w co oczywiście Arcadius nie wierzył. Wyrzucił go na zbity pysk i odtąd postanowił strzec Zielonego Domu osobiście. Kłoszard zdążył już niestety zdemontować część sprzętów domowych i sprzedać na wódkę.

Początkowo uznał zniknięcie Mazarine za przejaw jej ekscentrycznego zachowania, jednak gdy długo nie dawała znaku życia, zaczął się o nią martwić.

Znał zakamarki i skrytki w tym domu. Wszystkie stare kamieniczki na tej ulicy zostały bowiem zbudowane według jednego projektu; jedna z nich należała do niego. Całe popołudnia spędzał na szperaniu po szufladach, szukając odpowiedzi na pytania, których Mazarine nie chciała mu udzielić.

Ze znalezionych dokumentów dowiedział się, że nie miała rodziców ani rodzeństwa, utrzymywała się ze skromnej renty, a jej życie było płataniną zdarzeń pozornie bez sensu. Z pasją zbierała wycinki prasowe dotyczące malarskiej sławy,

kontrowersyjnego i podziwianego Cadiza, i to w zasadzie wszystko, czego się o niej dowiedział. Czy była w nim zakochana? Dowodziłby tego plakat na ścianie w jej sypialni. Dlaczego niektóre dziewczęta zakochują się w starszych panach, a żaden młodzieniec nie pokocha starszej pani?

Na pewno do szaleństwa kochała sztukę i prawdopodobnie grała na czymś w rodzaju lutni - dziwnym instrumencie pochodzącym z czasów średniowiecza, który znalazł tuż przy jej łóżku.

Ostatecznie do słuszności hipotezy, że dziewczyna została zamieszana w bardzo poważną sprawę, przekonało go niezwykle odkrycie w jednym z pokoiów w głębi domu. Teraz był już prawie pewien, że niepotwierdzone do tej pory przypuszczenia mają realne podstawy. Nie wiedział jeszcze, do jakiego stopnia pogrywała ze wszystkimi, nie zdradzając prawdy. Powiązał ten wątek z wyznaniemi starszej pani z Manresy i w efekcie otrzymał wręcz nieprawdopodobną historię.

Wyjechali nazajutrz po cudownym uzdrowieniu Mazarine. W samolocie panowała napięta cisza, za którą nikt, zdawało się, nie czuł się odpowiedzialny. Przerwał ją Cadiz:

- Nienawidzę powstrzymywania emocji.
- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Sara.
- O trzymaniu uczuć na wodzy. Ja, na przykład, gdy maluję, cały jestem rozdrzeczony. Umieram przy każdym obrazie. To jak orgazm: śmierć i odrodzenie jednocześnie. A ty co o tym myślisz, Mazarine?

Pytanie zaskoczyło ją. Siedziała między Pascalem a Sarą i bazgrała coś w

notatniku. Nie patrzyła na nich z obawy, że w jej oczach wyczytają, co wydarzyło się między nią i Cadizem na pustyni. Mimo onieśmielenia odpowiedziała, patrząc Cadizowi prosto w oczy:

- Ma pan na myśli duchowe przeżywanie podniosłych chwil?

Pascal otoczył ją ramieniem.

- Nie przejmuj się, *mon amour*, ojciec uwielbia peszyć innych.

-To ciekawe porównanie - mówiła dalej Mazarine. - Według mnie orgazm to coś przelotnego, śmierć natomiast jest ostateczna.

- Nie masz racji. - Cadiz rzucił jej zmysłowe spojrzenie, które ją obnażyło. - Gdy mężczyzna i kobieta połączą się cieleśnie, nie potrafią się już rozstać. On na zawsze pozostanie w niej, a ona w nim. Są skazani na siebie. Jest to pewien rodzaj śmierci.

- W swoim wywodzie nie wziął pan pod uwagę tego, że po miłosnym zbliżeniu mężczyzna i kobieta pozostają dwojgiem odrębnych ludzi. Inaczej też przeżywają orgazm czy też śmierć, jak był pan łaskaw nazwać ten akt.

- Obawiam się, że w tym dialektycznym sporze natrafiłeś na godnego siebie przeciwnika - zaśmiała się Sara.

Cadiz zignorował komentarz żony.

- Sądzisz - ciągnął - że można żyć dalej, będąc martwym?

- Właściwie umieramy codziennie, tylko o tym nie myślimy. Życie pod pręgierzem śmierci stałoby się nieznośne. Nasz mechanizm obronny wyrzuca ją z pamięci i spycha głęboko do podświadomości.

- Dosyć, dajcie sobie spokój z gadaniem o śmierci i cierpieniu - wtrąciła Sara.

- Porozmawiajmy o waszych planach - zwróciła się do młodych. - Wpadł mi do głowy pewien pomysł. ..

- Mazarine nie doszła jeszcze do siebie - przerwał jej Pascal. - Nie będziemy jej teraz męczyć - rzucił stanowczo i pocałował ukochaną w czoło.

-Rozmowa o spełnieniu pragnień, których motywem przewodnim jest miłość,

powinna stanowić powód do radości - skomentował Cadiz.

- Jaki to pomysł? - zapytała Mazarine.

- Weźmiecie ślub w Wenecji. Wyobrażacie sobie, jakie to będzie niezwykle wydarzenie estetyczne?

- Podczas karnawału?

-Niekoniecznie. Można wybrać inną datę. Chodzi mi o karnawałowy nastrój. Wielki Kanał to wspaniała sceneria dla takiej uroczystości.

- Nie zamierzamy zmieniać naszego ślubu w wydarzenie towarzyskie. Miejsce i forma nie mają dla nas żadnego znaczenia - wyjaśnił Pascal.

- A szkoda - odparowała Sara. - Miejsce i forma nie są może najistotniejsze, ale pomagają uwzniościć ceremonię.

To szczególny i niezapomniany dzień. Dla osób postronnych ślub jest wydarzeniem towarzyskim. Stanowi część banalnej gry, w której biorą udział wszyscy uczestnicy... z tą jednak różnicą, że niektórzy traktują to ze śmiertelną powagą, a inni, na przykład my, po prostu dobrze się bawią, jak na przedstawieniu w teatrze.

Mazarine starała się odczytać z twarzy Cadiza, co czuje, ale jego spojrzenie było równie zimne jak lód pływający w szklance z whisky, którą trzymał w dłoni.

Wprawił ją w zmieszanie. Czasami miała wrażenie, że kocha ją do szaleństwa i cierpi z jej powodu, a kiedy indziej zabawia się nią jak złośliwy lalkarz pociągający za sznureczki według swojego widzimisię. Ranił ją. Postanowiła go sprowokować.

- Pomysł Sary jest fantastyczny - stwierdziła radosnym tonem.

- Naprawdę tak myślisz? - Pascal był zaskoczony. - Sądziłem, że wolałabyś coś bardziej kameralnego.

- To prawda, ale doceniam też pomysł twojej mamy. Ślub powinien być niezapomnianym przeżyciem. Milczy pan... - zwróciła się do Cadiza. - Co pan o tym sądzi?

Wpatrywał się w nią bez słowa.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytał po chwili głosem przypominającym brzmienie wiolonczeli.

- Głupie pytanie - obruszyła się Sara. - Nie masz oczu? Oczywiście, że jest szczęśliwa! W przeciwieństwie do ciebie...

Malarz rzucił żonie spojrzenie pełne nienawiści.

- A kto ci powiedział, że ja nie jestem szczęśliwy? Mylisz się, moja droga. Nigdy nie czułem się szczęśliwszy niż w tej chwili.

- Mamo... nie zaczynaj. - Pascal chciał zażegnać wiszącą w powietrzu kłótnię.

- Takie komentarze stanowią część partytury miłosnej, prawda, Cadiz? - stwierdziła Sara ironicznie.

- Spędzili całe życie razem i choć trudno w to wierzyć, naprawdę się kochają - wyjaśnił Pascal.

Mazarine uciekła wzrokiem w chmury. Nie chciała myśleć, słyszeć, decydować, zastanawiać się nad tym, co ją czeka: rozstanie z mistrzem, niepewność i ponowne zmierzenie się z wielkim bólem po stracie Sienny. Chciała choć przez chwilę poczuć się wolna jak ptak, z zieloną ziemią w dole, błękitnym niebem nad głową, widokiem aż po horyzont.

Pilot poinformował, że za parę minut wylądują w Paryżu. Koniec, wielka podróż dobiegła kresu. Lądowanie – to słowo oddawało wszystko. Upadek z wysokości, zetknięcie z rzeczywistością. Jak żyć po tym wszystkim?

Samolot przeciął skrzydłami ogromną chmurę i utknął w mlecznym tunelu. Po chwili pojawiła się zieleń, poprzetykana budynkami. Sen się kończył. Pofałdowany krajobraz - gdzie ukochany mistrz posiadał ją w milczeniu - pozostał daleko w tyle. Powracali do rzeczywistości.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. - Malarz ponowił atak.

Pascal spojrzał na ojca.

- Daj spokój...

- Nie przejmuj się, skarbie. Nic się nie stało - powiedziała Mazarine, wbijając

wzrok w znużone oczy Cadiza. – Na niektóre pytania odpowiedź jest oczywista, a zadający je zna ją aż za dobrze. Pozwoli pan, że odwrócę pańskie pytanie: czy sądzi pan, że jestem szczęśliwa?

Zdanie to zawisło w powietrzu i pozostało bez odpowiedzi. Sara nic z tego nie rozumiała.

Ryk silników samolotu lądującego na lotnisku niejako narzucił zmianę tematu rozmowy.

- Czeka na nas Alfred - powiedziała.
- Alfred? - zdziwił się Pascal.
- Nasz nowy kierowca - wyjaśniła Sara.
- My pojedziemy taksówką - postanowił Pascal. - Prawda, *mon amour*?

Mazarine przytaknęła. Rzuciła ostatnie spojrzenie Cadizowi, ale wydawał się go nie zauważać.

Pożegnali się uściskami i przelotnymi całusami. Rychło spotkają się znowu, aby omówić przygotowania do ślubu w Wenecji.

Nikt już nie wypytywał Mazarine o rodzinę. Uznali, że jej nie ma.

Sara zobowiązała się załatwić wszelkie formalności związane ze ślubem za granicą. Właśnie czegoś takiego potrzebowała. Działanie pozwoli uwolnić się od skrywanej frustracji.

Iść czy nie iść?

Nie wiedziała, co robić. Powrót do Zielonego Domu oznaczał spotkanie z bólem i strachem. Bez Sienny było tam pusto. Opuściła ją. Na myśl o tym poczuła ucisk w gardle i przestraszyła się, że znowu nie będzie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Wymazać ją z pamięci i zmierzyć się z gorzką prawdą, że jest sierotą i na całym świecie nie ma nikogo bliskiego?

Święta znalazłyby odpowiedź na to pytanie, umiałyby rozwiać wątpliwości. Myśli kłębiły się jej w głowie jak węże; tylko miłosierny Perseusz mógłby uwolnić ją od cierpienia jednym cięciem miecza.

Od dziesięciu dni tkwiła w mieszkaniu Pascala i choć pasaż Dauphine znajdował się zaledwie kilka przecznic od jej domu, nie miała odwagi tam pójść. Bez medalionu lękała się konfrontacji ze światem. Wraz z talizmanem utraciła wypełniającą ją moc. Dziecięce lęki powróciły z jeszcze większą siłą. Nie bała się gargulców z kościoła Saint-Severin ani śmierci. To już przezwyciężyła. Strach, który nosiła w sobie, nie opuszczał jej ani na chwilę. Musiała jednak wrócić na rue Galande poszukać jedynej rzeczy, jaka jej pozostała po Świętej: kufra czy skrzyneczki - czegoś wyposażonego w zamek, do którego pasowałby ten dziwny klucz, znaleziony kilka miesięcy temu w splecionych dłoniach Sienny. Miała nadzieję, że tam znajdzie wyjaśnienie tajemnicy swojej przeszłości.

Pierwszej nocy po powrocie położyła się jak zwykle obok Pascala, ale unikała dotyku jego ciała. Chociaż sypiali w jednym łóżku już od ponad miesiąca, jeszcze się nie kochali. Zawarli w tej sprawie milczące porozumienie: są parą kumpli, którzy śpią razem dla dodania sobie otuchy. Pewnej nocy dłoń Pascala zaczęła szukać jej po omacku. Palce delikatnie wdzierały się pod piżamę. Obudziła się podniecona. W pierwszej chwili pomyślała, że to Cadiz. Zrozumiawszy swoją pomyłkę, próbowała wstać, ale Pascal przygwoździł ją swoim silnym ramieniem i żarliwym szeptem wyznał jej miłość.

- Wkrótce zostaniesz moją żoną... Wiesz, jak długo na to czekałem? Nie jestem z drewna, *mon tresor*. Nie bój się, będę bardzo ostrożny.

Pozwoliła mu kochać się z nią w ciszy, aby sprawdzić, co czuje, ale wspomnienie Cadiza przysłoniło wszystko. Znowu była na pustyni o świecie, tak jak

wtedy. Skóra była jeszcze przesiąknięta jego zapachem, jego usta całowały jej szyję, jego palec obwodził zgrubiałą sutkę jej piersi, jego silne dłonie rozchyłały jej drżące uda... Jego wilgotny język rozdzielał palce u stóp, jego wilgoć zrosiła jej łono... Otworzyła oczy. Ból i rozkosz były teraz inne. To nie ten świt, nie było pustyni, słońca ani piasku.

Płakała nad sobą, przez Pascala, przez Cadiza, z powodu straty Sienny, za niespełnionym pragnieniem śmierci, przez to również, że nie wiedziała, czy chce dalej żyć...

Narzeczoney myślał, że to łyżki rozkoszy, łyżki miłości.

Codziennie zachodziła na pasaż de Dantzig, jakby nadal była asystentką Cadiza. Zatrzymywała się przed La Ruche i stała tam aż do zmierzchu. Chciała go zobaczyć. Wiedziała, że tam jest, bo w atelier paliło się światło. Dzwoniła do drzwi, ale nie otwierał. Odrzucenie bolało i zarazem zwiększało pożądanie. Pragnęła kochać się z nim; znowu doświadczyć tego, co przeżyła na pustyni. Gdyby powiedział: „Odwołaj ten ślub”, uczyniłaby to bez wahania.

Nic z tego.

Od chłodnego pożegnania na lotnisku nie miała od niego żadnych wiadomości, jedynie skąpe informacje przekazywane przez Sarę podczas roboczych spotkań w celu omówienia szczegółów wystawnej ceremonii zaślubin w Wenecji. Podobno Cadiz znowu gorączkowo maluje. Całe dni spędza w pracowni, opętany twórczą pasją, i nie pozwala sobie przeszkadzać. Ten stan odizolowania był z pewnością spowodowany jakimś kolosalnym zamierzeniem. Obrazy z ostatniej wystawy zostały sprzedane na aukcji, osiągając niebotyczne ceny, a muzea wręcz się o nie biły.

Portrety namalowane przez Mazariane stały się symbolem ekspozycji i uzyskały najwyższą cenę. Jakiś anonimowy kolekcjoner zapłacił za nie fortunę.

Po ogromnym zawodzie i rozgoryczeniu, jakie przeżyła pamiętnego wieczoru podczas inauguracji wystawy na tarasie Łuku Triumfalnego, o mało nieprzypłaconych życiem, postanowiła nie walczyć, nie zabiegać o to, by w katalogu figurowała jako współautorka wystawy. Nie zamierzała również cierpieć z tego powodu. Oddałaby prawa autorskie, miesiące pracy w twórczym zapamiętaniu w zamian za jeden świt na pustyni. Miłość tym razem przewyciężyła egoizm. Chciała to powiedzieć Cadizowi.

Nadal nie miała odwagi wejść do Zielonego Domu. Obsesja na punkcie malarza zmuszała ją do myślenia wyłącznie o nim. Wygłodniałe zmysły domagały się spełnienia. Wreszcie to zrozumiała: to właśnie była ta śmierć, o której mówił Cadiz w samolocie. Koniec końców śmierć i pożądanie są tym samym: niszczą, nie liczą się z rozstaniem z ukochanym. Od przeżytego pierwszy raz orgazmu trwała w stanie zawieszenia.

Pragnęła go odzyskać. Bez Cadiza życie nie miało sensu. Tęskniła za bramą oplecioną wiciokrzewem, dźwiękiem dzwonka, skrzypieniem otwieranych drzwi, widokiem mistrza witającego ją na progu... Za przygotowaniami, wymienianiem się pomysłami, szkicowaniem wariantów tego samego odczuwania. A potem płomykowe ślady pędzla tu i ówdzie, w końcu wszystko pokryte farbą... Euforia. Pod wieczór zachwyty nad intensywną barwą zmierzchu...

Wyobrażała sobie jego siwe kosmyki, krople potu na czole, przymrużone oczy odmierzające cienie, dłonie pobrudzone farbą, z nabrzmiętymi żyłami na wierzchu, jego siłę... i ochrypy głos, gdy prosił ją, żeby zdjęła ubranie, aby mógł stworzyć na jej skórze nowe koncepcje dualizmu.

- Cadiz! - zawołała, stojąc na chodniku. - Otwórz mi. Musimy porozmawiać. Cadiz...

Dlaczego on jej to robi? Sterczy na ulicy jak kretynka i błaga go. Nie ma

jeszcze tego dosyć? Kiedy straciła godność? A może rodzice nie przekazali jej w genach ni krzty honoru? Im bardziej się stara, tym trudniej znajduje uzasadnienie dla tej miłości. Nie panuje nad swoimi emocjami?

- Cadiz... - zawołała ostatni raz.

Już miała odejść, gdy zobaczyła go w oknie; nieogolony, rozczochrany i obojętny. Jego wzrok prześliznął się po niej, nie zatrzymawszy się nawet na chwilę. Jakby była śmieciem, porwaną podmuchem wiatru pustą reklamówką unoszącą się w powietrzu. Zakłócała mu spokój. Spuścił z hałasem żaluzję.

84

Rene całymi tygodniami obmyślał zemstę.

Poczeka i pewnej nocy, korzystając z tego, że sąsiedzi uciekną z miasta przed letnim skwarem, włamie się do Zielonego Domu. Wejdzie po schodach do pokoju na górze, otworzy szafę, wyjmie ciało Świętej z sarkofagu, włoży do szarej plastikowej torby - takiej jak w sklepach z luksusową odzieżą - zaciągnie na kocu na podest i spuści po szerokiej drewnianej poręczy, po której tyle razy zjeżdżali w dzieciństwie z Mazarine. Zaniesie Siennę do zaparkowanego na ulicy starego Citroena - pożyczonego od przyjaciela - wywiezie ją na wschód Paryża, na przedmieście Clichy-sous-Bois. Tam, na pustkowiu, które wcześniej wypatrzył, spali zwłoki. Prochy i list, w którym opisze to, o czym milczał przez wiele lat, zostawi pod drzwiami Mazarine. Inspiracją był jej śmiech, dźwięczny i zarazem kpiący... Tak, kpiący. Do dziś dźwięczy mu w uszach, niemal namacalny. Dość tych ciągłych impertynencji, nie będzie już udawał grzecznego chłopca. I co z tego, że mógłby za nią umrzeć? To się nie liczy. Mazarine go ignorowała, niezależnie od tego, czy postępował dobrze, czy źle. Przynajmniej trochę się rozerwie i ucieknie przed nudą dnia powszedniego. Najważniejsze to znaleźć ciekawszy sposób na

życie. Zabić czas, zanim on zada mu zdradziecki cios. Delikatny młodzieniec, spragniony miłości, zmieni się w człowieka podstępnego, podłego, o sercu z kamienia. Postąpi zgodnie z zasadą: oko za oko, ząb za ząb. Posłucha swego wewnętrznego głosu i zacznie działać.

Zło tkwi w każdym, bez względu na pochodzenie. Każda istota ludzka nosi w sobie złe myśli. Nikt nie jest z gruntu dobry.

Potem, to znaczy po spaleniu ciała Świętej, nie zamierzał odczuwać wyrzutów sumienia. Żal i skrucha to cechy słabeuszy. On nie zarazi się tą chroniczną chorobą, nawet przy bezpośrednim kontakcie. Życie to fikcja i niech tak zostanie.

Powinno pójść gładko...

Jednak nie poszło. W nocy, zgodnie z planem, zaparkował citroena na rue Galande 75. Gdy próbował otworzyć drzwi wytrychem, stwierdził, że zamek nie stawia oporu.

Ktoś go wyłamał i splądrował mieszkanie. W pokoju na piętrze szafa była otwarta. Trumna z ciałem Świętej zniknęła.

Ktoś go ubiegł.

Na zawsze pozostanie ze swoim kontrabasem, samotnością i nienawiścią, która sprawiała, że nie potrafił się kontrolować. Był chory z nienawiści. Chciał skończyć z całym światem.

Trzęsącymi się ze złości rękoma wyciągnął z samochodu kanister i wylał benzynę przed posesją Mazarine. Potem zapalił zapalną. Po paru sekundach pole lawendy u wejścia do domu stanęło w ogniu. Przyglądał się szalejącym płomieniom z ogrodu przy kościele Saint-Julien-le-Pauvre. Żądza zemsty została po części zaspokojona. Postanowił pójść na dworzec i wyjechać z Paryża. Wsiądzie do pierwszego pociągu jadącego do Pragi. Wróci do praskich zaułków, zanim nienawiść znowu go opęta i pchnie do popełnienia kolejnego szaleństwa, tym razem być może największego w życiu.

Był nią całkowicie zauroczony. Nie mógł oderwać od niej oczu. Wpatrywał się w jej nieskazitelny profil, idealne rysy twarzy, długie miedziane włosy opadające lśniąco falą na ramiona. Nie mógł wprost uwierzyć, że oparła się pośmiertnemu procesowi gnicia i rozkładu i pozostała piękna. Przewyciężyła śmierć. To było najwspanialsze dzieło sztuki. Zachowana uroda Śpiącej Królowny zdawała się przeczyć temu, co nieuchronne.

Święta zrobiła to, czego nie mógł uczynić czas: potrafiła powstrzymać jego bieg.

Zatrzymała się dokładnie w chwili największej świeżości i rozkwitu. Upływające lata i wieki nie wyrządziły jej szkody, pachnąca lawendą skóra zachowała młodość. Pograżona w wiecznym śnie dziewczyna pozostała w stanie rozkwitu.

Miał ją. Należała do niego. Odczuwał jej siłę, naznaczającą wszystko wokół. Nareszcie byli razem!

Gdy wpatrywał się w nią urzeczony, postanowił przenieść ją na środek sali, tak aby promienie rozżarzonego do białości słońca, przenikające przez szybę, padały wprost na nią. Gdy jednak próbował unieść trumnę, niespodziewanie okazała się za ciężka. Nic z tego nie rozumiał. Podczas wyciągania sarkofagu z szafy w domu Mazarine zaskoczyła go jego lekkość. Podniósł go bez wysiłku. Inkrustowany brązem, z szybkami z ukośnie rżniętego szkła, zdawał się zupełnie pozbawiony materialności, ulotny i zwiewny.

Miał jednak w sobie porażającą siłę. Podłożył pod podstawę skrzyni gruby drąg i używając go jak dźwigni, spróbował ją podnieść. Ani drgnęła!

- W porządku - powiedział. - Skoro tak wolisz, zostań tu.

W świetle pochodni sylwetki członków Arts Amantis tworzyły na tysiącach piszczeleli i czaszek, ułożonych w ścianach korytarzy, bezimienne cienie. Arcadius, całkowicie anonimowy pod kapturem odświętnej szaty, pojawił się w paryskich podziemiach, by zdać relację ze swej wyprawy do Barcelony. Wąskie, wilgotne przejścia wywoływały uczucie klaustrofobii. Próbował odwlec spotkanie, ale naciski złotnika i pozostałych braci, niecierpliwie pragnących poznać szczegóły śledztwa, zmusiły go do stawienia się przed oblicze zgromadzenia.

Mistrz nie mógł pogodzić się z tym, że wyprawa nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

- Miałem nadzieję, że ta podróż wyjaśni wszystko - powiedział, wysłuchawszy antykwariusza.

-I tak miało być, mistrzu - odparł uprzejmie Arcadius. - Rzeczywistość okazała się jednak inna. Ubolewam, lecz jedyne, co mam do przekazania, to bajania dziecienniejszej staruszki. Nic, co by pomogło wypełnić luki. Ślady miały doprowadzić do wielkiego odkrycia, które okazało się złudą. Legenda o naszej ukochanej Siennie w rzeczy samej jest przypowieścią o innej świętej, młodziutkiej katolickiej męczennicy. Otóż przodek tej zacnej kobiety, rycerz biorący udział w krucjatach, za swoje bohaterskie czyny w walkach z Maurami został nagrodzony relikwią w postaci ciała świętej...

Wykorzystując sofistyczne sztuczki, Arcadius przytoczył, nie szczędząc barwnych szczegółów, legendę o świętej Klarze. Poparł swoje słowa cytatami z opowieści zasłyszanych podczas podróży po Katalonii, tak że zdołał przekonać zgromadzenie, iż ta męczennica nie ma nic wspólnego ze Sienną.

-W porządku, bracie z Tuluzy. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, i jesteśmy ci za to wdzięczni. – Przez dłuższą chwilę mistrz Arts Amantis przy-

glądał się zakapturzonym współbraciom, w milczeniu oczekującym na jego werdykt. - W ostatnich miesiącach żywiliśmy się złudzeniami, które stały się naszą obsesją. Być może udreżone serca potrzebują jakiegoś marzenia, aby nadal bić - zawiesił głos, by po chwili kontynuować. - Nie udało się, trudno. Ja sam wierzyłem, że Sienna jest w zasięgu ręki. Pewnej nocy odwiedziłem dom dziewczyny z medalionem i muszę przyznać, że po dokładnym przeszukaniu, centymetr po centymetrze, wszystkich zakamarków, nie znalazłem niczego, co by mnie naprowadziło na jakiś ślad.

Arcadius wiedział, że wielki mistrz nie mógł niczego znaleźć, ponieważ to, czego szukał, już dawno znajdowało się gdzie indziej.

- Dlatego - ciągnął mistrz - najwyższa pora zastanowić się, czy warto upierać się przy dalszych poszukiwaniach. Fałszywe oczekiwania oderwały nas od tego, czym naprawdę powinniśmy się zająć: otóż, bracia... nasz zakon kona.

W podziemiach zapanowała grobowa cisza.

- Pozostało nam jedynie to miejsce. Urojona przestrzeń wypełniona kośćmi zmarłych. Czy mamy czekać, aż oni - wskazał czaszki w ścianach - zwrócą nam życie, którego sami są pozbawieni? Czym się zajmowaliśmy przez te wszystkie lata? Bracia, słabość jest w nas. Nie oczekujmy, że śpiąca snem wiecznym dziewczyna przywróci nam moc...

- Co chcesz przez to powiedzieć, mistrzu? - spytał jeden z przybocznych.

- Nie mogę być dłużej waszym przywódcą... Straciłem wiarę.

Bez przywódcy i bez Świętej nastąpi ideologiczna katastrofa, której on być może mógł zapobiec. Już nic nie dało się zrobić. To, co zdobył i od wielu tygodni ukrywał, bez Mazarine jest nieprzydatne. Była jedyną osobą, która mogła wie-

dzieć, gdzie, do diabła, podział się klucz.

Tamtego sierpniowego wieczoru, po wyrzuceniu kloszarda, który zadomowił się u jego młodej przyjaciółki, Arcadius nie mógł wprost uwierzyć w to, co odkrył.

Wiedziony jakimś niewytłumaczalnym przeczuciem, skierował swoje kroki do tajemniczego pokoju w głębi domu. Znalazł tam wbudowaną w ścianę szafę z identycznymi inkrustacjami jak ta, którą widział w starym wiejskim domu w Manresie.

Wnętrze antycznego mebla mogło pomieścić sporych rozmiarów skrzynię. Świadczyły o tym ślady i rysy na wewnętrznych ścianach szafy. Ale to, co najważniejsze, znajdowało się w głębi. Po odsunięciu deski Arcadius znalazł zamaskowane drzwi.

W większości starych domów przy rue Galande w skrytce tego rodzaju przechowywano precjoza, kosztowności i rodzinne dokumenty. Za plecami tej szafy krył się długi ciemny tunel. Początkowo klaustrofobia okazała się silniejsza od ciekawości, szybko jednak antykwariusz przewyciężył uciążliwą przypadłość. Skierował mdławę światło latarki do wnętrza i ze zdumieniem stwierdził, że rośnie w nim lawenda.

Pozornie nie miało to sensu. Gałązki z takimi samymi niebieskimi kwiatkami zwieszały się z okien sypialni i opadały po zewnętrznych ścianach domu; tajemnica otaczająca Mazarine, jej milczenie, nagłe zniknięcia, bezcenny medalion... Był o krok od odkrycia czegoś wielkiego, tak mu podpowiadało serce, nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego właśnie on został do tego wybrany. Z wielkim trudem zapanował nad lękiem przed zamkniętym pomieszczeniem i wszedł do wąskiego tunelu; schodził coraz niżej, aż trafił na zagradzającą przejście ścianę. W świetle latarki przeszukał to miejsce, pewny, że jeszcze nie dotarł do końca. Centymetr po centymetrze zbadał zarośnięte roślinami strop i ściany. Już zamierzał się poddać, gdy jego uwagę przykuło coś świetlistego; wśród gałązek błyszczała mała tabliczka z brązu z wyrytą na niej gołębicą.

Gołąb - dla trubadurów prowansalskich symbol miłości, muzyki i poezji. Dla gorliwych katolików symbol Ducha Świętego. Czystość, harmonia, nadzieja i szczęście. Z jego dzioba, na podobieństwo gałązki oliwnej, zwisał żelazny pierścień. Arcadius szarpnął go z całej siły. Ptak zatrzepotał skrzydłami i mechanizm ustąpił. Nieufnie wszedł do środka i powoli, po omacku wspinał się kamiennymi schodami. Na górze zastygł ze zdziwienia. Wyjście doprowadziło go ni mniej, ni więcej... przed ołtarz w kościele Saint-Julien-le-Pauvre!

Na szczęście kaplica była pusta. Kamienne łuki sklepienia oświetlały tylko lampki wotywnie. Rozejrzył się po mrocznym wnętrzu. Po lewej stronie wielkiego retabulum, zajmującego główne miejsce na mensie ołtarza, dostrzegł niewielką urnę z prochami jakiejś błogosławionej niewiasty, kilka zdjęć i broszurkę sławiącą jej życie oraz dokonane cuda. Odczytał napis: *Je passerai mon ciel afaire du bien sur la terre. Aimer c'est tout donner et se donner soi-meme*. Nie, to nie było to, czego szukał.

Rozejrzył się bacznie. Jaka rzecz należąca do zakonu Arts Amantis mogła się tu znajdować? Święty Jan Chryzostom, patron kaznodziejów, spoglądał oczami pełnymi miłosierdzia na kapitele kolumn, wyrzeźbione harpie i liście akantu. Tuż pod obrazem, w ciemnościach zabezpieczonej szybką niszy, krył się metalowy kuferek. Światło latarki wydobyło z mroku wpleciony w litery i ozdoby symbol Arts Amantis.

Więc tu był ukryty! Wygląd zgadzał się z opisem, przekazany przez starszą panią z Manresy. Jeśli mówiła prawdę, w środku powinna znajdować się historia Sienny. Poniżej widniał napis: *No dormatz plus, suau vos ressidatz* (Nie śpij, obudź się).

Co robiła ta staroprowansalska skrzynka w parafii wyznania grecko-melchicko-katolickiego?

Słyszając skrzypnięcie drzwi i odgłos kroków, Arcadius ukrył się za kolumną. Kościelny zgasił świece i wyszedł.

Teraz, kiedy udało mu się tu dotrzeć, postanowił zabrać kuferek i zbadać jego zawartość. Tylko... czy to nie będzie świętokradztwo?

Przez parę minut badał zabezpieczenie niszy. Wyjęcie szybki, odpowiednio przyciętej i dopasowanej do brzegów wnęki, a potem ponowne jej umieszczenie nie przedstawiało trudności; to kwestia wprawy i cierpliwości, a tych cech akurat Arcadiusowi nie brakowało. Postanowił od razu wziąć się do roboty i po dwóch godzinach mozolnej pracy, przerywanej od czasu do czasu dla zaczerpnięcia oddechu, wyciągnął kuferek.

Niewielka skrzyneczka, prawdopodobnie wykonana ze stopu metali, była bardzo ciężka. Jak ją otworzyć? Po mistrzowsku wykorzystał swoją wprawę i nabyte umiejętności. Używał kluczy, haczyków i wytrychów, które dotąd nigdy go nie zawiodły. Na próżno! Zamek można było otworzyć tylko za pomocą właściwego klucza. Wbudowany w skrzynkę mechanizm uniemożliwiał otwarcie jej przez niepowołane osoby. Solidna konstrukcja oparła się próbie włamania. Była to rękodzielnicza perełka wykonana przez dawnych członków Arts Amantis.

Ponownie rozległy się czyjeś kroki. Arcadius zgasił latarkę i bezszelestnie odstawił kuferek na miejsce.

- Jest tu kto? - zapytał przybysz.

Antykwaryusz wstrzymał oddech. Dopiero teraz zauważył rozrzucone na posadzce narzędzia, leżące obok wymontowanej szybki.

-Jeremie... to ty? Co to za mania z tym chodzeniem w ciemnościach po kosiście?

Arcadius odchrząknął.

- Mówiłem, że możesz tu przychodzić, kiedy chcesz, ale nie bez uprzedzenia.

- Już wychodzę - wymamrotał Arcadius, starając się nie wzbudzić podejrzeń.

- W porządku. Nie zapomnij zamknąć drzwi na klucz.

Mężczyzna zniknął i Arcadius znowu wyjął kuferek.

Gdy zapadła noc, opuścił dom Mazarine z kotką i cennym trofeum. Nigdy nie nastawał na cudzą własność, tym razem jednak ciekawość zwyciężyła.

Wreszcie nadszedł ten wielki dzień. Z tarasu hotelu Danieli w Wenecji przyglądała się gondolom, które niewzruszenie obojętne wobec jej duchowych rozterek ślizgały się po Wielkim Kanale, wśród dyskretnego skrzeku mew i wtórze fałszujących niemiłosiernie gondolierów.

To tysiącletnie piękno, jak z obrazu Belliniego, zachwycało ją tak bardzo, że niemal płakała ze szczęścia. Po weneckich kanałach pływali Tycjan, Giorgione, Lotto, Tintoretto, Veronese, Canaletto, Tiepolo, Carpaccio, Michał Anioł... Najznamienitsi mistrzowie pędzla i dłuta. A teraz była tu ona, nic nieznacząca w tej wspaniałej, ponadczasowej scenerii. Uroda tego miejsca fascynowała, lecz nie poprawiała nastroju.

Mazarine kryła swój smutek pod odwiecznym czarnym płaszczem. Przyjechała do Wenecji z Pascalem i Sarą pięć dni temu. Cadiza nie widziała od czasu wyprawy na pustynię, ale wcześniej czy później jej ukochany i znenawidzony mistrz pojawi się tu również.

- Nie martw się, kochana - pocieszała ją Sara. - Na pewno zaprowadzi cię do ołtarza. Cadiz już taki jest, znasz go. Lubi zwracać na siebie uwagę. Na pewno przyjedzie w ostatniej chwili. Uwielbia być w centrum zainteresowania.

- Ma wielkie parcie na sukces - dodał sarkastycznie Pascal, obejmując Mazarine.

To on zaproponował, żeby w zastępstwie rodzzonego ojca do ołtarza poprowadził ją Cadiz. Mazarine pragnęła tego uniknąć za wszelką cenę, ale jej obiekcje zostały odebrane jako oznaka nieśmiałości i w końcu nie potrafiła im tego wy-

perswadować. Teraz, na samą myśl, że znowu go zobaczy, serce stawało jej w gardle.

- Jesteś dziś bardzo milcząca, *mon petit chou* – stwierdził narzeczony.

- Niespokojna, tylko niespokojna - odpowiedziała.

Nie chciała się przyznać, że od paru dni martwi się, czy nie jest w ciąży. Od podróży do Maroka nie miała okresu. Nie odczuwała żadnych objawów charakterystycznych dla odmiennego stanu: żadnych zawrotów głowy ani mdłości. Natomiast wydawało jej się, że schudła.

Test ciążowy, kupiony w aptece na lotnisku na parę minut przed odlotem do Wenecji, dał wynik negatywny... A może źle go odczytała? Wskaźnik w okienku testera poróżowiał. Na tak czy na nie? Szybko wyrzuciła go do kosza na śmieci, bo Sara dobijała się do drzwi kabiny i dopytywała, czy dobrze się czuje. Powinna zrobić kolejny test. Tylko jak i kiedy?

-Jesteś... sam nie wiem... jakby nieobecna – stwierdził Pascal. - Może nie chcesz za mnie wyjść?

- Ależ oczywiście, że chcę, głuptasie. Tylko tęsknię.

- Za rodziną, zgadłem?

Mazarine przytaknęła.

Żeby choć miała Sienne! Kiedy z nią rozmawiała, wszystko stawało się proste. Pragnęła ukryć się w szafie, przykucnąć obok sarkofagu i zniknąć dla świata. Odebrano jej coś, co kochała najbardziej. Była przekonana, że zrobił to ten podstępny Jeremie. Ukradł Sienne tamtej nocy, tuż przed jej ucieczką, gdy nie wrócił do domu. Skąd wiedział, gdzie szukać Świętej? I po co mu była ona potrzebna? Teraz jedyne, co jej pozostało, to klucz, którego Śpiąca Królowa tak pilnie strzegła. Nie pasował do żadnej szkatułki, skrzynki czy kuferka, więc Mazarine postanowiła go ukryć. Nikt się nie domyśli, że tkwi przyklejony do jednego z jej płócien, wykonanych techniką kolażu. Niewidoczny wśród pomalowanych, pomiętych skrawków papieru, był bezpieczny. Po powrocie do Paryża zamierzała

przekształcić Zielony Dom w swoje atelier.

- Kiedy mi o nich opowiesz? - przerwał jej rozmyślenia Pascal.

- O rodzicach? - upewniła się. - Może nadejdzie taki dzień. Teraz chcę zostać sama. Podobno pan młody nie powinien widzieć narzeczonej w dniu ślubu.

- To wymysł starych, zgorzkniałych ludzi. - Objął ją w pasie i przytulił. - Nie pozbawiajmy się przyjemności wspólnego przeżywania tych wspaniałych chwil. Pejzaż, podziwiany we dwoje, staje się jeszcze piękniejszy... - powiedział, całując ją w szyję.

- Prawo zwyczajowe zakazuje oglądać narzeczonemu przyszlą pannę młodą.

- *Mon amour*, prawo jest po to, żeby je łamać. Ci, co je stworzyli, nie mieli pojęcia o miłości. Nie będę czekał do wieczora, żeby cię zobaczyć. Usechłbym z tęsknoty. Miej litość dla mnie biednego...

Mazarine uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, że jest zwykłą dziewczyną, szczęśliwą, bo za chwilę spełni się jej wielkie marzenie. I wszystko się uda. Widok Cadiza nie rozkrwawi jej serca. Oczami duszy widziała siebie zakochaną w Pascalu, zadowoloną, radosną. Wszyscy będą szczęśliwi. Także jej syn lub córka - dziecko, które nosi pod sercem.

Ślub odbędzie się o zmierzchu w Bazylice Świętego Marka, a wesele, organizowane w całości przez Sarę i jej wyjątkową ekipę scenografów, w samym Palazzo Pisani-Moretta. Zaproszeni goście przyplyną gondolami w karnawałowych strojach, perukach i maskach tuż przed triumfalnym przybyciem narzeczonych, którzy po uroczystości założą *mascheras nobiles* i przywdzieją strojne szaty z epoki.

Wielka tratwa z nowożeńcami przemknie wśród tysięcy kwiatów i pływających świec. Rejsowi będą towarzyszyły unoszące się nad Canalazzo dźwięki *Ave Maria* Schuberta i Gounoda, w wykonaniu kilku sopranów, oraz muzyki kościelnej Niedermeyera, Mascagniego, Mendelssohna, Rossiniego i Francka.

Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Słynna fotografka wyreżyserowała

niezwykle przedstawienie. Zaślubiny i trzydniową huczną zabawę, którą „najjaśniejsza Wenecja” długo będzie pamiętała.

Właśnie przyleciał Cadiz. Sara dowiedziała się o tym przez telefon, gdy fryzjer wraz z pomocnikami czesali ją do ślubu. Mazarine uparła się, że do ołtarza pójdzie ubrana na czarno i nikt nie potrafił jej tego wyperswadować. W najbardziej osobliwej sukni, jaką kiedykolwiek włożyła panna młoda: skromnej, z surowego jedwabiu, dopasowanej, zapinanej z przodu na rząd guzików. Rozcięcie u dołu ukazywało białe stopy. Żadnych ozdób, tylko duży dekolt; śnieżnobiała skóra kontrastująca z żałobną czernią. We włosach delikatny diadem, z onyksową łąką między brwiami nad złotawymi oczami.

Sara zatrudniła swoją ulubioną stylistkę, która wybierała stroje do jej najlepszych fotografii, aby zajęła się detalami. Pod jej okiem Mazarine zmieniła się w najpiękniejszą i najszykowniejszą oblubienicę na świecie.

Poddawana zabiegom upiększającym, biła się z myślami. Już za parę minut go zobaczy. Pójdzie z nim pod rękę do ołtarza poślubić innego mężczyznę.

Łza spłynęła jej po policzku.

-Nie teraz, *mon cherie*. Nie wolno płakać. Zniszczysz cały efekt - beształ ją wizażysta, wycierając łzę wacikiem.

Następna łza, kolejna i jeszcze jedna... Cichy płacz, nie do opanowania.

- Nie mogę tak pracować... *Merde!* - Wizażysta rzucił pędzelek na podłogę. - Wszystko zmarnowałaś!

Mazarine zerwała się z fotela, podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież:

- Wynocha stąd, do jasnej cholery! - zawołała. - Zostawcie mnie samą!

Oburzona ekipa opuściła garderobę. Już miała zatrzaskać drzwi, gdy z drugiej strony ktoś przytrzymał je za klamkę.

- Precz! - krzyknęła.

Próbowała domknąć drzwi, ale stawiały opór.

Pchnięte z całej siły otworzyły się. Przed nią stał Cadiz.

Na widok dziewczyny w czerni, z miedzianymi włosami okalającymi twarz i ze łzami w oczach, szepnął z zachwytem:

-Piękna...

Mazarine zmieszała się.

- Jesteś gotowa na to, co cię czeka? Nadal chcesz odgrywać tę farsę, udawać, że kochasz mojego syna? Oboje znamy prawdę... To powód twoich łez, maleńka.

- Wyjdź stąd. Jesteś cyniczny.

- Nie spóźnij się, będę na ciebie czekał.

- Dlaczego mi to robisz?

- Dlaczego ty mi to robisz, Mazarine?

W głębi korytarza pojawiła się Sara.

- Aaa... tu jesteś - powiedziała na widok Cadiza. - Prześliczna panna młoda, prawda? - Zauważywszy ślady łez na twarzy Mazarine, podeszła do niej i przytuliła. - Jesteś zdenerwowana, to normalne. Wszystkie dziewczyny wpadają w takiej chwili w panikę. Nie przejmuj się, będzie dobrze. Słyszałam, że Jean-Luc nie dokończył makijażu. Mogę ci pomóc?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała zawstydzona Mazarine. - Sama się umaluję. Przepraszam, chciałabym zostać sama.

- Oczywiście, córeczko... Chodź, Cadiz. Czas się przebrać. - Spojrzała krytycznie na wytarte džinsy i czarną koszulę męża. - Chyba nie poprowadzisz Mazarine do ołtarza w tym stroju, prawda? Musisz pasować do panny młodej.

Mazarine wyszła z hotelu. Powędrowała w stronę placu Świętego Marka z onyksową łzą na czole, z zabarwioną na czarno gałązką kwiatu pomarańczy w dłoni i ze spokojnym niewzruszonym obliczem. Na twarzy nie było już widać

śladu łez. Spojrzenie nie wyrażało ani smutku, ani radości. W ciągu zaledwie kilku minut zmieniła się w niedostępną narzeczoną.

Przeszła boso po prowadzącym na plac moście, zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na Ponte dei Sospiri. Z daleka śledził ją cały sztab pomocników i doradców zatrudnionych przez Sarę. Czarny powóz przybrany czarnymi orchideami, zaprzężony w dwanaście karych koni, już na nią czekał, aby zawieźć ją do kościoła.

Weszła majestatycznie do wnętrza. Towarzyszył jej tłum gapiów, który dołączył do orszaku dzieci, śpiewających i rzucających płatki kwiatów w kolorze popiołu. Przed Pałacem Dożów tłok był taki, że powóz nie mógł dalej jechać. Ludzie gromadzili się, przekonani, że filmowcy kręcą scenę do jakiejś superprodukcji. W końcu, po interwencji karabinierów, kareta przebyła ostatni odcinek i zatrzymała się przed bazyliką, gdzie czekał już na nią Cadiz, w wytwornym smokingu.

Z powozu wyłoniła się bosa stopa, po omacku wyszukała stopień i Mazarine wysiadła. Na ten widok wszystko, co do niej czuł, odżyło. Te stopy, które całował tyle razy, doprowadzały go do szaleństwa... Miał ochotę porwać ją i uciec, kochać się z nią na środku placu i przy wszystkich wykrzyczeć, że ta dziewczyna należy do niego. Powstrzymał się jednak i bez słowa podał jej ramię.

Farsa się zaczęła.

Ceremonia odbyła się bez zakłóceń. Wspaniała bazylika rozświetliła się i zadrżała wobec tak niezwykłego piękna. Śpiewy chórów odbijały się od wspaniałych bizantyjskich mozaik, spływały w dół na wymyślną posadzkę i wznosiły w górę, aż pod kopułę i wyżej - do nieba - ku chwale Pana. Arie wymykały się przez świątynne wrota i napełniały słodkimi dźwiękami *piazza*, gdzie zamarł wszelki ruch.

Triumfalne wibrata szybowwały nad kanałami i wkrótce cała Wenecja wiedziała, że właśnie odbywa się ślub. Głoszeniu tej radosnej nowiny towarzyszyło

bicie dzwonów w kościołach Santa Maria della Salute, San Giorgio Maggiore, San Zanipolo, Dei Frari, San Sebastiano i San Zaccaria, które odezwały się w odpowiedzi na odgłos dzwonu u Świętego Marka. O ósmej wieczorem w mieście kanałów rozbrzmiał koncert kościelnych kampanili.

Mazarine powiedziała „tak”. Jedno słowo i tylko ona wiedziała, ile ją to kosztowało. „Tak”, które na zawsze złączyło ją z Pascalem i z Cadizem. Gdy je wypowiadała, spojrzała na mistrza. Czy to on był ojcem dziecka, które nosiła pod sercem?

Dwie godziny po ślubie w Palazzo Pisani-Moretta trwała gorączkowa krzątania. Do pomostu przybijały gondole, z których zgodnie z osiemnastowiecznym zwyczajem wysiadali ukryci za maskami goście, przebrani w wymyślne karnawałowe stroje.

Wszyscy czekali na przybycie nowożeńców, tymczasem oni już dawno byli w środku, wmieszani w tłum, schowani za maseczkami. Zabawa polegała na odgadnięciu, kto jest kim.

Rzęsiście oświetlony świecami i pochodniami pałac przywoływał wspomnienia sprzed wieków. W amfiladzie salonów na parterze popisywali się sztukmistrze i komicy. W salach na pierwszym i drugim piętrze odbywały się koncerty muzyki barokowej na klawikord, flety lub kwartet skrzypcowy. W jednym rogu piękna kobieta grała po mistrzowsku na harfie, w przeciwległym - polkacz ognia wykonywał swój numer. Po zawieszzonej wysoko pod sufitem stalowej linie przechodził linoskoczek. Pierrot o smutnej twarzy udawał rzeźbę, a karzeł ekwilibrysta, koziółkując w powietrzu, spadał na głowę olbrzyma.

Przytłumione światło kandelabrow rzucało na ściany widmowe cienie za-

maskowanych postaci. Wokół panowała atmosfera tajemniczości rodem z czasów spisków i zdrad. Prawda była kłamstwem, rzeczywistość - złudzeniem. Wszystkich ogarnęło szaleństwo. W każdym zakątku i zakamarku, nawet na podeście schodów, działo się w ten wieczór coś wyjątkowego. Tu diuk w kornecie doży złorzeczył pod nosem, tam wielka dama prowokowała nazbyt śmiałym dekoltem kardynała w purpurze, gdzie indziej cztery dworki w upudrowanych perukach i dworzanin knuli jakiś podstęp przeciwko groteskowemu Mozartowi, którego afektowane wybuchy śmiechu odbijały się echem w mrocznym korytarzu.

Po wykwintnej uczcie przerywanej intermezzami, podczas których goście zmieniali salony, aby posłuchać divertiment, nastrój stawał się coraz bardziej podniosły.

Pascal w przebraniu Casanovy - białej karnawałowej masce i przypudrowanej peruce - przechadzał się samotnie, zgadując kto jest kim. Dołączał do grupki i koterii i śmiało wtrącał się do rozmowy. Zniekształcony pod maską głos czynił go dynamicznym, co dodawało mu animuszu.

Mazarine snuła się po salach, na próżno szukając spokojnego miejsca. Bliskość Cadiza w kościele, jego uporczywy wzrok przewiercający ją na wylot, dotyk szorstkiej dłoni i żywe wspomnienie tamtej niezapomnianej chwili na pustyni - wszystko to doprowadzało ją do szaleństwa. Złota maska, z widoczną na czole czarną łzą i czarny czepiec z woalką zasłaniającą twarz upodobiały ją do tajemniczonoj *vedova dorata*.

Wchodziła do kolejnych salonów i szybko je opuszczała, gdy ktoś się do niej zbliżał. Uciekała przed kimś czy kogoś szukała? Podświadomie pragnęła spotkać malarza, tylko... po co niby miałyby się z nim spotkać? Żeby znowu ją zranił? Rozglądała się i wypatrywała. Wśród tylu zamaskowanych osób, rozbawionych, roześmianych lub milczących każdy mógł być nim. Nie wiedziała, jak jest przebrany; prawdę mówiąc, wcale nie była pewna, czy uczestniczy w bankiecie... Niestety, nawet święty sakrament małżeński nie uleczył jej ze skrywanej na-

miętności.

Weszła na pierwsze piętro. Z dala dochodziły dźwięki menueta. Czowała się tu obco. Co ona robi na tym targowisku próżności? Powinna stąd jak najszybciej uciec. Dlaczego powiedziała „tak”? Z dumy? Z wściekłości? Komu chciała zagrać na nosie? Cadizowi? Nie. Koniec końców skrzywdziła siebie i Pascala, który niczym nie zawinił. A Sara? Okazała jej tyle sympatii i zrozumienia.

Weszła do sali Della Allegoria Nuziale, nieoczekiwanie pustej. Podmuchy wiejącej od morza bryzy poruszały zasłonami. Nagle z ciemności wyłoniła się jakaś postać i znenacka wciągnęła ją do wykuszu z oknem wychodzącym na Wielki Kanał. Dłonie w białych rękawiczkach lubieżnie zadzierały jej suknię, obmacywały pożądliwie.

Odwróciła się. Poznała strój Giacoma Casanovy.

- Nie tutaj, Pascalu - powiedziała.

Zamaskowany mężczyzna milczał. Ignorując jej prośbę, przemykał palcami po ciele Mazarine. Niepowstrzymywany dotarł do piersi, delikatnie podszczypywał sutki, więził je, uciskał, sprawił, że stwardniały. Jednym ruchem zerwał złote tasiemki stanika i uwolnił piersi.

To nie był Pascal; to nie mógł być jej mąż. Sposób, w jaki jej dotykał, obrysowywał kształt piersi, łapczywość, amok, nieposkromiona chuć... Dłonie w rękawiczkach mogły należeć tylko do mistrza.

Mazarine jęczała z rozkoszy.

Casanova pchnął ją na stół, niecierpliwie uniósł jej spódnicę z krynoliną, halkę obszytą koronką, odsłonił smukłe nogi i aksamitne, wilgotne, wyczekujące łono. Tam krył się wulkan... i krystaliczne źródło zarazem, które uciszyło jego pożądanie. Pieścił delikatnie zamknięte płatki jej róży, które dopiero zaczynały się rozchyłać, i nagle, niespodziewanie dla niej, przyciągnął ją mocno do siebie i jednym gwałtownym ruchem wbił w nią swój dumnie sterczący miecz.

Cichy jęk odbił się echem w sali.

Żar jego podbrzusza był jak płonąca lawa spływająca dolinami. Mężczyzna wycofywał się i dźgał ją z całym impetem. Kochał się z nią żarliwie i z rozpaczą, tak jakby zaraz potem miał zakończyć życie. Wypełniał ją całkowicie. Dwa ciała połączone w namiętym uścisku, spalające się w ogniu wzajemnego pożądania. To mógł być tylko on.

- Cadiz... - wyszeptała Mazarine, gdy nieco oprzytomniała. - Co myśmy zrobili?

Nie odpowiedział. Ściągnął jej maskę, muskał opuszkami zarys warg, wkładał jej palce do ust. Tymczasem ona jednym szarpnięciem odsłoniła jego twarz i zajrzała mu głęboko w oczy.

- Jesteś piękny... - powiedziała, głaszcząc go po policzku.

- Nie kłam...

Znużone spojrzenie mistrza napotkało bursztynowe tęczyówki uczennicy. Wróciła energia. Języki ponownie rozpoczęły swój morderczy pojedynek. Spragnieni, spijali ciepłą ślinę ze swoich ust jak zbłąkani wędrowcy na pustyni wodę ze studni w oazie. Całował ją tak, jakby to miał być ostatni raz. Smakował powoli, jak wytrawne wino.

Miłość zawiera się w pocałunku - powiedział. Jego poważny głos odbił się echem w pustej sali. - Pocałunek nie kłamie... kłamie... kłamie... Jeśli nie jest prawdziwy, krzyczy. .. krzyczy... krzyczy...

Mazarine śniła, że jest szczęśliwa. Że słowo „tak”, które wypowiedziała w bazylice, było przeznaczone dla Cadiza.

- Małeńka moja, zabiłaś mnie...

sali Della Allegoria Nuziale kobieta we wspaniałym stroju szesnastowiecznej kontesy. Nie miała wątpliwości, że postacie rysujące się na tle okna w głębi to nowożeńcy: syn i synowa - Giacomo Casanova i *vedova dorała*. Osobiście wybrała dla nich kostiumy. Tulili się do siebie w najdalszym zakątku pałacu, z dala od gości.

Westchnęła. Syn był równie namiętny jak jego ojciec.

Usłyszawszy jęki i namiętne szepty, zawstydzona się, że podgląda kochanków. Już miała dyskretnie opuścić to miejsce, gdy dobiegł ją odbijający się echem od ścian zmęczony głos męża: „Miłość zawiera się w pocałunku. Pocałunek nie kłamie. ..” Giacomo Casanova nachylony nad ciałem Mazarine to... Co tu się dzieje, do diabła?

-Mamo...

Odwróciła się. Pascal wbiegał po schodach, z maską w rękę. Kolejny Casanova.

Musi natychmiast odciągnąć stąd syna, żeby nie zobaczył ojca z kobietą, która dziś została jego żoną...

Czy się nie przesłyszała? Te same słowa, którymi rozkochał ją w sobie namiętnego maja sześćdziesiątego ósmego roku, Cadiz wypowiedział teraz do synowej.

O mój Boże! Gdzie ona miała oczy? Jak mogła do tego dopuścić? W uszach czuła bolesny ucisk, kręciło się jej w głowie i robiło niedobrze. Stała jak sparaliżowana. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Co począć? Wycofać się czy ujawnić? Uciec, czy podbiec i spoliczkować oboje?

Pascal nie może ich zobaczyć. Umarłby ze zgrzyoty. Musi powstrzymać go od wejścia do sali.

W westybulu oddzielającym schody od sali jakaś kobieta i jej mąż - Simonetta Vespucci z *Narodzin Wenus* Botticellego i Guliano Medyceusz - podeszli z gratulacjami do Pascala.

Sara nie reagowała. Myśli kłębiły się jak oszalałe. Przypominała sobie wszystkie gorzkie chwile, jakie ostatnio przeżyła w związku z dziwnym zachowaniem Cadiza: zły humor i nadużywanie whisky, znikanie na całe dni i ucieczka z małżeńskiej sypialni, głuche telefony, oziębłość i dręczący go ciągle niepokój. Uporczywe naleganie na wspólną z synem i jego narzeczoną podróż do Maroka, pojedynki słowne między nim a Mazarine... Od jak dawna ją oszukiwał? Od kiedy prowadził tę grę? Trudno uwierzyć, że ta wstrętna i upokarzająca sytuacja, której była świadkiem, zdarzyła się pierwszy raz.

Poczuła się śmiertelnie zraniona. Dawniej bolały ją miłostki i romanse męża, ale wtedy była młoda i rozsądek nakazywał tego nie dostrzegać. Ogarnął ją bezmierny smutek i znużenie. Miała wrażenie, jakby skoczyła na główkę do basenu bez wody. Została wystawiona na śmieszność.

Zapragnęła uciec stąd jak najdalej i o wszystkim zapomnieć. Nienawiść do męża mieszała się z litością do niego, do siebie, do syna, do tej bezbronnej dziewczyny. Była wściekła na męża, na życie, wreszcie na to, że świat jest taki zwodniczy i pusty. Za to, że ten mężczyzna, którego kiedyś pokochała, okazał się nieszczęsnym głupcem. Człowiekiem pozbawionym zasad. Zwierzęciem i zwykłą kanalią. Jeszcze nigdy tak się nie czuła. Straciła grunt pod nogami. Coś ciągnęło ją w głąb otchłani, a ona nie miała się czego uchwycić.

Spadała, spadała, spadała...

Dlaczego czas Cadiza nie upływał w tym samym tempie co jej? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Co robiła na tym pozbawionym sensu świecie?

Odeszła bezszelestnie. Kochankowie zaś, zupełnie tego nieświadomi, nadal się całowali.

- Nie mogę znaleźć Mazarine - powiedział Pascal, gdy stanęła obok niego. - Chyba nie czuje się dobrze. Przy stole nie zjadła ani kęsa.

Sara milczała.

- Co ci jest, mammo?

- To tylko zmęczenie, synku.

-Gdzie podziewa się Cadiz? Nie widziałem go przez cały wieczór.

- Ja także - skłamała. - Chodź. - Uwiesiła się jego ramienia i starannie ukrywając smutek, poprowadziła w dół po schodach. - Pomogę ci jej szukać. Ostatnio widziałam ją na dole, w wielkim salonie.

- Mammo, muszę ci coś powiedzieć: jestem najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

92

Jesień zabarwiała spaloną czerwienią ulice i parki Paryża. Udręczone słońcem liście powoli opadały. Życie zatoczyło koło. Zaczynał się nowy cykl i nic nie mogło tego powstrzymać. Prawo natury jest bezlitosne. Nadaje rytm tej odwiecznej i powtarzalnej do znudzenia choreografii. Ogródki kawiarniane znowu zostały przysłonięte plastikowymi osłonami, w restauracjach pojawiło się sezonowe menu, studenci wrócili na uczelnię, włóczędzy włóczyli się jak zawsze. Dla jednych rozkwitało szczęście, inni ciągle jeszcze nie pogrzebali swojego bólu.

Dla Mazarine wszystko się skończyło. Dzień ślubu stał się początkiem bezbarwnego życia i akordem kończącym czas namiętności. Wraz z odejściem Cadiza wszystko poszarzało i zbladło. Spotkanie w sali Della Allegoria Nuziale było pożegnaniem. Zrozumiała to później, po kilku tygodniach, gdy wspomnienie rozstania obsesyjnie powracało. Stała w oknie, patrzyła, jak wsiada do gondoli i znika we mgle.

Gorzko-słodki smak w ustach przywołał słowa malarza wypowiedziane

podczas powrotnego lotu z Maroka do Paryża. Tak, umarła za życia. Otepiała, niewrażliwa na muzykę płynącą z głębi duszy zdręczała się tym, że nie kierowała się głosem serca. Dlaczego nie dała szansy szczęściu?

Nigdy więcej go nie zobaczy.

Od Pascala dowiedziała się, że mistrz rozstał się z żoną, zaszył w La Ruche i nie chce nikogo widzieć.

Po powrocie z Wenecji Sara wyrzuciła go z mieszkania przy rue de la Pompe. Posagowo wyniosła, z godnością, nie okazując bólu, oznajmiła, że między nimi wszystko skończone. Cadiz ani się nie przyznawał, ani nie wypierał tego, co zaszło w weselną noc. Milczał. Wyszedł tak jak stał, niczego ze sobą nie zabierając, nie odpowiedziawszy na żadne z pytań, które zadawała mu Sara. Potulnie zgodził się na wszystko, jakby go to w ogóle nie obeszło.

Najbardziej jednak zabolęło Sarę to, że się nie bronił. Do końca zachował pogardliwą wyższość. Mimo to kochała tego samolubnego i próżnego faceta, choć na to nie zasługiwał.

Jak wielokrotnie przedtem, mógł powiedzieć, że bardzo żałuje tego, co się stało. Nie potrafił się powstrzymać, zwyciężyła słabość do młodej dziewczyny. Pozwolił się oczarować. Wyznać, że pod maską malarza odnoszącego sukcesy, kryje się mały, bezsilny człowiek. Nie zdobył się na to, nie okazał żadnych ludzkich uczuć, ani krzty empatii, współczucia dla jej cierpienia, nie wspominając o bólu, jaki sprawiłby synowi, gdyby dowiedział się prawdy

Czy przyjęłaby jego skrucę? Gdyby próbował wytłumaczyć się, że jest zwykłym śmiertelnikiem, może postarałaby się go zrozumieć. Ale nie. Patrzył na nią z lodowatym dystansem, jakby była powietrzem. Oczekiwała, że okaże się tym, kim był, gdy go poznała: prostym, nieskomplikowanym chłopakiem, popełniającym błędy, do których jednak miał odwagę się przyznać i przynajmniej słowami odkupić swoją winę. Pragnęła przeniknąć jego duszę, to hermetyczne wnętrze, gdzie - zaczynała już w to wątpić - mieszkają uczucia.

Ile była warta wierność? Zdradę cielesną mogła jeszcze przeboleć. Nielojalności nie wybaczy nigdy. Nie potrafi. Nie była na to przygotowana.

Tylko szczerłość mogła ich uratować, ale on nie był do tego zdolny albo wcale do tego nie dążył.

Przez wiele dni Sara Miller nie chciała rozmawiać na ten temat. Pascal namawiał ją, aby poddała się terapii u zaprzyjaźnionego psychologa i wyrzuciła z siebie wszystko, co ją dręczy.

Rozpacz przeżywała zamknięta w swojej pracowni. Przeglądała minione życie, utrwalone na tysiącach negatywów przechowywanych w archiwum.

W ramach oczyszczenia ze złych emocji postanowiła wywołać wszystkie zdjęcia zrobione mężowi, gdy był jeszcze nieznanym malarzem o nazwisku Antequera, wegetującym na poddaszu przy rue Saint-Andre-des-Arts: skromnym młodym człowiekiem, z czarną cygańską czupryną, głoszącym buntownicze hasła i podczas manifestacji ciskającym w policjantów kostki brukowe - symbol nadziei. Na każdej fotografii została uchwycona jakaś wspólnie przeżyta chwila. Odprężenie po pocałunku pachnącym nikotyną i gumą do żucia: dymem i miętą. Śmiech i zaduma. Zacinająca się leica. Kończąca się klisza. Dłonie i oddechy. Delikatne drżenie szczęścia. Pieszczoty... Ciepło...

A gdyby z nią porozmawiał? Jakimi słowami usprawiedliwiłby ten żar, który nie ona w nim rozbudziła?

Malował tamtą własnymi rękoma, powodowany zwierzęcą chucią.

Nie. Jej nigdy tak nie kochał.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach spóźnił się. Ktoś był przed nim w kościele Saint-Julien-le-Pauvre i zabrał kuferek.

- Powiniennem być przyjść wcześniej - rozzłościł się. – *Fils de pute!*

Tamtej nocy, kiedy zostawił Mazarine zamkniętą w swoim mieszkaniu, udał się do Zielonego Domu w poszukiwaniu informacji, które pomogą mu rozwiązać tajemnicę Świętej. Już miał zakończyć wizytę, gdy w pokoju na górze zwróciły jego uwagę otwarte na oścież drzwi szafy. Ze śladów w jej wnętrzu domyślił się, że nie jest to zwykły mebel. Po chwili odkrył sekretne wejście do tunelu.

Przemierzał go, podniecony świadomością, że jest o krok od wielkiego odkrycia. Wszedł pod ołtarzem w kościele Saint-Julien-le-Pauvre. Tam, w jednej z nisz, znalazł kuferek z historią Sienny. A więc ta pokryta ornamentami skrzynka, tylekroć opisywana, której nikt nie widział... istniała! Podobno zniknęła z katakumb razem z ciałem Sienny. Przez wiele lat bezskutecznie jej poszukiwano, aż w końcu ją również uznano za bezpowrotnie straconą.

Jeremie zastanawiał się, czy zostawić szkatułkę w kościele, czy zabrać ze sobą. Postanowił jej jednak nie ruszać; po pierwsze dlatego, że w swoim malutkim mieszkanku nie miał gdzie jej ukryć przed Mazarine, po drugie, nisza w kościele Saint-Julien-le-Pauvre była bezpiecznym miejscem.

Zdobył zaufanie proboszcza, zachwyconego jego wiedzą i odczytaniem. Rozprawiał z nim uczenie o obrządku melchickim, o Grzegorzcu z Tours i o wielkim patronie, świętym Julianie męczenniku, o odbudowie kościoła w 1651 roku, o kolejnych patriarchach i tak dalej. Stworzył wizerunek gorliwego wyznawcy, który pragnie ukryć przed tłumem swą odrażającą, wywołującą wstręt twarz. Proboszcz zgodził się, aby przychodził modlić się w innych godzinach niż oficjalnie wyznaczone. Samotny duchowny raczył go anegdotkami o parafii, sąsiadach i wiernych. Opowiedział też o relikwiach przechowywanych w świątyni oraz o tym, jak znalazł się tam tajemniczy kuferek.

Zgodnie z zapiskami w starych księgach parafialnych pewnego dnia w 1915 roku - drugim roku światowego konfliktu, w który Francja również była uwikłana – kuferek pojawił się przy trumnie jakiejś zakonnicy, spoczywającej w jednej z

bocznych kaplic. Nikt nie wiedział, jak się tam znalazł, ponieważ w dniach poprzedzających to zdarzenie drzwi do świątyni były zamknięte na głucho. Uznano to za cud. Przeniesiony do niszy obok głównego ołtarza spoczywał tam od ponad dziewięćdziesięciu lat.

Paryż, 22 marca 1915

Owego mroźnego poranka, gdy z oddali dochodziły odgłosy strzałów, artysta malarz Antoine Cavalier z żoną podjęli decyzję. Dłużej nie można już zwlekać; o północy przeniosą z podziemnej świątyni ciało świętej oraz kuferek do swojego domu. Nieprzyjaciel doskonale wiedział, że katakumby stanowią znakomite schronienie i wojsko wejdzie najpierw tam.

Tajne przyrzeczenia, składane z pokolenia na pokolenie, zobowiązywało tę rodzinę do ochrony Sienny w razie zagrożenia, nawet kosztem własnego Bezpieczeństwa.

W połowie XVIII wieku, gdy dom w Manresie, gdzie oddawano świętej cześć, stał się celem nieustannych pielgrzymek, przodkowie malarza wywieźli ją potajemnie z Hiszpanii. dokonali tego nazajutrz po tym, jak pewien szaleniec usiłował zabić szybką w trumnie i zbezczęścić spoczywające w niej ciało. Teraz przyszła kolej na nich, aby ocalić Sienę.

Wśród zamieci śnieżnej i Borne zrzucanych z niemieckich zeppelinów, podrażających miasto w czerwonym widmowym świetle, małżeństwo cavaliERÓw opuszczało sekretnym wyjściem podziemia, ciągnąc wózek z Bezcennym ładunkiem.

Odyseja trwała cztery długie godziny. dotarli do domu przy Rue Galande 75, omijając barykady i punkty kontrolne. nękami lękiem o śpiącą na wózku dziewczynę, przedzielali się przez armatni dym. Wiatr miotał zamrożonymi

grudkami śniegu jak z karabin maszynowego, a oni własnym ciałem osłaniali trumnę. Potem poszło już gładko. W domu wnieśli ją, dziwnie lekką, do sypialni. Cavalier miesiącami drążył wąskie przejście w ścianie za szafą, prowadząc wprost pod ołtarz pobliskiego kościoła, w Rairie niebezpieczeństwa zamierzali uciec tym Korytarzem Razem z ciałem świętej.

Postępując zgodnie z planem, jeszcze tej samej nocy kuferek ze spisaną historią świętej postawili obok trumny zakonnicy w kaplicy kościoła Saint-Julien-le-Pauvre. Kryształowy sarkofag, w którym spoczywało ciało świętej, schowali w wydrążonym tunelu.

Paryż, rok 1917

W mieście światła obowiązywało zaciemnienie, po godzinie policyjnej kawiarnie i restauracje Montpaunasseu, gdzie rodziła się nowa sztuka, świeciły pustkami, ucichły pogawędki i dysputy, podczas których powstawały wielkie projekty i zamierzenia.

Z powodu działań wojennych rynek sztuki znacznie się skurczy. większość salonów malarskich została zamknięta. ciężkie warunki życia zmusiły wielu artystów, wśród nich członków Arts Amantis, do wyjazdu za granicę. fundusze, które Rząd francuski przeznaczył na zapomogi, okazały się niewystarczające. zapasy żywności topniały, ludzie podupadali na duchu. Przymusowy exodus osłabił zakon, zawieszono tajne zebrania w katakumbach.

nieliczni pozostali w Paryżu Bracia zbierali się w jadłodajni przy avenue du Maine, prowadzonej przez Marię Vassilieff, lokal ten bowiem, uznany przez policję za Klub prywatny, nie podlegał rozporządzaniu o godzinie policyjnej i co wieczór zapelniał się gośćmi. tam członkowie Arts Amantis spotykali się z Maksem Jacobem, Apollinaireem, Braque'em, Modiglianim, Or-

tizem Zarate, Matisseem, Brancusim i Picassem, którzy, choć utrzymywali z nimi przyjacielskie stosunki, nawet nie przypuszczali, że mają do czynienia z członkami tajnego zakonu.

Do końca wojny Sienna pozostała w ukryciu. Cavalierowie nikomu nie zdradzili miejsca pobytu świętej, odkąd przebywała w tunelu, lawenda ciągle kwitła, a talent malarski mistrza wzrósł niepomrotnie. Ta piękna dziewczyna, z którą łączyły go więzy krwi, chciała być z nimi. Czemu miałby się nią dzielić, skoro ona sama pragnęła pozostać u nich? Sprawiając, że wszystko wokół kwitło, może w ten sposób prosiła, aby pozwolili jej pozostać w zielonym domu?

Według, oficjalnej wersji święta stała się ofiarą grabieży dokonanej przez wojska niemieckie.

Chociaż miasto pogrążone było w chaosie, a dla paryżan sprawą najmniej istotną było zniknięcie ciała jakiejś dawno zmarłej dziewicy, członkowie Arts Amantis nie poddawali się i miesiącami poszukiwali potajemnie świętej we wszystkich miejscach i zakątkach, gdzie mogła zostać ukryta. zniknięcie Sienny pogrążyło ich w rozpacz.

Po śmierci Cavalierra jego syn został zobowiązany do chronienia ciała Sienny, wywiązywał się z tej powinności sumiennie i nigdy nie zdradził miejsca ukrycia świętej.

Rue Galande, 1967

Dzielnica Łacińska stała się ulubionym miejscem cyganerii artystycznej. po średniowiecznych uliczkach przechadzało się setki młodych ludzi, spragnionych intelektualnych doznań. w ciasnych *chambres de Bonnes* wykluwały się rewolucyjne idee, prowadzono dyskursy nad honorem, powstawały śmiało

teorie malarskie, rodził się bunt. w piwnicznych pomieszczeniach unosiły się opary alkoholu i dym z papierosów, Rozbrzmiewał jazz.

Druga wojna światowa skończyła się dwadzieścia dwa lata temu i do przeszłości należały niebezpieczeństwa, na jakie mogła być narażona Sienna.

Dla Raymonda Cavalierra historia Sienny, którą tyle razy słyszał z ust babki, była już tylko legendą. Ojciec, matka twierdzili, że te opowieści to wytwór chorej wyobraźni: po tragicznych wydarzeniach w czasie wojny staruszka straciła rozum.

Pewnego popołudnia Raymond zmienił zdanie co do bajania babci. Wracał właśnie ze swoim przyjacielem z pracowni malarskiej. Już dochodzili do zielonego domu, gdy spostrzegli coś niezwykłego: z okna sypialni, w której zgodnie z wyznaniem staruszki, uczynionym na kilka minut przed śmiercią, znajdowała się święta, opadała lawenda. Do tego pokoju chłopak nigdy nie odważyć się wejść.

Raymond Cavalier powtórzył koledze dziwną opowieść babki. Obaj doszli do wniosku, że jeśli opowieść jest prawdziwa, to w głębi szafy stojącej w sypialni powinno znajdować się ukryte przejście, święta w trumnie i lany lawendy. W towarzystwie kolegi młody człowiek poczuł przypływ odwagi i postanowił to sprawdzić.

Ukradkiem, jakby w obawie, że ktoś ich usłyszy, chociaż dobrze wiedzieli, że w domu nikogo nie ma, przeszli korytarzem do sypialni w głębi. jak zawsze drzwi były zamknięte na klucz, Cavalier poruszył klamką, naparł na nie ramieniem - ani drgnęły. spróbowali wypchnąć je we dwóch. jedno uderzenie, dwa, trzy. Wreszcie drzwi ustąpiły, a na nich spadła lawina niebieskich kwiatów o duszącym zapachu, widok, jaki ukazał się ich oczom, Był zaskakujący zdawać się mogło, że ten mały, skromny pokój przed chwilą ktoś opuścił, łóżko zasypane pachnącym kwieciem, na stoliku rozłożona książka, przygotowana do wieczornej lektury, szafa otwarta na oścież, z wiszącymi w

niej niemodnymi sukniami z batystu, przeszukali ją najpierw pobieżnie, potem przetrząsnęli każdy zakamarek - wszystko na próżno. ostukiwali centymetr po centymetrze ścianki i wreszcie usłyszeli głuchy dźwięk. Za dębowymi plecami znajdowała się wejście do tunelu, skąd dochodził zapach wilgotnej ziemi i ziół. dziesiątki robaczków świętojańskich rozbłysło jednocześnie i rozświetliło ciemności niebieskim blaskiem.

Widok był niezwykły, zatykający dech w piersiach. Podziemny korytarz istniał naprawdę! skupiona w nim energia była odczuwalna. śpiąca w szklanym sarkofagu dziewczyna promieniowała światłem rozpraszającym mroki i wydzielala woń lawendy. Wyglądała jak pogrążony w półśnie ptak, który zaraz się przebudzi i poderwie do lotu. zmarła emanowała wielką siłą.

Nie mogli oderwać od niej oczu. takiego piękna nie wolno ukrywać.

Mazarine nie potrafiła się otrząsnąć. Cadiz i Sienna stanowili siłę napędową jej egzystencji. Ciało i duszę. Straciła oboje. Wraz z nimi odeszła chęć do życia. Dusza oddzieliła się od ciała, które stało się jakby obce. Funkcjonowała niezależnie od własnej woli. Malowała, krzątała się po domu i perfekcyjnie odgrywała rolę świeżo upieczonej, zakochanej małżonki. Wewnątrz była martwa, niezdolna do przeżywania macierzyństwa. Smutek zupełnie nie pasował do jej stanu. Nie czuła związku z tą istotą, która rosła w jej brzuchu i już zaczynała się poruszać. Ciężko jej własne jestestwo, paliły oczy od suchych, niewylanych łez; nosiła w sobie dwie nieopłakane śmierci.

Nic ją nie trzymało na tym świecie. Skończyły się godziny wyczekiwań, odliczanie minut do spotkania, pełne nadziei poranki. Nigdy nie zobaczy tych oczu pałających pożądaniem.

Bezustannie malowała, zatracala się w pociągnięciach pędzlem. Z lodowatej bieli wyłaniały się ponure czarne plamy - otchłań, którą przemierzała jej dusza. Żadnych barw.

Ci, którzy widzieli jej płótna, twierdzili, że odzwierciedlają jakąś wzniosłą chwilę, a biel i czerń wyrażają najwyższą pochwałę życia.

Pascal z dnia na dzień był coraz szczęśliwszy. Odkąd nad brzegiem jeziora Garda, gdzie spędzali miesiąc miodowy, żona oznajmiła mu, że jest w ciąży, nie przestawał jej rozpieszczać. Wszystko mu się udawało. W gabinecie przybywało pacjentów i cieszył się, że w końcu życie układa mu się zgodnie z marzeniami. Bolało go jedynie to, że nie może pomóc Sarze i Cadizowi w trudnych chwilach. Separacja rodziców nie pozwalała cieszyć się w gronie rodziny szczęśliwą nowiną. Zostawił im wiadomość na automatycznej sekretarce, ale nie odpowiedzieli.

- Dokąd idziesz tak wcześnie? - spytał zdziwiony Pascal, widząc, że żona kieruje się w stronę drzwi. - Nigdy nie wychodzisz o tej porze. Dziś nie malujesz?

- Muszę się przejść...

- Na bosaka?

- Zawsze tak chodzę.

- Przeziębisz się.

- Chcę poczuć śnieg pod stopami.

- Mogę pójść z tobą?

- Zaraz wracam.

Mazarine uspokoiła męża przelotnym pocałunkiem.

Poszła w stronę pasażu de Dantzig. Nie potrafiła znieść kolejnego dnia bez wiadomości od niego. Bała się, że oszaleje.

Śnieg kojarzył się z jej mistrzem. Skrzypienie świeżego puchu brzmiało jak muzyka. Wspominała spędzane razem popołudnia: igranie kropli farby na płótnie, szukających swojego miejsca. Stan radosnego uniesienia... Obrazy przepelnione poezją, dualizmem, beztroską.

Wystający brzuch nie przeszkadzał jej odczuwać tego, co wtedy przeżywała.

Stanąła przed La Ruche i podniosła oczy. Jak zwykle żaluzje w oknach były uchylone. Wyobraziła go sobie w chaosie atelier, topiącego samotność w szklance whisky, ukrywającego się za kłębamii dymu.

Po co przyszła, skoro wiedziała, że jej nie otworzy?

Ponieważ nie potrafiła się powstrzymać. Ponieważ wyniszczała ją wewnętrzna walka. Przyszła, ponieważ chciała, żeby zobaczył ją w odmiennym stanie... Niech wie, że spodziewa się być może jego dziecka...

Przyszła, ponieważ tylko przeklęty, niebezpieczny urok mistrza budził ją do życia. Bo za wszelką cenę pragnęła znowu go zobaczyć, nawet mając świadomość, że to ją zniszczy.

Uporczywie wciskała guzik domofonu, nie spuszczając wzroku z okien atelier.

Na tle żaluzji zaznaczał się cień postaci. Była pewna, że ją widzi. Czowała na sobie wzrok Cadiza, przeszywający ją na wskroś. Ciepło oddechu przecinało jak sztylet lodowate powietrze i docierało rozgrzane wprost do jej ust. Otwierała jej łapczywie na przyjęcie jego języka, na smakowanie śliny.

Była w ciąży!

Taką wiadomość zostawił radosnym głosem Pascal na automatycznej sekretarce w jego atelier. Odsłuchiwał ją chyba ze sto razy, zanim rozbił aparat o ścianę.

Jego małeńka była w ciąży!

Miał ją przed sobą, w zasięgu ręki, w odległości zaledwie dwudziestu kroków. Czarna plama na nieskalanej bieli. Płaszcz opinający brzuch, niewidoczne w śniegu stopy.

Wzywała go.

Nie chciał jej widzieć i pragnął ją zobaczyć. Nie chciał i pragnął... Na czym stało? Przeklęte wątpliwości! Rozum nakazywał powiedzieć „nie”.

Po co przyszła? Czemu raz na zawsze o nim nie zapomni? Nie rozumiała

wymowy milczenia? Nakazywał jej odejść, zanim dla wszystkich będzie za późno. Zanim popełni jeszcze większe szaleństwo od poprzednich. Nie chciał już nikogo więcej krzywdzić... Chciał, żeby uczucia już go nie raniły. Pogrzebać pożądanie. Życie pomiędzy wszystkim i niczym. Na skraju śmierci.

Jego wielka moc nie uwalniała go od obsesji. Wszystkie fobie pojawiały się jak ujarzmione monstra pragnące go udusić.

Nie, lepiej, żeby się do niej nie zbliżał. Cadiz, którego znała, już nie istniał; on sam nie był pewny, czy żyje. Już poznał zasadzkę życia, pragnął zawinąć się nagi w płótno i zasnąć...

- Zrobię ci prezent, maleńka - wymamrotał i odszedł od okna.

95

Podłogę w mieszkaniu przy rue Champagne-Premiere 31 zaścielały setki fotografii, które Sara Miller zrobiła mężowi przez wszystkie wspólnie spędzone lata. Sama nie wiedziała, czego w nich szuka. Uchwyconych obiektywem leiki splątanych wątków: poznali się, pokochali, potem coś ich rozdzieliło, coś sprawiło, że związek się rozpadł. Kiedyś myślała, że robiąc mu zdjęcia, zawładnie jego duszą, wedrze się do niedostępnego dla niej i dla innych wnętrza. Tam był sobą: na zamalowanych płótnach i na jej fotografiach. Sam papier nic nie znaczył. Została jednak na nim utrwalona bezustanna walka o to, aby coś udowodnić, zdobyć uznanie i wreszcie po prostu być.

Młodzieńcza pasja, czarna czupryna rozwiana na wietrze, pierwsze siwe włosy, zmarszczki na twarzy... Uśmiech, zmarszczone brwi, strojenie min, przybieranie pozy przyszłej wielkości, uczone perory, wywiady. Procesy twórcze, krok po kroku: Cadiz zamyślony, Cadiz przeżywający wizje, Cadiz zmieniający w

sztukę dobro i zło. Cadiz z pędzlem uniesionym w górę i wyzywającym spojrzeniem.

Pierwsze obrazy... Wystawa, która przyniosła mu sławę i uczyniła z niego prekursora dualizmu wyuzdanego: *Bluźniercze dziewice*.

Smutne i zagubione oczy Sary przemykały po stercie wywołanych zdjęć. Nagle jej uwagę przykuła jedna z fotografii. Na portrecie wykonanym parę dni po poznaniu w twórczym transie ostatnimi pociągnięciami pędzlem wykańczał obraz przedstawiający dziewicę. Zdaniem krytyków hipnotyczne wrażenia na widzach wywierał onieśmielający, uwodzicielski czar duchowości i rozwiązłości, harmonijnie połączonych, splecionych w jedno. Co było w tej postaci tak fascynującego?

Położyła zdjęcie pod reflektorem na stole w ciemni i przyjrzała mu się przez lupę.

Rzeczywiście, obraz był wspaniały. Dziewczyna miała w sobie niewyobrażalny urok. Ta nagość, to wyzywające spojrzenie...

Na jej piersi widniał dziwny symbol. Coś jej przypominał.

Tak, przypominał... medalion, który miała na szyi Mazarine tego dnia, kiedy zrobiła jej zdjęcie.

Tak, przypominał... straszny znak wytatuowany na piersi tego dziwnego mężczyzny, którego wyłowiła z tłumu na ulicy i namówiła do pozowania!

Pobiegła do archiwum, by odszukać zdjęcie Mazarine i Mężczyzny o Zamglonych Oczach i zajęcej wardze.

Od dwóch dni pił.

Patrzył w lustro i nie poznawał siebie.

Był tam.

Po raz pierwszy poczuł się tym, kim nigdy nie był: własnym sędzią.

Z odbicia w lustrze patrzyły na niego zimno oczy o zagubionym spojrzeniu. Czarne tęczęwki wyrażały melancholię i przestach. Stał w obliczu wątpliwości, których nie mógł rozwiązać kolejny łyk alkoholu. Znalazł się na rozstajach: którą drogą pójść? Wybrać prawdę czy kłamstwo? Znowu ten przekłety dualizm. Same sprzeczności. Dlaczego zawsze szukał przeciwieństw? Nie mógł tak dłużej żyć.

Był tam.

Cadiz naprzeciwko Cadiza. Cadiz przeciwko Cadizowi. Zakładnik tuż przed zgładzeniem samego siebie. Ostrze opadającej gilotyny i... ciach! Czyste cięcie. Głowa tocząca się po płótnie: jego pośmiertne dzieło, ostatni akt dualizmu. Dlaczego zrobił to w chwili największej sławy? – spytają sępy i poczują się uprawnione do osądzania go, więc głośno zaskrzeczą: oszalał, poczuł się pokonany, zrobił to ze snobizmu, jego sztuka nie miała żadnej wartości, okazał się nędznym sprzedawcą marzeń, zabrakło mu natchnienia. Będą się z niego naśmiewali, pili na jego grobie i syci zemstą szybko o nim zapomną.

Był tam.

Patrzył na siebie, choć twarzy nie widział. Zasłaniała ją broda, znak tożsamości. Maską, która przed niczym go nie chroniła, nawet przed własnym osądzającym wzrokiem: koniec jego ułudnej kariery.

Być może w jakimś miejscu lustra jego wykreowany wizerunek i on prawdziwy spotkają się. Wtedy pogodzą się ze sobą i łatwiej przyjmie to, co nieuchronne: śmierć.

Sam uczynił z siebie wielkiego mistrza. Coraz bardziej zbliżał się do brzegu, do swojego własnego *rive gauche*. Za sobą zostawiał sławę, poklask, nadzieje... Nie zatrzyma się, żeby przyjrzeć się widmom przeszłości. Sam, był sam. Już nigdy nie stworzy nowego dzieła. Zadrzał...

Nie było odwrotu. Po raz ostatni postara się być sobą.

Przedstawiciele środków masowego przekazu wyczekiwali niecierpliwie. Do wystąpienia mistrza brakowało zaledwie paru minut. Wnętrze sali kinowej, która na tę okazję zyskała uroczystą oprawę, wypełniały kamery, światła, magnetofony i mikrofony.

Wiadomość, że wielki Cadiz pragnie spotkać się z dziennikarzami, postawiła cały artystyczny światek w stan gotowości. Konferencja prasowa odbywała się w La Pagode, pięknej świątyni, pod koniec XIX wieku sprowadzonej z Japonii przez dyrektora Bon Marche dla ukochanej. Dlaczego umówił się z nimi w tak niezwykłym miejscu? Czy miało to jakieś znaczenie? Wymógł na nich, aby informacja o spotkaniu nie została upubliczniona i wyjątkowo pakt milczenia został przez wszystkich uszanowany.

Nagle w La Pagode rozbłysły flesze i powoli narastał pomruk szeptów, który przerodził się w lawinę pytań. Przed zaproszonymi gośćmi pojawił się Cadiz, ubrany w żałobną czerń: czarny garnitur, koszula i krawat prezentowały wręcz pogrzebową prostotę.

- Mistrzu... opowie nam pan o swoim ostatnim dziele?! - zawołał jeden z dziennikarzy.

Pytania padały ze wszystkich stron.

- Jakie wrażenie wywarła na panu wiadomość, że jeden z pańskich obrazów został kupiony za cenę, jakiej do tej pory nie osiągnął żaden z żyjących malarzy?

- Czy *to* prawda, że pan i Sara Miller rozstaliście się?

- Czy zamierza pan odebrać przyznany przez rząd order Legii Honorowej?

Pytania, pytania, pytania...

Po raz pierwszy Cadiz uczestniczył w konferencji prasowej bez sztabu specjalistów od public relations. Whisky sprawiła, że pośród osaczającej go wrzawy pozostał opanowany. Patrzył na dziennikarzy obojętnym wzrokiem, tak jakby to nie on był bohaterem tego widowiska. Atmosfera gęstniała z minuty na minutę. Zrozumiał porażającą siłę milczenia. Niewzruszony spokój wymusił ciszę. Podszedł do mikrofonu i przemówił swoim chropowatym głosem, odbijającym się echem od ścian starej pagody.

-Panie i panowie, dziękuję za przybycie. Pewnie się państwo zastanawiają, dlaczego was tu zaprosiłem, co się za tym kryje. Dobrze, będę się streszczał. Uprzedzam, że po moim wystąpieniu nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania. Czy to jasne? - Potoczył wzrokiem wkoło i po efektownej pauzie kontynuował: - Siedemnastego lipca na tarasie Łuku Triumfalnego pokazałem swoje najnowsze prace. Dzieła te, uznane za najwyższy przejaw dualizmu wyuzdanego, wywołały w świecie sztuki prawdziwą burzę. Obecnie są własnością wielkich muzeów lub prywatnych galerii. Otóż muszę państwu wyznać... - Urwał. Wysznięte gardło paliło żywym ogniem. Chętnie napiłby się whisky. Po chwili mówił dalej: - .. że ze stu dzieł zaprezentowanych na wystawie dwa z nich nie wyszły spod mojej ręki.

Przeczekał pomruk zdziwienia.

-To nie wszystko. Żaden z tych obrazów, powtarzam: żaden, nie powstałby, gdyby w moim życiu nie pojawiła się wspaniała malarka. Początkująca artystka przyszła do mojego atelier uczyć się... uczyć się tego, co już świetnie umiała. Panie i panowie: te niezwykle dzieła, najcenniejsze klejnoty wystawy, a zarazem jej symbol, namalowała... Mazarine Cavalier. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Dziękuję państwu. Żegnam.

Salę wypełniła wrzawa. Dziennikarze otoczyli malarza, fotoreporterzy robili

mu zdjęcia. Wśród błysków fleszy i szumu kamer Cadiz w milczeniu opuścił La Pagode.

98

Tą niezwykłą wiadomością rozpoczynały się wszystkie popołudniowe dzienniki telewizyjne. W pierwszym ujęciu pokazywały zwykłą fotografię z do-wodu, powiększoną na cały ekran, niejakiej Mazarine Cavalier. Cadiz oszukał cały świat sztuki, podpisując swoim nazwiskiem obrazy, których nie namalował. Krytycy określali go mianem największego szalbierza wszech czasów. Oponenci nie zostawili na nim suchej nitki. Korespondenci w Londynie, Nowym Jorku, Tokio, Brukseli, Sztokholmie i Mediolanie pokazywali na tle fasad największych domów aukcyjnych masowe protesty i manifestacje potępiające czyn Cadiza. W przeprowadzanych wywiadach kustosze muzeów nie kryli oburzenia. Domagali się wyjaśnień, zwrotu pieniędzy, zniszczenia obrazów. .. Wrzawa i dyskusje trwały.

Mazarine właśnie oglądała wiadomości. Na widok swojego zdjęcia na ekranie telewizora zastygła w bezruchu. Serce tłukło się jej w piersi jak oszalałe. A więc to miała być ta niespodzianka? Dlaczego to zrobił? Nic z tego nie rozumiała. Wybiegła z domu, nie zamykając za sobą drzwi.

99

Sara Miller postanowiła odesłać Cadizowi wszystkie jego rzeczy do atelier przy pasażu de Dantzig. Nie miała pojęcia, jak się bez nich obywat. Jego milczenie

było niepokojące. Od prawie czterech miesięcy nie opuszczał swojego dobrowolnego więzienia.

Widok garderoby męża sprawił jej nieznośny ból. Każda sztuka ubrania była przesycona jego zapachem. Dlaczego nie potrafiła go znienawidzić? Składała pedantycznie koszule, krawaty, garnitury, płaszcze, próbując odwlec chwilę ostatecznego pożegnania z Cadizem.

W szufladach wypełnionych notesami z zapiskami i szkicami, sporządzanymi na gorąco pod wpływem emocji, snuł się zapach jego wody kolońskiej. Najtrudniej było znieść świadomość, że jego już przy niej nie ma, a przedmioty martwe przetrwały. Przeglądała strona po stronie szkicowniki, podziwiając śmiałą kreskę, wizjonerskie poszukiwanie prekursorskiego stylu w malarstwie i nowych dróg. Spomiędzy kartek z notatnika wypadła złożona strona połówkowej gazety. Podniosła ją i starannie rozłożyła.

W prasowej notatce zatytułowanej: *Arts Amantis istnieją* pojawił się ten sam symbol, co na medalionie Mazarine, na piersi mężczyzny z ulicy i na obrazie męża. Przeczytała uważnie tekst i zamarła ze zdziwienia. Artykuł mówił o starej sekcji związanej ze sztuką, dualizmem dobra i zła, o zaginionej Świętej, o kobiecie jako źródle inspiracji, o miłości duchowej - sprawczej mocy pożądania i sztuki. Autor pisał też o katarach i heretykach...

Wyczuwała, że dzieje się coś dziwnego. Opróżniła szafę, szuflady komody, biurko. Przeszukała salon, gdzie mąż lubił się zamykać, przejrzała jego archiwum, bibliotekę... Niespodziewanie, w kącie pracowni, za wspaniałą rzeźbą Henry'ego Moore'a dostrzegła stary kufer.

Skąd się tu wziął? Nigdy przedtem go nie widziała.

Wyciągnęła kufer na środek pokoju i próbowała otworzyć. Niestety był zamknięty na kłódkę. Zawołała Juliette i poprosiła o młotek. Służąca w parę sekund była z powrotem. Poczekała, aż wyjdzie, i tłukła nim tak długo w kłódkę, aż ustąpiła. W środku znajdowało się coś naprawdę niezwykłego: tajemnicza, biała

szata z wyhaftowanym dziwnym symbolem.

Co to wszystko ma znaczyć?

Telefon dzwonił bez przerwy. Juliette nie nadążała z odbieraniem. Mieszkanie zmieniło się w piekło wypełnione dźwiękami. Komórka Sary, od rozstania z Cadizem milcząca, ustawicznie sygnalizowała nadejście kolejnej wiadomości. Po kilku minutach na ekranie wyświetlił się napis, że skrzynka odbiorcza jest przepełniona.

Usłyszała pukanie do drzwi salonu i głos służącej:

-*Madame... madame...*

- Co chcesz, Juliette?

- Telefon się urywa, *madame*. Nie przestaje dzwonić. Szef ochroniarzy mówi, że przed domem zgromadził się tłum reporterów z kamerami. Wszyscy chcą panią zapytać o *monsieur* Cadiza.

- Nie ma mnie dla nikogo.

- Tak powiedziałam, ale oni nalegają. Chcą poznać pani zdanie na temat oświadczenia *monsieur* podczas konferencji prasowej.

Sara schowała szatę do kufra i pośpiesznie otworzyła drzwi.

- Jakie oświadczenie, Juliette?

- Nie mam pojęcia, *madame*. Nic z tego nie rozumiem.

- Zostaw to mnie.

Sara Miller poszła do kuchni, zadzwoniła na portiernię i kazała ochroniarzom pozbyć się reporterów sprzed kamienicy. Następnie wcisnęła przycisk skrzynki głosowej w komórce i odsłuchiwała wszystkie wiadomości, jedną po drugiej.

Biiip...

„Witaj, Saro. Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałam przed chwilą w dzienniku. Czy to prawda, co oświadczył Cadiz? Oddzwoń, proszę”.

Biiip...

„Cześć, Saro. Dlaczego, u diabła, pokazują zdjęcie twojej synowej w telewi-

zji? Co za brednie opowiada twój mąż?

Oddzwon".

Biiip...

„Oh *my God!* Saro... Co się dzieje? W całym Nowym Jorku aż wrze po tej wiadomości. Zadzwoń".

Biiip...

„Powiedz, że to kłamstwo, Saro. Nie mogę uwierzyć w to, co powiedział twój mąż. Pewnie jesteś zdruzgotana.

Zadzwoń do mnie".

Biiip...

Wszyscy komentowali to, co zrobił Cadiz, ale nikt nie powiedział, o co właściwie chodzi. Sama się dowie, nie będzie do nikogo dzwoniła. Pobieгла do salonu i włączyła telewizor. Rozpaczliwie zmieniała kanały, aż natrafiła na wystąpienie męża. Z poważną miną wygłosił oświadczenie:

„Żaden z tych obrazów, powtarzam: żaden, nie powstałby, gdyby w moim życiu nie pojawiła się wspaniała malarka. Początkująca artystka przyszła do mojego atelier uczyć się... uczyć się tego, co świetnie umiała. Panie i panowie: te niezwykle dzieła, najcenniejsze klejnoty wystawy, a zarazem jej symbole, namalowała... Mazarine Cavalier. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Żegnam".

Sara Miller nie chciała tego dłużej słuchać. W przedpokoju ściągnęła z wieszaka płaszcz i wyszła z domu.

Juliette usłyszała głucho trzaśnięcie drzwi.

zdawały się wydłużać, czerwone światła na skrzyżowaniach nigdy nie zmieniać, stopy ślizgały się po zabłoconych płytkach. Jakby wszystko się sprzysięgło przeciwko niej. Musiała jak najszybciej porozmawiać z Cadizem, ale silna wichura spowalniała ruchy.

Przechodnie chwyтали się latarni, szczelnie otulali płaszczami i szalikami, naciągali rękawiczki na dłonie, chroniąc się przed lodowatym wiatrem, którego porywy wyrywały papierosy z zaciśniętych ust. Nad Paryżem wisiały złowróżbne, czarne chmury.

Nie mogła dalej iść. Nigdzie nie było taksówki. Stopy przemarzły na kość. W brzuchu protestowała malutka istotka. Czuła, jak się w niej trzepoce i prosi, żeby tak szybko nie biegła. Rozpycha się w jej łonie, domagając się więcej miejsca.

Bała się, bardzo się bała wszystkiego. Nie wiedziała, jak Cadiz zareaguje na wiadomość, że zostanie ojcem, a przede wszystkim, czy ona potrafi być matką dla ich dziecka. Gdy dotarła do rogu rue Robert Lindet, zaczął sypać śnieg. Biała zasłona zmieniła pasaż de Dantzig w fantasmagoryczne, zapomniane przez Boga i ludzi miejsce, zawieszony między snem a jawą. Płatki śniegu, spadając na jej twarz, topniały. Drobnutkie kropelki przypominały łzy. Kochała śnieg, bo zakrywał brzydotę i wszystkie brudy. Szkoda, że nie może przykryć białym całunem również jej samej.

Doszła pustym zaułkiem pod numer drugi. Chociaż ciągle był jeszcze dzień, La Ruche spowijał mrok. W ogrodzie, za żelazną bramą, od kwiatów lawendy biła błękitna poświata. Zakątek przesycił intensywny zapach. Pod zielonymi gałązkami znikły nie tylko walające się wszędzie bezgłowe rzeźby, ale także ścieżka prowadząca do strzegących wejścia kariatyd. Tak jakby na tej samotnej wyspie zapanowała wiosna i mróz nie miał tu dostępu. Wśród płatków śniegu krążyło setki świetlistych robaczków świętojańskich.

Mazariane ogarnął niezwykle spokój. Okna w atelier Cadiza były ciemne. Nie ma go tam. Mimo to przez kilka minut wciskała dzwonek. Zadzwoiła na sta-

cjonarny telefon, potem na komórkę. Wysłała wiadomość z prośbą, żeby natychmiast się z nią skontaktował. Po godzinnym oczekiwaniu, zrezygnowana, postanowiła wrócić do domu. Już zamierzała to zrobić, gdy nagle napotkała poważny wzrok Sary.

- To jego? - spytała fotografka, patrząc na jej sterczący brzuch.

- O czym ty mówisz?

- Pytam, czy to dziecko Cadiza.

Mazarine spuściła wzrok.

- Odpowiedz.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zbierało jej się na płacz.

- Nie wiem.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego?

- ...

- Spójrz na mnie.

Nie mogła. Wstydziła się. Kochała tę kobietę za czułość, jakiej nie doznała od własnej matki. Sara sprawiła, że poczuła się coś warta.

- Zniszczyłaś nas. Nie dość, że okradłaś mojego męża - cedziła lodowato - to jeszcze zabrałaś nam Pascala.

- ...

- Powiedz coś...

Dusiła się. Czowała, że dłużej nie zniesie tych oskarżeń. Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Nie znajdowała wytłumaczenia dla swojego zachowania.

Odwróciła się i uciekła.

- Mazariiiiine...

Nie zatrzymała się. Pragnęła zniknąć, rozwiać się, znaleźć się tam, gdzie nie ma bólu i nikt nie zadaje pytań, na które ona nie zna odpowiedzi.

-Poczekaj...

Sara biegła tuż za nią. Zaraz ją dogoni. Przyspieszyła kroku. Poślizgnęła się

na skutej lodem ziemi i upadła.

- Mazarine! O mój Boże!

Sara na próżno próbowała ją podnieść. Przyklękła przy nieprzytomnej Mazarine. Położyła sobie jej głowę na podołku i zaczęła nacierać policzki śniegiem.

- Nie chciałam zrobić ci krzywdy. Kochanie, otwórz oczy!

Przy upadku płaszcz Mazarine rozchylił się. Sara nie potrafiła się powstrzymać. Położyła dłoń na wzdętym brzuchu synowej i zaczęła go delikatnie głaskać. Był ciepły. Poruszało się w nim życie. Ogarnęła ją bezbrzeżna czułość. Tam był jej wnuk albo brat jej syna...

Kroki zawiodły go pod Łuk Triumfalny. Nie zamierzał udzielać wyjaśnień ani odpowiadać na pytania. Nie chciał nikogo widzieć. Nie pragnął też niczyjej obecności.

Właśnie popełnił samobójstwo artystyczne i jak ranny lew chciał w samotności lizać rany. Złamał swoje wielkie rozdęte ego. To bolało, oczywiście, że bolało. Żył z nim czterdzieści lat, we dnie i w nocy, w każdej godzinie: gdy się ubierał, jadł. Dbał o nie. Ono pomagało wyżywać się w pasjach, przyzwyczajało do zdobywania tego, co chce i kiedy chce. Był taki dumny ze swego wizerunku artysty, że pokazywał go całemu światu z najpiękniejszym uśmiechem na ustach. Kochał to swoje ego, mimo to zabił je. Jak dalej żyć? Uwolnił się od niego... Uwolnił się? Od dziś jego życie potoczy się w nieznanym kierunku. W jakim? Czy potrafi znowu stać się Antequera, tym skromnym chłopakiem, który malował zachody słońca na plaży w Barbate, który jadł smażone ryby, własnoręcznie złowione na haczyk, sprzedawał na placu w Sewilli swoje obrazy za bezcen i koił

udrękę, wtulając twarz między wielkie piersi ciotki? Może jeszcze nie wszystko stracone. Może... Najpierw jednak wejdzie na taras Łuku i ponownie przeżyje tamten wieczór z Mazarine, gdy oboje poczuli w sobie moc, stali się władcami życia i śmierci. Rozłożone ramiona jego maleńkiej, on ją obejmuje, niewinny uśmiech okraszający jej świeże oblicze; ta zuchwała młodość dodawała mu wigoru. Szczęście przemknęło jak błyskawica; pozostało po nim tylko wspomnienie.

Wreszcie zrozumiał, że nie można mieć nikogo na własność. Człowiek nie jest panem nawet samego siebie. Czasami los rozdaje fałszywe karty. Czuł się odpowiedzialny za własne życie, choć nie prosił się na świat. Decyzja na „tak” albo na „nie” jest wiążąca i nie wolno jej podejmować pochopnie. Stał się strażnikiem samego siebie. Właścicielem nicości. Zębami i pazurami trzymał się najbardziej idiotycznej koncepcji: wyobrażenia, że istnieje. Wielkie nic zmienione w ogromną pryzmę gówna. Im starsi jesteśmy, tym ciaśniejsze więzy nas krepują. Im więcej wiemy, tym bardziej czujemy się zagubieni. Im więcej mamy, tym więcej dręczy nas niepokojów. Sława to kajdany. Porażka również. Jeśli kochasz, grozi ci więzienie uczuć. Jeśli nie kochasz - okowy samotności. Jeśli pragniesz - piekło spełnienia. Z wiekiem rośnie strach, że stracimy to, co zdobyliśmy, i żądza, aby posiadać coraz więcej i więcej. Człowiek staje się ofiarą własnych złudzeń.

Kroczyliśmy przez życie, zdobywamy doświadczenie, uczymy się omijać rafy i powoli dochodzimy do przekonania, że mądrość uchroni nas przed popełnianiem błędów. Nagle spada na nas marzenie. A my, choć nie mamy złudzeń, wczepiamy się w nie rozpaczliwie, unosimy się w powietrzu i przez chwilę czujemy, że się myliliśmy i prawda jednak istnieje. Możemy wzbić się ponad przyziemną codzienność; uwierzyć, że marzenie wyzwoli nas od śmierci za życia. Nie, naiwność wcale nie jest cechą młodości; dotyczy też wieku dojrzałego.

Śnieg sypał na Paryż i pokrywał białym puchem ulice. Samochody zaparkowane wzdłuż krawężników znikwały pod nim i coraz trudniej było przejść chodnikiem. Cadiz tego nie widział przez łzy napływające mu do oczu. Oddalał się

od Mazarine, od Sary, od Pascala, od wszystkiego i wszystkich. Czy uda mu się stworzyć świat, w którym pustka będzie jego jedynym towarzyszem?

Dotarł do Łuku. Zatrzymał się i spojrział w górę na ten symbol zwycięstwa. Wyryte na cokole napisy mówiły o wygranych bitwach, zdobytych miastach i bezimiennych żołnierzach. *Grandeur* Łuku i *insignifiance* malarza znajdowały się dokładnie naprzeciwko siebie. Każda z tych stron walczyła, aby pokazać światu siłę i odwagę.

Nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia - on, wielki Cadiz - będzie zbierał lekkomyślnie rozsypane okruchy szczęścia. Że pewnego dnia podda się czułości.

Szukał miejsca, gdzie tamtej nocy bawił się z Mazarine, przesyłając jej w mroźnym powietrzu pocałunki, ale go nie znalazł. Znikło pod śniegiem. Przepadło. Pozostało tylko mgliste wspomnienie, które mógł jeszcze uratować. Jeśli się skupi, uda mu się. Usłyszy echo jej śmiechu. Poczuje ciepły powiew jej oddechu na twarzy, obłoki pary z ust zmieszają się i połączą w jaskrawym świetle latarni. Delikatne stopy Mazarine w śniegu.

- Czujesz mój pocałunek?

-Tak.

- Jest przeznaczony wyłącznie dla ciebie, jedyny. Tak będziemy się całować tylko my.

- Chcę jeszcze.

Chcę jeszcze... chcę jeszcze... chcę jeszcze...

Jak łakome dziecko, które zajada się cukierkami, Mazarine prosiła o więcej; dał jej tyle, ile mógł dać. Na więcej nie pozwalały mu jego ograniczenia, wewnętrzne sprzeczności.

Zapalił papierosa, wyciągnął z kieszeni płaszcza piersiówkę i wzniosłszy toast za to wspomnienie, wypił do dna.

Ognista whisky przyniosła mu ulgę.

Przez chwilę zwlekał. Nie licząc dwóch pracowników zaśmiewających się za zamgloną szybą kas biletowych, było zupełnie pusto. Postanowił nie korzystać z windy; tak jak wtedy wejdzie po schodach. Spojrzał z dołu na trasę, jaką miał przemierzyć - wydawała mu się nieskończona. Przed wejściem przysiadł na schodkach. Obok jakaś bezdomna staruszka dygotała z zimna. Wzruszyła go jej bezbronność, zdjął płaszcz i otulił ją nim. Nawet nie drgnęła. Zgasił papierosa, wstał i zaczął wchodzić po stopniach, które zdawały się nie mieć końca; posuwał się z wolna, stopień po stopniu, powoli i ociężałe jak śmiertelnie ranny. Wzruszał się, pocił... Dźwigał na barkach brzemień całego życia. Czuł się pokonany. Teraz pragnął już tylko uwolnić się od własnych myśli. Rzucić się w dół, roztrzaskać głowę o beton. Znikną wspomnienia, nieważne stanie się to, kim był, kim nie mógł być... Kusila go perspektywa lekkości niebytu.

Dotarł na górę i wzdrygnął się. Zobaczył wyciągniętą na śniegu Mazarine. Między połami rozpiętego płaszcza drobne piersi z delikatnie zarysowanymi sutkami i wystawiony na mróz świeży kwiat jej miedzianego łona. Przetarł oczy... Wyobraźnia płatała mu figle. Nieskalana połać śniegu przypominała puste łóżko. Sceneria jak w teatrze cieni.

-Zawsze pana podejrzewałem... - usłyszał za plecami posepny głos.

Odwrócił się zaskoczony.

- .. .tylko brakowało mi dowodów.

Z mgły wyłoniła się złowroga postać i przeszła go nienawistnym spojrzeniem. Chropowaty głos, przesycony jadem, wydobywał się ze zdeformowanych warg.

- Brałeś udział w naszych zgromadzeniach, ukrywając swoją tożsamość pod szatą, jak my wszyscy zresztą, ale ja wiedziałem, że jesteś inny. Byłeś jedyną osobą, która nigdy nic nie mówiła i niczego nie komentowała. Tobie jednemu nie było śpieszno, aby ją odnaleźć. Pewnej nocy, po skończonym spotkaniu, posta-

nowiłem cię śledzić...

Mężczyzna o Zamglonych Oczach zbliżał się do Cadiza z groźnie uniesionym sztyletem w dłoni i zmuszał go do cofania się.

- Tamtego ranka, gdy opuściłeś atelier, udało mi się przechytryć ten twój wymyślny system alarmowy. Wiesz, jak tego dokonałem? Pracowałem nad tym całymi miesiącami. Tak, tak, ten głupi Jeremie, pośmiewisko całego zakonu... Przeciąłem kable, zmyliłem czujki. Pajęczyna z promieni podczerwonych rozba-
wiła mnie do łez... To było dziecinnie proste, Antequera... a może powinienem nazywać cię ekscelencją?

Mężczyzna o Zamglonych Oczach przyparł Cadiza do barierki.

- Ty draniu! Chciałeś mieć ją tylko dla siebie, co? Myślałeś, że jesteś bardzo przebiegły! W katakumbach zbierała się gromada naiwnych głupków, a tymcza-
sem ty korzystałeś z jej łaski...

Jedną ręką chwycił go za klapę, drugą przyłożył sztylet do szyi.

- Wiesz, dlaczego jeszcze cię nie zabiłem, skurwielu? Bo muszę odnaleźć kuferek i ty mi powiesz, gdzie go ukrywasz.

Mężczyzna o Zamglonych Oczach rzucał nim z wściekłością o kraty i wrzeszczał:

- Mów, mów, gadaj!

Cadizowi wydawało się, że zaraz pęknie mu kręgosłup i żelazne pręty odbiją mu nerki. Musi coś zrobić - odepchnąć, przerzucić przez barierkę ochronną - in-
aczej ten szaleniec go zabije.

- Przestań! Już mówię.

- Słucham.

Cadiz wykorzystał chwilę nieuwagi Mężczyzny o Zamglonych Oczach i przewrócił go na ziemię; ale on pociągnął go za sobą. Kotłowali się po śniegu, starając się wymacać w grubej warstwie puchu sztylet, który wypadł Jeremiemu z dłoni.

Po długiej walce malarz, skopany brutalnie podkutymi butami napastnika, zdołał wstać. Mężczyzna o Zamglonych Oczach znowu zaciągnął go do żelaznej barierki, otaczającej taras, i przyparł do niej z taką siłą, że Cadiz do połowy zawisł w powietrzu.

- Gdzie jest kuferek? - powtórzył groźnym głosem.

Cadiz kopnął Jeremiego kolanem w przyrodzenie. Napastnik, wyjąc z bólu, rozluźnił uchwyt. Obaj niebezpiecznie zawisli nad balustradką. Kurczowo w siebie wczepieni, szamotali się i próbowali uwolnić jeden od drugiego. Śnieg padał coraz gęstszy i ograniczał pole widzenia. Na dole cementowa wyspa znikła pod nieskazitelnie białym całunem.

Pod ciężarem obu mężczyzn część ogrodzenia pękła i Jeremie zawisł nad przepaścią, trzymając się ręki Cadiza.

Przez parę sekund malarz rozpaczliwie próbował go uratować, ale ciężar ciała napastnika ciągnął ich obu w dół.

Pasek Cadiza zaczepił się o jeden z prętów. Na szczęście Mężczyzna o Zamglonych Oczach powoli rozluźniał żelazny uchwyt swojej dłoni.

Zanim spadł, wbił rozbiegany, pytający wzrok w oczy Cadiza. Leciał w dół wśród płatków śniegu, przyspieszonym lotem ustrzelonego kruka. Rozwiany płaszcz, rozdzierający krzyk i głuche uderzenie. Na lodowym płótnie rozlała się plama krwi, jak farba z przewróconego pojemniczka, i stworzyła obraz śmierci.

Cadiz oderwał się od barierki. Cały drżał. Nie mógł ustać na nogach. W ustach czuł rdzawy smak krwi. Wciągnął po wietrze nosem. Spojrzał po sobie. Z jego brzucha sączyła się lepka i gęsta ciecz. Pod żebrami tkwił wbity po rękojeść sztylet. Próbował go wyciągnąć, ale nie miał siły. Osunął się na ziemię...

Widział, jak nadchodzi.

Biegła bosa w jego stronę, z powiewającymi połami płaszcza, rozpostartymi ramionami, z dwunastopunktowym krzyżem katarskim na piersi, z którego ska-

pywały pojedyncze czerwone krople, spływały po brzuchu na dziewczęce łono i w końcu spadały u jej stóp. Śmiała się... Śmiech zamierał w oddali.

Już nie myślał.

Wreszcie ogarnął go spokój. Już niczego nie musi. Unosi się nad światem, lekki jak płatek śniegu.

A więc to jest właśnie śmierć, pomyślał, zanim odleciał.

102

Nad pogrążonym w chaosie Paryżem, zakorkowanym przez śnieżycę, zawodziły syreny. Od sześciu godzin pawilon La Ruche płonął i pomimo wysiłków strażakom nie udało się opanować pożaru. Ogień trawił łatwopalne materiały zgromadzone w atelier. W białym od śniegu powietrzu strzelały wysoko w górę gigantyczne, żarłoczne jęzory ognia, zagrażające sąsiednim budynkom.

Żaden ze strażaków nie odważył się wejść do środka. Zastanawiali się, czy malarz jest wewnątrz.

Wściekłe wycie syren niosło się nad piętnastym *arrondissement*. Operatorzy telewizyjnych kamer, przybyli na miejsce tragedii, tworzyli zwarty mur. Przez śnieżny woal przekazywali bezpośrednią transmisję z akcji ratunkowej.

Gapie spekulowali, czy było to umyślne podpalenie, czy nieszczęśliwy wypadek. Nikomu nie udało się skontaktować z Sarą Miller. Rodzina zachowywała całkowite milczenie na temat ostatnich wydarzeń związanych z malarzem.

103

Wiadomość o śmierci ojca przekazał Pascalowi komisarz z *police secrete*.

Czekał na niego pod drzwiami mieszkania przy pasażu Dauphine. Artystę znaleziono na tarasie Łuku Triumfalnego ze sztyletem wbitym w brzuch. Zwłoki zabójcy leżały na dole. Komisarz poprosił Pascala o zidentyfikowanie ciała Cadiza w kostnicy.

-Czy to... pewne?

- Przykro mi, *monsieur*. Znalazła go jakaś staruszka. Zeznała, że parę minut wcześniej pański ojciec zarzucił jej swój płaszcz na ramiona. Widziała też, jak wszedł za nim na górę dziwny człowiek, z twarzą zasłoniętą szalikiem, ale wcale jej to nie zdziwiło. Niektórzy lubią oglądać Paryż z tarasu podczas wieczornej śnieżycy.

Komisarz wyjął z torby płaszcz Cadiza.

- Staruszka go oddała - wyjaśnił.

Pascal wziął płaszcz od komisarza, zamknął oczy i chłonał znajomy zapach. Ogarnęło go jakieś dziwne, pełne bólu uczucie.

- *Monsieur*, poczekać na zewnątrz?

-Bardzo proszę, muszę mieć chwilę... Powinienem porozmawiać z matką.

W sypialni Mazarine dochodziła do siebie. Po wizycie w szpitalu, gdzie przeprowadzono badania, konieczne do stwierdzenia, czy dziecko i matka nie ucierpieli podczas upadku, Sara Miller odwiozła ją do mieszkania syna. Nie rozmawiały już więcej o ojcu dziecka. Zawarły na ten temat niepisany pakt milczenia.

-Mamo...

Pascal wszedł do sypialni z kredowobiałą twarzą i płaszczem Cadiza w ręce.

- Co ci jest? - spytała Mazarine.

- Właśnie, co się stało, synku? Jesteś taki blady. A ten płaszcz...? Czy to czasem nie ojca?

- Muszę ci coś powiedzieć...

Mazarine już wiedziała, że chodzi o Cadiza.

- Udało się ugasić pożar? - spytała Sara, starając się odegnać straszne przeżycie.

-Tata...

Pascal nigdy nie mówił o Cadizie „tata”. To określenie na zawsze pozostało w czasach dzieciństwa. Zaszklify mu się oczy. Był blady jak ściana.

Sara i Mazarine zerwały się na nogi, obawiając się najgorszego.

- Przykro mi, mamo.

Pascal objął ją i rozplakał się jak dziecko.

Mazarine upadła zemdlona.

104

Urodziła dwa miesiące przed terminem. Na próżno lekarze wszelkimi sposobami starali się opóźnić poród. Pogrzyżyła się w depresji i znowu zaniemówiła. Dopiero narodziny ślicznej dziewczynki przywróciły jej radość życia i odzyskała głos.

Przez niekończące się, pełne cierpienia tygodnie poprzedzające poród pragnęła tylko jednego: umrzeć. Każdego ranka, zaraz po przebudzeniu, wybuchała płaczem z rozpaczą, że nadal żyje. Leżała całymi dniami nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w okno. Wieczorem, wyczerpana, zasypiała. Śniła, że obudziła się w innym świecie. I tak każdej nocy.

Wysiłki Pascala, żeby wydobyć ją z przygnębienia, okazały się bezowocne. Koniec końców prawdziwym oparciem stała się dla niej Sara Miller. Całe dni spędzała w klinice i otoczyła synową serdeczną opieką, mówiła do niej, czytała jej. Jednym słowem: ofiarowała swój czas, czego nigdy nie robiła dla syna. Sama tego nie rozumiała. Powinna była znienawidzić Mazarine, tymczasem pokochała ją jak własne dziecko. Kochała także i to maleństwo, które Mazarine nosiła w łonie.

Pewnego wieczoru Mazarine poprosiła Sarę na migi o papier i długopis. Od tej pory mogła nie tylko słuchać, ale także w ten szczególny sposób brać udział w rozmowie.

Opisała swoją historię, zwierzyła się z tego, o czym nigdy nikomu nie mówiła, nawet Pascalowi. Odpowiadała odważnie na wszystkie pytania i dzięki temu zyskiwała coraz większy spokój. Czuła się tak, jakby pokonała jakiś zły czar. Przelewając swoje lęki na papier, uzdrawiała małą, bojaźliwą dziewczynkę w sobie.

Opowiedziała o swoich rodzicach - więcej o matce; o ojcu zachowała w pamięci jedynie okruchy wspomnień - o swojej samotności w Zielonym Domu, o tym, jak zamykała się w szafie i rozmawiała z Sienną, życiu w niby-świecie, w którym czuła się jak jedyny rozbitek ocalony z tonącego statku. O potwornej udreće, bólu i wszechogarniającym smutku, o tym, jak pewnego dnia otworzyła kryształową trumnę, zawiesiła sobie medalion Świętej na szyi i z jego powodu była śledzona, o próbie samobójczej i uwięzieniu przez Mężczyznę o Zamglonych Oczach. Opowiedziała wszystko, co wiedziała o zakonie Arts Amantis, i o tym, jak poznała Cadiza. On jeden sprawił, że wreszcie poczuła się ważna; jemu jedynemu była naprawdę potrzebna i tylko jego jednego kochała do szaleństwa. Opisała swoją walkę wewnętrzną i jak bardzo przeżywała to, co się wydarzyło. Przeleżała na papier swoje łzy, lęki, radości, rozterki... Przeczytane przez Sarę kartki niszczyła, bo tą tajemnicą chciała się podzielić tylko z nią.

A na ostatniej stronie, kiedy nie miała już nic do powiedzenia, napisała słowo: Pascal. W tym imieniu zawarła całe swoje nienazwane uczucie.

Pewnego dnia, gdy Mazarine kończyła karmić dziecko, do pokoju wszedł uśmiechnięty Pascal.

- Masz gościa, *mon amour*.

- Ja?

- Tak, ty i Sienna.

- Kto to?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Podeszedł do żony i pocałował ją w usta. - To niespodzianka.

- Dobrze... bardzo nas zaintrygowałeś. Prawda, *mon petit poussin*? - Mazarine czule ucałowała paluszki córeczki.

Pascal wyszedł i po chwili wrócił w towarzystwie starszego pana. Ze skórzanej torby, którą niósł w rękę, wystawał pyszczek kotki.

- Arcadius! - wykrzyknęła zaskoczona Mazarine.

- Moja kochana dziewczynka! Widzę, że nie traciłaś czasu.

Antykwariusz pogłaskał małą po główce.

- Dawno cię nie widziałam.

- Jest śliczna! Zupełnie, jak jej matka - stwierdził z uśmiechem staruszek. -
Mogę?

- Oczywiście.

Malutka zabawnie zmarszczyła nosek, gdy poczuła łaskotanie brody antykwariusza na czółku.

- Tatuś jest z niej pewnie dumny.

- Żebyś wiedział.

Arcadius spojrzał na Mazarine.

- Ile ja się ciebie naszukałem, dziecinko. Zniknęłaś tak nagle, bez słowa.

- Ty też nie uprzedziłeś mnie, że wybierasz się do Barcelony. Pamiętasz? -
Spojrzała na niego rozzalona. - A potem zdarzyło się tyle rzeczy!

- Wiem, wiem. Moja malutka... Gdybyś mi zaufała...

Arcadius chwycił ją za rękę.

- O mój Boże! Patrzcie, kogo tu mamy! - wykrzyknęła podniecona Mazarine,

spoglądając na leżącą na podłodze torbę. - Przecież to moja Mademoiselle!

Podąła dziecko Pascalowi.

- Idź do tatusia, kochanie.

Przytuliła kotkę, pogłaskała i wsadziła z powrotem do torby.

- Zostawiamy was samych - powiedział Pascal. - Oh la la! Księżniczce trzeba chyba zmienić pieluszkę.

- Siadaj, Arcadiusie - poprosiła Mazarine, gdy za mężem i małą Sienną zamknęły się drzwi.

- Bardzo mi przykro, kochanie - zaczął staruszek – że się tak nacierpiałaś.

Dowiedziałem się, jak było naprawdę z ostatnimi obrazami Cadiza i o twojej roli w ich powstawaniu. Tragicznie skończył. Kochałaś go, prawda?

Mazarine nie musiała nic mówić. Odpowiedź Arcadius znalazł w głębi jej oczu. Czaił się w nich jeszcze ból po stracie ukochanego.

- Wiesz, jak cię odnalazłem? Nie wdając się w szczegóły, udało mi się skontaktować z Sarą. To wspaniała kobieta... i bardzo cię kocha.

- Jest naprawdę fantastyczna. - Uścisnęła ręce staruszka. - Przykro mi, że miałeś przede mną tyle kłopotów, Arcadiusie. Czułam się taka zagubiona!

- Nieważne. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Może musiałaś przeżyć to wszystko w samotności. Mam coś dla ciebie. Myślę, że bardzo ci tego brakowało.

- Wyjął z kieszeni marynarki małe pudełeczko owinięte w ozdobny papier. - Jeremie wystawił to cacuszko na aukcji w Internecie. Przelicytowałem wszystkich.

Mazarine wyjęła medalion z pudełka i patrząc na staruszkę wilgotnymi oczyma, powiesiła sobie klejnot na szyi.

- Nie wiem, jak ci dziękować. To więcej, niż mogłam się spodziewać. Byłam pewna, że straciłam go na zawsze.

-Mazarine... - Arcadius przerwał długą chwilę ciszy, przepełnioną wzruszeniem.

-Tak?

- Muszę ci coś wyznać... Przechowuję kuferek, który powinien należeć do ciebie.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Gdy zniknęłaś, zamieszkałem w twoim domu. Opiekowałem się Mademoiselle i prowadziłem prywatne śledztwo. Przepraszam za wścibstwo. Otaczał cię nimb tajemniczości, a po podróży do Barcelony byłem pewny, że klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w Zielonym Domu. Za szafą, gdzie przechowywana była Święta, odkryłem tunel, który doprowadził mnie do tego kufierka. Zgodnie z legendą zawiera historię Świętej.

- Nie, Arcadiusie. Zatrzymaj go sobie. Jesteś antykwariuszem i ekspertem od starodruków. Potrafisz zrobić z niego lepszy użytek. Ta skrzyneczka należała do Sienny, a jej... już nie ma.

- Mylisz się.

106

Pawilon La Ruche spłonął doszczętnie. Dopiero o świcie strażacy mogli przejść przez bramę do ogrodu. W zgliszczach tliły się jeszcze pojedyncze żagwie.

Śnieg i popiół utworzyły lepkie błoto, przywierające do butów i utrudniające poruszanie się. Pośrodku pogorzelniska stały niewzruszenie dwie poczerniałe kariatydy i strzegły wejścia do nieistniejącego już atelier. W ponurym krajobrazie wznosiła się majestatycznie żelazna konstrukcja La Ruche. Szkielet dawnego pawilonu Wysp Brytyjskich przetrwał pożar. Struktura Eiffela nadal stała.

Brygada strażaków rozpoczęła przeszukiwanie wnętrza, przepełnionego dymem i cuchnącymi oparami. Nagle coś przykuło uwagę jednego z nich.

- Chodźcie, mam coś! - zawołał.

Oświetlił latarką monumentalny kształt, wznoszący się w samym środku

pogorzelniska, które dawniej było malarskim atelier. Pozostali strażacy podeszli bliżej.

- Przyciągnijcie wąż! - rozkazał kapitan.

Potężny strumień wody spłukał ze znaleziska grubą warstwę popiołu.

- Co to?

- Dziewczyna!

- Ciało młodej dziewczyny.

- Święta Dziewica.

- Śpi w kryształowej trumnie.

Spod popiołu wyłoniła się nienaruszona wielka skrzynia ze rżniętego kryształu.

107

Sara Miller wręczyła Mazarine list.

- Znalazłam go między dokumentami, które Cadiz trzymał w sejfie. Myślę, że powinnaś to przeczytać.

Mazarine wyjęła z koperty kilka pożółkłych kartek. Tekst był wystukany na starej maszynie do pisania.

Pary , 22 listopada 1982

Drogi przyjacielu

Pewnie jeste zaskoczony, e odzywam si do Ciebie po tylu latach milczenia. Nie wiem dlaczego, ale wierz , e cho nasze drogi si rozesz y, przyja pozosta a. Jestem bardzo dumny i szcz liwy, e znam kogo takiego jak ty. Razem odkryli my tajemnic mojej rodziny, i to by mo e zwi za o nasze losy na zawsze.

Twoje sukcesy bardzo mnie cieszą. Zaskoczysz na najwyższe uznanie, jesteś wspaniałym artystą. Kiedy tamtego wieczoru w atelier, po naszym odkryciu, zobaczysz, jak chwytasz za pędzle i ożywasz malowany obraz barwami, zrozumiesz, że już jesteś wielki. Zmieniłeś się, obaj się zmienili my. Przeobraziła nas ta porażająca wizja u piennej dziewczyny. Potem się rozstaliśmy. Nonkonformizm twórcy dualizmu wyuzdanego wyniósł Cię na szczyty. Stałeś się więc czołowym firmamentem gwiazd. Ja natomiast przygasłem. Porzuciłem malarstwo i poświęciłem się zwykłej, codziennej pracy, nieprzynoszącej mi chwały. Musiałem zarabiać na życie.

Oto, Antequera (pozwól, że będę się do Ciebie zwracał po nazwisku, pod jakim Cię znałem), od miesięcy cierpię na straszliwie śmiertelne choroby. Zanim odejdę, chcę Ci powierzyć dwa moje najcenniejsze skarby.

Po znalezieniu Sienny ojciec wyznał mi prawdę, którą latami ukrywał. Gdy wszystko się wydało, nie miał innego wyjścia. Trzymanie w domu córki zmarłej dziewczyny wydawało mu się makabryczne. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jej nie pochowano na cmentarzu. Uszanowała jednak rodzinną tradycję i godziła się na przechowywanie trumny w tunelu, który wykopał jego ojciec, a mój dziadek. Tam też ją znaleźliśmy. Gdy umiera, musiałem mu przysięść, że na zawsze tam pozostanie.

Nie dotrzymałem słowa. Wydawało mi się, że taka piękna postać nie może tkwić w tej lodowatej jaskini. Postanowiłem zatem wbudować w szafę mechanizm, pozwalający wyjąć trumnę na powierzchnię i podziwiać ją, kiedy tylko będę miał na to ochotę.

Całymi latami kontemplowałem jej piękno. Fascynacja, jak odczuwałem, patrzył na jej oblicze, porusza mnie do dzisiaj.

Ukrywając twarz pod kapturem peleryny, zacząłem uczęszczać na tajne zebrania Arts Amantis. Pamiętasz? Zaproponowałem Ci kiedyś, abyś udał się tam ze mną.

W walizce, oprócz listu, jest też plan z zaznaczoną drogą do wiatryni w katakumbach i strony wyrwane z czasopisma, ze streszczeniem doktryny zakonu. W arty-

kule zatytułowanym *Arts Amantis* istnieje znajdziesz bardzo ciekawe i do wiarygodne informacje. Nie miej jednak z udzielić; grupa, którą spotkasz w paryskich podziemiach, w niczym nie przypomina pierwszych założycieli zakonu. Przyglądam im się od wielu lat. Pod maską dobroci kryje się nienawiść i zazdrość.

Myślę, że powinieneś się tam wybrać. Dzięki temu dowiesz się, o co im chodzi. Szukaj ją, ale go nie znajdź. Nie jest tego godni. Więcej ta powinna pozostać w Zielonym Domu, pod Twoją dyskretną opieką.

O niej nie mów, póki nie z artystką, tak samo jak ja, więc zrozumiała i zawiła i dziwna historia rodzinna. Pokochała te dziewczyny, która stała się dla nas niemal członkiem rodziny.

Pewnie zastanawiasz się, dlaczego Ci to wszystko opowiadam. Zaraz się dowiesz. Otóż mniej więcej rok temu urodziła mi się córka. Tak, tak... Wyobraź sobie? Ja, który cenię sobie wolność, mam córkę, przez liczną dziewczynkę, którą uwielbiam. Niestety, nie zobacz, jak moja matka Mazarine będzie dorastała. To moje jedyne zmartwienie. Nie będzie jej przytulą ani nosi na rękach. Nie dowiesz się, jakim mogłabym być ojcem ani jak bardzo ją kochałbym. Nie pomogę jej poznać świata, nie nauczę trzymać ołówka w drobnej ręczce, nie prześlę przyjemności, jak daje odtwarzanie kształtów. Niedane nam będzie chlapać się farbami i przeżywać razem chwil radości i szczęścia.

Dziwne, nie sądzisz, że tak młodo umrą. Czuj już oddech śmierci, ale wcale się nie boję. Nie uwierzysz, jak niewiele potrzebujemy, gdy zaczynamy odchodzić. Na jakiś czas przedtem zmieniamy się w rybaków. Teraz, gdy ból mi na to pozwala, oddaj się w owieniu wspomnień w morzu pamięci. Życie to umykający punkt. Ustawicznie za nim gonimy, próbując go schwytać.

Jestem pewny, że gdy odejdziesz, moja matka zadba o Mazarine, ale gdyby mojej córce zabrakło równie matki, proszę Ci: czuwaj nad nią. Nie mam nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Bardzo mi przykro, naprawdę, bardzo mi przykro.

Gdy byliśmy młodzi, przyrzekliśmy sobie pomagać w ciężkich chwilach. To zobowiązanie. Oby Twoje sukcesy nie sprawiły, że zapomnieliśmy o obietnicy. Pamiętaj jeszcze?

Powierzam Ci to, co mam najdroższego: moją ukochaną córkę i Siennę, zamknij to w kryształowej skrzyni.

Bóg błogosławi Ci, nie opuszczaj ich. Bóg błogosławi Ci za to wdzięczny na wieki.

Łzy dla Twojej rodziny wszystkiego najlepszego.

Do zobaczenia po tamtej stronie, przyjacielu.

Raymond Cavalier

Mazarine siedziała w milczeniu, wzruszona przeczytanym przed chwilą listem. W dzieciństwie bardzo tęskniła za ojcem i jego brak odczuwała przez całe życie. Kochała ojca, nawet go nie znając! Dlaczego właśnie jej się to przydarzyło?

Teraz rozumiała wszystko. Zawdzięczała ojcu swoją fascynację Cadizem. Zrodziła się pewnego dnia szesnaście lat temu, kiedy szukając w starej komodzie węgla do rysowania, natknęła się na artykuł o malarzu - twórcy dualizmu wyuzdanego. Ojciec i Cadiz byli przyjaciółmi! Dlatego, gdy zadzwoniła do niego z prośbą, aby pozwolił jej przychodzić do atelier, od razu się zgodził. Cholera! Dlaczego nic jej nie powiedział o Raymondzie Cavalierze?

I co teraz? Namiętna miłość do Cadiza nie umarła wraz z jego śmiercią. Ogromne poczucie straty przytłaczało i paraliżowało. Łzy skapywały na rozłożone strony listu. Płakała za swoim ojcem i za Cadizem. Wizerunki obu rozmazywały się i nakładały na siebie. Gdzie przebiegała granica miłości? Czym się od siebie różniły? Czy ktoś to wie? Pragnęła pozbyć się tego przytłaczającego ciężaru, nie toczyć już wewnętrznej walki i uwolnić się od udręki. Drzwi za przeszłością zatrzasnęły się. Nie da się cofnąć czasu. Ojciec i Cadiz na zawsze pozostaną w jej sercu. Staną się jednością. Niepojęte, ale prawdziwe.

Sara ją przytuliła.

-Jeszcze nieraz przyjdzie ci się borykać z trudnymi sprawami... Nie warto się zadrećzać, kochanie. Uczymy się przez całe życie, aż do śmierci. Ona jest naszą ostatnią lekcją. Najważniejszą. Nie lękaj się błędzić. Póki żyjesz, masz możliwość naprawienia popełnionych błędów. To wielki dar, wiesz? Nie każdy potrafi to docenić. Nie jesteś już sama, Mazarine. Pamiętaj o tym.

108

Umówili się na rue Galande 75. Arcadius czekał na nią na rogu, z cennym kuferkiem w ręku. Wiele się tu zmieniło.

Chodnik, dawniej porośnięty lawendą, teraz zmierzch barwił na kolor ochry; kostki brukowe wyglądały jak sztabki brązu.

-Jesteś gotowa? - spytał antykwariusz, przywitawszy się z nią.

-Nie wiem, Arcadiusie, co poczuje, kiedy znajdę się w domu.

Podeszli razem do drzwi. Mazarine otworzyła je i zatrzymała się na progu. Dom nie zmienił się, ale ona już nie była taka sama jak przedtem. Czuła się bardzo dojrzała jak na swoje dwadzieścia cztery lata. Jakby w ciągu tych kilku miesięcy wszystko już przeżyła. Zniszczyła ją namiętność.

- Przyniosłeś kwiaty - stwierdziła zgaszonym głosem na widok stojącego na stoliku przy drzwiach dzbana z fioletową lawendą.

-To lawenda... z samej Prowansji, tak przynajmniej zapewnił kwiaciarz.

Mazarine podziękowała mu uśmiechem.

- Masz klucz? - spytał staruszek.

-Zaczekaj chwilę - powiedziała. Położyła torebkę na krześle i wchodząc na górę, mówiła dalej. - Najpierw trzymałam go pod poduszką, potem postanowiłam schować w bezpieczniejszym miejscu. Wiedziałam, że jest ważny, skoro Sienna

ukrywała go w dłoniach.

Powoli wspinała się po schodach. Wspomnienia wychodziły jej naprzeciw. Na piętrze zajrzała do pokoju Sienny. Nie mogła się powstrzymać. Wszystko było jak dawniej. Otworzyła szafę. Przez chwilę wyobraziła sobie, że ona tam będzie, ale wewnątrz było puste. Tu, w tym kąciku ukrywała się popołudniami. W sekundę całe życie przewinęło się jej przed oczyma.

- Mazarine... dobrze się czujesz?

- Zaraz wracam.

Pobiegła do swojej sypialni. Na kolażu, wiszącym obok plakatu Cadiza, wśród różnokolorowych, pogniecionych strzępów papieru ukryła klucz. Zanim oderwała go od płótna, przez chwilę wpatrywała się w twarz malarza. Zza zasłony dymu spoglądał na nią wzrokiem pełnym życia. Załkała bezgłośnie. Patrząc mu w oczy, usłyszała echo jego głosu przypominającego brzmienie wiolonczeli: „Pamiętaj, maleńka, prawdziwy artysta nigdy nie umiera. Jego nieśmiertelna dusza na zawsze pozostaje w dziełach, które stworzył”. Tak, Cadiz żył... Nie tylko w swoich dziełach.

Zeszła z kluczem w dłoni na dół.

- Musiałam go oczyścić z zaschniętej farby - wyjaśniła.

Staruszek uważnie obejrzał klucz.

- Widzisz ten symbol? - Pokazał jej malutki znaczek, widniejący na jednym z ząbków.

Spróbował otworzyć zamek, ale mechanizm nie ustąpił.

- Może to nie ten klucz - zwątpiła Mazarine.

- Nie, na pewno ten. Pasuje idealnie.

- Pozwól, może mnie uda się otworzyć - poprosiła Mazarine.

Zanim przystąpiła do działania, uważnie obejrzała kuferek - dzieło talentu dawnych rzemieślników. Na okuciu, pod okazałej wielkości rubinem w kolorze

zakrzepłej krwi znalazła wyryty napis: *No dormatz plus, 'suau vos ressidatz* (Nie śpij, obudź się).

Te słowa coś jej mówiły... Zastanowiwszy się, przypomniała sobie staroprowansalską piosenkę, którą nuciła przy dźwiękach lutni. Na pewno chodziło o kuferek. Musiała go delikatnie obudzić. Kluczem do niego była muzyka.

Doliczyła się sześciu ząbków. Najpierw włożyła klucz płytko, na jeden ząbek, i delikatnie przekręciła. Usłyszała wyraźny, czysty dźwięk. Włożyła klucz głębiej i znowu przekręciła: kolejny, wyższy dźwięk. Powtórzyła tę czynność sześciokrotnie. Gdy wepchnęła klucz do końca, usłyszała siedem dźwięków - słowa staroprowansalskiej piosenki rozbrzmiały w jej głowie. Zamek ustąpił.

Kuferek budził się do życia na oczach zachwyconej Mazarine. Owionął ją zapach świeżej, wilgotnej ziemi i lawendy. W środku, na posłaniu z niebieskich kwiatuszków, spoczywały oprawione w skórę kartki pergaminu z wypalonym na wierzchu symbolem Arts Amantis.

- No już, wyjmij go! - ponaglił Arcadius.

W głębokiej ciszy, jaka zapadła w pokoju, powoli rozsypała sznurek, którym był przewiązany zeszyt. Jej oczom ukazało się niezwykle dzieło sztuki. Między sztywnymi okładkami znajdowały się wspaniałe, wykonane po mistrzowsku ilustracje. Każde pociągnięcie farbą i tusze świadczyło o wprawnej dłoni artysty i jego niezwykłej wrażliwości. Obrazki przedstawiały szczegółowo sceny z przeszłości, opisane starannym, kunsztownym, kaligraficznym pismem. Mazarine zaczęła płynnie czytać, rozumiejąc przy tym wszystko, jakby staroprowansalski był jej ojczystym językiem. Była to spisana w pierwszej osobie historia Sienny. Staruszek milczał, zasluchany. Godziny mijały, ale oni tego nie zauważali. Spowili ich mrok, potem nastał świt i wschód słońca. Skończywszy czytać, Mazarine wybuchnęła płaczem.

Gdy Sienna miała czternaście lat, jej ojciec, Gerard Cavalier, miłośnik włoskiej sztuki, wysłał przez umyślnego list do wielkiego mistrza Giotta di Bondare. Prosił w nim, aby artysta namalował na sklepieniu sali głównej w zamku fresk przedstawiający jego prześliczną córkę. Znał dzieła Giotta. Zamówienia na obrazy składały u niego najpotężniejsze osoby w państwie. Nowatorski styl tego malarza oddawał nie tylko piękno natury, ale przybliżał także boską koncepcję stworzenia świata.

Na fresku córka możnowładcy miała stąpać boso wśród lawendy i uosabiać dziewczęcą niewinność.

Przez wiele dni Sienna pozowała malarzowi wśród łąnów lawendy, pilnowana z dala przez wierną dwórkę. Mistrz szkicował i jednocześnie objaśniał szczególny sposób łączenia barwników roślinnych, które mieszał z wprawą alchemika. Ona zaś opowiadała mu o sobie i przy dźwiękach lutni śpiewała pieśni trubadurów o niespełnionej miłości. Zafascynowana osobowością Giotta, zakochała się w nim do szaleństwa, a malarz, oczarowany urodą i inteligencją dziewczyny, stracił dla niej głowę.

Pewnego dnia o zachodzie słońca Sienna, biegnąc boso, potknęła się o wystający korzeń. Giotto rzucił się ją podtrzymać i wtedy ich spojrzenia spotkały się. Nie wypowiedzieli ani jednego słowa. Poddali się namiętności, która przyciągała ich do siebie z siłą wiosennej burzy. Płonęli z pożądania i coraz odważniej się pieścili. Wśród łąnów lawendy Sienna straciła wianek. popełniła śmiertelny grzech. Gdy zostali przyłapani przez dwórkę, malarz, aby ocalić życie, salwował się ucieczką. Nigdy więcej nie dał znaku życia. nie odpowiadał na listy. Dziewczynkę, która przyszła na świat jako owoc tej miłości, rodzice Sienny przedstawiali

jako jej młodszą siostrę... Miesiące spędzone w odosobnieniu, ciężki poród, cierpienie modlitwy, obietnica poprawy, pokuta i zbawienie duszy przez malarstwo.

Gdy wypowiadała słowa litanii, czuła, jak rośnie w niej tajemna siła, zmieniająca wszystko wokół w dzieło sztuki. Pragnienie świętości było tak silne, że przemieniło Siennę w istotę czystą i pełną miłosierdzia. Wieść o jej szlachetnych uczynkach rozeszła się daleko. Dłonie obdarzone mocą uzdrawiania odpędzały każdą chorobę.

Ludzie, którzy przebywali blisko niej, opowiadali, że wprost emanuje dobrocią. Powszechnie kochana i wielbiona, szybko została okrzyknięta świętą.

Dla artystów, muzyków, trubadurów i rękodzielników była źródłem natchnienia. Nie było artysty, który by nie wychwalał jej urody, nie sławił niezwykłych przymiotów ducha. Wszyscy ją ubóstwiali, dostrzegali w niej bowiem ideał harmonii, miłości i sztuki.

Mimo że była nad podziw urodziwa, żaden mężczyzna nie odważył się do niej zbliżyć z innym zamiarem, niż napawania się, choćby przez kilka chwil, jej inspirującym towarzystwem. Żadna kobieta nie odczuwała zazdrości na jej widok, bo choć była istotą z krwi i kości, otaczała ją aura boskości.

Niestety, pewnego dnia wieść o pięknej dziewczynie z Langwedocji, otoczonej czcią niczym święta, dotarła do uszu członków Świętej Inkwizycji. Powiadano, że wykorzystuje swą moc do uzdrawiania trędowatych, wodzi mężczyzn na pokuszenie i rzuca na nich uroki. Choć główny inkwizytor nie znał Sienny ani nigdy jej nie widział, skazał ją na śmierć.

Horda oszalałych z nienawiści mnichów uznała Siennę za heretyczkę. Członkowie Arts Amantis, odnalazłszy jej zbezczeszczone i ukamienowane ciało, ukryli je w prywatnej kaplicy i przez wiele wieków czcili jak najświętszą relikwię.

Po tragicznej nocy, gdy zginęła Sienna, nastąpił atak potężnej armii dowodzonej przez Simona de Montforta. Maszerujące wojska zmieniły miasta i wsie Langwedocji w jedno wielkie cmentarzysko. Po przerażającym pustkowiu snuli się

ślepcy, kaleki bez rąk i nóg. W klatkach najeżonych metalowymi kolcami wyli z bólu torturowani jeńcy. Wszędzie zalegało dziesiątki trupów roztrzaskanych o mury.

Po zagładzie katarów przyszła kolej na członków Arts Amantis. Z krwawej masakry ocaleli tylko nieliczni, wśród nich mała dziewczynka i nietknięte ciało jej młodej matki. Świętej.

- *Mon amour*, telefon do ciebie. Chyba ważny.

Pascal podał żonie słuchawkę.

-Mazarine Cavalier? - spytał ktoś po drugiej stronie przewodu.

-Tak...

- Prezydent chciałby z panią rozmawiać. Proszę się nie rozłączać.

Służbowy, beznamiętny głos sekretarki zastąpiła melodyjka.

Wreszcie po kilku sekundach...

-Pani Cavalier, mam przyjemność powiadomić panią, że odbudowa La Ruche dobiegła końca. Zgodnie z pani wolą powstało tam sanktuarium ku czci Świętej oraz centrum twórczości artystycznej.

W ten sposób Louis Renard, tajny mistrz zakonu Arts Amantis, zamknął ten rozdział w swoim życiu.

La Ruche stało się świątynią sztuki.

Z całego świata napływali młodzi, pełni marzeń artyści. Wynajmowali ma-
lutkie mieszkanie w pasażu de Dantzig, by poczuć magię tego miejsca, czerpać
natchnienie wprost ze źródła. Świeżość, mieszanka kultur i talentów sprzyjały
przejawom różnorodnej twórczości. Tu, nieskrępowani konwentami, mogli do-
woli eksperymentować przedstawiciele różnych dziedzin sztuki: poeci, muzycy,
malarze, rzeźbiarze, fotograficy, projektanci i filmowcy. Tu stapiały się różne
idee, rozważane były nowe koncepcje. Rozświetlone oblicza, oczy rozpalone
skupieniem i wściekłością, triumfalne okrzyki po odkryciu nowego tematu. Od-
malowane zdania, owoce, modele, pochłapane farbą płótna, światła, martwa na-
tura, deski, sztalugi, papiery, pergaminy. Buzująca ideami wieża Babel. Odro-
dzone życie... Nowy Montparnasse...

Pośrodku atelier spała w kryształowym sarkofagu snem wiecznym Święta.
Mazarine zakończyła wyprawę życia.

Przejechała wzdłuż i wszerz ziemie dawnej Oksytanii, odwiedziła miejsca
jakby znajome, choć nigdy wcześniej ich nie widziała. Na obrazach Giotta roz-
poznała swoich przodków. W jej żyłach płynęła krew sławnego malarza i Sienny;
wyczuwała to w każdym szkicu, w każdym pociągnięciu pędzla.

Nagle ujrzała go. Szedł powoli, przyglądając się nieukończonym obrazom na
sztalugach, rozłożonym na podłodze projektom. Pierwszy raz widziała go jakby z
oddali, z innej perspektywy, jak bezstronna obserwatorka. Jego porażająca

obecność dekoncentrowała ją. Miał potargane włosy i palił papierosa. Wypuszczał z ust niebieskawy dym. Fascynował ją.

- Kochanie... Musimy już iść, bo się spóźnimy.

Należał do niej. Ten wspaniały mężczyzna był jej mężem.

-Mamusiu...

W drzwiach stanęła jej córeczka, trzymając nianię za rękę. Mazarine obsypała małą pocałunkami.

- Powiesz mi, dlaczego jesteś bosa, panienko?

- -I kto to mówi? - zakpił Pascal, patrząc wymownie na bose stopy żony.

Tymczasem mała podbiegła do sarkofagu i przez szklane wieko zajrzała do środka. Jej uwagę przykuł stary medalion na szyi Sienny.

- Mogę jej dotknąć? - spytała dziewczynka, wskazując Świętą.

-Ciii... Nie teraz. Śpi - odpowiedziała szeptem Mazarine.

113

Ominąwszy korki, Mazarine, Pascal i Sienna dotarli na lotnisko w samą porę, aby pożegnać Sarę. Fotografka czekała na nich w drzwiach do sali odpraw. Była spokojna i szczęśliwa.

-Proszę, babciu. Narysowałam to dla ciebie, żebyś o mnie nie zapomniała.

- Pokaż...

Mazarine wzięła kartkę do ręki, zanim mała wręczyła ją babci. Szkic był doskonały... Brakowało tylko stóp.

- Dokąd lecisz, babciu?

Sara Miller przytuliła małą Siennę i pocałowała.

- Do raju, skarbie... do raju.

TLR

POSŁOWIE

Pomysł tej książki zrodził się pewnego wieczoru, podczas kolacji u naszych przyjaciół, Teresy Soler i Angela Cequiera.

- Chcesz usłyszeć historię, która mogłaby stanowić gotowy materiał na powieść? - spytał podniecony Angel.

Dla mnie, łowczyni opowieści o cudzym życiu, była to prawdziwa gratka.

- Jasne - odpowiedziałam. - Zamieniam się w słuch.

Teresa, postać kluczowa dla powstania tej książki, zaczęła opowiadać. Słuchając jej, wręcz nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Opowieści o młodziutkiej dziewczynie, której ciało przetrwało w nienaruszonym stanie setki lat, traktowane u nich w domu niemal jak członek rodziny, nie wymyśliłby żaden beletrysta.

To był niepodważalny fakt. Zanim trumna z ciałem ukamienowanej świętej - zgodnie z wolą rodziny - spoczęła w bazylice pod wezwaniem Świętej Marii w Manresie, zajmowała honorowe miejsce w kaplicy grobowej pod starym domostwem Solerów. Wejście do tunelu prowadzącego do kaplicy było zamaskowane szafą.

Księga o świętej Klarze Męczennicy nie została jeszcze napisana. Jej ciało jako relikwię przekazał Watykan protoplaście rodu Solerów, w uznaniu jego zasług dla Kościoła.